

CARMEN MOLA PURPUROWA SIEC

**Największe odkrycie w dziedzinie hiszpańskiego
czarnego kryminału ostatnich lat**



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

CARMEN MOLA **PURPUROWA SIEĆ**

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Magdalena Olejnik





WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

La red Púrpura

© 2019, Carmen Mola

Translated from the original edition of Penguin Random House Grupo
Editorial S.A.U., Barcelona, 2019

This edition has been published through the agreement
with Hanska Literary&Film Agency, Barcelona, Spain

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2023 for the Polish translation by Magdalena Olejnik
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Joanna Habiera, Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8230-590-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.postfactum.com.pl

www.facebook.com/PostFactumSoniaDraga

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA. Będę się modlić

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

CZĘŚĆ DRUGA. Nikt

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

CZĘŚĆ TRZECIA. Za nic w świecie

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

CZĘŚĆ CZWARTA. Tylko ciebie

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

CZĘŚĆ PIĄTA. Bezmiar

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Od tłumaczki

Przypisy

CZĘŚĆ PIERWSZA

Będę się modlić

*Będę się modlić za ciebie,
bo serce wypełnia ci noc.
Jeśli zechcesz, uwierzysz.*

Kobieta czeka w samochodzie, atakowana bożonarodzeniową atmosferą. Z początku sądziła, że radio dostarczy jej nieco rozrywki, ale nie może znieść fałszywego entuzjazmu spikerów, ich przymusu zarażenia słuchaczy radością. Radiowe reklamy, zawsze męczące, w tym okresie stają się dla niej wprost nie do wytrzymania. Jeszcze jedna kołęda i otworzy sobie żyły. Wyłącza radio, nie ma nastroju na świętowanie.

Spogląda na zegarek. Jest późno, czekanie się przeciąga, trwa dłużej, niż planowali. Niczym w transie przygląda się ruchowi ulicznemu, światłom neonów, bezkształtnej ludzkiej masie, która płynie w dół ulicy. Wysiada z auta, żeby rozprostować nogi, i czuje grudniowy chłód na uszach, nosie, włosach. Idzie w kierunku Mercado de San Miguel i zagląda na plaza Mayor od strony ulicy Ciudad Rodrigo. W tym kłębowisku ludzi nie sposób wyłowić wzrokiem mężczyzny, z którym tu przyszła.

Wraca do auta i widzi dwóch strażników miejskich spisujących jej rejestrację. Biegnie do nich, tłumaczy się, jak umie. Zaraz pojedzie, mąż kupuje choinkę na rynku, to tylko minutka. Ma szczęście: mandat nie trafił jeszcze do systemu i strażnik, który go wypisywał, nakazuje jej poszukać miejsca postojowego. Nie ma sensu wyjaśniać mu, że wszystkie są zajęte, lepiej odjechać, nie ryzykując, że w ostatniej chwili zmieni zdanie, zrobić kółko i modlić się, żeby wraz z kolegą sobie poszedł, bo ona ma zamiar zatrzymać się na tym samym rogu i wjechać przednimi kołami na chodnik, by umożliwić przejazd innym kierowcom. Uliczka jest wąska.

Teraz oczekiwanie staje się nerwowe. Nie ma już pola manewru, jeśli strażnicy wrócą, wlepią jej mandat, a ona nie chce ściągać na siebie uwagi, nie może pozwolić, żeby spisano numery rejestracyjne jej samochodu.

Obok przechodzi hałaśliwa grupa turystów w rudych perukach. Za nimi zdąża mężczyzna, to Dimas. Prowadzi za rękę pięcio-, może sześćioletniego chłopca. Kobieta uruchamia silnik. Tłumi falę smutku, widząc, że malec rozmawia z Dimasem dokładnie tak, jak mógłby to

robić ze swoim ojcem. Zdaje jej się nawet, że chłopiec się uśmiecha. Słyszy fragment rozmowy, którą prowadzą, gdy mężczyzna otwiera drzwi i siadają na tylnych siedzeniach: Spokojnie, zawieziemy cię do mamy, nie bój się.

Łagodna intonacja, jakiej się używa, mówiąc do dzieci, w ustach Dimasa brzmi topornie, niemal nikczemnie. Teraz zwraca się do niej:

– Ruszaj, na co, kurwa, czekasz?

Zmiana tonu jest oczywista nawet dla dziecka. Teraz się przestraszyło. Auto posuwa się ulicą Mayor ku Bailén, ale jest duży ruch i nie da się jechać szybko. Chłopiec krzyczy, pyta o swoją matkę, teraz już nie ma nawet cienia wątpliwości, że mężczyzna tylko udawał miłego, że to była przynęta, by ofiara dała się zwabić w pułapkę. Dimas wymierza mu policzek i płacz gwałtownie się urywa. W ciszy słychać tylko zduszoną czkawkę. Kobieta szuka w lusterku wstecznym twarzy dziecka.

– Jak masz na imię?

Ledwo słyszalnym, drżącym głosem chłopiec odpowiada:

– Lucas.

Rozdział 1

Na ekranie widać niemal całkiem pustą, bezosobową przestrzeń. Jest tylko drewniane krzesło na środku pomieszczenia i duży monitor na surowej ścianie z cegły. Nie ma żadnej zapowiedzi, co tu się wydarzy, ale stopniowo podłącza się coraz więcej komputerów. Za kilka minut będzie ich niemal sto. Ich właściciele nie znają się nawzajem, chociaż będą oglądać ten sam spektakl. Większość znajduje się w Hiszpanii, ale są też z Portugalii, Meksyku, Brazylii... Wielu z nich to mężczyźni w wieku od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, choć zdarzają się i kobiety, kilku emerytów, nawet jeden mały chłopiec... Wszyscy zapłacili sześć tysięcy euro, których od nich zażądano. W bitcoinach, żeby było bezpiecznie, żeby nie zostawiać śladu.

Monitor na tylnej ścianie się rozjaśnia. Widać zieloną płaszczyznę boiska piłkarskiego. Gracze, którzy wezmą udział w spotkaniu, czekają na moment wyjścia na murawę, kamera daje na nich zbliżenie, pokazują się ich nazwiska. To mecz Champions League, faza grupowa, gra Real Madryt ze Spartakiem Moskwa.

Jednak to nie futbol interesuje podłączonych. Za pomocą tych obrazów organizatorzy pragną jedynie udowodnić, że oferują widzom bezpośrednią transmisję. Ważne, żeby wszyscy wiedzieli, że to, co zobaczą, to spektakl na żywo, a nie zwykłe nagranie. Dlatego tyle płacą.

Wybiegają piłkarze, każdy prowadzi za rękę chłopca lub dziewczynkę, robią sobie zdjęcia, witają się, słuchają hymnu zawodów, losują połowy. Zaczyna się mecz...

Piłka jest w grze, ale właściwy spektakl jeszcze się nie zaczął. Widzowie zapłacili, żeby zobaczyć, jak dziewczyna, niemal dziecko, umiera na ich oczach.

– Mam to!

Okrzyk Mariajo przerywa ciszę panującą w Brigada de Análisis de Casos. Od dwóch miesięcy czekają na te słowa.

– Jesteś pewna? – dopytuje Orduño.

– Całkowicie, IP, które mieliśmy pod obserwacją, jest podłączone. Event, jak oni to nazywają, zaczyna się piętnaście po dziewiątej, mamy kwadrans. Zawiadam wszystkich, a ja tymczasem jeszcze się upewnię.

Operacja jest przygotowana od kilku tygodni, czekali tylko, aż Mariajo, hakerka BAC, która już przekroczyła sześćdziesiątkę, da sygnał do działania. Wszyscy wiedzą, co mają robić od tego momentu: Elena Blanco i sama Mariajo pojedą w miejsce, gdzie znajduje się namierzony komputer. Razem z nimi wyruszy zespół bezpośrednio biorący udział w akcji. Zárate, Chesca i Orduño będą czekać na instrukcje w Centrum Lotniczym Policji. Buendía zostanie na warcie w biurach BAC, na wypadek gdyby gdzieś było potrzebne jego wsparcie.

– Zadzwonisz do Záratego?

– Ty zadzwoń, ja zlokalizuję Elenę. – Chesca nie zmieniła zdania o nowym koledze w brygadzie, nie znosi Záratego.

Mariajo szybko stuka w klawiaturę. Pozostała dwójka nie ma pojęcia, co robi, wiedzą tylko, że coś znalazła i nie odpuści, dopóki nie ustali, kto się za tym kryje.

– Dranie... – syczy przez zęby. – Dzisiejszy spektakl to śmierć na żywo.

– Możemy temu zapobiec?

– Spróbujemy, musimy pojechać w stronę Rivas.

W dniach, gdy w telewizji jest transmisja meczu, Elena lubi chodzić do Cher's przy ulicy Huertas. Tam na ekranach nie ma piłki nożnej, tylko te kiczowate klipy, które towarzyszą tekstom piosenek wykonywanych przez stałych bywalców.

– Nie zaśpiewasz czegoś z repertuaru Miny?

– Tym razem nie, czasem przyda się odmiana. Dziś mam ochotę na Adriana Celentana: *Pregherò*.

Jej kolej przyjdzie po występie dziewczyny, która śpiewa *Soy rebelde* Jeanette. Wtedy zaśpiewa: *Pregherò per te, che hai la notte nel*

cuor e se tu lo vorrai, crederai. Nie potrzebuje tekstu – nigdy go nie potrzebuje – zna to na pamięć.

Jeszcze dźwięczy piosenka Jeanette, kiedy Elena czuje wibrację swojego telefonu.

– Rivas? W porządku, już tam jadę. Dotrę w tym samym czasie co wy. Wszyscy na stanowiskach?

Elena traci swoją kolejkę. Carlos, jeden ze stałych klientów, z pewnością skorzysta z okazji: *Będę się modlić za ciebie, bo serce wypełnia ci noc...*

Na ekranie pojawiła się dziewczyna, stoi obok krzesła. Wygląda na oszołomioną, choć wszyscy wiedzą, że nie podano jej żadnego środka uśmierzającego. Nikt nie chce oszczędzać jej cierpienia, wręcz przeciwnie: im gorzej to przejdzie, tym lepszy będzie spektakl. Gdyby nie czuła bólu, rzecz nie zasługiwałaby na uwagę, byłoby to jak operacja w szpitalu, a kto płaci, żeby przyglądać się pracy chirurgów? Oni wydali swoje pieniądze, żeby zobaczyć cierpienie i śmierć.

Jeśli są tutaj, jeśli zadali sobie trud – i podjęli ryzyko – by nawiązać kontakt z Purpurową Siecią, jeśli wpłacili z góry w bitcoinach pokaźną obowiązkową kwotę, jeśli czekali na wiadomość z datą, godziną i danymi połączenia, to dlatego, że mają zaufanie do mistrza ceremonii. To Dimas. Widzowie nigdy nie ujrzeli jego twarzy – ukrywa ją za jedną z tych masek, których używają meksykańscy wrestlerzy – ale znają jego ruchy, podobnie jak zagorzały kibic rozpoznałby na ekranie, nawet od tyłu, który zawodnik jest przy piłce, po samym sposobie, w jaki biegnie, i po tym, jaką pozycję zajmuje na boisku. To fani Dimasa, tak jak inni są fanami Messiego czy Cristiana Ronaldo... Niektórzy nawet sądzą, że gdyby zobaczyli Dimasa na ulicy, potrafiliby go rozpoznać po sposobie poruszania się.

Dziewczyna jest ładna, młoda, bardzo młoda – może pełnoletnia, ale nawet jeżeli tak, to na pewno zaledwie od kilku tygodni. To brunetka o wielkich oczach. Z rysów wygląda na Hiszpankę – to jest najbardziej w cenie, zwłaszcza jeśli sprawia wrażenie panienki z zamożnej rodziny, z tych, które wychowały się w luksusie – albo

Marokankę. Ktoś, kogo nie słyhać przez komputer, wydaje jej chyba polecenia i dziewczyna siada na krześle. Rozgląda się wokół ze strachem. To jasne, że nie wie, co tu się stanie, nie wie, co ją czeka. Być może pozna tortury, o których nawet nie wiedziała, że istnieją.

Rozdział 2

Mówi się, że Rivas-Vaciamadrid, pomimo swojej pośledniej nazwy¹, to jedno z miast o najlepszej jakości życia na terenie stołecznej Wspólnoty Autonomicznej – siódme pod względem zamożności w Hiszpanii, czwarte od końca, jeżeli chodzi o liczbę mieszkańców zagrożonych ubóstwem – prawdziwy raj, w którym nie ma miejsca na problemy. Są tu dzielnice mieszkaniowe i willowe, gdzie osiedliło się wielu młodych specjalistów z rodzinami. Nie brak miejsc do uprawiania sportu lub zapewniających dostęp do rozrywki i kultury. Życie w Rivas płynie przyjemnie, to przykład dobrze pomyślanego miasta, miejsca, w którym warto mieszkać i wychowywać dzieci.

Dlatego Alberto uparł się, żeby tam coś kupić, choć na początku było im trudno spłacać kredyt za szeregowiec z ogrodem i basenem. Całe szczęście, że sytuacja rodziny Roblesów się poprawiła. Teraz są dumni ze swojego domu, sąsiedztwa i najnowszego nabytku – lexusa, przekonani, że udało im się osiągnąć najlepsze, co było w ich zasięgu.

Choć oficjalnie lato kończy się za niecały tydzień, dzień był bardzo ciepły i trudno wyciągnąć Sandrę z basenu. Trzeba jej grozić karami, rodzicielskim gniewem.

– Albo wyjdiesz w tej chwili, albo spuszczę wodę i nie będzie kąpieli! – krzyczy do niej ojciec.

– Nie wolno spuszczać, jest zakaz marnowania wody – kpi sobie z niego córka przemądrzale.

– No to ją wypiję, w ten sposób się nie zmarnuje.

Dziewczynka wybucha śmiechem, to chyba jedyny sposób, by skłonić ją do posłuszeństwa.

Alberto czeka na nią z ręcznikiem, a potem owiniętą niesie ją na rękach do domu. Oboje chichoczą, wyobrażając sobie, że mogłyby wypić całą wodę z basenu. W środku Soledad kończy przygotowywać kolację.

- Z czego się śmiejecie?
- Z dowcipów taty. Mamo, co jest na kolację?
- Zupa pomidorowa i krokiety.

Alberto nie wie, czemu córka pyta, mają na kolację to samo przynajmniej dwa lub trzy razy w tygodniu: zupę pomidorową z puszki i mrożone krokiety. Ani on, ani jego żona nie lubią gotować, a Sandra zjada to bez protestów, których nie szczędzi im w tych nielicznych przypadkach, kiedy próbują podać coś zdrowego – wciąż jeszcze pamięta wieczór z brokułem.

Kiedy był dzieckiem, jego matka nigdy nie zaserwowała mu kroketów z mrożonki, każdy po kolei uformowała z pomocą dwóch łyżek.

- Daniel nie zejdzie na kolację?
- Podobno się uczy.
- Uczy się? Założę się, o co chcesz, że jeśli pójdę do niego na górę, okaże się, że siedzi przed kompem i traci czas na pierdoły. Pewnie gra w jakąś strzelankę.
- Nie wyrażaj się przy małej. I siadaj, bo zupa stygnie.

Alberto siada przed telewizorem, włączonym bez dźwięku. W meczu Madrytu ze Spartakiem nadal jest remis. Pierwsze, co widzi, to sytuację podbramkową stworzoną przez Rosjan, cudem udało się wybić piłkę na aut.

- Będiesz teraz oglądał futbol?
 - Przecież nie ma dźwięku, zostaw – tłumaczy się.
- Dziś Sandra na pewno jest głodna, basen zawsze pobudza apetyt. Spokojnie zjedzą kolację, a potem Alberto obejrzy sobie mecz.
- Pamiętaj, że w niedzielę idziemy na obiad do mamy.
 - Zdaje mi się, że to będzie ostatni dzień basenu dla Sandry – broni się. – Możemy to przełożyć na przyszły tydzień, niech mała skorzysta, póki może.

– Tak, mamo – błaga córka. – Nie możemy stracić ostatniego dnia basenu!

Soledad nie ma czasu odpowiedzieć. Zanim to zrobi, rozlega się donośny, głuchy łoskot. Drzwi wejściowe wylatują z zawiasów, wyważone taranem przez policjantów, którzy wpadają do środka. Alberto i Soledad nie wiedzą, czy to ci z GEO, bo widzieli ich tylko

w telewizji. Za nimi wchodzi kobieta w wieku czterdziestu pięciu czy pięćdziesięciu lat, bez munduru i jak się wydaje, bez broni.

– Nie ruszać się! Gdzie jest komputer?

– Który? – odpowiada przestraszona Soledad. – Mamy kilka.

– Daniel jest u siebie w pokoju. – Chociaż Sandra ma tylko dziewięć lat, jako jedyna domyśla się, kogo szukają.

Słyszając hałas na parterze, Daniel przeczuwa, że przyszli po niego. Wie, że powinien wyłączyć komputer, ale coś go powstrzymuje: jak zahipnotyzowany ogląda przedstawienie. Dimasowi wystarczyło dziesięć minut, by udowodnić, że jest kimś wyjątkowym, prawdziwym artystą. Ledwie się pojawił, dziewczyna zaczęła krzyczeć i błagać o litość, a on w odpowiedzi walnął ją pięścią w brzuch, aż zwinęła się wpół z bólu, nie mogąc złapać powietrza. Potem zaczął zdierać z niej ubranie. Ofiara płakała, nie rozumiejąc, co się dzieje, chociaż na tym etapie musiała już zdawać sobie sprawę, że ten wieczór nie będzie dla niej łatwy.

Daniel słyszy ciężkie kroki wielu osób na schodach i nie wie, czy wyjść im naprzeciw, czy wyskoczyć przez okno, a może położyć się z książką na łóżku, jak gdyby nigdy nic. Nie ma czasu na żadne z tych działań. Zdąza jedynie wyłączyć monitor na sekundę przed tym, nim dwóch mężczyzn w bojowych mundurach wpadnie do pokoju i mocnym pchnięciem rzuci go na łóżko. Za nimi wchodzi dwie kobiety. Starsza z nich siada przed monitorem i operuje przy nim precyzyjnymi ruchami. Daniel widzi, że podłącza jakieś urządzenie do jednego z portów, a potem włącza monitor. Pomimo przerażenia próbuje spojrzeć jej przez ramię, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Obrazy pokazują się powiększone na cały ekran. Widać już nie tylko Dimasa i dziewczynę, wszedł drugi mężczyzna w kominiarce, z metalową protezą, która zastępuje mu część ręki. Nie widać dobrze twarzy ofiary, bo zalana jest krwią.

– Jak możesz coś takiego oglądać...? – pyta młodsza kobieta. W jej tonie słychać nie tyle wyrzut, co zdumienie.

– Ej! Co to takiego? – próbuje bronić się Daniel. – Ja tego nie włączałem!

– Zabierzcie go stąd.

Jeden z policjantów, którzy weszli jako pierwsi, mocnym szarpnięciem wyciąga go na próg pokoju. Tam chłopak staje oko w oko z ojcem.

– Mam nadzieję, że to jakaś pomyłka... że to wszystko pomyłka – bełkocze Alberto ze zmienioną twarzą.

Daniel wolałby, żeby go przytulił. Czuje się jak dziecko, które napsociło, ale wie, że to coś gorszego, znacznie gorszego. Tym razem naprawdę wszystko spieprzył.

Rozdział 3

Chesca, Orduño i Zárate czekają w hangarze Centrum Lotniczego Policji w Cuatro Vientos. Cztery helikoptery stoją w pełnej gotowości, wystartują, gdy tylko padnie rozkaz. Przysługuje im bezwzględne pierwszeństwo i wieża kontroli lotów da im zgodę na start natychmiast, kiedy o nią poproszą. To śmigłowce EC-135 przystosowane do nocnych warunków, z miejscami dla siedmiu osób i prędkością przelotową dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Maszyny mają swoją własną załogę, uzbrojoną i gotową do akcji.

Funkcjonariusze BAC są ubrani w niebieskie mundury, niemal wojskowe. Widać, skąd pochodzą. Zanim zwerbowała go Elena, Orduño był w GEO. Nie wyróżnia się pośród agentów do zadań specjalnych. Chesca też nie, spędza wystarczająco dużo czasu na siłowni, by wyglądać jak członek ich oddziału. Zárate jest muskularnym mężczyzną, wysokim i silnym, ale coś w jego sposobie noszenia munduru przywodzi na myśl urzędnika od papierkowej roboty, który znalazł się w niewłaściwym miejscu.

– Patrz tylko na niego, wygląda, jakby zjawił się tu wprost z filmu o komandosach – kpi sobie Chesca. – Dostał rolę rekruta, którego pokazują na początku. Takiego, co to jest komandosem ze względu na starszego brata, bo ten zginął w Zatoce Perskiej.

– Nie pieprz głupot, jak przyjdzie rozkaz, wsiadasz z nim do helikoptera. Lepiej dla ciebie, żeby wiedział, o co tu chodzi.

– Weź, wyrwij sobie wreszcie kogoś, bo strasznie trujesz dupę, Orduño.

Zárate, z dala od nich, cały czas wpatruje się w telefon. Chciałby, żeby akcja już się zaczęła.

Kiedy wrócą do siedziby BAC, będą mogli obejrzeć nagranie i się zastanowić, jak zidentyfikować ofiarę i jej oprawców. Teraz próbują tylko uratować życie tej biednej dziewczynie.

Dotarli na czas, by zobaczyć mężczyznę z protezą ręki, który przytknął szpikulec do jej oka. W którymś momencie odciął jej powiekę, żeby nie mogła go zamknąć, i dziewczyna wygląda dziwnie, jak lalka z dawnych czasów. Mężczyzna trzyma teraz w ręku młotek. Wydaje się, że za chwilę uderzy w trzonek szpikulca i wybije jej oko albo wydłubie je z oczodołu, ale nagle odchyła go w inną stronę i opuszcza narzędzie. Wraca ten drugi, w masce meksykańskiego wrestlera.

Elena nie może dłużej patrzeć, kiedy bierze szpikulec, wkłada go do ust dziewczyny i mocnym uderzeniem młotka przebija policzek...

Czy jej syn Lucas jest jednym z tych ludzi? Czy to ten w meksykańskiej masce? Wrzaski dziewczyny wwiercają się Elenie w mózg. Choć próbuje odsunąć od siebie tę myśl, w jakiś sposób czuje się odpowiedzialna za jej mękę.

Jest tak pogrążona w swoim bólu, że wzdryga się na dźwięk głosu Mariajo.

– Namierzyłam ich. Chyba wiem, skąd nadają.

Wszyscy zrywają się jak na komendę, gdy w komórce Záratego rozlega się dzwonek.

– Jedziemy tam – mówi Ángel do aparatu i rzuca do swoich towarzyszy: – Navacerrada.

Nie musi dodawać nic więcej, zaplanowali każdy krok, który powinni wykonać tej nocy. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

Orduño odprowadza ich do helikoptera. On zostaje na wypadek, gdyby pojawiło się inne miejsce, w które trzeba pojechać, albo żeby wyruszyć za kilka minut ze wsparciem dla kolegów. Buendía też dostał wiadomość w biurze brygady i na pewno właśnie dzwoni, by zamówić posiłki drogą lądową.

– Powodzenia. Uważajcie na siebie – żegna ich Orduño.

Wszystko jest na swoim miejscu, ludzie gotowi do akcji, śmigłowce do startu.

– Próbują namierzyć dokładny adres. Ile czasu zajmie nam dotarcie do Navacerrady? – pyta Zárate jednego z pilotów.

– To jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd i musimy nabrać prędkości przelotowej, więc jakieś osiemnaście do dwudziestu minut. Może trochę krócej.

Lecą Chesca i Zárate, dwóch pilotów i trzech funkcjonariuszy z GEO. Reszta policjantów ruszy za nimi w drugim helikopterze. Na miejscu zdecydują, czy od razu wejść do domu, czy poczekać na posiłki. Wszystko będzie zależało od tego, co powie im inspektor Blanco. Czyli zasadniczo od tego, czy poddawana torturom dziewczyna jeszcze żyje i można coś dla niej zrobić. Zaryzykują tylko w wypadku, jeśli będzie szansa, żeby ją uratować.

Elena wciąż próbuje odwracać wzrok od monitora. Odgłosy wystarczą, żeby wyobrazić sobie cierpienie biednej dziewczyny torturowanej przez mężczyznę w masce i tego drugiego z metalową ręką. Nie chce przerywać Mariajo, która cały czas pracuje, trochę na komputerze chłopaka, trochę na tym, który sama podłączyła. Wie mniej więcej, co robi ich informatyczka: sprawdza adresy IP, odrzuca te pozorne, maskujące, żeby dotrzeć do źródła. Wreszcie hakerka odwraca się z uśmiechem.

– Ulica Arcos w Navacerradzie.

Elena sprawdza w telefonie mapę miejscowości.

– To dzielnica willowa.

– To ma sens, słyszałaś przecież wrzaski tej biedaczki. Nie mogą tego robić w mieszkaniu w centrum, sąsiedzi by ich usłyszeli...

Elenie pozostaje się tylko modlić, żeby jej ludzie dotarli na czas, podać Záratemu dokładny adres i wysłać posiłki. Mówi stanowczym głosem, w którym nie słychać jej przerażenia: boi się, że kiedy zatrzymają te dwie bestie i zdejmą im maski, jedna z nich okaże się Lucasem. Jej zaginionym synem.

Zárate przekazuje pilotom informacje, które dostaje.

– Ulica Arcos, północno-wschodnia część miasta, zaraz obok hotelu Arcipreste de Hita.

Nie wie, jak uda im się zlokalizować to miejsce, ale ufa w akceptujący gest jednego z pilotów, który unosi do góry kciuk.

– Powiedzieli ci, czy dziewczyna jeszcze żyje? – Chesca nie potrafi ukryć niecierpliwości.

– Na razie nie mówili, że zginęła. Jeśli nie dostaniemy nowych wskazówek, wchodzimy do środka zaraz po wylądowaniu.

Nie potrzebują sądowego nakazu. W przypadku złapania na gorącym uczynku – a teraz podejrzewają przecież, że w budynku zostanie popełnione morderstwo – nie tylko mają prawo, ale wręcz obowiązek wejść, by temu przeszkodzić.

– Sześć minut – mówi pilot.

Rozdział 4

Dziewczyna z ekranu straciła przytomność, a to nie podoba się jej katom. Muszą utrzymać ją w pełnej świadomości, żeby ci, którzy zapłacili za spektakl, mogli się nim w pełni nacieszyć. Mariajo, która nie może zrobić wiele ponad to, co już zrobiła, odkrywając miejsce, skąd jest emitowany film, po raz pierwszy poświęca uwagę samej projekcji.

– Zabili ją? – pyta z przerażeniem.

– Sądzę, że nie, chyba ją reanimują – wyjaśnia Elena.

Cucą ofiarę, podają jej jakiś zastrzyk.

– Biedna dziewczyna. Czym sobie zasłużyliśmy na takie sceny? Co za gówno!

Elena nie odpowiada. Wie, że Mariajo tego nie oczekuje. Wie też, że nikt nie może zrzucić z siebie odpowiedzialności za to, co dzieje się na świecie. Że jej własny syn może tam być. Może być jednym z oprawców, lecz również – czemu nie – ofiarą. Czy on jeszcze żyje?

Upłynęło osiem lat, od kiedy Lucas został porwany. I tylko kilka miesięcy od czasu, gdy Elena dostała nagranie, w którym występował już jako nastolatek, mówiąc jej, żeby przestała go szukać. Nie powiedziała nikomu o tym filmie. Na co zdałoby się informowanie o tym byłego męża? Czy nie lepiej dla niego, żeby nadal myślał, że Lucas umarł dawno temu? Nie odważyła się też na zwierzenia przed swoimi kolegami z BAC, nawet przed Záratem. Może uznaliby, że to była jedynie halucynacja. Że chłopak z filmiku to wcale nie Lucas. Elena przechowuje zrzut ekranu, kadr z nagrania, na którym widać tylko jej syna. Reszta zniknęła z jej komórki i z sieci, gdy tylko skończyła odtwarzać film. Ale wcale nie musi oglądać powtórnie, by mieć pewność, że się nie myli. Wypaliło jej się to krwawym śladem w pamięci. Jej syna porwała organizacja przestępcza działająca pod nazwą Purpurowa Sieć, która handluje w głębokim internecie, ukrytym i nikczemnym, pełnym okrutnych

scen. A film ujawniał coś jeszcze straszniejszego: na którymś etapie swojej niewoli Lucas przeszedł na stronę wroga. Jak i dlaczego do tego doszło, Elena nie jest w stanie ogarnąć, ale te obrazy już stały się częścią jej koszmarów. Uśmiechnięty Lucas z nożem w ręku, który za chwilę zacznie torturować dziewczynę przywiązaną do krzesła. Dziewczynę o miodowych oczach przepełnionych strachem. Będzie się nad nią znęcał czy ją zabije? W jej koszmarach pojawiają się oba scenariusze i zawsze to Lucas jest katem, z sadystycznym uśmiechem i szalonym spojrzeniem. Od tamtej pory Elena Blanco żyje tylko po to, by rozpracować Purpurową Sieć i odnaleźć swojego syna.

Dzielnica, w której znajduje się willa, jest mocno zadrzewiona, więc śmigłowiec musi szukać placu do lądowania. Znajduje go o jakieś dwieście metrów od domu stanowiącego ich cel. Gdy policjanci biegną w kierunku budynku, widzą kilku sąsiadów, którzy zaalarmowani odgłosami wyglądają przez okna. Agenci GEO zatrzymują się przy ogrodzeniu. Zárate dzwoni do Eleny.

– Jesteśmy przed drzwiami, w domu nie widać żadnego ruchu. Czy dziewczyna jeszcze żyje?

Elena podnosi wzrok na monitor, dziewczyna żyje, choć z pewnością wolałaby być martwa. Mężczyzna w meksykańskiej masce trzyma w rękach jakiegoś ptaka. Mariajo patrzy z przerażeniem.

– On jej to włoży? Co za dranie, oni nie mają skrupułów.

Co do tego nie było wątpliwości, jeszcze zanim zaczęli to oglądać. Elena wie, że rozkazem, który wyda, wystawi na niebezpieczeństwo życie swoich ludzi, ale nie ma wyboru.

– Tak, Zárate, żyje. Trzeba wejść do domu. Teraz!

Nie ma żadnej reakcji, kiedy Chesca, Zárate i policjanci z GEO wpadają na teren posesji. Szukają sygnałów, że działa tu jakiś system alarmowy, ale niczego nie znajdują. Ludzie z GEO doskonale znają się na swojej pracy i w niespełną minutę sprawdzają drzwi – jedne od frontu, prowadzące do głównego holu, i drugie od tyłu, do

kuchni – żeby się ustawić w odpowiednim szyku i zminimalizować straty.

Inspektor dowodzący akcją wydaje ostatnie polecenia. Zárate wraz z nim i pięcioma innymi policjantami mają wejść głównym wejściem, Chesca i reszta będą pilnować tylnych drzwi, a jeśli nikt nie spróbuje tamtędy uciekać, wkroczą i dołączą do kolegów.

– Przeładował pistolet – dziwi się hakerka, patrząc w monitor.

Zabiją ją strzałem z broni palnej? Ani Mariajo, ani Elena nie spodziewały się tego, wydaje im się to wręcz słodką śmiercią w porównaniu z tym wszystkim, co zrobili jej do tej pory.

To chwile niepewności dla Eleny. Zastanawia się, czy jej ludzie są bezpieczni, czy dotrą na czas, by uratować dziewczynę, czy okaże się, że za meksykańską maską kryje się jej syn Lucas, choć nie zdziwiłaby się, gdyby przesłaniała ona twarz poznaczoną bliznami po ospie, której szukała przez tyle lat.

Typ z protezą ręki, który przeładował broń, celuje w głowę torturowanej. Mariajo i Elena wstrzymują oddech, ale oprawca opuszcza dłoń i wychodzi z kadru.

– Zauważyłaś, że często wydaje się, że coś zrobią, jak wtedy ze szpikulcem albo teraz, i zatrzymują się w ostatniej chwili? – mówi Elena.

– Ciekawe dlaczego? – Mariajo kiwa głową.

– Z pewnością nie z powodu wyrzutów sumienia.

W willi w Guadarramie wszyscy czekają w gotowości. Inspektor daje znak i wyważają drzwi. Wchodzą do domu. Nikt w środku nie stawia oporu. Znajdują tylko starszą panią, która patrzy na nich z przerażeniem.

– Nie ruszać się, ręce na głowę – krzyczy do niej Zárate. – Kto jeszcze jest w domu?

– Mój mąż, przed chwilą poszedł spać – odpowiada zalekniona. – Bierz tabletki, dlatego hałas go nie budzą.

Agenci GEO wpadają z bronią gotową do strzału. Słyszą Chescę, która wchodzi do kuchni. Inspektor Grupy Operacyjnej opuszcza pistolet.

– Tu nikogo nie ma.

Zárate nie chce się z tym pogodzić.

– Jest piwnica?

– Nie, tylko parter i pierwsze piętro. – Staruszka zdenerwowana siada na fotelu, nie spuszczaając oczu z policjantów, którzy wtargnęli do jej domu.

– A komputer?

– Zepsuł się, właśnie oglądałam dzisiejszy odcinek *Sekretu* na tablecie...

Elena z przerażeniem wpatruje się w ekran, odsuwa telefon od ucha.

– Nic z tego, Mariajo, nie udało nam się.

Hakerka niczego nie rozumie. Zmienia się na twarzy, teraz już nie ma nadziei, czuje tylko przygnębienie z powodu tego, co wycierpi ta biedna dziewczyna, dlatego że ona nie potrafiła tego zatrzymać.

– Ale przecież to było tam.

Nie mówi nic więcej. W tym momencie na ekranie znów pojawia się człowiek w meksykańskiej masce. Teraz to on trzyma pistolet. Stanowczo podchodzi do dziewczyny i opiera lufę na jej klatce piersiowej, na sercu. I strzela. Siła pocisku jest tak duża, że dziewczyna, już bez życia, upada na podłogę, na wznak. Mariajo wpatruje się w monitor, dopiero po chwili odzyskuje głos.

– Nie wiem, jak udało im się wywieść mnie w pole. Dopadniemy ich tak czy inaczej – przysięga sama przed sobą.

– Pójdę porozmawiać z rodzicami chłopaka.

Elena wstaje i niemal całkiem wyzuta z sił wychodzi z pokoju. Aż do tej pory nie zauważyła, że na ścianie wisi plakat taki sam jak ten, który Abel, jej były mąż, powiesił w pokoju Lucasa, kiedy chłopiec miał pięć lat. Widać na nim koszykarza, białoskórego blondyna w zielonym stroju z numerem trzydzieści trzy. Nazywa się Bird, ptak. Przypomina się jej ptak, którego użyli oprawcy podczas tortur. Był dziwny, niebieski. Każe przewieźć chłopaka do siedziby BAC, teraz nie ma sił z nim rozmawiać, to by było jak przesłuchiwanie własnego syna.

Rozdział 5

Nikt nie spał dobrze tej nocy. Elena i Mariajo z powodu koszmaru, którego stały się świadkami, i swojej porażki, Chesca, Orduño i Zárate w wyniku zawodu, że nie mogli wziąć udziału w akcji, a Buendía dlatego, że czekał i nie miał szansy pomóc kolegom. Z pewnością nie była to też spokojna noc dla Daniela, Sandry, Soledad i Alberta, członków brutalnie zniszczonej rodziny.

Rumuński kelner Juanito z samego rana podał Elenie tosta z pastą pomidorową. Po jej zmęczonych gestach domyślił się, że ma za sobą bezsenność.

– Terenówka na parking, pani inspektor?

– Dobrze by było, Juanito. Miałam w nocy pracę. Bardzo niemiłą. Bez dwóch zdań wolałabym zejść na parking Didiego, możesz być pewien.

– Jeśli zadzwoni pani do mnie któregoś wieczora, jestem gotów wynająć land rovera, największego, jakiego będą mieli, i wtedy pójdzie pani do domu naprawdę zrelaksowana.

– Bardzo miło z twojej strony – śmieje się inspektor.

– Robię to dla pani, nie dla siebie – ripostuje przebiegle. – Codziennie odkładam do skarbonki połowę napiwków, żeby się nie okazało, że jestem bez grosza, kiedy się pani zdecyduje.

– Zgoda, zadzwonię kiedyś do ciebie. Tylko musisz cierpliwie czekać, bo to raczej nie będzie w tym roku ani w przyszłym. Wczoraj grał Real, prawda?

– Nie ma sensu się nawet denerwować, pani inspektor. Grają źle, jak zwykle, ale wygrywają. Chyba wyemigruję do innego kraju, żeby ich dłużej nie oglądać.

– Nie wyjeżdżaj, bo nie mogę bez ciebie żyć. Zresztą i tak będziesz ich oglądał, wyskakują nawet z lodówki. No dobra, nalej mi grappy.

– Żeby zalać robaka, jak to mówią robotnicy. Proszę nie zasypiać gruszek w popiele, pani inspektor, nie składam takich propozycji

każdemu.

– Zalewać robaka, zasypiać gruszki w popiele? – śmieje się Elena. – Kto cię uczy hiszpańskiego. Paco Martínez Soria²?

Są takie chwile, kiedy już rano inspektor Blanco wie, że jedyny dobry moment, na jaki może liczyć w nadchodzącym dniu, to ten, który spędza z Juanitem. Bez wątpienia zasługuje na swój napiwek.

Kiedy Elena przychodzi do biur BAC na ulicy Barquillo, dowiaduje się, że czekają na nią rodzice Daniela, nastolatka z Rivas.

– A chłopak?

– Na noc musieliśmy go umieścić w ośrodku dla nieletnich, ale już tu jedzie.

Inspektor przystaje, by się przyjrzeć rodzicom przez szybę. Wyglądają na zszokowanych i przygnębionych, co zrozumiałe, ale jest coś, co ich różni: na twarzy Soledad maluje się przede wszystkim smutek, po Albercie widać głównie gniew. Wydają się zwykłymi ludźmi – bo w sumie tak jest w istocie – to nie są rodzice potwora. Kto może o tym wiedzieć lepiej od niej?

– Nazywam się Elena Blanco, jestem inspektorem i szefem BAC. Dzień dobry.

– Gdzie jest mój syn? – Soledad natychmiast podrywa się na nogi. Matka zawsze broni swojego dziecka, nieważne, o co jest oskarżone.

– Zaraz go przyprowadzą. Z tego, co mi wiadomo, ma się dobrze – próbuje ich pocieszyć Elena. W głębi duszy im współczuje.

– Jak może mieć się dobrze, skoro spędził noc Bóg wie gdzie? – Matka nabiera śmiałości.

– Na pewno ma się lepiej niż ofiara spektaklu, który oglądał. Ta dziewczyna przeszła prawdziwe piekło, zanim umarła – odpowiada brutalnie inspektor. – Czyn, którego dopuścił się państwa syn, jest bardzo poważny.

– Sądzi pani, że nie zdajemy sobie z tego sprawy? Bardzo mi wstyd, nie zmrużyłem oka przez całą noc – mówi Alberto i przez chwilę można odnieść wrażenie, że najgorszym aspektem całej sprawy są jego zaburzenia snu.

– Mój syn nie ma z tym nic wspólnego, pani inspektor – upiera się Soledad. – Pewnie trafił na tę stronę przypadkiem. To straszne, co

znajduje się w internecie w zasięgu każdego.

– Żeby dostać się na te strony, trzeba słono zapłacić. Nikt nie trafia tam przypadkiem.

– Mój syn zapłacił? – zdumiewa się kobieta.

– Przyjmujemy to za pewnik, to jedyny sposób, żeby wejść w ten link.

– Ma szesnaście lat, nie posiada własnych pieniędzy. To na pewno jakaś pomyłka. – Matka chwytła się tego niczym tonący brzytwy.

– Nie, to nie jest pomyłka – spuszcza głowę Alberto. – Od jakiegoś czasu widziałem, że ktoś wypłaca z rachunku pieniądze kartą.

Soledad obraca się do niego zdumiona, wręcz ogłupiała.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Wypłaty były robione twoją kartą. Myślałem, że przygotowujesz podróż na naszą rocznicę... Nie chciałem ci psuć niespodzianki.

Elena przygląda się tym rodzicom. Ich spokojne życie legło wczoraj w gruzach. Zapewne będą próbowali wzajemnie sobie wybaczyć, nie obwiniać się, nie wytykać sobie błędów, ale raczej im się to nie uda. Jedno z nich będzie się starało trwać przy synu za wszelką cenę, drugie zobaczy w nim jedynie potwora, którego samo wychowało. Elena rozstała się z mężem dwa lata po zaginięciu Lucasa. Abel chciał ułożyć sobie życie na nowo i nie mógł znieść jej obsesji. Porzucił pracę dziennikarza i przeprowadził się do Ureñi, miasteczka pod Valladolid. Związał się z młodą Brazylijką, zajmuje się produkcją wina i wygląda na szczęśliwego.

I właśnie o to ma do niego żal Elena: że jest szczęśliwy mimo dramatu, który ich spotkał, że poddał się zbyt szybko, pogodził ze śmiercią syna, choć nigdy nie było na nią dowodów, jeśli pominąć statystykę, która mówi, że w przypadku porwań dzieci po upływie miesiąca od zaginięcia sprawa jest beznadziejna. Nie powiedziała mu, że Lucas żyje. Nie rzuciła mu w twarz, że miała rację. Może po prostu chciała uchronić Abła przed straszną prawdą, o której stara się nie mówić, ale która co noc staje jej przed oczami w rozdzierających scenach, dręczy mózg głosami, które mówią, że jej syn jest psychopatą. Możliwe jednak, że tego nie zrobiła, bo chce być w swoim bólu sama, jak zawsze. Wie, że powinna mu to powiedzieć, bo Abel jest ojcem. Ale wie też, że mu o tym nie powie.

W milczeniu patrzy na tych zdruzgotanych rodziców i widzi samą siebie z Ablem, gdy starali się trzymać razem i wspierać w nieszczęściu. Nie udało im się to. Albertowi i Soledad też się nie uda.

Jednak Elena nie jest specjalistką od terapii małżeńskiej, jest inspektorem policji. Musi zadbać o to, by inną dziewczynę nie spotkało to samo co brunetkę wczoraj. To już nie jej sprawa, jak potoczą się dalsze losy tych dwojga.

– Daniel zostanie teraz przyprowadzony do tego pokoju. Jeśli państwo sobie życzą, mogą wysłuchać jego zeznań przez monitor z innego pomieszczenia w naszej siedzibie.

– Nie możemy z nim najpierw porozmawiać? – błaga matka.

– Jak skończę. Po przesłuchaniu będą państwo mogli wejść i się z nim przywitać. Państwa syn jest niepełnoletni, proszę się nie obawiać.

– Mój syn jest potworem – mruczy ku zdumieniu wszystkich Alberto.

Rozdział 6

Chesce zlecono odprowadzenie rodziców Daniela do drugiego pokoju. Buendía, Zárate i Orduño wezmą udział w przesłuchaniu, również poprzez monitor, ze wspólnej sali BAC. Mariajo jest z Eleną, żeby wyjaśnić ewentualne wątpliwości natury informatycznej, jakie mogą się pojawić.

– Musi wiedzieć, że tu jesteśmy, że nie zostawiliśmy go samego... – błaga matka.

– Jeśli będzie wiedział, że przysłuchujecie się jego zeznaniom, nie powie wszystkiego. Potem będą się mogli państwo z nim zobaczyć.

Chesca proponuje im kawę, ale oboje odmawiają. Wbrew sobie patrzy na nich z lekką pogardą, jak gdyby byli winni tego, co zrobił ich syn, chociaż natychmiast się poprawia: sami odpowiadamy za swoje czyny. Niech każdy pilnuje własnego nosa.

– Co mu grozi? – pyta przygnębiony Alberto.

– My nie jesteśmy sędziami, tylko policjantami.

Wie, że to go nie pociesza ani nie uspokaja. Lepiej by było, gdyby to Orduño z nimi został, zawsze był bardziej empatyczny.

Daniel wygląda podobnie jak wielu chłopaków w jego wieku. Nosi dżinsy i podkoszulek z logo amerykańskiej marki piwa. Jest wysokim blondynem o kręconych włosach. Z pewnością ma wielu przyjaciół i cieszy się powodzeniem u dziewczyn. Jest zdenerwowany, ale nie tak bardzo, jak można by się spodziewać. Na ile to możliwe, panuje nad sobą. Elena widzi w nim nastolatka, jakim byłby Lucas, gdyby nie porwał go mężczyzna z twarzą poznaczoną bliznami po ospie.

– Udało ci się przespać? – Inspektor próbuje być miłą, chciałaby, żeby równie życzliwie potraktowano jej syna w podobnej sytuacji.

– Najpierw nie, potem już tak. Mogę się napić wody?

Elena wskazuje mu dystrybutor, który stoi w kącie pomieszczenia. Daniel wychyla duszkiem dwie szklanki.

– Nie ma moich rodziców?

– Zobaczysz ich, gdy przyjdzie na to pora.

Daniel nie nalega, siada. Patrzy z zaciekawieniem na Mariajo, która dziś – w robionym na drutach beżowym rozpinanym swetrze i okularach zawieszonych na szyi na łańcuszku – bardziej niż kiedykolwiek wygląda na babcię. Daniel wie, że pomimo niegroźnego wyglądu to przeciwniczka, która może obalić pozory jego niewinności.

Pora zaczynać.

– Danielu, nie ma sensu, żebyś próbował nas okłamywać. – Elena nie owija w bawełnę. – Kiedy przyszliśmy wczoraj wieczorem do twojego domu, przyglądałeś się, jak mordowano tę dziewczynę.

– To nie tak! – broni się chłopak. – Trafiłem na tę stronę przypadkiem. Nie wiedziałem, co tam jest. A potem sądziłem, że to wszystko fejk, oszustwo, że tylko udają. Na pewno nic jej się nie stało i wyszła stamtąd o własnych siłach.

Elena spogląda na Mariajo, wie, że ona z łatwością podważy tę nieudolną linię obrony.

– Mówi ci coś nick Larry33? Ten, którego zwykle używasz, żeby łączyć się z Amino, żeby gadać o anime i grach wideo?

– Tak, ale to przecież nic złego. – Chłopak patrzy na nią zbity z tropu.

– Robi się złe, kiedy używasz tego samego nicka, żeby się połączyć z Purpurową Siecią, a tam nikt nie rozmawia o kreskówkach.

– Na pewno są setki Larrych33 na świecie, to od Larry’ego Birda, z Celtics.

– Możliwe, ale wczoraj tylko jeden z nich był podłączony do Purpurowej Sieci: ty. – Jego zastrzeżenia nie robią wrażenia na Mariajo.

To tylko szesnastolatek, który popełnił niewybaczalny błąd i zaczyna czuć się osaczony, choć poświęciły mu dopiero niespełna dwie minuty. Teraz znów kolej na Elenę.

– Danielu, wiemy, że jesteś niepełnoletni i że nic ci się nie stanie. Przypuszczam, że ty również o tym wiesz. Ale musisz nam pomóc, powiedzieć, jak się z nimi skontaktowałeś, gdzie i jak przekazałeś im pieniądze, kto podał ci datę wydarzenia.

– Nie wiem żadnej z tych rzeczy. Wszedłem na tę stronę przypadkiem.

– Okłamujesz nas!

W pokoju, w którym przesłuchanie oglądają rodzice, Soledad porusza się zaniepokojona.

– Jeśli Daniel mówi, że to przypadek, to na pewno tak właśnie było. Traktują go jak jakiegoś mordercę, a przecież nim nie jest. Trzeba to przerwać, słyszy pani?

Chesca patrzy na nią obojętnie.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby coś przerywać, tylko żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia państwa syn. Przesłuchanie będzie kontynuowane.

– Alberto, powiedz coś – zwraca się do męża.

– Jesteś pewna, że jest niewinny? Bo ja nie.

Soledad patrzy na niego z oburzeniem, jakby jego wątpliwości były nie na miejscu, jak gdyby i on zmieniał się w jej wroga. To wszystko toczy się dla niej za szybko. Nie potrafi myśleć o gloryfikacji przemocy w obecnych czasach, o tym, jak łatwo ulec tej atmosferze. Spojrzenie matki na dziecko jest ściśle określone. Nie ma w nim miejsca na kontekst czy wpływ środowiska. Dziecko to szczególny gatunek, jak w laboratorium, doskonały prototyp chroniony w swojej bańce. Podłość świata atakuje ze wszystkich stron, jednak nigdy nawet nie muska jej modelowego dziecka.

Wygląda na to, że Daniel się pozbierał, otrząsnął z paniki i postanowił nic nie mówić, nie odpowiadać na pytania, tłumaczyć się w kółko tą samą wymówką: trafił na tę stronę przez przypadek i nic nie wie o żadnych purpurowych sieciach, morderstwach, torturach ani tym podobnych rzeczach.

Bardzo szybko się hartuje. Wszystko to pozwoli mu się czegoś nauczyć, wątpliwe tylko, czy będą to dobre nauki. Elena uświadamia sobie, że Lucas musiał przejść podobny proces: nagle utracił niewinność, gdy pozbawiono go ochronnej tarczy bezpieczeństwa zapewnianej przez rodziców, mieszkania przy plaza Mayor, wakacji z babcią... Musiał się zahartować, aby przeżyć.

Ku zdumieniu wszystkich pani inspektor kończy przesłuchanie.

– Tracisz szansę na uratowanie innych dziewczyn. Jak chcesz. Być może pewnego dnia, i to wcale w nie tak odległej przyszłości, pożałujesz tego.

Daniel siedzi niewzruszony, nie okazuje emocji. W sumie czego innego można oczekiwać po chłopaku, który poświęca swój wolny czas na oglądanie śmierci na żywo?

Przed wejściem do pokoju przesłuchań czeka matka. Przytula go.

– A tata? – pyta Daniel.

– Jest z Sandrą – kłamie Soledad. – Bardzo to przeżywa i nie mogliśmy zostawić jej samej.

Alberto wciąż siedzi w drugim pokoju. Jest przekonany, że źle zrobił, nie idąc przytulić syna, ale nie umiał. Nie potrafi udawać, że wszystko jest w porządku.

Rozdział 7

Koledzy Eleny przeanalizowali każdą sekundę filmu z torturami. Mariajo nagrała wszystko, co się działo od chwili, gdy się podłączyła do komputera Daniela. Przed ekranem odłożyli na bok emocje, współczucie dla dziewczyny, którą zamęczono na śmierć, i skupili się na poszukiwaniu w tych scenach jakiejś poszlaki, która mogłaby ich naprowadzić na to, kim są ci zamaskowani mężczyźni, gdzie tak naprawdę dopuszczono się zbrodni.

Mariajo przeprasza, choć nikt tego od niej nie oczekuje, czuje się winna, że dała się zmylić strategii fałszywych adresów IP. Sądziła, że odnalazła źródło, ale ten adres okazał się tylko kolejnym pomostem. Użyli tabletu staruszki z Navacerrady niczym lustra, by ukryć własną tożsamość, i teraz Mariajo myśli, że być może jej wiek działa na jej niekorzyść, być może naprawdę nie da się być sześćdziesięcioletnią hakerką. Jednak ma swoją dumę i zapewnia, że zrobi, co tylko będzie mogła, by naprawić błąd z poprzedniej nocy.

– Sprawdzam twarz dziewczyny, ale przy tej krwi i grymasach bólu żaden program do identyfikacji jej nie rozpoznaje. Szukam „czystego” ujęcia z profilu, może w ten sposób się uda.

– Jakież tatuaże? Nie zwróciłam wczoraj uwagi.

– Nie, żadnego. Już bym nad tym pracowała.

Elena musi przyznać, że wyobrażenia i umiejętności techniczne jej koleżanki nie pasują do wizerunku dobrotliwej babci. Ani przez moment nie wątpi, że to idealna osoba na swoim stanowisku.

– Dobrze, Mariajo, poczekajmy na efekty. Co jeszcze? – dopytuje pozostałych.

– Niebieski ptak. Nie wiem, czy należy do jakiegoś pospolitego gatunku – zauważa Buendía. – Szukam ornitologa, żeby mi coś o tym powiedział. Może będziemy mieli szczęście i okaże się typowy dla jakiegoś rejonu.

– Rzeczywiście, nigdy takiego nie widziałam – potwierdza Chesca. – A przed laty miałam chłopaka, który interesował się ptakami. Czasami zabierał mnie z lornetką w góry na cały weekend.

– Ale pewnie mieliście też inne zajęcia – śmieje się Orduño.

– Nie licz na zwierzenia...

– No już, nie rozpraszać się – ucina Elena. – Co jeszcze wypatrzyliście?

Orduño szuka kadru, chodzi mu o moment, gdy pojawia się zakapturzony osobnik z protezą ręki.

– Tutaj.

Nikt nie zauważa niczego szczególnego.

– Nie widzicie? Światło na chwilę się zmienia – wyjaśnia. – Nie wiem, czy otworzył drzwi, czy może jest tam okno, którego nie obejmuje kamera.

Elena prosi Mariajo, by ponownie odtworzyła ten fragment. Orduño ma rację, na chwilę przed ukazaniem się mężczyzny z protezą pojawia się delikatny poblask. Zwiększa się intensywność światła rysującego na podłodze cienie krzesła, na którym torturują dziewczynę, i mężczyzny w meksykańskiej masce.

– To światło raczej nie pochodzi z naturalnego źródła – zastanawia się na głos Buendía. – Może z jakiegoś reflektora.

– To błyskawica – stwierdza z przekonaniem Elena. – Zwróćcie uwagę na kominiarkę i koszulę faceta z protezą.

Mariajo powiększa kadr i uważnie wpatruje się w mężczyznę. Zarówno kominiarka, jak i reszta jego ubrania są czarne i w pierwszej chwili trudno to zauważyć, ale gdy zmienia kontrast obrazu, widzą to: jest mokry. Na barkach, na bawełnie maski dostrzegają ślady kropel.

– Padało – stwierdza Chesca. – Była burza.

– Kanał, na którym emitują mecz Champions League, jest hiszpański – przypomina Zárata. – Musiało być dwadzieścia pięć po dziewiątej w tym momencie.

– Porozmawiaj z Państwową Agencją Meteorologiczną – poleca Elena Orduñowi. – Sprawdź, gdzie w Hiszpanii padało wczoraj o tej porze. Co możemy wyciągnąć z jego protezy?

– Nie za wiele – włącza się Zárate. – Rozmawiałem z ortopedą i powiedział mi, że pomijając kciuk, nie są to palce o szczególnej ruchomości. To znaczy nie rozumie, dlaczego są z metalu, dlaczego nie założył sobie po prostu protezy imitującej ludzką skórę.

– Przypuszczam, że przez wzgląd na hobby... Jeśli zajmujesz się torturami, robi dużo większe wrażenie, gdy nazywają cię Żelazną Ręką. Plastikowa to już nie to – drwi sobie Chesca.

– Może masz rację – przyznaje Zárate.

Elena chce zakończyć naradę, musi zdać relację Renterowi. Spodziewa się ochrzanu za niepowodzenie akcji. Dobrze chociaż, że komisarz nie umówił się z nią w luksusowej restauracji, tylko w swoim gabinecie na ulicy Miguela Ángela.

– Mamy więc co robić. Trzeba znaleźć niebieskiego ptaka, sprawdzić, gdzie w Hiszpanii była burza, i coś jeszcze, o czym nie mówiliśmy: zwłoki dziewczyny mogą się pojawić gdziekolwiek, trzeba je znaleźć. Rodzice Daniela już poszli?

– Odesłaliśmy ich do domu z poleceniem, żeby byli gotowi do stawienia się na wezwanie – odpowiada Chesca. – Matka nie chce przyjąć do wiadomości, że jej syn ma coś na sumieniu, zamierza nas wszystkich oskarżyć i zabrać swoje dziecko.

– Wszyscy do roboty – żegna się Elena.

Nie ma ochoty rozmawiać z kolegami o losie Daniela ani o reakcji jego rodziców, o tym, co mogło go pociągać w skrajnej brutalności Purpurowej Sieci. Obawia się, że mimowolnie zacznie go usprawiedliwiać. Musi sobie powtarzać, że Daniel nie jest w tej sprawie główną ofiarą. Po bezimiennej dziewczynie, zamęczonej na śmierć, zostały teraz jedynie porzucone gdzieś zwłoki. Ona i tylko ona powinna zajmować jej myśli.

Gabinet Rentera ma przynajmniej pięćdziesiąt metrów kwadratowych i własną łazienkę. Umieblowano go luksusowymi antykami, a na ścianie zwraca uwagę obraz, który wygląda na dzieło Sorolli. Znając swojego szefa, Elena nie sądzi, żeby to była kopia. Komisarz nie czeka na nią za biurkiem, lecz na sofach przeznaczonych do przyjmowania wizyt bardziej zaufanych osób. Kazał asystentowi przynieść kawę i coś jeszcze dla niej.

– Co na to powiesz? Potem jeszcze się skarżysz, że o tobie nie pamiętam! Któregoś dnia poszedłem kupić wino i zobaczyłem tę grappę w sklepie przy Ortega y Gasset, drogim, ale z wybornymi winami. Nie wiedziałem, czy taką już znasz.

Grappa to Carpenè Malvolti Fine Vecchia Riserva z Congeliano, z Wenecji Euganejskiej. Bardzo dobra, choć Elena wolałaby spróbować tego, co ta sama destylarnia robi z winogron prosecco.

– Doskonała.

– Wypadałoby, biorąc pod uwagę, ile mnie kosztowała... Kupiłem dwie butelki, drugą weźmiesz do domu. Ale jak możesz sobie wyobrazić, nie umówiłem się z tobą na degustację grappy, na to moglibyśmy znaleźć lepszy moment. Opowiedz mi, co się wydarzyło wczorajszej nocy...

Kiedy bierze się do akcji dwa helikoptery z załogami – i ma w rezerwie dwa kolejne – dowolną liczbę ludzi z GEO, dobry tuzin radiowozów, rozwała się drzwi w willi starszego małżeństwa w Navacerradzie, wzbudzając duże zaniepokojenie w sąsiedztwie, trzeba się wytłumaczyć, nawet jeśli jest się szefową BAC, jednego z najbardziej niezależnych i najwyżej cenionych wydziałów hiszpańskiej policji.

– To był fałszywy krok w szeroko zakrojonej operacji, Rentero. Jesteśmy nieco bliżej rozpracowania Purpurowej Sieci. Gdybyś zobaczył spektakl, który urządzili sobie wczoraj w porze meczu, nie miałbyś najmniejszych wątpliwości, że warto zapłacić każdą cenę. Zrobili transmisję na żywo z tortur i mordowania dziewczyny. Miała nie więcej niż osiemnaście czy dziewiętnaście lat.

Rentero krzywi się mimo woli.

– Wiemy, kto to był?

– Jeszcze nie, ale ustalimy to.

– Czy to ma związek z tymi nagraniami, które znaleźliście podczas sprawy cygańskich narzeczonych?

– Tak, od dwóch miesięcy próbujemy zlokalizować te nagrania w Deep Webie.

– Świat schodzi na psy, Eleno – skarży się Rentero. Nie może pojąć, dlaczego pozwolono, by ten wyjęty spod prawa cyfrowy twór wyrósł i stał się potworem, którego nikt nie potrafi poskromić.

– Wreszcie udało nam się namierzyć jednego z uczestników na forum. To szesnastoletni chłopak nazwiskiem Daniel Robles.

– Szesnaście lat i już zepsuty... Jaka przyszłość nas czeka?

– Zhakowaliśmy jego ADSL i wczoraj się zorientowaliśmy, że szykuje się grubsza akcja. Tym razem nie zdołaliśmy temu zapobiec, ale musimy próbować dalej, Rentero.

– Próbuj, próbuj, ale pamiętaj, że twoje dochodzenia to niejedyny śledztwa w tym kraju, i nie zużywaj zasobów, których nie mamy. Odkomenderowałem do ciebie Záratego i to powinno ci wystarczyć. Informuj mnie o wszystkim, nie chciałbym wyjść na idiotę, kiedy zadzwoni minister...

Spotkanie z Renterem przebiegło lepiej, niż się obawiała. Uznała, że albo szef podziela jej pogląd na tę sprawę, albo stępił się jego podły charakter. Może to kwestia wieku.

Rozdział 8

Gdy Elena wraca do siedziby BAC, wszyscy mają dla niej nowe wiadomości.

– Ptak to zięba modra, samiec. – Jako pierwszy zabiera głos Buendía. – To endemiczny gatunek z Gran Canarii krytycznie zagrożony wyginięciem. Zasiedla wyłącznie niewielki obszar o powierzchni czterdziestu kilometrów kwadratowych w lasach sosnowych Inagua, rezerwatu przyrody niemal w centrum wyspy. Jest jeszcze drugi bardzo podobny podgatunek, zięba modra z Teide na Teneryfie, ale ornitolog powiedział, że ten z filmu pochodzi z Gran Canarii. Wyjaśnił dlaczego i nawet przysłał ekspertyzę, gdyby ktoś z was chciał poczytać.

– Mnie wystarczy, że ornitolog jest pewien.

Elena spogląda na Orduña. Wie, że on też wykonał swoje zadanie.

– Padało w kilku miejscach, ale Ośrodek Meteorologiczny na Gran Canarii odnotował cztery litry na metr kwadratowy i ponad dwieście uderzeń pioruna pomiędzy dziewiątą i dziesiątą w nocy naszego czasu.

– A zatem powinniśmy szukać na Kanarach. Mariajo, udało ci się coś zdziałać z tym profilem?

– Na razie nie, ale kadr, który znalazłam, pozwoli nam potwierdzić, że to ta sama osoba, jeśli znajdziemy zwłoki.

– Zárate, co z protezą?

– Tą drogą nic się nie da ustalić. Pokazałem zdjęcie kilku specjalistom i podejrzewają, że to dzieło rzemieślnika.

Do sali wchodzi Chesca.

– W wąwozie Roque Nublo na Gran Canarii znaleziono zwłoki młodej kobiety ze śladami tortur.

– Wszystko prowadzi nas w jedno miejsce. Buendía, Zárate, lecimy do Las Palmas pierwszym samolotem, jaki będzie. Zadzwońcie do naszych kolegów na wyspie, niech wszystko przygotują.

- Do Marrera? – pyta Chesca.
- Do Marrera – potwierdza Elena.

Lot do Las Palmas trwa trzy godziny, choć na różnicy czasu odbijają sobie jedną. Maszyna rusza za piętnaście piąta, a jest na miejscu za piętnaście siódma czasu lokalnego. Tam ma na nich czekać Marrero, inspektor policji, który współpracował z BAC na początku swojej kariery. Dobry policjant, który potem w związku z problemami osobistymi postanowił wrócić w rodzinne strony.

Kiedy wsiadają do samolotu w Barajas – mają szczęście i lecą klasą biznesową – Elena nie potrafi uniknąć wspomnień: właśnie tam, na Gran Canarii i w Lanzarote, spędziła swój miesiąc miodowy. Wtedy oboje z Ablem byli zakochani, przyszłość wyglądała zachęcająco, a ich syn Lucas jeszcze się nie urodził. Zajmuje miejsce i zakłada osłonę na oczy z nesesera, który wręczyła jej stewardesa. Nie chce, żeby Zárate i Buendía próbowali z nią rozmawiać.

- Wczoraj w nocy nie zmrużyłam oka nawet na dziesięć sekund, spróbuję wykorzystać trzy godziny lotu.

Z oczami ukrytymi za opaską mogłaby nawet płakać, nikt by nie zauważył. Płakać, myśląc o tamtych dniach, kiedy byli szczęśliwi. Wtedy jej babcia, ta, po której odziedziczyła mieszkanie przy plaza Mayor, jeszcze żyła – umarła trzy miesiące po ich ślubie – a oni z Ablem wynajęli sobie coś niedaleko stamtąd, przy ulicy Santiago. Z tamtego pierwszego wspólnego mieszkania pochodzą najlepsze wspomnienia Eleny, nawet śniadania je nadal w tym samym miejscu co wtedy, w barze, gdzie rumuński kelner Juanito podaje jej tosty z oliwą i pastą pomidorową oraz grappę. W samolocie, który leciał tą samą trasą co ten, Elena dyskutowała ze swoim świeżo poślubionym mężem, jakie imię powinni nadać dziecku, o które planowali się postarać, gdy tylko dotrą do hotelowego pokoju. Elenie podobało się Lucas, jej mąż wolał Adána, żeby chociaż raz w historii Abel był ojcem Adama, a nie odwrotnie.

Pogrąża się w myślach i nie ma pojęcia, kiedy zapada w sen. Nie docierają do niej żadne szczegóły lotu, nic nie wie o posiłkach i napojach oferowanych przez stewardesy ani o lądowaniu. Śpi spokojnie, chyba nawet ma przyjemny sen, gdy budzi ją Buendía.

– Jesteśmy na miejscu, Elena. Jeśli się pospieszymy, to może uda nam się jeszcze dzisiaj obejrzeć zwłoki.

Marrero przytył ponad dziesięć kilo, od kiedy wrócił na Kanary – „To przez *papas arrugás*³ i *mojo*⁴”, śmieje się – i jest bardziej opalony. Elena się cieszy, że niemal znikło utykanie, przez które musiał porzucić BAC. Jedynie lekko zaburzony ruch przy stąpieniu lewą stopą zdradza przeszłość, której Elena nie zamierza mu przypominać – ma nadzieję, że zdołał zostawić ją za sobą.

– Ktoś inny dostał ten przypadek, ale kiedy zadzwoniła Chesca, spałem się, żeby we wszystkim się zorientować, i postarałem się, by jednak mnie to przydzielili. Zwłoki znalazła para angielskich turystów w Roque Nublo. Wiecie, co to jest Roque Nublo?

– Nie mam pojęcia, Marrero.

– No to jeśli przyjedziecie tu kiedyś na urlop, musicie tam pójść. To prawdziwy pomnik przyrody, miejsce, gdzie w dawnych czasach aborygeni odprawiali swoje obrzędy. Jest szlak pieszy, który tam prowadzi, jakieś dwa kilometry. Angielka zeszła ze ścieżki, żeby się wysikać, i natknęła się na dziewczynę.

– Widziałeś ciało? – pyta Buendía.

– Nie, ale podobno jest w strasznym stanie, wyżyli się na niej.

– Dlaczego tam porzucili zwłoki?

– To bez sensu. Miejsce leży z dala od ludzkich siedzib, można tam dotrzeć tylko na piechotę, ale turyści dość często schodzą ze szlaku, i było ryzyko, że szybko odkryją ciało. No chyba że to stanowiło część jakiegoś rytuału. Postaram się czegoś dowiedzieć w najbliższych dniach.

– Spotkałeś się tu już z czymś takim?

– Na Wyspach Kanaryjskich jest najwięcej w Hiszpanii sekt z tych nazywanych destrukcyjnymi, które potrafią odprawiać krwawe obrzędy, ale zwykle znajdujemy tylko szczątki zwierząt. Pierwszy raz widzę ludzkie zwłoki w takim stanie.

Rozdział 9

Wszystko, czego się spodziewali, jeśli chodzi o stan zwłok – nawet po tym, co sami widzieli podczas streamingu z egzekucji – to nic w porównaniu z widokiem, jaki czeka na nich w kostnicy. Jedynie Buendía zachowuje chłodny profesjonalizm, przygląda się oku ofiary z tylko jedną powieką i dziurze w policzku. Bada także szczegółowo ucho dziewczyny i porównuje z ujęciami z filmu.

– To ta sama?

– Sądzę, że tak. Chociaż zdjęcia ucha, które mamy, nie są idealne, a tutaj nie mam jak zastosować systemu Iannarelli.

Zárate unosi brew.

– To metoda oparta na pomiarze dwunastu punktów małżowiny. – Buendía odpowiada na jego nieme pytanie. – Może uda nam się z tego skorzystać po powrocie do Madrytu. Ale nawet bez tego... spójrz na nachylenie tej części grobelki i kąt górnego obrąbka... Sądzę, że są identyczne.

Elena przygląda się bez słowa. Od razu przechodzi do konkretów.

– Zabierzemy ciało?

– Wolałbym zrobić sekcję u nas, z moimi asystentkami. To możliwe, Marrero?

– Nie zapominajcie, że pracowałem z wami i znam Buendię – odpowiada zagadnięty. – Byłem do tego stopnia pewien, że zechce zabrać zwłoki, że zacząłem załatwiać formalności, kiedy jeszcze byliście w drodze. Musicie podpisać górę papierów, ale jeśli chcecie, możecie zabrać ciało do Madrytu jutro rano, lotem o ósmej.

– Może jednak wrócisz do Madrytu, Marrero? – Inspektor się uśmiecha. – W BAC cały czas trzymamy dla ciebie miejsce.

– Przyzwyczailem się do ładnej pogody – wykręca się policjant i szybko zmienia temat. Lepiej, żeby rozmowa nie wkroczyła w rejony, o których woli nie mówić. – Silvia nalegała, żebym was zaprosił do nas na kolację. Skusicie się?

Elena wie, że powinna się zgodzić, że równie ważne jak profesjonalizm jest stworzenie dobrego zespołu z kolegami, poznanie ich rodzin, pokazanie im, że są dla niej ważni.

– Nie – odpowiada mimo wszystko. – Wiesz, że mam alergię na takie kolacje, Marrero.

Kanaryczyk wcale się nie obraża, wręcz przeciwnie, uśmiecha się.

– To samo powiedziałem Silvii, wiedziałem, że tak właśnie mi odpowiesz, szefowo. W związku z tym sprawdziłem nawet, gdzie jest najlepsze karaoke w Las Palmas. Wiem, że ostatecznie i tak tam traficie.

Hotel Reina Isabel, który zarezerwowano dla nich z Madrytu, spodobałby się nawet Renterowi. W jego restauracji serwują naprawdę dobre jedzenie i roztaczają się z niego wspaniałe widoki na zatokę Las Canteras. Buendía i Marrero zostali, żeby wypełnić wszystkie konieczne papiery, zanim pójdą do domu na kolację. W hotelowej restauracji, przy stoliku na uboczu, Zárate siedzi sam na sam z Eleną.

– Byłaś kiedyś w Las Palmas? – pyta Ángel.

– Wiele lat temu, podczas miesiąca miodowego. Ale niewiele pamiętam. Na pewno podobało mi się Lanzarote. Nie wiem, czemu nigdy nie wróciłam... Może dlatego, że ktoś powiedział mi kiedyś, że nie należy wracać do miejsc, gdzie człowiek był szczęśliwy.

– To chyba największa porcja zwierzeń, jaką usłyszałem z twoich ust, od kiedy się znamy – śmieje się Zárate.

– Powiedziałam tylko, że byłam szczęśliwa podczas podróży poślubnej. A kto nie był? Problemy zaczynają się potem.

– Nigdy nie zostajemy sam na sam – mówi młody policjant i od razu żałuje tych słów. Zabrzmiały jak wyrzut, skarga. Ma szczęście, że Elena Blanco puszcza jego uwagę mimo uszu.

– Lubię morze – stwierdza, jak gdyby właśnie o tym rozmawiali. – Kiedyś poproszę o przeniesienie na wybrzeże, ale na północ, do jakiegoś kantabryjskiego lub asturyjskiego miasteczka. Znasz Lastres?

– Tak. Spędziłem tam weekend kilka lat temu.

– No więc właśnie tam. Poproszę, żeby oddelegowali mnie do Lastres, wynajmę sobie dom z widokiem na morze i zapomnę o morderstwach i purpurowych sieciach. W najgorszym razie aresztuję kilku pijaków, którzy pobiją się w barze.

– Wątpię, żeby była komenda policji w Lastres, pewnie mają tylko posterunek Guardia Civil.

– Tak naprawdę nie sędzę, żebym kiedyś poprosiła o przeniesienie. Kiedy rzeczywiście będę miała dosyć, rzucę służbę i tyle. Zajmę się śpiewaniem karaoke w barach i piciem grappy. Zamawiasz deser czy idziemy?

Marrero zarekomendował im dwa lokale, Karaoke Ghost i Reina de la Noche⁵. Jedynie nazwa przesądziła o tym, że zdecydowali się na ten drugi, przy ulicy Portugal. Elena może spełnić swoje niezrealizowane marzenie z wieczoru, kiedy był mecz – minęło zaledwie kilka dni, a ona ma wrażenie, że całe tygodnie – i zaśpiewać piosenkę Adriana Celentana. Choć nikt jej nie zna, choć jest tutaj nowa, zbiera sporo oklasków na zakończenie swojego występu.

Zárate słucha jej śpiewu i myśli o ich relacji, od dnia, gdy się poznali: tamtej nocy wylądował z nią w łóżku w jej mieszkaniu przy plaza Mayor, ale potem już nic nie było proste. O mało nie zerwali wszelkich kontaktów, zarówno osobistych, jak i zawodowych. On uratował jej życie, ona uratowała go przed biurowym stanowiskiem na komisariacie w Carabanchel, gdzie miał gnić do emerytury. Oboje wzajemnie sporo sobie zawdzięczają, jednak Záratemu nie udało się poznać jej wspomnień ani dowiedzieć wiele więcej o synu, który został porwany i o którym nikt z ich kolegów nie mówi.

– Czy ta piosenka, którą śpiewałaś, to *Stand By Me*?

– To wersja Adriana Celentana, oryginalną śpiewał Ben E. King, ale ja wolę tę po włosku. Tak czy inaczej, to jedna z piosenek z największą liczbą wykonania w historii. A ty nie zaśpiewasz?

– Nie chciałbym stracić twojego szacunku.

To jedyna poważna piosenka, jaką wykonuje Elena tego wieczoru, potem zamawia stare włoskie utwory *Volare*, *Il cuore è uno zingaro*, *La bambola...*

– Przypominam ci, że mamy samolot o ósmej.

– Jeszcze tylko jedna.

Ostatnia piosenka to kolejna niespodzianka: *Hay que venir al sur* Raffaelli Carrà. A w dodatku po hiszpańsku. Potem taksówka do hotelu.

– Wiem, że chcesz, żebym cię zaprosiła do pokoju.

– Tak – przyznaje Zárate.

– Tak, ale nie. Zostały nam zaledwie trzy lub cztery godziny przed wyjazdem na lotnisko, postaraj się przespać – mówi Elena i składa ulotny pocałunek na jego ustach.

Nie zapala światła w swoim pokoju. Rozbiera się mechanicznie. Rzuca spodnie na podłogę, pognieciony podkoszulek koło łóżka. Jest gorąco. Dlaczego niczego nie poczuła, gdy pocałowała Záratego? Wkłada kartę do czytnika, żeby włączyła się klima. Lampki na szafkach nocnych się zapalają. Szafa w pokoju ma lustro, w którym widzi własne odbicie. Zdejmuje bieliznę i ogląda swoje nagie ciało. Pomimo wieku wciąż ma jędrny biust. Wkrótce upływ czasu odcisnie ślady na jej skórze, na sylwetce. Wie o tym, ale co za różnica? Coraz mniej czuje. Jak gdyby jej zmysł dotyku ulegał atrofii. Pieszczoty, seks, nawet alkohol stały się rozpaczliwą próbą, żeby poczuć coś oprócz bólu. Żeby wyjść ze swojej skóry. Pamięta namiętne noce z Záratem. I dużo wcześniej, tamten miesiąc miodowy z Ablem, na tych samych wyspach, kiedy nic nie przeszkadzało jej oddać się rozkoszy. Nawet powrót do wspomnień nie wywołuje żadnych emocji. Ma wrażenie, że te wspomnienia należą do innej osoby, nie do Eleny Blanco, która stoi nago przed lustrem. Coraz bardziej kusi ją pokój Ángela Záratego. Zakłada szlafrok i wychodzi na korytarz. Jednak przed drzwiami pokoju numer dwieście trzydzieści zmienia zdanie. To nie w porządku, żeby używała go w taki sposób. Może mu tylko zadać cierpienie, czuje, że jej ból jest zaraźliwy. Wsiada do windy.

Idzie plażą Las Canteras i rzuca szlafrok na piasek. Światła z budynków przy zatoce odbijają się od czarnej tafli wody. Wchodzi do oceanu, w nadziei, że przynajmniej zimno rozbudzi jej zmysły. Ale w jej sercu jest tylko strach. Być może do tego właśnie nie chce się przed sobą przyznać. To panika, która nabrzmiewa w niej, gdy

wie, że każdy krok w śledztwie przybliży ją do Lucasa. Do jej syna. Do chłopca, którego utraciła na plaży Mayor. Do potwora, który na filmie znęcał się nad dziewczyną o miodowych oczach. Idzie dalej w morze, zanurza się coraz głębiej, wreszcie wybucha płaczem, a jej łzy mieszają się ze słoną wodą.

Rozdział 10

Buendía pracuje ze swoimi dwiema asystentkami, których imion Elenie nie udaje się zapamiętać. Milczące, precyzyjne, skuteczne. Wyprzedzają prośby patologa, zanim ten zdąży je wypowiedzieć.

– To ona, nie ma wątpliwości – potwierdza Buendía. – Nie chodzi tylko o ucho, rany zgadzają się z tym, co widzieliśmy na filmie.

– Bardzo cierpiała?

– Nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

Elena miała nadzieję, że kolega powie jej, że nie, że ofiara przestała cokolwiek czuć po pierwszych atakach, jednak Buendía nigdy nie owija w bawełnę, zawsze wali prosto z mostu, niczego nie łagodząc.

– Przyprowadzę Daniela.

– Jesteś pewna? – waha się Buendía.

– Potrafił się przyglądać, jak ją zabijano, to zniesie również widok jej zwłok.

Daniel nie ma pojęcia, dokąd prowadzi go pani inspektor, wie tylko, że kazano mu założyć strój, jaki noszą lekarze, i zasłonić twarz maseczką.

Na stole sekcyjnym leży ta dziewczyna, od razu ją rozpoznaje, choć tak bardzo różni się od tamtej, która siedziała na krześle na początku eventu. Jest młoda, wygląda najwyżej na osiemnaście lat, na pewno nie przekroczyła dwudziestu. Śniada, mogłaby być Hiszpanką, ale także Marokanką lub Latynoską. Jej ciało to prawdziwy katalog uszkodzeń, nacięć, ran, sińców i krwiaków.

– Przyjrzyj jej się dobrze, zapłaciłeś, żeby zobaczyć, jak ją mordują. – Elena nie szuka eufemizmów, pokazuje Danielowi konsekwencje jego wyborów. – Chcesz jej dotknąć? Wtedy się przekonasz, że to wszystko dzieje się naprawdę...

Daniel stoi bez słowa, nieznaczne drżenie, którego nie potrafi ukryć, przebiega przez jego szczękę.

– Nie wiedziałem. – Tylko tyle udaje mu się wydusić.

– Wyobrażasz sobie, że to film? Krzyczysz: Cięcie! i wszyscy wstają. Martwi znów żyją, mordercy piją kawę, operatorzy przygotowują się do kolejnego ujęcia. Nic z tych rzeczy: zabici są martwi, mordercy są skurwielami i nie można powtórzyć ujęcia.

– Naprawdę, nie wiedziałem – płacze Daniel. Wreszcie jest szesnastoletnim chłopcem.

– Oczywiście, że wiedziałeś. Czy teraz jesteś gotów nam pomóc, by to się nie powtórzyło?

Chłopak nie daje rady wydusić z siebie słowa, ale kiwa głową.

– Widziałem już filmy Dimasa, nigdy w całości, w sieci można znaleźć tylko kilkusekundowe fragmenty, ale są słynne w Deep Webie. Na forach mówi się o nim, o filmach w streamingu. Zajął mi kilka miesięcy, nim znalazłem sposób, żeby się z nimi skontaktować i zobaczyć coś na żywo.

Muszą korzystać z okazji, dopóki Daniel jest w szoku, i wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji. Nie po to, by użyć ich przeciwko niemu. Jest tak, jak powiedziała Elena, chodzi o to, by coś takiego więcej się nie powtórzyło.

– Dlaczego chciałeś to zobaczyć? – Pytając o to, Elena szuka nie tylko motywów, jakimi kierował się Daniel. Także tych Lucasa.

– Nie wiem. Podoba mi się przemoc. Nie, właściwie nie taka zwykła przemoc, w szkole nigdy się z nikim nie biję, raczej rozdzielam innych. Przemoc ekstremalna. Kręci mnie to, nie potrafię się temu oprzeć, to jak narkotyk.

– Czy po raz pierwszy oglądałeś taki spektakl?

– Tak. Widziałem wiele filmów *snuff*, ale niemal zawsze są fałszywe. Słyszałem, że Dimas robi prawdziwe, z Hiszpankami.

– Kim jest Dimas? To ten z protezą ręki?

– Nie, to ten drugi, w meksykańskiej masce.

– Jak nawiązałeś z nim kontakt?

– Z nim samym nigdy się nie kontaktowałem, tylko z Purpurową Siecią. Zostawiłem wiadomości na wielu forach, aż wreszcie mi

odpowiedzieli. Czasami to były żarty, ale w końcu odezwał się do mnie Yarum. On nie żartował, sprzedawał prawdziwe linki.

Mariajo notuje wszystko o forach, imię tego sprzedawcy linków, metody zakupu.

– Yarum... Wiesz, jak naprawdę się nazywa?

– Nie, tylko Yarum.

– Skąd wzięłeś pieniądze?

– Ubłagałem go i dał mi zniżkę, zapłaciłem połowę: trzy tysiące. Miałem trochę oszczędności, resztę wzięłem z karty mamy, a także od babci. Trzyma banknoty w puszkach po kawie w spiżarni i zapomina o nich.

– Jak kupiłeś bitcoiny?

– Yarum mi pomógł. Wziął sobie dziesięć procent prowizji. Nie wiem, skąd on je ma. Powiedział mi, że pomaga mi dlatego, że jestem chory i szalony, że dla niego to drobniaki. Mówił, że jestem dewiantem i zasługuję na to, by umrzeć na takim filmie. Ale chciałem koniecznie zobaczyć Dimasa, mógł sobie o mnie mówić, co chciał.

– Poznałeś Yaruma osobiście?

– Spotkaliśmy się dwa razy, za każdym razem na stacji Atocha, tam gdzie jest ogród.

Mariajo zadaje mu wiele pytań, sześćdziesiąt, a może siedemdziesiąt. Niektórych Elena nie rozumie, to kwestie techniczne, hasła, dostępy, zaszyfrowane imiona. Wreszcie hakerka uznaje, że już wystarczy.

– Na razie mam wszystko, czego potrzebuję. Jeśli się okaże, że czegoś mi brakuje, zadzwonię do ciebie. Idę na moje stanowisko, Elena.

Elena zostaje sama z Danielem, wyłącza kamerę, na której nagrywają się jego zeznania i która pozwala śledzić przesłuchanie jej kolegom przez monitory.

– Widziałeś kiedyś twarz Dimasa?

– Nie, zawsze nosi maskę.

– Widziałeś tego chłopaka?

Pokazuje mu fotografię Lucasa. To jedyne aktualne zdjęcie syna, jakie posiada. Kiedy wysłał jej nagranie, w którym torturował tamtą

dziewczyne, Lucas podszedł do kamery, wypełniając sobą cały kadr, a Elena zrobiła zrzut ekranu. Wtedy jeszcze nie wiedziała, co będzie dalej. Wzruszenie ją sparaliżowało. Nie zdołała zapisać nic więcej, innych kadrów, które być może teraz przydałyby się w śledztwie. Daniel wpatruje się przez chwilę w fotografię na komórce Eleny, zanim odpowiada.

– Nie, nigdy.

Inspektor zamyka zdjęcie, nikt nie powinien go zobaczyć.

– Ojciec nigdy mi tego nie wybaczy – nagle wybucha płaczem Daniel.

– Chętnie bym zaprzeczyła, ale to prawda, możliwe, że nigdy ci nie wybaczy.

– A pani wybaczyłaby coś takiego swojemu synowi?

Elena zastanawia się chwilę, potem kiwa głową.

– Tak.

– Kłamie pani, tego się nie da wybaczyć. – Daniel wychwycił wahanie w głosie Eleny. – Nawet mama mnie znienawidzi.

Zdeprawowany chłopak, który popłakuje i robi z siebie ofiarę, to już za wiele dla żołądka pani inspektor. Jednak patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy, próbuje przeżuć słowa, które z siebie wyrzucił, by potem je wypluć. Daniel wypowiedział na głos najgorszy lęk Eleny, ten, że na którymś etapie tej drogi pojmie, iż miłości do utraconego syna nie da się już odzyskać, a jeśli w tym miejscu się nie zatrzyma, tę pustkę wypełni nienawiść.

Rozdział 11

Buendía z właściwym sobie zamiłowaniem do szczegółów ilustruje zdjęciami wszystko, o czym mówi kolegom z BAC.

– Większą część tego, co wam mogę pokazać, widzieliśmy już na filmie: gwałt, zarówno przez odbyt, jak i pochwę, z użyciem tępych narzędzi, w szczególności wałka kuchennego, różnego rodzaju rany od noża, zapewne tego samego, którym ucięto jej powiekę. Przebicie policzka, już wiecie, szpikulcem i młotkiem... Zanim zaczęliśmy nagrywać, otrzymała cios, prawdopodobnie pięścią, który złamał jej dwa zębra. Wyrwano jej obcęgami prawy sutek, przewiercono wiertarką prawe kolano...

Obecni mimowolnie wykrzywiają twarze w grymasie bólu. Przysięgają sobie, że pomszczą śmierć tej dziewczyny.

– Tak więc, jeśli już o tym wiemy, postarajmy się zapomnieć, skoro to jedynie przyprawi nas o koszmary wywołane tragedią tej dziewczyny. Przejdźmy do sedna. Przyczyna śmierci: wykrwawienie.

Wszyscy udowadniają, że słuchali uważnie, bo wzdrygają się na te słowa.

– Jak to: wykrwawienie? – oponuje Elena. – Przecież widzieliśmy, jak ten w meksykańskiej masce strzelił jej w pierś.

– Tak, rzeczywiście, jednak dziewczyna miała destrukcję, to znaczy jej serce leżało po drugiej stronie klatki piersiowej. A zatem strzelono jej w pierś, w miejsce, gdzie powinno się znajdować, ale nie w samo serce.

– Wyjaśnij to – prosi inspektor.

Buendía jak zawsze ma już przygotowane zdjęcia, które pojawiają się na ekranie, żeby wszyscy zrozumieli.

– Dziewczyna miała destrukcję prostą, to znaczy serce i inne organy, jak wątroba, trzustka i śledziona są przemieszczone. Mogłoby to stać się przyczyną poważnych chorób, ale ona miała szczęście, być może tylko w tym jej się poszczęściło, jeśli wziąć pod

uwagę, jak skończyła, i nie chorowała. Jednak mimo to na pewno w swoim czasie musiała być pod opieką lekarską.

– Czy możemy ją po tym zidentyfikować? – pyta szybko Zárate.

– Możemy i już zaczęliśmy nad tym pracować, moje asystentki sprawdzają historie choroby we wszystkich hiszpańskich szpitalach. Jeśli dziewczyna jest Hiszpanką albo była leczona w naszym kraju, za kilka minut poznamy jej nazwisko.

Buendía omawia kolejne dane z sekcji zwłok: w pochwie dziewczyny znaleziono niebieskie pióra, rany klute w rogówce i na ręku...

– Kolejna ciekawa rzecz: w pewnym momencie dziewczyna straciła przytomność. Reanimowali ją, podając adrenalinę, więc podejrzewam, że mają doświadczenie w takich zabiegach. To zawodowcy, którzy kontrolują poziom bólu, żeby ofiara nie przerwała im rozrywki zbyt szybko – tłumaczy patolog. – Wygląda na to, że chcą, aby tortury trwały równo godzinę.

– Ile kobiet umarło w ten sposób? – pyta Chesca z wściekłością, nie licząc na to, że ktoś jej odpowie.

Wszyscy się zamyślają, ale Elena nie może pozwolić, żeby zawładnęła nimi rezygnacja czy gniew.

– Kontynuujemy – wzdycha. – Orduño?

Orduñowi przydzielono zadanie pozostawiania w kontakcie z Marrerem, który prowadzi dochodzenie na wyspach, i wspieranie go, w czym będzie trzeba.

– Marrero sądzi, że wpadł na dobry trop. Mówi, że znalazł coś, wertując zgłoszenia, i że prawdopodobnie uda mu się ustalić miejsce, w którym zginęła dziewczyna.

– Przygotuj się na wypadek, gdyby trzeba było polecieć do Las Palmas – mówi mu Elena. – Chcę wiedzieć, czy torturowano też inne osoby, czy mają tam zbudowaną strukturę, czy też to, że umarła na Kanarach, było przypadkowe.

– Rozkaz, pani inspektor. Jak tylko będzie coś nowego, jadę na wyspy.

Chesca z kolei prześwieciła Daniela, sprawdziła jego szkolnych kolegów, ewentualną dziewczynę.

– Choć brzmi to niewiarygodnie, na pierwszy rzut oka to całkiem zwyczajny nastolatek. No właśnie, wszyscy myślą to samo, co jego matka: że to dobry chłopak, który niechcący wpakował się w jakieś gówno – informuje.

– Niechcący nie wpłaca się trzech tysięcy euro – zauważa sceptycznie Elena.

– Nie jest wybitnym uczniem, ma przeciętne stopnie, ale nauczyciele go lubią. Nie ma dziewczyny, chociaż są dwie, którym wpadł w oko. Kiepski z niego piłkarz, ale konsekwentnie od lat gra w piłkę...

– Aż mam ochotę go adoptować – kpi Zárate.

– Zgadza się, przykładowy młodzieniec. Dwa lata temu w jego klasie był przypadek prześladowania. Daniel nie miał z tym nic wspólnego, ani jako prześladowca, ani jako ofiara. Trzymał się na uboczu tej sprawy, wziął udział w kilku protestach zorganizowanych przez uczniów szkoły.

– Czyli od tej strony nic nie znajdziemy – podsumowuje Elena.

– Nic a nic. Darowałabym sobie wypytywanie w szkole i w sąsiedztwie. Nie sądzę, żebyśmy się tam czegoś dowiedzieli.

– W porządku, zostaw to i pomóż Mariajo. Może we dwie zdołacie umówić się z Yarumem. Są w tym temacie jakieś nowiny, Mariajo?

– Przynęty założone, a haczyki zarzucone. Weszłam na wszystkie fora, które wskazał mi Daniel, korzystając z jego haseł. Przeczytałam jego stare komentarze i naśladowałam jego styl. Teraz czekam, żeby Yarum mi odpowiedział.

– Długo to potrwa?

– Przekonamy się... Nie sądzę, żeby często organizowali takie eventy jak ten wczorajszy. – Hakerka jest sceptyczna. – Mogą nam odpowiedzieć dzisiaj lub równie dobrze całymi tygodniami nie dostaniemy od nich żadnej wiadomości. Wielu ludzi próbuje nawiązać kontakt z tym całym Yarumem. Nawet jeżeli tylko dziesięć procent w końcu płaci mu te sześć tysięcy euro, interes i tak jest przedni. Nie mają powodu ryzykować, jeśli nie potrzebują pieniędzy.

– Chciwość nie zna umiaru. Działaj dalej w tym kierunku.

Wchodzi jedna z asystentek i podaje kartkę Buendíi. Ten uśmiecha się, zanim ogłosi wszystkim, czego właśnie się dowiedział.

– Mamy nazwisko dziewczyny: Aisha Bassir. Marokanka. Od dziecka mieszkała w Hiszpanii.

– Miała rodzinę?

– Nic o tym nie wiem – odpowiada Buendía – ale na karcie ze szpitala, gdzie leczono ją dwa lata temu, jako osoba kontaktowa widnieje Mar Sepúlveda. Mieszka przy plaza del Cazador, tu, w Madrycie.

– To w Pan Bendito, w Carabanchel – stwierdza Zárate.

– Jedziemy – poleca Elena, wstając.

Rozdział 12

Pan Bendito, choć stopniowo sytuacja nieco się tam poprawia, to i tak jeden z najuboższych rejonów Madrytu. Jedna z tych dzielnic, w których w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych osiedlały się zwykle rodziny przybywające ze wsi do miasta. Tutaj ludzie z pomocą sąsiadów budowali nocą swój dom z kilku cegieł i blachy falistej. Od tamtych czasów upłynęło już wiele lat, wspólnoty mieszkaniowe wywalczyły elektryczność i kanalizację, pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęto przesiedlać mieszkańców z wielkich bloków, a w 1998 roku, na koniec stulecia, otworzono stację metra, która połączyła dzielnicę z centrum stolicy. Nadal jednak żyje się tu ciężko, skromnie, a czasami niebezpiecznie. Większość dawnych mieszkańców, którzy założyli to osiedle, wywodzących się z La Manchy, Estremadury i Andaluzji, zastąpili nowi przybysze: Rumuni, Latynosi, Maghrebczycy...

– Byłaś tu kiedyś?

– Wiele razy – odpowiada Elena. – Ale dawno temu.

– Kiedy pracowałem na komisariacie w Carabanchel, patrolowałem ten rejon. Starzy policjanci wieszali na nim psy, opowiadali, że stosunkowo niedawno, marne dziesięć czy piętnaście lat temu, trzeba było mieć naprawdę duże jaja, żeby wybrać się tu po zmroku. Podobno widzieli nawet radiowozy zniszczone po atakach z butlami z butanem.

– A teraz?

– Teraz w porządku, ale jest dzień, a my mamy jaja, prawda? – śmieje się Zárate.

Mimo tych żartów Elena widzi, że Ángel stara się nie patrzeć jej w oczy. Może obawia się, że inspektor skomentuje jakoś tamten ulotny pocałunek, który wymienili przed wejściem do hotelu w Las Palmas. Elena nie robi tego. Nigdy też mu nie powie, że stała przed drzwiami jego pokoju, gotowa zapukać i poprosić, żeby się z nią

przespał. Mówi o swojej ładzie, żeby uciec od tych myśli. Powinna była wziąć jedno z należących do brygady volv, które parkują na plaza del Rey. Ma przeczucie, że zanim opuszczą dzielnicę, po jej aucie nie będzie śladu. Ale po zaparkowaniu Ángel Zárate woła kilku chłopaków, takich, którzy wyglądają najgorzej ze wszystkich.

– Ej, wy, chcecie zarobić dwadzieścia euro?

Przedziera na pół banknot i daje im jeden z kawałków. Drugi zachowuje dla siebie.

– Jeżeli po naszym powrocie samochód będzie cały, dostaniecie drugą połowę.

– Ale nie guzdraj się, nie będziemy tu sterczeć przez cały dzień.

– Zaraz wracam.

– To coś da? – pyta Elena, gdy wchodzi w bramę.

– Nie mam pojęcia, widziałem coś takiego na filmie – śmieje się jej kolega. – Chyba nie myślisz, że przy moich zarobkach często drę banknoty.

– Mar Sepúlveda?

Po dłuższej chwili oczekiwania otwiera im kobieta koło czterdziestki. Widać, że życie się z nią nie patyczkowało. Choć jest uczesana i w czystym ubraniu, rzuca się w oczy, że to ćpunka: pokłute ręce, zęby przegniłe od heroiny... Możliwe, że teraz nie bierze, ale ślady zostają na długo, o ile nie na zawsze.

– Czego chcecie?

– Jesteśmy z policji.

– Jestem czysta i nie chcę problemów, nic złego nie zrobiłam.

– Nie przychodzimy w twojej sprawie, chcemy tylko porozmawiać o Aishy Bassir. Znasz ją?

– To zależy, do czego jest wam potrzebna. Jeśli chcecie zrujnować jej życie, to nie.

– Możemy wejść? – Inspektor woli nie wyjawiać zbyt wiele na temat Aishy. Nie wie, jak zareaguje ta kobieta, kiedy dowie się o jej tragicznej śmierci.

Wnętrze mieszkania wygląda lepiej, niż się spodziewali. Jest skromne, z meblami kiepskiej jakości, ale panuje w nim porządek, widać, że ktoś o nie dba.

– Ładne mieszkanie – mówi inspektor, próbując wkraść się w łaski gospodyni.

– Gówno prawda, ale nic lepszego nie mam. Spłuczka się spieprzyła i muszę w kiblu spłukiwać wiadrem, a kuchenka nie działa, więc jem w kółko puszki i kanapki. Mogę wam dać szklanę wody z kranu, całkiem smaczna.

– Nie, dzięki.

W wyposażeniu jest zdezelowana sofa, ale kobieta nie prowadzi ich do niej, lecz do stołu z czterema krzesłami. Siadają.

– Co zrobiła Aisha?

– Przykro mi, ale mam złą wiadomość. – Inspektor Blanco stara się mówić jak najdelikatniej. – Ona nie żyje.

Mar unosi brwi, nie odzywa się przez chwilę, a potem nagle kręci głową i uśmiecha się bez większej goryczy, jakby złe wieści stanowiły nieodzowny element składowy jej życia.

– Wiedziałam, że to musi się tak skończyć – wzdycha, kiwając głową, niemal pogodnie.

– Jakie łączyły was relacje?

– To była najlepsza przyjaciółka mojej córki Aurory. Zawsze trzymały się razem w ośrodku pomocy społecznej. A potem razem zniknęły.

Elena i Zárate wymieniają zaniepokojone spojrzenia. Myślą o tym samym. Czyżby wbrew spekulacjom Mariajo wkrótce miało dojść do kolejnej egzekucji? Czy to możliwe, że Aurorę czeka niebawem to samo co Aiszę?

– Musisz nam pomóc, Mar. Opowiedz nam o ich zniknięciu. Wszystko, co wiesz o Aishy.

– Była sierotą. A może nie, nie jestem pewna. Córka mówiła mi chyba, że sama przeprawiła się przez cieśninę z Afryki. Była w ośrodku ostatnim razem, gdy zabrano mi Aurorę i tam ulokowano.

– Dlaczego ci ją zabrano?

Mar rozkłada ręce, z trudem znajduje słowa.

– Zabierano mi ją wiele razy, od kiedy była mała. Ostatnim razem z powodu totalnej bzdury. Zostawiłam coś na patelni, zapaliła się... Nic wielkiego się nie stało, ale sąsiedzi się na mnie zawzięli... Że zostawiam otwarte drzwi, że nie sprzątam, że urządzam burdy

z facetem, którego wtedy miałam... Czasem coś brałam, tyle co nic, wychodziłam na prostą. Ale tamte dranie tylko czekały na jakieś potknięcie. Jeden gorszy dzień i zostałam bez córki. I bez kuchenki, bo od tamtej pory nie działa, a tutaj nikt nie przyjdzie, żeby ją naprawić. I tak upłynęły prawie trzy lata.

– Kiedy zniknęły?

– Dziesięć miesięcy temu. Ale nie dajcie sobie zamydlić oczu, one nie uciekły. Porwano je.

– Skąd ta pewność?

– Byłam w tym ośrodku w San Lorenzo wiele razy. To wyglądało jak obóz koncentracyjny. Taki faszystowski, wiecie, co mam na myśli? A dyrektor Ignacio Villacampa był strażnikiem więziennym.

– Ignacio Villacampa? Ten polityk?

– Zawziął się na mnie, bo ja nie pozwalałam mu wykorzystać Aurory i Aishy. – Kobieta kiwa głową. – Nawet pomogłam im uciec i przyjechałam w domu. Zabrałam tę dziewczynę do szpitala, żeby ją wyleczyli, miała coś nie tak z sercem.

– Zabrałaś ją z ośrodka, żeby zawieźć ją do szpitala?

– Biedaczka prawie miała zawał, a tam nikogo to nie obchodziło. Chcieli jej dać pigułkę. Ja powiedziałam, żeby się walili, i zabrałam je obie, by obejrzał ją lekarz. Od tamtej pory mnie tam nienawidzą.

– Jak sądzisz, kto mógł porwać twoją córkę?

– Ignacio Villacampa, na pewno. Kilka razy próbował mnie zabić, ostatnio za pomocą auta pułapki. Całe szczęście, że policja to udaremniła. Mówili, że to ci z Al-Kaidy. Bzdura, to była bomba dla mnie, podłożono ją tam, gdzie zwykle chodzę. Miałam szczęście, ale następnym razem być może mi go zabraknie.

Blanco i Zárate spoglądają po sobie zmartwieni. Opowieść Mar weszła w fazę deliryczną, a jej oczy stają się coraz bardziej niespokojne. Nie jest już w stanie skupić wzroku na jednym punkcie w pokoju, a tym bardziej na twarzach swoich rozmówców. Jej spojrzenie wciąż zmienia kierunek.

– Musicie zatrzymać Ignacia Villacampę, Rocío Narváez, która zarządza hotelem, gdzie pracowałam, a ona mnie wyrzuciła. I Rosenda Zamorę.

– Rosenda Zamorę, tego ministra?

– Nie jest tak podły jak Villacampa, ale podejrzewam, że to on tym wszystkim kręci.

– Sprawdzimy ich – zobowiązuje się Elena, próbując przywołać kobietę do rzeczywistości. – Masz zdjęcia córki?

– Tak, pokażę wam, zobaczycie, jaka jest ładna.

Mar wychodzi z salonu i wraca z fotografią, na której widać ją z niemowlęciem na ręku. Zdjęcie jest naddarte, na wpół zamazane.

– Mam tylko takie.

– Nie nadaje się – tłumaczy Zárate. – Potrzebujemy takiego, na którym widać jej twarz. I gdzie jest starsza, taka jak obecnie, nie w dzieciństwie.

– Wszystkie mi ukradli. Uratowałam to jedno, bo zawsze nosiłam je w kieszeni.

– Kto je ukradł?

– Czy wam nie mówiłam? Ignacio Villacampa. Jeśli go nie zatrzymacie, ten człowiek mnie zabije.

– Postaramy się mu przeszkodzić. – Elena usiłuje ją uspokoić. – Mar, spróbuj sobie przypomnieć, czy Aisha miała jakąś rodzinę, to ważne.

– Ta dziewczyna miała tylko moją córkę i mnie. Dajcie sobie z nią spokój i szukajcie mojej córki. Musicie znaleźć Aurorę, zanim ją zabiją.

Chłopaki nadal pilnują auta Eleny, kiedy policjanci wracają. Czekają na drugą połowę dwudziestoeurowego banknotu. Zárate daje im ją, gratulując dobrze wykonanego zadania.

– Masz fajne auto. Co najmniej dziesięć osób robiło sobie przy nim zdjęcia.

Elena wyjmuje kolejne dwadzieścia euro i także daje chłopakowi.

– Ciekawe, na co wydacie.

– Na bączki, my nie bierzemy żadnego syfu.

Wsiadając do auta, Elena patrzy na chłopaków w lusterku wstecznym. Widzi, że żartują, szczęśliwi z łupu, który nieoczekiwanie zdobyli. Uśmiecha się.

– Od jak dawna już nie widziałem twojego uśmiechu? – mruczy pod nosem Zárate.

- Bączki? - pyta inspektor, głównie po to, żeby uniknąć poważniejszej rozmowy.

- Buteleczeni Mahou. Musi pani częściej wychodzić na ulicę, pani inspektor.

Rozdział 13

Nie przerywając poszukiwań w internecie, Mariajo rozmawia z Chescą i Buendią o słynnym Deep Webie.

– To prawdziwe szambo. Macie pojęcie? Szambo, do którego trafia wszystko, co najgorsze na tym świecie. Są tam narkotyki, pranie pieniędzy, handel bronią, dziecięca pornografia, paserstwo, płatni mordercy...

– Nie rozumiem, dlaczego nikt tego nie zabroni.

– Bo nie można ogrodzić świata, Buendía... To około dziewięćdziesięciu procent zawartości internetu, a to, o czym wiemy, to jeszcze nic, wierzchołek góry lodowej. Poza tym nie wszystko jest złe lub nielegalne, tylko pewna część – przeczy swoim wcześniejszym słowom. – Najwięcej jest wewnętrznych sieci instytucji naukowych.

Pokazuje kolegom różne strony, poczynając od takiej, która oferuje hakerów do wynajęcia, aż po inną, gdzie można zamówić narkotyki z dostawą do domu.

– Patrzcie, za pięćdziesiąt dolarów zhakują telefon twojego partnera, będziesz sobie mógł poczytać jego wiadomości na WhatsAppie i posłuchać rozmów.

– Można robić takie rzeczy? – bulwersuje się Chesca.

– Mamy teraz więcej zabezpieczeń niż kiedykolwiek wcześniej, ale zarazem jesteśmy bardziej narażeni na atak. Możesz założyć wszystkie blokady, jakie tylko zechcesz, ale zawsze znajdzie się ktoś, kto je złamie.

Przeglądają dalej strony na chybił trafił, korzystając z linków, które znalazła wcześniej Mariajo: sprzedaż paszportów i praw jazdy, amunicji do AK-47, starych pistoletów TT, jakich używano podczas wojny na Bałkanach, morderstwa na zamówienie od dwudziestu tysięcy dolarów – z opcją zwykłego nastraszenia w znacznie przystępniejszej cenie – fałszywe banknoty za czterdzieści procent

ich nominalnej wartości, wiele poradników o tym, jak samemu zrobić w domu bombę, filmiki dla zoofilów...

– Mogę sama wejść do niewidzialnego internetu z domu? – Chesca bardzo to wszystko interesuje.

– Tak, trzeba tylko ściągnąć sobie program o nazwie Tor. Najtrudniej jest znaleźć linki do tych stron. Nie pojawiają się w wyszukiwarkach, musisz przeszukiwać fora, być cierpliwa. A także bardzo ostrożna, pełno tam oszustów wszelkiego rodzaju, policyjnych pułapek na przestępców, szantażystów...

– Mariajo, gdzie ty się tego nauczyłaś? – Chesca nie kryje zdumienia. – W czasach twojej młodości nie było komputerów.

– Oczywiście, że były, tyle tylko, że nie każdy miał swój własny w domu. Dowiedziałam się sporo na ten temat na studiach, jak wszyscy. Studiowałam informatykę na politechnice. Zaczęłam w siedemdziesiątym siódmym roku, gdy dopiero co stworzono ten kierunek. Wcześniej zrobiłam magisterkę z nauk ścisłych, z matematyki. Wy, młodzi, sądzą, że świat zaczął się razem z wami, ale nie, on istniał już przed waszym narodzeniem.

Rozmowę przerywa im ciche piknięcie. Mariajo natychmiast wzmaga czujność.

– Yarum właśnie się podłączył.

Wszyscy czekają, co powie hakerka. Ona szybko uderza w klawisze, pisząc na czymś w rodzaju czatu i w okienku systemu, gdzie ukazują się szeregi cyfr niezrozumiałe dla reszty.

– Nie mogę zlokalizować jego IP, ale tu go mam. Przeczytał moje powitanie i coś pisze.

Czekają, wstrzymując oddech. Po chwili nadchodzi wiadomość.

– Pyta, czy dobrze się bawiłam na ostatnim evencie – donosi Mariajo.

– Powiedz mu, że tak – proponuje Chesca. – Napisz, że chciałybyś to przeżyć jeszcze raz.

– Zostawię to tobie, na pewno przekonasz go szybciej niż ja. Tylko go nie podrywaj, pamiętaj, że jesteś szesnastoletnim chłopakiem. No zresztą sama wiesz, jak piszą takie chłopaki.

Chesca siada przed monitorem, ona też jest pewna, że uda się jej przekonać do wszystkiego tego całego Yaruma, jako nastolatka spędziła kupę czasu na czatowaniu.

Larry33: Zajebiscie. Kiedy nastepny event?

Yarum: Masz kasę?

Larry33: Ogarne

Yarum: 6000 euro? Tym razem nie ma zniżek.

Larry33: Zaplace ci inaczej

Yarum: Tylko kasa, nie interesują mnie chłopcy.

Larry33: Sa inne sposoby, nie tylko taki...

Yarum: To oświeć mnie, bo żaden nie przychodzi mi do głowy.

Chesca patrzy na kolegów, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Co mu zaproponować? To musi być coś takiego, żeby się posrał, żeby nie mógł mi odmówić.

– Ci ludzie są całkiem powaleni – mówi Mariajo. – Musisz mu zaproponować jakieś szaleństwo.

– Jakiego rodzaju szaleństwo? Seksualne?

Buendía, który siedział bez słowa, nagle pochyła się nad klawiaturą i bierze sprawy w swoje ręce. Pisze ze śmiertelną powagą na twarzy.

Larry33: Chce byc ofiara

Przez kilka sekund czekają na odpowiedź. Jeśli przesadzili i Yarum im nie uwierzy, być może stracą wszelką szansę na kontakt z nim i resztą Purpurowej Sieci.

– Cholera, odpowiedz, draniu – mruczy Chesca ze wzrokiem wbitym w ekran.

W końcu nadchodzi odpowiedź.

Yarum: Wiesz, co mówisz?

Buendía wymienia z Chescą spojrzenia. Teraz ona pisze.

Larry33: Chce poczuc to co te dziewczyny. Wiem ze to bedzie tylko raz, ale musze wiedziec jak to jest

Yarum: Jutro o trzeciej, tam gdzie zawsze.

Yarum się rozłącza, ale nie potrzebują więcej. Znaleźli to, czego szukali.

Rozdział 14

Musieli zaufać Danielowi. Pomógł im przygotować zasadzkę i zgodził się posłużyć za przynętę. Siedzi na ławce obok stawu z żółwiami w części stacji Atocha z przeszklonym dachem.

Po całym dworcu rozsiani są agenci, którzy starają się wtopić w tłum podróżnych, niczym się nie wyróżniać. Elena przygląda się niektórym i musi przyznać, że kamuflaż nie za dobrze im wychodzi. Jest przynajmniej trzech łatwych do rozpoznania, ma nadzieję, że Yarum nie okaże się bystrym i wnikliwym obserwatorem.

Nagle jakiś mężczyzna koło czterdziestki siada obok Daniela. Wszyscy się wahają, Daniel nie dał im ustalonego znaku – nie oparł się o ławkę lewą ręką.

– Chłopak wytnie nam numer? – niepokoje się Chesca, która idzie obok Eleny, ciągnąc pustą walizkę.

– Może to nie Yarum.

– Mówi do niego.

Daniel nie wie, jak pozbyć się tego faceta, który proponuje mu czterdzieści euro za wspólną wizytę w toalecie. Normalnie po prostu wstałby i odszedł, ale teraz nie może się ruszyć z ławki. To podsycza nadzieje natręta.

– Pięćdziesiąt? No już, nie każ się prosić, na pewno robiłeś to za mniej.

Policjanci zorientowali się, o co chodzi. To pedofil. Nie wiedzą, co robić, nie mogą po prostu podejść i go zabrać, ryzykują, że Yarum to zobaczy.

Nie mogą też pozwolić, żeby dalej tam siedział, w takich okolicznościach Yarum nie podejdzie i cały plan weźmie w łeb.

– Spokojnie – prosi Elena Chescę. – Przestań się na nich gapić, bo spłoszymy Yaruma.

Daniel podejmuje decyzję. Wstaje i zmienia ławkę, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby chciał tylko się uwolnić od natręta. Jest piętnaście po trzeciej, spotkanie miało się zacząć kwadrans temu. Pedofil przechodzi obok Daniela, pokazując mu w jednoznaczny geście środkowy palec.

– Twoja strata, gówniarzu.

Niespełna minutę później znów ktoś siada na ławce. Teraz rzeczywiście Daniel daje umówiony znak.

– Masz branie, Larry33 – śmieje się Yarum. – Myślałem, że postanowiłeś trochę zarobić, dając dupy, żeby mieć na następny spektakl.

Ledwo kończy to mówić, gdy otrzymuje cios, który powala go na ziemię. Jeszcze się nie zorientował, co się dzieje, a już Orduño dociska mu plecy kolanem i zakłada kajdanki na wykręconych do tyłu rękach.

– Yarum, mieliśmy wielką ochotę z tobą pogadać.

Elenie przypada w udziale zaszczyt zajrzenia jako pierwszej do dokumentów w portfelu zatrzymanego.

– Casto Weyler, narodowości hiszpańskiej, zamieszkały przy plaza de España, w Torre de Madrid. Casto, zrobimy u ciebie rewizję. Pójdiesz z nami, żeby ułatwić sprawę, czy mamy iść sami?

– Zawsze z przyjemnością przysporzę wam nieco kłopotów. A ty, mały – zwraca się do Daniela – jeszcze tego pożałujesz. Możesz być pewien. Chciałeś być ofiarą? W końcu ci się uda...

W towarzystwie kilku funkcjonariuszy Orduño prowadzi Casta Weylera do siedziby BAC. Pozostali ruszają na plaza de España. Rentero wie o operacji, więc nakaz rewizji, podpisany przez sędziego, będzie tam przed nimi.

Wieżowiec Torre de Madrid ma sto czterdzieści dwa metry i był przez jakiś czas – od ukończenia budowy w 1960 roku aż do chwili, gdy przebił go jakiś belgijski drapacz chmur – najwyższym budynkiem w Europie. Jeszcze dziś jest szósty pod względem wysokości w Madrycie i należy do najbardziej podziwianych obiektów tego typu w mieście. W swoich złotych czasach mieścił biura kilku najnowocześniejszych firm stolicy, mieszkało tam również wielu artystów, urządzano najbardziej szykowne imprezy dla

aktorów z Hollywood, którzy przyjeżdżali do Madrytu, żeby potem nagrywać filmy na pustyni w Almerii. Jednak powoli, lecz nieuchronnie, zaczął padać ofiarą dekadencji. Zaledwie kilka lat temu odnowiono go, przywracając dawną świetność.

Apartament Casta Weylera znajduje się na dwudziestym piątym piętrze, a jego balkon wychodzi na Gran Vía. Można się stamtąd napawać jednym z najlepszych widoków w Madrycie, w nocy, kiedy miasto lśni od świateł, musi to być prawdziwy spektakl. Pod samym budynkiem rozciąga się plaza de España, a Gran Vía widać doskonale aż do Callao; po prawej jest Palacio, Teatro Real i ogrody Sabatini; po lewej miasto aż do Torre de Valencia i wieży Torrespaña, potocznie zwanej Lizakiem... Na najwyższym piętrze znajduje się taras widokowy, który niemal okrąża budynek. Stojąc na nim, odnosi się wrażenie, że ma się miasto u stóp. Elena była tam przed laty, z przyjemnością znów by weszła na ten taras i poszukała świątyni Debod, wież przy plaza Mayor i ogrodów przy sąsiednim Palacio de Liria.

Apartament nie jest szczególnie duży, zajmuje zaledwie dwa pokoje, ale za to bardzo luksusowe. Rzuca się w oczy, że nie ma tam ani jednej książki czy filmu. Za to na ścianach wiszą cenne litografie: Miró, Tàpies, Hockney...

Naprzeciw wielkiego okna, z Madrytem w głębi – miastem dużo piękniejszym niż jakiegokolwiek dzieło sztuki – stoją dwa potężne komputery. Tam zasiada Mariajo.

– Jakie wygodne krzesło, przydałoby mi się coś takiego, żebym sobie nie rozwalila pleców.

– Kupię ci takie, jeżeli wyciągniesz wszystko, co jest w tych komputerach – obiecuje Elena.

– Trzymam cię za słowo – śmieje się hakerka.

Elena, Chesca i Zárate rozglądają się po mieszkaniu, a Mariajo zajmuje się komputerami. Apartament wygląda dokładnie tak, jak wyobrażają sobie mieszkanie wysoko postawionego dyrektora jakiejś firmy, który żyje sam, a praca zajmuje mu cały dzień: bezosobowe, minimalistyczne, z luksusowymi i prawie nieużywanymi sprzętami gospodarstwa domowego, z szafą pełną ubrań najlepszych marek ułożonych według kolorów, z ogromnym ekranem telewizyjnym

naprzeciw łóżka. Bardziej niż prywatne mieszkanie przypomina hotelowy pokój. W jednej z szuflad znajdują sześć tysięcy euro w zwitkach banknotów po pięćdziesiąt euro, a na szafce nocnej okazałą kolekcję zegarków najlepszych marek: Rolex, Patek Philippe, Audemars Piguet, Hublot.

– Takie dobre zegarki, a Danielowi kazał na siebie czekać piętnaście minut, co za drań – ironizuje Zárate.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przez najbliższe dwadzieścia lat regularnie ktoś będzie mu podawał godzinę i w ogóle nie będzie musiał jej sprawdzać – żartuje Chesca.

W barku stoi tylko opróżniona do połowy butelka whisky Macallan Rare Cask single malt, która kosztuje pewnie w okolicach dwustu pięćdziesięciu do trzystu euro. W lodówce kilka puszek piwa popularnej marki i otwarte pudełko belgijskich czekoladek.

– Nie żyje źle ten Casto. Gdyby miał grappę, skonfiskowałabym ją.

– Będąc policjantem, człowiek uświadamia sobie, że ci źli żyją lepiej od nas – zauważa Chesca.

– Nie daj się zwieść pozorom. Bycie złym jest do dupy. Trzeba nim być na cały etat.

Wkrótce woła ich Mariajo.

– Mam to, czego szukałam. Bierzemy te komputery do BAC.

Rozdział 15

– No cóż, nie liczę na to, że podziela państwo moje spojrzenie na życie, ale to tylko biznes, jestem jedynie ogniwem łańcucha. Jeśli nie zrobię tego ja, zrobi kto inny, i tyle.

Casto zachowuje spokój.

Elena może mu się przyjrzeć. Na dworcu Atocha niemal na niego nie spojrzała. To dobrze ubrany mężczyzna, pasuje do tego, co zobaczyli w jego apartamencie: wygląda na dyrektora świetnie prosperującej dużej firmy.

Na stole leży wszystko, co miał przy sobie. Widać, że lubi markowe rzeczy: najnowszy model iPhone'a, długopis Montblanc, zegarek to złoty longines, portfel i pasek od Loewe. Wiele tysięcy euro w akcesoriach. A jednak...

– Widzę, że lubi pan drogie rzeczy, panie Weyler – zauważyła sarkastycznie inspektor Blanco. – Jednak od trzech miesięcy nie zapłacił pan czynszu w Torre de Madrid.

– Raczej nie jestem pierwszym człowiekiem w historii, który żyje ponad stan. Powie mi pani teraz, że ostentacja to zbrodnia? Skoro tak, to połowa kraju powinna siedzieć w więzieniu. Powiedzmy, że ostatnio interesy nie szły tak dobrze, jak bym chciał.

– Problem polega na tym, że pańska praca to mordowanie młodych dziewcząt, żeby ci, którzy płacą za oglądanie takich rzeczy, mogli zobaczyć to na żywo.

Casto robi minę pełną oburzenia i odrazy.

– Kto pani naopowiadał takich bzdur? Co za koszmar. Zajmuję się sprzedażą linków w internecie, w tak zwanym Deep Webie. To już nie mój problem, dokąd prowadzą te linki. Nigdy w życiu nikogo nie zamordowałem, nawet muchy.

Chesca najchętniej poderwałaby się z krzesła i dała mu po gębie, ale musi się powstrzymać i dalej uważnie śledzić przesłuchanie prowadzone przez Elenę.

– A zatem jest pan niewinny jak nowo narodzone niemowlę.

– Nie, powiedzmy sobie szczerze, całkiem niewinny nie: zarabiam na czarno – przyznaje Casto. – Urząd Skarbowy miałby mi to i owo do zarzucenia. Nie płacę podatków, zarabiam w bitcoinach, sporadycznie w gotówce, jak w przypadku chłopaka, który na mnie doniósł.

– Groził mu pan.

– Poniosły mnie emocje. Chłopak może być spokojny, nic mu nie zrobię.

– Prędeż naśle pan kogoś na niego?

– Nawet bym nie wiedział, do kogo się zwrócić, gdybym chciał to zrobić – broni się Casto niewinnym tonem.

Elena przegląda jego dokumenty, nie wie na razie, jak go przyszpilić, trzeba przyznać, że Casto potrafi panować nad sobą i nad sytuacją.

– Jest pani spokojna, pani inspektor?

Elena spogląda na niego zaskoczona.

Nie wie, o co mu chodzi.

– Całkowicie, z pewnością mam więcej powodów niż pan, by zachować spokój.

– Cieszę się, choć robi pani inne wrażenie. Powinna się pani rozluźnić, być cierpliwa i pogodzić się z tym, że są tajemnice, których człowiek nie jest w stanie rozwikłać. Życie ma swoje rytmy. Inne, niżbyśmy sobie życzyli.

– Jeśli będę potrzebowała rady, bez wahania zgłoszę się do pana – odpowiada oschle, zaskoczona jego słowami, i wraca do papierów. – A zatem twierdzi pan, że zajmuje się sprzedażą linków i nie wie, do czego one służą.

– Słyszałem różne rzeczy, bardzo niemiłe, ale nie wierzę w to. Nie wierzę, żeby naprawdę mordowali dziewczyny. Jestem przekonany, że to wszystko mistyfikacja. Jak wiele innych biznesów z pewnością ten również opiera się na kłamstwie. Gdyby był choć cień prawdy w tych plotkach, pojawiłyby się zwłoki, czyż nie?

– A jeśli powiem panu, że pojawiły się jakieś dni temu w Las Palmas? To była dziewczyna z ostatniego eventu, Marokanka, miała

osiemnaście lat, nazywała się Aisha Bassir i została bestialsko zakatowana.

– Nie wierzę – upiera się Casto z niewzruszonym spokojem. – To znaczy wierzę, że znaleźliście zwłoki tej nieszczęsnej dziewczyny, ale nie wierzę, że zginęła podczas eventu. To musiał być zbieg okoliczności. Powiedziałem pani na początku, że to biznes, a w jakim biznesie ktoś zabijałby jego uczestników? Wyobraźcie sobie, że DiCaprio naprawdę się topi w lodowatych wodach oceanu po katastrofie „Titanica”. To by się zupełnie nie opłacało.

Elena ustępuje miejsca Chesce.

– Kiedy rozmawiałam z panem wczoraj, nie zdziwił się pan, że zgłosiłam się na ofiarę.

– To była pani? – Zatrzymany się uśmiecha. – Naprawdę sądzi pani, że mnie to nie zdumiało? Na Boga, pomyślałem, że to jakiś koszmar. Dlatego chciałem spotkać się z tym chłopakiem, z Larrym33. On potrzebuje pomocy. Chciałem z nim porozmawiać i mu ją zaproponować. Zasugerować, żeby pogadał z rodzicami, z jakimś nauczycielem.

– Jak to miło z pana strony.

– Pomagam zawsze, kiedy mogę, na przykład pani... Słyszałem, że mówią na panią Chesca, to prawdopodobnie zdrobnienie od Francesca, ale jest pani Hiszpanką, więc pewnie w dzieciństwie wołali na panią Paquita, co? Zmieniła pani imię, bo za dużo przejmowała się pani tym, co pomyślą inni. Niech się pani wyzwoli, Paquita, niech pani będzie sobą i żyje własnym życiem, zamiast udawać kogoś innego.

Po raz kolejny Chesca musi głęboko odetchnąć, by nie utłuc go na miejscu.

Ángel Zárate wolałby być w pokoju przesłuchań, a nie przed ekranem, na którym ogląda filmy porno z komputerów Casta Weylera, ale Elena wzięła sobie do pomocy Chescę i on musi się z tym pogodzić. Na nagraniach nie ma chyba pornografii dziecięcej ani *snuff movies*. Wszystko jest bardzo konwencjonalne: na początek orgia pomiędzy kobietami i mężczyznami, którzy czerpią przyjemność z tego, co robią. Nie ma

specjalnych ujęć, tylko statyczna kamera. Jeżeli nie jest to amatorski film, to bardzo się postarano, aby na taki wyglądał. Przechodzi do następnego. Kolejna scena seksu grupowego. Przegląda to beznamiętnie, nie ma szans na dyskretne podniecenie, nie ma nawet takiej małej nagrody. Trudno się podkręcić na widok tego obscenicznego pokazu splecionych ciał i fałszywie brzmiących, a czasami wręcz śmiesznych jęków. Ale nagle Zárate budzi się z letargu i zaczyna oglądać uważniej. Przewija i analizuje z zainteresowaniem.

– Gdzieś już to widziałem... Buendía!

Patolog, który pomaga w przeglądaniu materiałów, podchodzi na jego wezwanie.

– Znam ten film. To jedna z orgii tej sekty... Jak się nazywał tamten gościu?

– Nie wiem, o czym mówisz – oświadcza Buendía.

Zárate wstaje, nerwowo szuka w pamięci nazwiska, które wciąż mu się wymyka. Aż wreszcie je znajduje.

– Nahín! Guru sekty nazywał się Nahín. Przypominasz sobie?

– Nie, ale poszukamy tych akt...

Kiedy Buendía sprawdza w archiwum, Zárate opowiada mu, że to stara sprawa. Lider sekty omotywał dziewczyny z dobrych rodzin i nagrywał z nimi orgie, które potem sprzedawał w internecie.

– A dlaczego wy prowadziliście to dochodzenie?

– Dopiero zacząłem pracę na komisariacie w Carabanchel. W wolnych chwilach przeglądałem sobie archiwum zaginionych. Obejrzałem mnóstwo filmów o sektach w nadziei, że może znajdę tam którąś z dziewczyn z archiwum. Dlatego ten wydaje mi się znajomy.

– Mam to – mówi Buendía przed swoim monitorem. – Teraz coś sobie przypominam. Guru sekty rzeczywiście nazywał się Nahín. Siedzi w pudle od ośmiu lat.

– Pytanie brzmi: Dlaczego Casto Weyler ma nagrania tych orgii?

– A dlaczego nie? Mówimy o degeneracji.

Spoglądają na siebie w milczeniu, jakby próbowali znaleźć jakieś inne wytłumaczenie.

– Pani inspektor, radzę pani wypuścić mnie na wolność, oddać moje rzeczy i przestać się ośmieszać. – Casto Weyler mówi takim tonem, jakby wyświadczał jej przysługę.

– Jasne, doskonała rada, jak i wszystkie inne, których mi pan udzielił – odpowiada Elena z sarkazmem. – Ja jednak zrobię coś innego.

– Aresztuje mnie pani? Dobrze pani wie, że nic na mnie nie ma, powtarzam pani, że sprzedawałem jedynie linki i nie wiedziałem, do czego służą. Co pani ugra? Że wlepią mi karę za niepłacenie podatków? Jeśli tego właśnie pani chce, doskonale. Ale czy nie poświęca pani zbyt wielu sił na oskarżenie pośrednika?

– Nie planuję pana aresztować.

Elena się uśmiecha.

– Nie możecie mnie przetrzymywać bez końca, są limity. Nie wiem, czy to czterdzieści osiem godzin, czy siedemdziesiąt dwie, ale na pewno nie więcej.

– Rozejrzył się pan wokół? Widział pan tu gdzieś policyjne symbole czy coś w tym rodzaju? Zrobiono panu zdjęcie z profilu i *en face*? Zanurzono panu palce w tuszu, żeby pobrać odciski? Na pewno nie. Powiedział mi pan, że jest dyrektorem specjalnym. Przekażę panu złą wiadomość: ja jestem specjalną inspektorką policji. Nie obowiązują mnie te ograniczenia – kłamie inspektor Blanco. – Pozostanie pan zamknięty, dopóki uznam za stosowne. Chesca, odprowadź naszego przyjaciela.

Chesca uśmiecha się z zadowoleniem, a widząc przerażenie na twarzy Casta Weylera, przypomina sobie ulubione powiedzonko swojego dziadka: Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Elena czeka, aż jej blef, bardzo w stylu Záratego, przyniesie efekt.

Rozdział 16

Orduño wsiadał już do helikoptera, by spuścić się z niego na łódź – parę razy musiał to zrobić na ćwiczeniach – zjeżdżał tyrolką z wysokości ponad stu metrów i próbował base jumping – był raz z Chesą na takich skokach – dlatego wstyd mu przyznać, że przed startem samolotu czuje ściskanie w żołądku. Miał szczęście i poleciał klasą biznesową jak jego koledzy kilka dni temu. Przynajmniej będzie podróżował wygodnie i dostanie smaczną przekąskę.

Jedzie do Las Palmas, żeby zbadać ślad znaleziony przez Marrera. Wiadomość była jasna, a w zwykle ospałym tonie Kanaryjczyka dało się wyczuć ekscytację: „Musicie przyjechać, moi drodzy. Sądzę, że znalazłem miejsce, gdzie ją zamordowano”. Nie wie, dlaczego Elena powierzyła mu tak ważną misję, ani nie potrafi się zdecydować, czy w tym momencie więcej znaczy to wyróżnienie, czy uciążliwość podróży na wyspy.

– Ma pan miejsce przy oknie? – pyta go kobieta, którą zastał na swoim fotelu.

– Nieważne, proszę nie wstawać. Siądę przy przejściu. – Orduño korzysta z okazji.

Zakłada słuchawki przed startem i podgłośnia dźwięk. Na komórkę odtwarza *Waterloo Sunset* Kinksów i skupia się na głosie Raya Daviesa, żeby zapomnieć o tym, że samolot rozpędza się na pasie, a potem odrywa od ziemi. Otwiera teczkę i przegląda skąpe dane, jakie zgromadzili w śledztwie. Powiększenie protezy ręki zajmuje całą stronę. Na metalu widać plamy krwi. Nie jest to anonimowa krew. Teraz wiedzą, że należy do Aishy Bassir. Jej twarz bez życia na zdjęciach z sekcji pośród innych dokumentów zmusza go do zamknięcia teczek. To była jeszcze dziewczyna. Jaka przyjemność może się kryć w przekraczaniu wszystkich progów bólu nastolatki? Tak jak wstydzi się przyznać do strachu przed lataniem samolotami rejsowymi, tak też nie mówi nikomu o tym, że bardzo szokuje go ta

skrajna brutalność. Chciałby umieć się od tego odciąć, wychodząc z biur BAC, ale to tak nie działa. Niczym jakaś plaga, obrazy z tej mrocznej rzeczywistości nawiedzają jego puste mieszkanie. Może to właśnie jest jego prawdziwym problemem: samotność. Ten pusty dom, cisza, która otacza go zawsze, gdy kładzie się na sofie po dniu pracy. Doskonałe okoliczności, by wszystko, co przeżył w biurach BAC przy ulicy Barquillo, urosło w siłę...

Znów włącza płytę Kinksów i pozwala, by muzyka zawiodła go w czasy, gdy ich poznał. Przypomina sobie szkolne lata, grupę przyjaciół, z którymi chciał założyć zespół. Marny był z niego gitarzysta, nie potrafił niczego zagrać ze słuchu. Słodka naiwność tamtych lat, kiedy nawet sobie nie wyobrażał, jak straszne zbrodnie może popełnić istota ludzka.

Sam nie wie, w którym momencie zasypia. Budzi go drzenie jego towarzyszką lotu. Przez chwilę myśli, że jest jakiś problem w samolocie. Kobieta z trudem powstrzymuje szloch. Jej krystalicznie niebieskie oczy są zapłakane, a kiedy mruga, po policzku toczy się łza. Jednak spogląda na Orduña i się uśmiecha.

– Przepraszam, jestem głupia, przestraszyłam cię? To przez ten film. Nie wiem, czemu włączyłam sobie taki smutny. Historie miłosne nie powinny się tak źle kończyć.

Orduño spogląda na telewizor na zagłówek fotela w rzędzie przed nim, który pokazuje kobieta. Na ekranie bezgłośnie przesuwiają się napisy końcowe.

– To tylko film. Już myślałem, że straciliśmy silnik albo pikujemy do Atlantyku – żartuje policjant.

Na lotnisku czeka na niego Marrero. Zanim się z nim spotka, Orduño żegna się z Mariną. Tak nazywa się kobieta, która płakała. Przegadali resztę podróży. Wypili po małej buteleczce *cavy*, a ona opowiedziała mu w tym czasie, że rok temu rozstała się z mężem, mieszka w malutkim mieszkaniu koło parku Oeste, pracuje na siłowni jako instruktorka boksu i aerobiku, a na Kanary leci bez żadnego szczególnego powodu, tylko dlatego, że znalazła dobrą ofertę. Orduño przyłapał się na myśli, że Marina go okłamuje. Odniósł wrażenie, że przed czymś ucieka, nie miał pojęcia, przed czym,

a zresztą wcale nie chciał tego wiedzieć. Wolałby nie myśleć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę jak policjant. Przyjemnie było porozmawiać z nią na zwykłe tematy. Parę razy przemknęło mu przez głowę, że mógłby ją poderwać, ale poczuł się niezręcznie, nie wiedział, jak się do tego zabrać. Ostatnio jego relacje z kobietami sprowadzały się do ulotnych spotkań dzięki aplikacjom internetowym. Zapomniał już, jak rozmawia dwoje nieznajomych dla czystej przyjemności rozmowy.

„Nie zdradziłeś mi, jak się nazywasz”, powiedziała przy pożegnaniu.

„Orduño”.

„Na pewno masz też imię, nie tylko nazwisko”.

„Rodrigo – odparł nieco zbity z tropu – ale od dawna nikt tak do mnie nie mówi, obawiam się, że przestałem na nie reagować”.

„Ja wolę Rodriga – Marina uśmiechnęła się do niego. – Nie zapomnij się obejrzeć, kiedy usłyszysz swoje imię”.

Marrero i Orduño nie zahaczyli o hotel. Wsiedli do radiowozu na parking przy lotnisku i ruszyli szosą w głąb wyspy.

– Jak podróż?

– Męcząca, wiesz przecież, że loty się dłużą, wolę AVE⁶.

– Raczej ciężko byłoby ci przyjechać AVE do Las Palmas... – żartuje Marrero i przechodzi do przedstawienia szczegółów dotyczących hali, którą znalazł, gdzie prawdopodobnie zamordowano Aishę. – Najbliższa miejscowość to Tunte, w gminie San Bartolomé de Tirajana. Zresztą sam zaraz zobaczysz, to na środku pustkowia.

Hala nie jest duża, ale leży na prawdziwym odludziu. Orduño myśli, że dobrze wybrali. Jeśli planowali zrobić to, co zrobili, tak, żeby nikt się nie dowiedział, to było idealne miejsce – żadnych sąsiadów, którzy mogliby coś usłyszeć, żadnych ciekawskich.

– Jest wiele śladów kół. Sądzę, że w dniu, gdy zabili tę dziewczynę, mieli gości – stawia hipotezę Marrero. – Spróbujemy namierzyć któregoś z nich, choć wątpię, żeby się udało. Nie zdziw się, jeśli się okaże, że to niemieccy lub angielscy turyści. Przy tak dużej fluktuacji mieszkańców bardzo trudno zapobiec takim rzeczom.

W hali jest kąt, który Orduño pamięta z nagrania. Jest tu nawet krzesło, na którym usiadła Aisha, zanim w kadr weszli dwaj mężczyźni – ten w masce meksykańskiego wrestlera i ten z metalową protezą ręki.

– Można stąd zrobić transmisję na żywo?

– Nie potrzebują niczego poza komputerem i połączeniem z internetem, które można przecież ustanowić w samochodzie. Choć wydaje się, że to miejsce jest bardzo oddalone od cywilizacji, od Vecindario czy Maspalomas dzieli nas zaledwie parę kilometrów. Kiedy tylko tam dotarli, zniknęli, zmieszali się z turystami. Tam nic nie przykuwa uwagi.

– Do kogo należy ta hala?

– Do nikogo. To znaczy jest ktoś, ale nigdy się tym nie interesował. Zmarł w zeszłym roku, a spadkobiercy się nie dogadali.

– Dlaczego właśnie tutaj, na Gran Canarii? Dlaczego w magazynie, który do nich nie należy? Dlaczego porzucili ciało w miejscu, w którym przechodzi tylu turystów?

– Na te pytania nie mam odpowiedzi, Orduño. Trafiłem do tej hali niemal przypadkiem, przez miejscowego. Zgłosił awanturę na drodze, w której brał udział mężczyzna z metalową protezą ręki. Już wysłałem raport. Było ich dwóch: jeden z protezą, a drugi z twarzą z bliznami po ospie. Pierwszy był cudzoziemcem, drugi Hiszpanem. Świadek nie zapisał numeru rejestracyjnego, wie tylko, że to był ford, nie rozpoznał, fiesta czy focus, jeden z setek, które się tu wynajmuje codziennie na lotnisku w Las Palmas.

– Poprosiłeś o pomoc w firmach wynajmujących auta?

– Oczywiście, ale to nic nie da. Na wyspie wciąż jeszcze mamy sezon turystyczny, codziennie przyjeżdżają i wyjeżdżają tysiące turystów. A my nie wiemy, czy przylecieli samolotem, czy wodolotem z Teneryfy. Robimy, co możemy, Orduño.

– Jasne, Marrero, ale przecież wiesz, że Elena zawsze chce więcej.

Zapada już zmierzch, kiedy w drodze powrotnej Marrero zatrzymuje auto przy punkcie widokowym Degollada de las Yeguas. W oddali rysuje się sylwetka Roque Nublo. Monolit odcina się na tle nieba podświetlany blaskiem zachodzącego słońca. Marrero podchodzi

bliżej i Orduño dostrzega, że lekko utyka. Po męczącym dniu staje się to bardziej widoczne.

– Wiem, większość myśli, że rzuciłem BAC ze względu na to – wyznaje Marrero, wskazując swoją lewą nogę – ale to nieprawda. Nie odszedłem ze strachu, zrobiłem to, bo czułem, że tracę życie. Dla Eleny istnieje tylko praca. Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. A życie nie może się sprowadzać wyłącznie do szukania złoczyńców, Orduño. Miałem żonę, chciałem spędzać czas z Silvią. Skorzystać trochę z życia. Dobrze jeść, kochać się z żoną, upić z przyjaciółmi... Od jak dawna nie robisz takich rzeczy?

– Straciłem już rachubę – przyznaje Orduño z uśmiechem.

– Te lata nie wrócą. Wypełniłeś obowiązek. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Nic się nie stanie, jeśli ustąpisz miejsca następnym i pomyślisz trochę o sobie. Posłuchaj mnie, Orduño.

Rozdział 17

Elena ogląda nagrania sekty Nahína. Wydają jej się nijakie, nie mają nic wspólnego z tym, czego szukają. Grupa młodych i atrakcyjnych osób, które chyba nie wiedzą, że są nagrywane, uprawia seks grupowy.

– Nie widzę tu nic nielegalnego. Wyglądają na pełnoletnich, nie ma żadnych dzikich pomysłów...

– Tymi filmami handlował Yarum – mówi Buendía. – Treść jest nieistotna, liczy się ich pochodzenie. Pamiętasz sprawę z pornografią i wymuszeniami przez internet?

Elena pamięta doskonale, choć nie prowadziła tamtego śledztwa.

– Zajmował się tym zespół inspektora Vallego. Ten cały Nahín to Arab?

– Nie, Hiszpan, tak naprawdę nazywa się José Ramón Oliva – stwierdza Buendía, przeglądając raport. – Nahín to była jego ksywa, chyba mam tutaj, co to znaczy. O, jest: w hindi *nahín* to *nikt*. Chłopcy i dziewczęta pochodzili z dobrych domów. Nahínowi udało się założyć sektę, w której głosił wolną miłość i organizował orgie. Brała w nich udział młodzież z mieszczańskich rodzin, którą nagrywał bez jej wiedzy. Potem szantażował rodziców, a ci płacili, żeby te zdjęcia nie zszargały reputacji ich dzieci. W sumie nie miało znaczenia, czy dawali tyle, ile zażądano, bo nagrania i tak trafiały do sekretnego internetu, ku zadowoleniu wszystkich, którzy kupowali linki, żeby je obejrzeć.

– Czego szukały w sekcie te dzieciaki, które miały wszystko? – zastanawia się naiwnie Chesca.

– Miały ochotę się pobzykać – odpowiada Zárate, wywołując ogólną wesołość.

– Nahín jest w więzieniu w Soto del Real. Zadzwoń tam, żeby załatwić widzenie. Może nam coś powie o Weylerze? – podsumowuje Buendía.

Choć Elena powtórzyła kilka razy, że ich syn zdecydował się pomóc i dzięki niemu mogli zatrzymać Yaruma, Alberto Robles nie chciał się pożegnać z Danielem, którego skierowano do ośrodka dla nieletnich, aby tam czekał na rozprawę. Na miejscu miał otrzymać pomoc, może psychologom uda się coś zdziałać i stłumią jego fascynację przemocą. Matka chłopaka weszła, by go pocałować i przytulić.

– Wiem, że uważa mnie pani za potwora, bo nie poszedłem pocieszyć syna – mówi Alberto do Eleny.

– Już dawno temu przestałam kogokolwiek osądzać, panie Robles – odpowiada całkiem szczerze inspektor. – Człowiek nigdy nie wie, co czuje druga osoba.

– Chciałem wychować Daniela w wolności, tak, żeby mu niczego nie brakowało, dając mu najlepsze narzędzia do osiągnięcia sukcesu w życiu...

– Wiem, ale nie wszystko układa się tak, jak planujemy. Pozwolę sobie tylko dać panu jedną radę, o ile zechce pan jej posłuchać.

– Proszę mówić.

– Niech mu pan wybaczy. Nie tylko dlatego, że pański syn na to czeka, lecz także dlatego, że pan sam tego potrzebuje. Dziecko zawsze jest częścią nas, bez względu na to, jak daleko się znajduje i jak bardzo potępiamy je za to, kim się stało. Niech mu pan wybaczy albo przez całe życie będzie pan żałował, że tego nie zrobił...

Czeka na jakąś oznakę żalu ze strony ojca, który dał się poznać jako człowiek twardy i nieprzejednany. Ten gest nie nadchodzi i Elena, czując własne ogromne przygnębienie, pojmuję, że ona także pożyła tego wybaczenia, pragnęła zobaczyć, że Alberto znów widzi w Danielu swojego syna, a nie jakieś godne pogardy indywiduum.

Doszła do wniosku, że najlepsze, co może zrobić tego wieczoru, to pójść na karaoke, znieczulić się kilkoma kieliszkami grappy, poznać jakiegoś faceta i uprawiać z nim seks w terenówce na parkingu pod plaza Mayor. Nawet przeszła koło Cher's, ale ostatecznie nie zdecydowała się wejść do środka. Zatrzymała się w sklepie – prawdziwe szczęście, że teraz w całym Madrycie są takie, które

zamyka się dopiero o północy – i kupiła sobie mrożone lasagne do podgrzania w mikrofalówce. Ma butelkę Carpenè Malvolti Fine Vecchia Riserva, którą podarował jej Rentero. Lasagne, grappa i wielki smutek – oto historia jej nocy.

Spogląda na plac. Lato jeszcze się nie skończyło, a dzień był upalny, więc w ogródkach jest pełno ludzi, turyści wciąż tam siedzą. Widzi z góry kilku stałych bywalców: rysownicy i karykaturzyści nadal nie poszli spać, jakiś Rumun stoi ze swoimi trzema manekinami bez głów, w strojach toreadora i sukni flamenco, z którymi turyści mogą sobie robić zdjęcia, jest też akordeonista, który gra fatalnie i profanuje argentyńskie tango: *Por una cabeza, de un noble potrillo...*

Na jej balkonie ciągle jest załomek muru i aparat fotograficzny, który całymi latami robił zdjęcia placu. Już ich nie robi, Elena nie szuka już twarzy z dziobami po ospie, odnalazła ją na nagraniu, obok własnego syna. Coś jej mówi, że to właśnie ten człowiek ukrywa się za meksykańską maską wrestlera, że mężczyzna, którego szukała przez tyle lat, nazywa się – lub nazywają go – Dimas. Któregoś dnia zdemontuje aparat i jej balkon przestanie się wyróżniać, jak gdyby rany się zabiłszy.

Wkłada lasagne do mikrofalówki i nalewa sobie grappy. Smakuje jej lepiej niż wtedy w gabinecie Rentera. Włącza telewizor w nadziei, że trafi na jeden z tych programów, w których pseudodziennikarze dyskutują zażarcie o romansach i życiu pseudocelebrytów. Śmieci, które nadają się tylko do ogłupiania, żeby można było położyć się do łóżka z głową wolną od jakiegokolwiek głębszej myśli. Nie ma czasu ustalić, o kim mówią, kim jest ta dawna dziewczyna syna jakiejś pośledniej gwiazdki, która teraz jest w związku z właścicielem restauracji – trzecie pokolenie naciąganych celebrytów – kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Elena nie należy do osób, które przyjmują gości, tym bardziej niezapowiedzianych.

– Dobry wieczór, przepraszam, że nachodzę w domu.

Stoi przed nią Mar Sepúlveda, matka Aurory, ostatni kontakt, jaki zostawiła Aisha. Widać, że starała się ładnie ubrać: założyła spódnice w kwiaty, białą bluzkę i zmieniła adidas na półbuty.

– Jak mnie znalazłaś? Skąd wiedziałaś, że tu mieszkam?

– Śledziłam cię. Wiem, że nie powinnam. Mogę wejść?

Elena odsuwa się, żeby ją wpuścić, tak jak zrobiła Mar, kiedy przyszli z Záratem do jej małego mieszkania przy plaza del Cazador w Pan Bendito. Proponuje jej krzesło w salonie i częstuje coca-colą zero.

– Ty to naprawdę masz ładne mieszkanie.

– Nie mogę się skarżyć, spłuczka działa. Po co przyszłaś?

Mar nie potrafi mówić płynnie, kiedy stara się uporządkować myśli, łatwiej jej idzie dopiero wtedy, gdy temat schodzi na jej szalone koncepcje: próbę islamskiego zamachu na nią, prześladowania ze strony władz, wiadomości przesyłane za pośrednictwem prezenterów telewizyjnych, którzy ostrzegają, żeby trzymała się z dala od zniechęconego Ignacia Villacampy.

– Nie wiem, czy się zorientowałaś – mówi, jakby wyjawiała jakiś sekret – ale miałam problemy z narkotykami: heroiną, kokainą, wszystkim po trochu... Teraz jestem czysta.

– I tego się trzymaj.

– To nie takie proste, czasem bardzo mnie kusi. Albo myślę, żeby dać sobie w żyłę i już nie wrócić, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Wiesz, dlaczego tego nie robię?

– Dlaczego?

– Ze względu na moją córkę. Wiem, że Aurora wróci któregoś dnia, i chcę, żeby zastała mnie taką, spokojną, a nie na głodzie, gotową na wszystko, byle tylko zdobyć następną działkę. Nigdy nie udało mi się wytrzymać długo, teraz już od sześciu miesięcy nic nie brałam. Wiem, że byłaby ze mnie dumna.

Dzieci rozczarowujące rodziców i matki rozczarowujące dzieci... Mężczyźni z ospowatą twarzą, którzy uprowadzają dziecko i pozbawiają je życia. Gdyby Elena była obiektywna, musiałaby przyznać, że nie miała czasu, by rozczarować syna ani poczuć się nim rozczarowana. Ale jak można być obiektywną, mówiąc o własnym dziecku?

– Dlatego musisz ją znaleźć, proszę. Żeby moja córka zobaczyła, że dla niej jestem gotowa na wszystko.

– Postaram się.

– Naprawdę? Prosiłam wielu ludzi, ale mnie nikt nigdy nie chce pomóc.

Te słowa zabarwione są jakimś patosem, który udziela się Elenie. Robi się jej smutno po wyjściu Mar. Uznaje, że nie może zostać w domu i pławić się w rozpacz. Znow się ubiera, idzie na karaoke. To piątek i lokal jest pełen: grupy dziewcząt, które śpiewają *La chica yeyé*, grupy chłopaków, którzy śpiewają *El tractor amarillo*.

– Jakie masz auto?

– Przyjechałem metrem.

To nie dla niej. Nie mija dziesięć minut, a pojawia się następny.

– Toyota RAV4.

– Idziemy.

Jutro, kiedy Juanito poda jej tosta z pastą pomidorową, będzie już wiedział o jej wizycie na parkingu Didiego. Nie będzie jednak wiedział, że zrobiła to tylko po to, żeby się znieczulić. Żeby na chwilę uwolnić się od poczucia winy z powodu tego, że wypuściła dłoń swojego synka na plaza Mayor, od przerażenia na myśl, że jej syn stał się kolejną macką Purpurowej Sieci.

Rozdział 18

Służbowe volva brygady są wygodniejsze, szybsze i bezpieczniejsze niż łada inspektor Blanco. Zárate, który prowadzi, ciągle się przy tym upiera.

– To prawda, nowoczesne auto jest wygodniejsze niż sowiecka łada, a śpiewać lepiej w „Mam talent” niż w osiedlowym klubie karaoke, ale ja lubię obciachowe i stare rzeczy – przyznaje Elena.

Miejscowość Soto del Real nie zawsze tak się nazywała. Do 1959 roku nosiła nazwę Chozas de la Sierra⁷, ale mieszkańcom ta nazwa wydawała się poniżająca i przegłosowali zmianę w referendum, w którym wybierali pomiędzy Soto del Real⁸, Alameda de la Sierra⁹ a zachowaniem dotychczasowej nazwy. Wygrała najbardziej arystokratyczna ze wszystkich propozycji.

Pod koniec dwudziestego wieku, w 1995 roku, wybudowano więzienie, które rozstawiło miejscowość, ogromny zakład karny dla dwóch tysięcy osadzonych, zaopatrzony w baseny, boiska do koszykówki, halę do piłki nożnej i ręcznej, siłownię, blok dla studentów...

– Jeśli trafię kiedyś do więzienia, to chcę do tego – żartuje Zárate.

– Będę to miała na uwadze i dam znać sędziemu. Widziałeś zdjęcie Nahína?

– Facjata jak na proroka przystało. Ale to stare zdjęcie, kto wie, jak teraz wygląda. Nie sądzę, by w więzieniu pozwolono mu zachować ten fryz.

Zárate się mylił, gdy powątpiewał w możliwości więziennych fryzjerów. Ich oczom ukazuje się mężczyzna z lwią grzywą, nieco bardziej siwy niż na zdjęciu z chwili zatrzymania, ale mimo wszystko jego włosy wyglądają na bardzo zadbane.

– Tamte filmy? Sądzi pani, że można kogoś wsadzić za kratki za tamte filmy? Całe szczęście, że to już się kończy. Mój adwokat jest

pewien, że wypuszczą mnie jeszcze w tym roku i znów będę mógł sobie spokojnie żyć. Nie wszystkim się to udaje, prawda, pani inspektor?

– Dlaczego pan tak mówi?

– Bez powodu. Kto osiągnąwszy pewien wiek, śpi słodko niczym dziecię? Powiedzcie, po co chcieliście się ze mną zobaczyć?

– Casto Weyler. Zna go pan?

– Pewnie, pomagał mi.

– W sprzedaży tych pornograficznych filmów? – pyta Zárate.

– Ależ pan niemiły. – Nahín posyła mu pogardliwe spojrzenie. – Ja nie sprzedawałem tych nagrań, uwalniałem je. Udało mi się sprawić, by ci młodzi osiągnęli szczęście, odrzucili pęta i odnaleźli telluryczne moce.

– Poprzez seks?

– To jedyne, co łączy nas z Bogiem i z życiem. Uwolniłem nagrania w internecie, dzięki temu wszyscy mogliśmy zobaczyć, że da się osiągnąć stan wyższej świadomości.

– A przy okazji pan zarobił – nie odpuszcza Zárate.

– Niech się pani oddali od tego człowieka. – Nahín wbija wzrok w Elenę.

Elena niespokojnie poprawia się na krześle, nie rozumie antypatii, jaka wyrosła między mężczyznami.

– Wróćmy do Casta Weylera.

– Casto również jest bytem wyższym, zdolnym pokonać przeszkody, jakie ludzka podłość rzuca pod nogi tym, którzy pragną zmienić świat. Ale nie będę o nim mówić. Wiem, że chcecie znaleźć w moich słowach argumenty, żeby skazać go z pierwszego lepszego powodu, jaki wpadł wam do głowy, ja jednak nie przyłożę do tego ręki.

– Co pan wie o Purpurowej Sieci?

– Przed laty coś o tym słyszałem. Nie wiem, kto się za tym kryje, ale jestem pewien, że ma czarną aurę, bardzo czarną, gagatową.

Nie udało im się wydobyć z niego ani słowa więcej. Jeszcze w drodze do auta Zárate nie potrafi opanować oburzenia.

– Ten palant jest założycielem sekty? W kółko pieprzy jakieś farmazony.

– Najbardziej przeraża, że tyle osób dało się złapać na takie bzdury – zauważa Elena.

Odzywa się jej telefon i Zárate widzi, że jej twarz pochmurnieje.

– Komisariat w Carabanchel? Będziemy tam za godzinę.

Kończy połączenie i patrzy zmartwiona na Záratego.

– Ignacio Villacampa, ten polityk, wychodził z sądu, gdzie składał zeznania w sprawie skandalu korupcyjnego. Zaatakowano go przed wejściem.

– Kto to zrobił?

Elena nabiera powietrza, jakby uzupełnienie wiadomości stanowiło dla niej ogromny wysiłek.

– Mar Sepúlveda, matka Aurory.

Rozdział 19

Zaledwie miesiąc temu Ángel Zárate opuścił komisariat w Carabanchel, by się przenieść do BAC. Jeszcze zna tam wszystkich i musi się zatrzymać, by z każdym zamienić kilka słów. Elena dostrzega podziw i zazdrość tych, którzy z nim rozmawiają. Jeden z nich dostał się do BAC: to powód do dumy.

Przyjmuje ich inspektor Martínez.

– Nie wiem, jakie wpływy ma zatrzymana, ale jej obrońcą jest Manuel Romero. Czeka na was w pokoju przesłuchań.

Wszyscy słyszeli – na ogół dobre rzeczy – o Manuelu Romerze. To znany adwokat, występuje w najbardziej medialnych procesach, a jednak nie zapomniał o swoich skromnych korzeniach. Pochodzi z małej wsi na południu i skończył studia dzięki stypendiom i zasiłkom. Część swojego czasu poświęca na obronę ubogich osób, które nie mogą sobie pozwolić na adwokata.

– Dzień dobry, pani inspektor. Moja klientka nie chciała się uspokoić, dopóki się nie upewniła, że panią zawiadomiliśmy.

– Jaka jest jej sytuacja?

– To nie był poważny atak, czekała na don Ignacia Villacampe przed wejściem do sądu i rzuciła w niego jajkiem. Sęk w tym, że trafiła go akurat centralnie w czoło.

– Czy zostanie wypuszczona na wolność?

– Za dwie godziny będę rozmawiał z sędzią. Mam nadzieję, że będzie mogła wrócić do domu. Chociaż z drugiej strony trzeba też wziąć pod uwagę, że Villacampa jest dyrektorem naczelnym Departamentu Rodziny i Polityki Społecznej, ważnym politykiem... Poza tym to nie pierwszy raz, kiedy Mar Sepúlveda próbuje go zaatakować, ma obsesję na jego punkcie.

– Wiem. Mogę z nią porozmawiać?

– Proszę bardzo. Będzie lepiej, jak pomówicie w cztery oczy – oznajmia adwokat, który chce już pójść.

Mar ma na sobie tę samą kwiecistą spódnicę co wtedy, gdy przyszła do Eleny do domu. Nie widać po niej, żeby coś piła lub brała, wydaje się spokojna.

– Dlaczego to zrobiłaś, Mar?

– Szkoda, że go nie widziałaś – przechwała się Mar. – Dostał jajem prosto w pysk. Rzucił się na ziemię, jakby spadła na niego bomba atomowa. Ci, co z nim szli, zrobili poważne miny, ale coś mi się zdaje, że cisnęli z niego bekę.

– To nie jest śmieszne. – Elena nie podziela jej wesołości. – Nie możesz rzucać jajami w ludzi. Twój adwokat mówi, że to nie pierwszy raz.

– Ale po raz pierwszy trafiłam. Żółtko ściekało mu po gębie.

– Możliwe, że cię nie wypuszczą. Wczoraj mówiłaś, że chcesz, by twoja córka Aurora była z ciebie dumna. Sądzisz, że będzie, jeśli trafisz do więzienia?

Mar poważnieje.

– Nie, jasne, że nie.

– No to nie rób głupot.

– Jeśli tego nie robię, nikt nie zwraca na mnie uwagi. To przez tego człowieka zaginęły Aurora i Aisha. Tylko w ten sposób mogę sprawić, że ktoś mnie wysłucha.

– Ludzie pomyślą przede wszystkim, że jesteś szurnięta, a on jest porządnym człowiekiem i musi walczyć z wariatami, którzy mają nie po kolei w głowie. Sądzisz, że zdołasz pomóc córce ze szpitala psychiatrycznego?

Mar popada w milczenie. Może zastanawia się nad tym, co powiedziała inspektor Blanco, a może planuje znów zacząć się na Villacampe, by cisnąć w niego kolejnym jajkiem. Elena nie potrafi rozstrzygnąć, co dzieje się w głowie tej kobiety.

– Pomożesz mi?

– Już ci to obiecałam. Zrobię wszystko, co będę mogła, żeby znaleźć Aurorę.

Po wyjściu mówi Zaratemu, żeby pojechał z Chesą do San Lorenzo. Mają się zorientować, jak wygląda sytuacja w tym ośrodku pomocy. Niewiele więcej może zrobić.

Jest sobota po południu, a lato się jeszcze nie skończyło. W San Lorenzo widać wielu odwiedzających i ludzi, którzy spędzają tam weekend. Chesca jedzie prosto do ośrodka pomocy, nie potrzebuje pytać o drogę ani używać nawigacji.

– Znasz to miasteczko?

– Od urodzenia aż do niedawna spędzałam tu wszystkie wakacje. Babcia zabraniała nam rozmawiać z dziećmi z ośrodka.

– I byłaś jej posłuszna?

– Nigdy nie interesowały mnie kontakty z nimi. To nie była kwestia posłuszeństwa, po prostu robiłam to, na co miałam ochotę.

Ośrodek dla Nieletnich w San Lorenzo de El Escorial mieści się w nowoczesnym, niezbyt ładnym budynku. W niczym nie przypomina klasztoru, który rozświetlił miasteczko. Jeszcze pół roku temu jego dyrektorem był Ignacio Villacampa, teraz zastąpiła go młoda kobieta, Julia Garfella, która przez telefon zapewniła o chęci współpracy z policją i zgodziła się z nimi porozmawiać mimo soboty.

– Znane mi są nazwiska Aishy Bassir i Aurory López Sepúlvedy, choć samych dziewcząt nigdy nie poznałam. Już odeszły, kiedy objęłam ten ośrodek. Mieszka tu około trzydziestu dziewcząt i chłopców. Najmłodszym szuka się rodziny zastępczej, co staje się bardzo trudne, gdy zaczynają dojrzewać, i całkiem niemożliwe, gdy wchodzi w wiek nastoletni. Po ukończeniu osiemnastu lat opuszczają ośrodek i państwo przestaje się nimi interesować. Począwszy od tego momentu, nie mamy nad nimi żadnej władzy. Często znikają na kilka tygodni przed osiągnięciem pełnoletności i nawet tego nie zgłaszamy. Przejrzałam teczki obu dziewcząt, które was interesują, i tak właśnie zdarzyło się w ich przypadku.

– Nie wiadomo, co się z nimi stało?

– Tak jak mówiłam, to było dziesięć miesięcy temu, zanim zaczęłam tu pracować, ale nie sądzę, żeby ktoś coś o nich wiedział. Zrobiłam dla was kopie ich dokumentów. Sami się przekonacie, że żadna z nich nie była aniołkiem.

– Poznała pani Ignacia Villacampę?

– Tak. Musiałam go zastąpić. Był świetnym dyrektorem, dzięki ludziom takim jak on niektóre z dzieci trafiających do takich ośrodków mają jakąś przyszłość. Osobiście dzwoni po firmach, by

znaleźć im pracę, kiedy kończą osiemnaście lat. Pomaga im z własnej kieszeni, zdobywa stypendia dla tych nielicznych, którzy mają coś w głowie i chcą się uczyć... To wielki człowiek.

- Ale nie pomógł Aishy ani Aurorze.
- Często same dzieciaki nie dają sobie pomóc.

Rozdział 20

Orduño odkręca prysznic. Znów włączył płytę Kinksów na komórcę, ale szum wody niemal całkiem zagłusza akordy *Waterloo Sunset*. Mniejsza o to. Nuci pod nosem, mydląc ciało. Uśmiecha się na myśl, że ta sama piosenka może wyrażać tak odmienne rzeczy na przestrzeni życia. Do tej pory ta muzyka przypominała mu szkolne czasy. Wie, że od dzisiaj *Waterloo Sunset* będzie przywoływało w jego pamięci tę ostatnią noc w Las Palmas. Zrezygnował z kolacji u Marrera i jego żony. Postanowił wrócić samotnie do hotelu Reina Cristina. Zamówił w barze piwo i siadł koło basenu, żeby napić się przy dźwiękach muzyki.

– Rodrigo?

Orduño nie zareagował na swoje imię. Musiała do niego podejść i dotknąć jego ramienia.

– Co ci mówiłam, Rodrigo? Nie obejrzysz się?

Przed nim stała Marina. Miała na sobie białą sukienkę. Rozcierała ramiona, bo wieczorem się ochłodziło. Jej oczy wydały mu się jeszcze bardziej niebieskie niż w samolocie. Usiadła koło niego, nie pytając o pozwolenie, i zsunęła ze stóp pantofle na wysokim obcasie. Powiedziała, że jest wykończona. Wracała z dyskoteki.

– Zatańczyłam tyle reggaetona, że chyba starczy mi do końca życia.

– Jeśli istnieje karma, wywalczyłaś sobie prawo do reinkarnowania się w dowolnej postaci – zażartował Orduño.

– Chcę być misiem pandą – odparła bez wahania, jak gdyby nieraz się nad tym zastanawiała. – Wiesz, że aby nie tracić energii, pandy turlają się w dół po stoku? Zachwyca mnie taka wizja życia...

– Chciałabyś się turlać z górki?

– Jestem bardzo leniwa – zaśmiała się Marina. – Tylko nie mów, że nigdy nie czułeś takiego zmęczenia.

Mógłby jej odpowiedzieć, że owszem. Streścić rozmowę, którą odbył z Marrerem na punkcie widokowym naprzeciw Roque Nublo. Powiedzieć o tym, jak bardzo ma dosyć. O poczuciu, że życie przecieka mu przez palce, że nic nie robi, nie korzysta z niego naprawdę. Wolał jednak nie posuwać się do takich zwierzeń, choć dobrze się czuł w jej towarzystwie. Podobały mu się jej oczy, zapach, była dla niego jak świeży powiew.

– Czego słuchasz? – zapytała Marina, by przerwać milczenie.

– Kinksów.

Orduño opowiedział jej o *Waterloo Sunset* i historii, która wiąże się z piosenką. Kiedy Ray Davies, kompozytor zespołu, miał szesnaście lat, jego starsza siostra René podarowała mu gitarę. Dorastali w niezamożnej rodzinie i zakup instrumentu oznaczał duży wydatek. Tego samego wieczoru René poszła z przyjaciółmi potańczyć. Dostała ataku serca i zmarła na miejscu. *Waterloo Sunset* to piosenka jej dedykowana. Mówi o życiu, które mogłaby mieć jego siostra, gdyby nie zgasła tak szybko. Wysłuchali utworu, nie mówiąc nic więcej. Kiedy się skończył, noc w Las Palmas wypełniła cisza. Chętnie zrobiłby pierwszy krok, ale obawiał się odrzucenia. To Marina nachyliła się do jego ust i go pocałowała. Potem poszli do pokoju, ogarnięci gorączkowym pożądaniem, i opadli na łóżko. Prawie nie spali, jak gdyby szukali się przez całe życie i mieli tylko kilka godzin na nadrobienie straconego czasu.

Pod prysznicem Orduño nie potrafi powstrzymać podniecenia na wspomnienie skóry Mariny, jej jęków, paznokci drapiących go po plecach. Nie widzi, że weszła do łazienki i się rozebrała. Aż do momentu, gdy kobieta otwiera drzwi kabiny, spogląda na jego członek i się śmieje.

– Coś mi się zdaje, że oboje myślimy o tym samym – mruczy i podchodzi do niego z nowymi pieściami.

Orduño ubiera się i sprawdza godzinę. Marrero prawdopodobnie już czeka na niego przed wejściem do hotelu. Zanim pojedą na lotnisko, żeby złapać lot powrotny, zdążą jeszcze zajrzeć w kilka miejsc, w poszukiwaniu śladu mężczyzny z protezą ręki i jego towarzysza. Marina wciąż ma mokre włosy, kiedy wychodzi

z łazienki i chowa komórkę do torebki. Przez chwilę Orduño widzi ślad smutku na jej twarzy.

– Kłopoty?

– Mój były... Nic takiego – odpowiada, próbując otrząsnąć się z czegoś, co Orduñowi przez ułamek sekundy wydaje się strachem.

– Nie ma nawet ósmej.

– Dzwoni, kiedy mu się spodoba, byle tylko zagrać mi na nerwach. Pijany, na pewno wyszedł z jakiegoś nocnego klubu. Całe szczęście, że się od niego uwolniłam.

Całuje ją i mówi:

– Muszę iść do pracy.

Żał mu, że musi ją zostawić. Chętnie posiedziałyby z nią dłużej w tym hotelowym pokoju. Pomógł zapomnieć o byłym.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, czym się zajmujesz.

– Jestem policjantem.

– Tylko proszę, nie mów mi teraz: „A ty byłaś bardzo niegrzeczną dziewczynką”.

Orduño i Marina się śmieją. Zostawia jej kartę od pokoju, żeby mogła wyjść bez pośpiechu. On już nie wróci do hotelu.

– Zobaczymy się w Madrycie? – pyta Marina.

Orduño miał straszną ochotę zadać to pytanie, ale powstrzymał go przed tym zły męski nawyk wytworzony na bazie wielu randek z internetu.

– Czas pokaże – odpowiada.

Rozdział 21

Inspektor Elena Blanco nie lubi niedziel. Biura BAC nie działają tak jak w inne dni, a kiedy widzi kogoś ze swoich kolegów przy pracy, ma poczucie, że ich wyzyskuje: to, że jej życie osobiste od tylu lat pozostaje zepchnięte na drugi plan, nie oznacza, że i inni muszą z niego zrezygnować. Dlatego odeszło paru z tych, których na przestrzeni lat wyselekcjonowała do brygady, dlatego odeszli Marrero i Amalia, jedna z najlepszych agentek, jakie miała. Teraz pracuje na komisariacie w Ávili, gdzie zadowala się patrolowaniem ulic. Zastąpiła ją Chesca.

Wychodzi z domu i mija sprzedawców znaczków i monet, którzy co niedziela rano rozkładają się na plaza Mayor. Niektórzy ją znają i witają po imieniu. Kiedy Lucas był mały, gdy skończył cztery czy pięć lat, postanowił zbierać znaczki i co niedziela schodził z ojcem, żeby kupić kopertę wypełnioną różnymi o niewielkiej wartości. Najbardziej podobały mu się te bardzo kolorowe z Afryki. Sprzedawcy czasami dawali mu jakiś w prezencie, a Lucas cenił szczególnie te okazy. Potem, już w domu, razem z ojcem wkładali je do klasera i oglądali przez lupę, szukając ewentualnych niedoskonałości, które przesądzałyby o ich unikatowości i czyniły obiektem pożądania filatelistów, znaczkami wartymi miliony euro. Co tydzień Lucas znajdował jeden taki i rozemocjonowany prosił matkę, żeby schowała go do sejf, w obawie, że do domu mogłaby się wdrzeć szajka złodziei i wykraść jego skarby.

Lepiej nie wyobrażać sobie, jak wyglądałoby życie Lucasa, gdyby mężczyzna z twarzą poznaczoną bliznami go nie uprowadził.

W niedziele Juanito ma wolne, a Elena woli nie zaglądać do baru, gdzie zwykle zjada swojego tosta z pastą pomidorową. Lucas lubił, gdy chodzili do pijalni czekolady San Ginés, nie przeszkadzało mu, że trzeba czekać w kolejce. Zamawiali tam czekoladę z *churros*. Czasem nachodzi ją pokusa, by to zrobić, ale zawsze w porę się

powstrzymuje. Woli zejść do jakiegokolwiek baru po drodze na ulicę Huertas i tam zamówić swoją kawę z tostem, nawet jeżeli oznacza to, że zacznie dzień bez kieliszka grappy.

W biurze jest tylko Mariajo skupiona na nietypowym zajęciu.

– Wybacz, Elena. Potrzebuję tylko pół godziny i pewnie będę miała dla ciebie coś bardzo ciekawego.

Elena przegląda zapisy przesłuchań, raporty z nagrań przygotowane przez jej kolegów i innych pracowników. Wciąż od nowa analizuje szczegóły, szukając czegoś, co może im umknęło. Dziwi się, że nie dostała żadnej wiadomości od Orduña z jego wyjazdu do Las Palmas. W tym momencie powinien już być w samolocie powrotnym, zapewne jutro z nią porozmawia i opowie jej, co znalazł, jeżeli było tam coś wartego uwagi.

Wreszcie Mariajo wchodzi do jej gabinetu. Akurat w momencie, gdy Elena ma otworzyć teczkę, w której Chesca i Zárate zostawili jej raport z wczorajszej wizyty w Ośrodku dla Nieletnich w San Lorenzo de El Escorial.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Nie jestem pewna, ale sądzę, że tak. Pamiętasz, co powiedział nam Buendía o znaczeniu *nahín* w języku hindi?

– Pamiętam, że coś mówił, ale zapomniałam, co to znaczy.

– *Nikt*. To znaczy *nikt*. Nie przywiązywałam do tego wagi, ale potem, przeglądając akta Yaruma, pomyślałam, że jego *nick* też pewnie coś znaczy.

– I?

– To słowo z tamilskiego, języka, którym mówi się na Sri Lance. Znaczy to samo: *nikt*.

Elena się uśmiecha, uwielbia swój zespół. Nie wie jeszcze co, ale coś znaleźli.

– Wtedy zaczęłam sprawdzać, czy nie ma więcej zbieżności. Pamiętasz, gdzie powstała sekta Nahína, zanim zaczęli działać w Madrycie?

– Nie mam pojęcia.

– W Alicante. A wiesz, kto był zameldowany w Alicante w tamtym okresie? Casto Weyler. Czeka, mam coś jeszcze. Wyobraź sobie, że

obaj, Casto Weyler i José Ramón Oliva, Yarum i Nahín, w dzieciństwie chodzili razem do szkoły, do tej samej klasy. Wtedy przypomniały mi się wasze komentarze po rozmowie z Nahíнем, że to tylko zwykły papla, i po przesłuchaniu Weylera, który był bardzo sprytny i dominujący. Wyciągnęłam więc wniosek: w więzieniu siedzi Nahín, ale prawdziwym liderem sekty jest Yarum. Tylko że teraz przerwali się na inną działalność. Jeśli któryś z nich miał kontakt z Purpurową Siecią, to Casto Weyler, nie Nahín.

Elena musi przyznać rację Mariajo. Lub przynajmniej uznać, że jej hipoteza jest bardzo prawdopodobna.

– Casto Weyler jeszcze nie trafił do aresztu. Niech mi go dadzą jak najszybciej do pokoju przesłuchań.

Rozdział 22

Elena czeka w pokoju przesłuchań, aż policjant przyprowadzi skutego Casta Weylera. Gdy zatrzymany nadchodzi, spogląda jej w oczy, wykrzywia wargi w uśmiešku i podnosi lekko nadgarstki. Elena daje znak funkcjonariuszowi, żeby zdjął mu kajdanki i zostawił ich sam na sam.

– Siedziałem sobie tak spokojnie w celi, medytowałem, a tu nagle wyciągają mnie i szarpią. Mam nadzieję, że ma pani po temu uzasadniony powód.

– Milczeć – poleca autorytarnie Elena, lecz potem dorzuca nieco milej: – będzie pan mówił, kiedy zapytam.

Inspektor przegląda dane dostarczone przez Mariajo: znalazła wspólne zdjęcie Nahína i Yaruma w wieku piętnastu lat. Zrobiono je na miejskim basenie. Yarum jest wyższy i nawet patrząc na fotografię, można się domyślić, że to on gra pierwsze skrzypce w tej parze przyjaciół. Elenie się nie spieszy, powoli czyta wszystko i zastanawia się nad tym. W tym czasie Casto Weyler musi powściągnąć ciekawość i zamaskować lekkie zniecierpliwienie. Inspektor w końcu podnosi wzrok i ich spojrzenia się spotykają.

– Widziałam się wczoraj z José Ramónem Olivą w więzieniu. Nahín, Yarum... Dwóch panów nikt. Jak sprytnie.

– No i? – Casto stara się ukryć zaskoczenie i udaje mu się to.

– Wygląda jak prorok. Nie ulega wątpliwości, że starannie wykreował swój image: długie włosy, przenikliwe spojrzenie, grobowy głos... Tylko jedna rzecz nie pasuje: to, co ma do powiedzenia. To dosyć proste przemyślenia.

– Nie wiem, po co mi pani o tym opowiada.

– Wie pan co, Casto? Nie wierzę, że to on przekonał te bogate dzieciaki, że miłość i nieskrępowany seks uwolni ich dusze, że powinny oddawać się orgiom, gdy on tak zadecyduje... Niektóre z tych dziewcząt wyszły wprost z mieszkań rodziców w dzielnicy

Salamanca, Chamberí, El Viso... Z domów ze służbą. Ich ojcowie to adwokaci, sędziowie, przedsiębiorcy, był nawet jakiś minister... Matki z pewnością zabierały je na zakupy na Serrano i Ortega y Gasset¹⁰, żeby podarować im, co tylko zechcą. Chodziły do najlepszych szkół. I one miałyby się bzykać z każdym, kogo podsunął im Nahín? Nie, nie wierzę w to.

– Może Nahín jest bardziej przekonujący, niż pani podejrzewa.

– Nie – sprzeciwia się inspektor. – Sądzę, że Nahín, jak zresztą jego imię wskazuje, był nikim. Inna osoba to wszystko wymyśliła i pozwalała, żeby José Ramón wykorzystywał swoje aktorskie talenty, które niewątpliwie posiada.

– Powiem pani coś, co zapewne panią zaskoczy. Nahín to jeden z najgłupszych ludzi, jakich w życiu poznałem.

– Naprawdę? – Elena się stara, by zabrzmiało to drwiąco.

– Wiem, że to nieładnie źle mówić o koledze. Ale któż tego czasem nie robi?

– Na tyle głupi, żeby wymienić się z nim tożsamością i żeby to on odsiedział karę w więzieniu?

– W samym poświęceniu zawarta jest nagroda, ale pani nie może tego pojąć. Nosi pani w sercu wielką ranę, która uniemożliwia pani właściwą ocenę. Ranę, która stopniowo panią zabija i która nigdy się nie zblizni.

Elena jest zaskoczona, nie spodziewała się takiego zwrotu w rozmowie.

– Czy są książki, z których można się nauczyć takich bujdz? Przypomina mi pan te kobiety, które wróżą z kart w parku Retiro. One zawsze odkrywają u klienta cierpienie – kpi sobie inspektor.

– Możliwe. Ale wróćmy do rzeczy, mnie interesuje jedynie, kiedy stąd wyjdę. Tak się składa, że mój dom jest wygodniejszy niż tutejsze instalacje.

– Cóż... Niedogodności, jakie muszą znosić zatrzymani. Na razie oskarżymy pana o wykorzystanie nieletnich, ze względu na Daniela, o handel filmami *snuff*, o oszustwo w związku z zarobkami na czarno... Mam czas, zanim oddam pana do dyspozycji sądu, na pewno przyjdą mi do głowy jeszcze inne przestępstwa.

Elena dalej komentuje swoje podejrzenia przed Castem. Oskarża go nie tylko o to, że był mózgiem tego wszystkiego i pozwolił, żeby Nahín siedział za niego w Soto del Real, ale także o to, że użył filmów pornograficznych nagranych w sekcie, aby włączyć się w struktury Purpurowej Sieci.

– Potworność – broni się Casto Weyler. – Purpurowa Sieć, też coś!

– A jednak handluje pan linkami do spektakli.

– Już pani mówiłem, sprzedaję linki każdemu, kto zechce mi zapłacić prowizję. To jedyne, co może mi pani zarzucić. Przyznam się przed sędzią do zarzutów, nałożę na mnie grzywnę, której nie będę w stanie zapłacić, bo jak już pani wie, wbrew pozorom nie mam pieniędzy. Będę więc musiał spędzić kilka miesięcy w więzieniu i tyle.

– Historia potoczy się inaczej, Casto. Postaram się, żeby oskarżono pana o znacznie więcej. Ze śmiercią Johna Lennona włącznie.

– Bądźmy rozsądni, inspektor Blanco. Jestem pewien, że możemy negocjować, na pewno jest coś, co chciałaby pani dostać w zamian za rozsądne potraktowanie mojej sprawy.

– Dimas. Chcę Dimasa, tego w meksykańskiej masce.

– Nie wiem, o kim pani mówi.

– Pozwolę się panu zastanowić. Może pamięć panu powróci.

Elena myśli, że skoro jest niedziela, to chyba mogłaby sobie pozwolić na wolne popołudnie. Mogłaby pójść do Retiro, przespacerować się, zjeść w jakimś ogródku przy Sainz de Baranda. A nawet wykorzystać ładną pogodę, żeby przeczytać jakiś czarny kryminał z tych, które tak się jej kiedyś podobały. Jednak dobrze wie, że nie zdoła tego zrobić. Gdy tylko wyjdzie z biura przy ulicy Barquillo, zaatakują ją słowa Casta: „Ranę, która stopniowo panią zabija i która nigdy się nie zablizni”. Czuje się, jak gdyby ten człowiek zobaczył ją nago. Bez makijażu, bez masek skrywających głęboki ból z powodu utraty Lucasa. Przypomina jej się nieprzeczytany raport, który został na stole, nawet nie zdążyła go otworzyć, ten z wizyty Záratego i Cheski w San Lorenzo. Zmusza się, żeby wrócić do swojego gabinetu i sprawdzić, co udało się ustalić kolegom.

Zanim to zrobi, podchodzi do Mariajo we wspólnej strefie.

- Nie idziesz jeszcze?
- Czekałam, aż skończysz z Yarumem. Jak poszło?
- Twoje podejrzenia są trafne, to on jest szefem. Trzeba pozwolić, żeby doszedł na wolnym ogniu.
- Wobec tego wrócimy do tematu jutro. Idę do kina. Masz ochotę?
- Nie pamiętam już, kiedy ostatnio byłam w kinie. Lata temu.
- To chodź ze mną.
- Nie. Baw się dobrze.
- W takim razie do jutra. I odpocznij trochę.
- Tak, sprawdzę tylko jedną rzecz i idę. Do jutra.

Elena siada, na stole leży teczka. W środku znajduje kilka raportów ze zdjęciami złączonymi spinaczem. Jeden z nich dotyczy Aishy Bassir. Dziewczyna na zdjęciu uśmiecha się, ma wielkie oczy. Po raz pierwszy inspektor widzi ją bez grymasu bólu na twarzy. Nie można powiedzieć, że jest ładna, ale ma wdzięk młodości. Raport skupia się na problematycznej części jej natury: ucieczki z ośrodka, jakaś kłótnia z inną podopieczną i z opiekunką.

Drugi raport, dotyczący Aurory, córki Mar Sepúlvedy, zawiera bardzo podobny opis z okresu jej pobytu w ośrodku. Jednak nie udaje jej się go przeczytać, bo na widok zdjęcia przeszywa ją dreszcz i traci oddech. Twarz Aurory, jej miodowe oczy. Połączenie w jej pamięci jest natychmiastowe, nagły przebłysk prowadzi ją do filmu, który dostała od Lucasa, do obrazów, które na dobre przeniknęły do jej koszmarów: jej syn z nożem w ręku proszący matkę, żeby przestała go szukać, bo lepiej, by nie wiedziała, kim się stał. Elena nie potrafi zapomnieć chorobliwego blasku tych oczu ani uśmiechu sadysty. Nie zapomniała też przerażenia na twarzy dziewczyny z nagrania. Na zdjęciu, które teraz trzyma w ręku, ta twarz ma zupełnie inny wyraz, trochę zagubiony, trochę wyzywający. Ale Elena jest pewna: Aurora to dziewczyna, którą torturował jej syn Lucas.

CZĘŚĆ DRUGA

Nikt

*Przysięgam ci, nikt,
nawet przeznaczenie,
nie zdoła nas rozdzielić.*

Całymi godzinami grają w karty. Kobiętę dziwi, że chłopakowi nigdy się to nie nudzi. Czasem Lucas kładzie na talii dwie karty razem, udając, że to tylko jedna. Ona odkrywa podstęp i karze go porcją łaskotek. Podoba się jej ten chłopiec. Jest czuły, zabawny. Ale także refleksyjny. Często kładzie się na pryczy i leży ze wzrokiem wbitym w sufit, rozmyślając o swoich sprawach. Kobieta korzysta z tych momentów, żeby wyjść na papierosa albo pospacerować i trochę odetchnąć.

Chłopiec niemal się nie skarży na uwięzienie. Jak gdyby nagle zrozumiał, jaki czeka go los. Na początku chciał wychodzić na zewnątrz, pytał, czy mogą pójść na huśtawki albo trochę pobiegać po parku. Już tego nie robi. Nigdy nie zapytał, gdzie jest jego mama. Kobieta wie, że to pytanie pali go od środka, nie ma możliwości, żeby go sobie nie zadawał w każdej minucie dnia. Ale jakiś rodzaj dzikiej dumy nie pozwala mu wypowiedzieć go na głos. Nie chce okazać słabości, woli ukrywać cierpienie.

Kobieta też maskuje swoje uczucia. Żal jej małego, ale nie może pozwolić sobie na słabość. Tego rodzaju emocje są niebezpieczne. Dlatego traktuje go dobrze, z czułością i cierpliwością, choć nie próbuje zastępować mu matki. Trudno wyznaczać granice w tym pierwszym okresie wspólnego życia, kiedy chłopiec jest przestraszony i jeszcze nie przeczuwa, co go czeka. Ona wie, co się z nim stanie, dlatego cieszy się sielanką tych pierwszych tygodni.

Wchodzi mężczyzna i zabiera Lucasa. Kobieta wyrzuca mu pośpiech i błaga, żeby jeszcze tego nie robił, żeby poczekał choć kilka tygodni. To za szybko, mówi, jest wciąż bardzo mały. Jej protesty na nic się nie zdają. Lucas idzie z mężczyzną. Jest przestraszony, ale nie tak bardzo, w głębi duszy ma ochotę wyjść z tego pokoju i zmienić otoczenie. Dzieci lubią nowości. Jego nieświadomość ucina nikły opór kobiety, która płacze zgnębiona przez kilka godzin. Sielanka dobiegła końca. Chłopiec już nigdy nie będzie taki sam, o ile w ogóle przeżyje.

Noc zapadła już dawno temu, gdy Lucas wraca prowadzony za rękę przez mężczyznę. Ale już nie przypomina Lucasa. Ubranie ma zakrwawione i podarte, kostki palców zdarte do krwi. Jego spojrzenie

jest martwe. Wargi mu drżą i błyskają na nich liczne czerwone, brązowe, sinawe punkciki. Siniak na prawej skroni nadaje twarzy zniekształcony i przerażający wyraz. Kobieta podchodzi do chłopca, żeby go przytulić. Dziecko, nie patrząc, odpycha ją ręką. Kładzie się na pryczy i odwraca na bok, plecami do nich.

– Ten mały jest zajebisty – mówi mężczyzna. – Nie masz pojęcia, co pokazał.

W pokoju rozbrzmiewają głucho rytmiczne uderzenia. Chłopiec wali głową w ścianę. Kobieta próbuje do niego podejść, pocieszyć go, sprawić, żeby przynajmniej przestał robić sobie krzywdę, ale on odpycha ją kopniakiem. Kobieta upada na podłogę. Mężczyzna opuszcza pokój, nie obchodzi go, co dalej będzie się tu działo. Zdjęta przerażeniem kobieta nie potrafi oderwać wzroku od Lucasa, który teraz uderza głową w żelazną poręcz łóżka.

Rozdział 23

Elena Blanco wróciła do Pan Bendito, w miejsce, gdzie poprzednio zaparkowała auto, na plaza del Cazador. To nawet nie tyle plac, co ponury zaułek bez wyjścia, otoczony byle jak postawionymi budynkami. Szuka wzrokiem dwóch chłopaków, którzy przedtem pilnowali łady, tych, którym Zárate dał pół dwudziestoeurowego banknotu. Ma szczęście, widzi ich i postanawia znów im zaufać.

– Popilnujecie mi auta?

– Dobra, ale daruj sobie ten bzdurny numer z darcie banknotu – mówi jeden z nich. – Zapłacisz nam na koniec.

– Pięćdziesiąt euro? – negocjuje drugi. – Bo dziś jest niedziela i wyższe ceny.

– OK, pięćdziesiąt.

Przed wejściem do budynku głęboko nabiera powietrza. Nie wie, co powie Mar. Że jej córka nie żyje, a zabił ją Lucas, jej własny syn? Nie ma zresztą pewności, widziała tortury, ale nagranie urywało się, kiedy dziewczyna jeszcze żyła, być może Lucas i facet z twarzą poznaczoną bliznami ulitowali się i dali jej spokój. Może Aurora jeszcze żyje... Dopóki nie znajdą ciała, trzeba mieć nadzieję.

Wolałaby porozmawiać z Mar na komisariacie w Carabanchel, ale zadzwoniła i powiedzieli jej, że ją wypuszczono. Manuel Romero, adwokat, zdołał uzyskać dla niej zwolnienie za śmieszoną kaucją w wysokości sześciu tysięcy euro.

– Miała tyle?

– Adwokat wziął to na siebie.

Jest niedziela, nie mogła zadzwonić do kancelarii Romera, więc nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do Pan Bendito i tam jej poszukać. W tym budynku, który wywołuje u niej najróżniejsze emocje dalekie od spokoju. W tej dzielnicy, w której jak w żadnej innej czuć ołowianą duszność niedzielnej atmosfery.

Poprzednio winda działała. Dziś nie. To pięć pięter, na myśl o nich Elena czuje falę rozleniwienia. Jak zawsze, gdy praca wymusza na niej fizyczny wysiłek, mówi sobie, że może powinna znów zacząć ćwiczyć. Na wysokości trzeciego piętra mija się z Latynosem w czapce z daszkiem przekręconym na bok i w złotym łańcuchu na koszykarskiej koszulce NBA, który zbiegając, niemal zrzuca ją ze schodów, ale nawet się nie zatrzymuje, by przeprosić. Na następnym półpiętrze jego matka coś za nim krzyczy. Jest bardzo gruba i ma na sobie identyczną koszulkę jak syn oraz krótkie spodenki tak obcisłe, że inspektor wcale by się nie zdziwiła gdyby szwy nagle puściły.

– Nie możesz wyjść, dopóki nie odrobisz lekcji, Wilson! – krzyczy za synem bez najmniejszej krępacji, nie zwracając uwagi na Elenę.

Wiedząc, że chłopak już jej nie słyszy, obrzuca spojrzeniem policjantkę. Nie ma pojęcia, co tu robi ta dobrze ubrana kobieta. Poirytowana zachowaniem Wilsona chowa się znów do mieszkania.

Elena wciska dzwonek. Poprzednio Mar długo zwlekała, zanim otworzyła, uzbraja się więc w cierpliwość. Dzwoni jeszcze dwa czy trzy razy, lecz nikt nie odpowiada. Wreszcie wychyla się jakaś starsza pani z sąsiedniego mieszkania.

– Mar nie ma.

– Wie pani, kiedy wróci?

– Ja nic nie wiem. Wczoraj po nią przyszli i zabrali ją.

– Jak to zabrali?

– Och, Boże mój, a już tak dobrze jej szło – ubolewa staruszka – ale wczoraj była w takim stanie jak dawniej, jak wtedy, gdy się kłůła. Biedna kobieta. I biedni jej rodzice, ile się przez nią nacierpieli.

Staruszka zamyka drzwi, nie dodając niczego więcej. Zanim Elena wsiądzie do auta, dzwoni do Záratego.

– Mar zniknęła. Zadzwoń do Cheski i spróbujcie ją znaleźć.

– Elena, jest niedziela, siódma wieczór – ośmiela się zaprotestować Zárate.

– Nic mnie nie obchodzi, że jest niedziela. Jak chcesz mieć wolny jeden dzień w tygodniu, to wracaj na komisariat w Carabanchel – odpowiada tonem, którego na pewno potem pożałuje.

Chłopcy dotrzykali słowa i auto jest w idealnym stanie. Daje im dwa banknoty po pięćdziesiąt, każdemu po jednym.

– Na bączki. Tylko nie przepijcie wszystkiego od razu.

Elena nie zna San Lorenzo de El Escorial tak dobrze jak Chesca i robi kilka niepotrzebnych okrążeń, zanim znajdzie Ośrodek dla Nieletnich. Choć nadal jest ciepło, zmierzcha się, gdy wchodzi do środka – to już jesień.

– Dobry wieczór, szukam pani dyrektor.

– Dziś jej nie ma. Mogę w czymś pomóc?

Kobieta, z którą rozmawia inspektor, ma na imię Nieves i pracuje w ośrodku od ponad piętnastu lat.

– Znała pani Aishę Bassir i Aurorę López Sepúlvedę? – pyta, pokazując policyjną legitymację.

– Oczywiście, że je znałam. Coś im się stało?

Dziesięć minut później siedzą w ogródku Croché Cafetín przy plaza de San Lorenzo nad dwoma filiżankami kawy z mlekiem i talerzykiem ciasteczek.

– Aisha nie żyje? Okropne. A Aurora?

– Nie wiemy, szukamy jej – inspektor Blanco nie kłamie, choć ukrywa część prawdy.

– Obie były zbuntowane, jak zresztą wszystkie, które tu trafiają. W ten sposób protestują przeciwko losowi, który przypadł im w udziale. Ale sądzę, że w gruncie rzeczy nie były złe, były tylko dwiema biednymi przestraszonymi dziewczynkami.

– Słyszałam, że uciekły, zanim osiągnęły pełnoletniość.

Kobieta opowiada Elenie, że uciekały wiele razy, po raz ostatni, gdy brakowało im zaledwie kilku tygodni do osiemnastych urodzin. Ona nalegała, żeby to zgłosić, ale ówczesny dyrektor Ignacio Villacampa uznał, że już nie warto.

– Matka Aurory twierdzi, że Villacampa zawziął się na jej córkę.

Nieves rozgląda się na boki i każe Elenie obiecać, że to, co powie, zostanie między nimi, po czym wyznaje, że nie ma zaufania do tego człowieka.

– Wszyscy się nim zachwycają, widziałam nawet, że w telewizji podawano go za wzór podejścia do problematycznej młodzieży, ale on mi się nie podoba. To nie jest dobry człowiek. A dla nich dwóch był szczególnie surowy.

- Co ma pani na myśli?
- Raz znalazłam Aurorę w jej pokoju przywiązaną do nogi od łóżka. Sam pan dyrektor tak ją ukarał.
- Czy jest porywczy?
- Czasem trzeba mieć do tych dzieciaków twardą rękę, żeby to jakoś działało. Na przykład nasza obecna dyrektorka, doña Julia. Jest surowa, ale sądzę, że kocha te dzieciaki. Don Ignacio ich nie lubił, akceptował tylko te, które nie przysparzały mu problemów, nie wspominając już o lekach, które kazał im podawać. Trzymał je tu na wpół otępiałe. Nie wiem, czy był porywczy, nigdy nie widziałam, żeby kogoś uderzył, ale słyszałam różne rzeczy... Nie, to nie jest dobry człowiek, pani inspektor.

Rozdział 24

Heroína powróciła na ulice dużych miast. Zarówno w Madrycie, jak i Barcelonie znów można zobaczyć ów smutny widok – żywe trupy szukające swojej działki, ludzi, którzy patrzą na świat, jakby to oni byli w posiadaniu klucza do prawdy, choć stoją na skraju przepaści.

– Nowi uzależnieni sądzą, że jeśli nie dają sobie w żyłę, tylko palą, uratują się przed tym, co spotkało narkomanów w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. To prawda, że rzadziej się zarażają i wszystko idzie wolniej, ale ostatecznie rezultat jest taki sam – wyjaśnia im Costa, dawny kolega Záratego na komisariacie w Carabanchel. – Poza tym jest dużo taniej, za osiem czy dziesięć euro ćpun może zaspokoić swoje codzienne zapotrzebowanie.

W niektórych dzielnicach w całej Hiszpanii – Cañada Real w Madrycie, Minie w Barcelonie, Tres Mil Viviendas w Sewilli, Puche w Almerii, Príncipe w Ceucie czy Mil Viviendas w Alicante – prawo wyznaczają handlarze narkotyków. Policja wchodzi tam tylko wówczas, gdy nie ma wyboru, uzbrojona, jakby szła na wojnę.

– Kilka lat temu postanowiono, że kiedy uda się namierzyć punkt sprzedaży narkotyków w Cañada Real, dom zostanie zrównany z ziemią przez koparki. Zasadniczo był to dobry pomysł – ciągnie Costa. – Sęk w tym, że wielkie klany, aby zminimalizować ryzyko, poszerzają swoje rewiry. Dzielnice, które mieliśmy pod częściową kontrolą, wpadają w ich łapy.

Wielkie klany z Cañady – Gordos, Niñas, Emilios czy Fernández-Fernández – przenoszą biznesy z tego rejonu. Kupują tereny w Morata de Tajuña, tam budują sobie domy, wykorzystują pustostany po bankach i funduszach inwestycyjnych. Po prostu wyważają drzwi i wynajmują je nielegalnie dzikim lokatorom, rodzinom, które zostały wyeksmitowane z miejsc o zbliżonym standardzie. Tacy najemcy nie mogą poskarżyć się właścicielom

mieszkań, jeśli w lokalu obok, w tej samej klatce, zostaje uruchomiona narkotykowa melina.

– W Carabanchel interes kontrolują Gordos. Sytuacja jest poważna, choć nie tak bardzo jak w San Diego w Vallecas, gdzie naliczono trzydzieści pięć narkomieszkań w kilku kwartałach.

Na niektórych ulicach w dzielnicy zostały niskie domy z patiem. Tam sprawa nie ogranicza się do narkotyków i squattersów, poza tym hodzi się koguty i psy do walk, które są obstawiane. Są też rejony, gdzie prostytutki przyjmują za kilka euro w mieszkaniach, usługa piętnastominutowa, żadnej higieny. Narażają się – one same, jak i ich klienci – na wszelkiego rodzaju zakażenia. Kawałek dalej, w Villaverde, sławę zyskał rejon Poligono Marconi, gdzie kobiety i transwestyci oferują swoje usługi zmotoryzowanym, niekiedy stoją tam całkiem nago.

– I jeszcze jedno, handlarze narkotyków skopiowali metody pracy firm, które dowożą jedzenie do domu. Ludzie z innych dzielnic już nie muszą przychodzić po towar, żeby go kupić, jest usługa z dowozem, rozwożenie na motorze, żeby było jak najszybciej. Więc powodzenia – podsumowuje Costa – ta kobieta, której szukacie, może być w dowolnym miejscu w Madrycie, nawet w willi w La Moraleja. Narkotyki to w Hiszpanii biznes, który obraca miliardami euro rocznie, mają kasę, żeby tam mieszkać, jeśli zechcą.

Chesca i Zárate są w złych humorach. Tym razem nie chodzi już o to, że wzajemnie działają sobie na nerwy. Po prostu wiedzą, że będą musieli bez końca krążyć po Carabanchel w niedzielną noc, nie mając pojęcia, czego właściwie szukają.

– Z tych skąpych informacji, jakie przekazała mi Elena, wynika, że Mar Sepúlveda znów wróciła do heroiny, chociaż od tygodni niczego nie brała.

– Mogliby nam trochę pomóc twoi dawni kumple z komisariatu – sugeruje Chesca. – Ponoć wszystko wiedzą najlepiej.

– Jeśli zaczną tam krążyć radiowozy, Gordos się zorientują, że czegoś szukamy. W niespełna pół godziny mielibyśmy na głowie więcej ludzi, niż możesz sobie wyobrazić, a wszyscy robiliby, co w ich mocy, byśmy tego nie znaleźli, i rzucaliby w nas kamieniami. Lepiej,

że jesteśmy tu tylko we dwoje, dzięki temu nie zwracamy na siebie uwagi.

Pierwsze z miejsc wskazanych im przez Costę lokalni konsumenci nazywają Okienkiem. Zostało zlikwidowane w zeszłym roku, ale podobno znów działa. Znajduje się przy alei Abrantes. Policja zlokalizowała tam dwa mieszkania w sąsiednich bramach: w jednym przyjmowano klientów, a drugie służyło za magazyn, strefę administracyjną i wypoczynkową. Mieli zbrojone drzwi i monitoring, żeby pracować w lepszych warunkach. Jedno okno wychodziło na ulicę, przez nie obsługiwano dwadzieścia cztery godziny na dobę każdego, kto przyszedł. Chesca i Zárate parkują kilka metrów dalej. Wzięli citroëna C3 Cheski, bo mniej zwraca uwagę niż ich służbowe volvo.

– I co teraz?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy coś tu sprzedają. Musimy coś kupić.

Zárate podchodzi do okna z zamiarem kupienia minimalnej ilości, jednej działki heroiny. Puka, ale nikt nie otwiera. Po minucie oczekiwania słyszy, że ktoś odzywa się do niego z mroku.

– Zamknięte, co najmniej od tygodnia. Psy się tu kręcą i wszystkich wkurwiają.

– To gdzie mogę pójść? – próbuje wysondować Zárate. – Mar mi powiedziała, żebym tu przyszedł.

– Mar Mamałyga?

Zárate nie ma pojęcia, co odpowiedzieć. Nie wiedział, że Mar ma jakąś ksywkę, i nie wie, czy mamałyga oznacza coś, co mogłoby mu pomóc ją zidentyfikować. Decyduje się postawić wszystko na jedną kartę.

– Tak, ona.

– Mar od jakiegoś czasu nie bierze, jeszcze wróci.

– Widziałeś ją?

– Nie, od dwóch czy trzech miesięcy się nie pokazuje. Jeśli jesteś jej kumplem, pójdz na ulicę Guayaba. No wiesz, tam gdzie są takie niskie domy.

Na ulicy Guayaba to Chesca wysiada z samochodu i podchodzi do grupy mężczyzn, którzy siedzą na chodniku i palą.

– Mar? Od dawna jej tu nie było. Ktoś mi mówił, że jest na metadonie. Na co ci ona?

– Jestem jej koleżanką. To znaczy byłam, przed laty.

– Ona wolała tu nie kupować, jeździła *cundq*¹¹ do Cañady. Może coś będą o niej wiedzieć w Comilli. To teren Gordos, na pewno ją znają.

Przez resztę nocy jeżdżą z miejsca na miejsce, do Comilli, Cano Roto, Colonii de los Olivos, Alto de San Isidro... Wszędzie znają Mar Mamałygę, ale nigdzie nie widziano jej przez ostatnie tygodnie czy nawet miesiące. Proces poszukiwania nie jest tak męczący, jak z początku obawiał się Zárate. Z Chescą jest wesoło, bawi go ta przejażdżka po mieście, połączona z wizytą w najgorszych zaułkach. Całkiem zapomniał o Elenie i tym dystansie, który mu narzuciła, a który sprawia, że od pewnego czasu jest dla niego właściwie obcą osobą. Chyba nic już nie zostało z kobiety, z którą mógłby nawiązać głębszą relację, jak kiedyś myślał.

Wracają do Pan Bendito, Chesca chce wejść do jednego z niskich budynków przy ulicy Guayaba, ale panująca w tym miejscu atmosfera raczej do tego nie zachęca. Zaparkowali i siedzą w aucie, kiedy jakiś facet podchodzi do okna.

– Kręcicie się tutaj przez całą pieprzoną noc. Nie chcę was tu więcej widzieć.

– Cholera, mam cię może prosić o pozwolenie, żebym mogła pojechać, dokąd mi przyjdzie ochota? – odgryza się Chesca nieprzyzwyczajona do takich pogróżek.

– Wyjdzie ci na zdrowie – odpowiada mężczyzna z niewzruszonym spokojem. – To rada Gordos. Nikt w tej dzielnicy nic wam nie powie, bo tutaj dla was wszyscy są niemi, ślepi i głusi. Dociera? A jeśli będziecie się upierać, a ktoś z wami pogada i coś chlapnie, to jeszcze dziś będzie po nim.

Chesca rusza, zanim Zárate zdąży wysiąść z auta, żeby pokłócić się z posłańcem. Zatrzymują się w ustronnym miejscu, obok cmentarza.

– No to chyba nasza przygoda w Carabanchel dobiegła końca.

– Na to wygląda. Wiesz, co mi przypomina to miejsce? Okolicę w pobliżu kampusu. Miałam chłopaka, który mnie tam zabierał.

- Wszyscy bywaliśmy w takich miejscach za młodu. - Zárate uśmiecha się na to wspomnienie.
- Dawno przestałeś je odwiedzać?
- Tak dawno, że już bym nie wiedział, jak się ułożyć, żeby nie uderzyć się w hamulec ręczny ani skrzynię biegów.
- No to do roboty - mówi Chesca, jednocześnie ściągając koszulkę.
- Myślałem, że mnie nie znosisz.
- Wiesz, co mnie najbardziej kręci? Wyrwanie gości, których nie cierpię... Mam nadzieję, że nie zjawią się tu zaraz Gordos, żeby nam wszystko zepsuć.

Na koniec postanawiają podjąć ostatnią próbę znalezienia Mar. Wracają do jej domu przy plaza del Cazador. Winda nadal jest zepsuta i muszą wejść po schodach. Znajdują ją na podłodze, między drugim a trzecim piętrem.

- Wezwij karetkę! - krzyczy Chesca.
- Zárate dzwoni, a Mar szepcze do policjantki resztką sił:
- Aurora żyje, powiedz to pani inspektor.

Rozdział 25

Karetka wiezie Mar do Szpitala Klinicznego San Carlos. Sanitariusze pozwolili Chesce pojechać z nią przez wzgląd na to, że jest policjantką, ale na miejscu lekarze zabrali chorą do środka. Kilka minut później citroenem C3 koleżanki przyjechał Zárate.

– Rozmawiałaś z Eleną?

– Tak, już tu jedzie.

Po chwili inspektor jest już na miejscu, ma niewyraźną minę.

– Co z Mar?

– Wzięli ją na salę zabiegową, nie wiedzą, czy z tego wyjdzie.

Przedawkowanie.

Elena kręci głową, nie umie się z tym pogodzić.

– Niemożliwe, była w niezłym stanie.

Zárate próbuje ją pocieszyć. Doskonale wie, że niejeden narkoman wrócił do nałogu, a dobry okres łatwo staje się jedynie tymczasowym nawiasem w jego życiu.

– Usiądź, powiedzieli, że do nas wyjdą.

Elena siada w poczuciu klęski. Nie ma nawet siły, by zapytać o szczegóły: jak ją znaleźli, czy trafili na jakiś ślad?

– Zdążyła mi coś powiedzieć – oznajmia Chesca. – Że Aurora żyje.

Elena wręcz podskakuje na krześle.

– Co? Dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem. Nie dała rady nic więcej dodać.

– Nie zapytałaś? To co właściwie robiłaś?

– Spędziłam niedzielny wieczór na poszukiwaniach ćpunka, która ma jakiś związek z prowadzonym przez nas śledztwem, ale ja nie wiem jaki – odpowiada urażona Chesca. – To właśnie, do cholery, robiłam.

– Była w bardzo złym stanie, Elena – łagodzi Zárate. – Znaleźliśmy ją przypadkiem, na schodach na jej własnej klatce.

– Może do niej zadzwoniła – zgaduje niecierpliwie Elena. – Macie jej komórkę?

– Nie, szukaliśmy jej, czekając na karetkę, ale bez skutku. Może ją sprzedała, żeby mieć na towar.

– Nie, to bez sensu. Dlaczego miałyby znów zaczynać? Zwłaszcza gdyby odebrała telefon od córki. Przestała brać właśnie dlatego, by pokazać Aurorze, że ją kocha.

– To narkomanka, nic z tego, co robi, nie ma sensu. – Zárate nie podziela wątpliwości szefowej, wkurza go, że nie chce docenić pracy, którą wykonali.

– Możemy pogadać z operatorami telefonii – proponuje już nieco spokojniej Chesca. – Na pewno mają rejestr rozmów. Jeśli zobaczymy ostatnie połączenia odebrane przez Mar, może trafimy na numer, spod którego dzwoniła jej córka. O ile do niej dzwoniła.

– To nie takie proste, ale możemy spróbować. Wszystkiego trzeba próbować – zgadza się Elena. – Poproszę Rentera. Jeśli polecenie przyjdzie z góry, na pewno będzie szybciej.

Zapada milczenie, są wykończeni.

Wreszcie wychodzi do nich lekarz. Mówi, że Mar, jak już wiedzą, przedawkowała heroinę.

– Heroinę fatalnej jakości. Mam nadzieję, że nie sprzedają teraz tego na mieście, bo w takim razie będziemy mieć wiele podobnych przypadków. Zwykle biorą trutkę na szczury, ale to było coś gorszego, jakby jakiś diler chciał ją posłać na tamten świat.

Przez chwilę Elena myśli o podejrzeniach Mar. Czy ktoś próbował ją zabić? Potem przypomina się jej rzekomy atak Al-Kaidy. Ta opowieść nieszczególnie zwiększyła wiarygodność kobiety.

– Wyjdzie z tego?

– Trudno powiedzieć. Zobaczymy, jak rozwine się sytuacja. Dziwne, że żyje do tej pory. Miała wielkie szczęście, że ją znaleźliście.

– Możemy ją zobaczyć?

– Jest zaintubowana, w śpiączce. Nawet nie wiemy, czy się ocknie.

Elena przeklina swojego pecha. Potrzebuje tej kobiety przytomnej. Nagle czuje, że całe śledztwo sprowadza się do znalezienia w jej chaotycznym umyśle jakiegoś wątku, za którym można by pójść.

Jednak jest skazana na czekanie. Pociesza się myślą, że Aurora żyje. Może to nieprawda, może to jedynie jakiś majak Mar podczas jej tripu, kto wie, czy już nie ostatniego. Musi się tego uchwycić – to jedyna szansa. Jeśli Aurora żyje, to znaczy, że Lucas nie zabił jej pod koniec tamtego nagrania. A jeśli tego nie zrobił, może zostało w nim jeszcze nieco ludzkich uczuć, może nie jest mordercą. Wiele myślała o synu w ostatnich dniach, szczególnie patrząc na rodziców Daniela, na gniew Alberta, niezmierną miłość Soledad, która odsunęła na bok powody, z jakich policja weszła do jej domu w Rivas. Chciałaby być taka jak ta matka, ale obawia się, że nie potrafi. Jeśli któregoś dnia odnajdzie Lucasa, chyba nie będzie umiała na niego spojrzeć inaczej niż jak na bezdusznego potwora.

Rozdział 26

Elena Blanco już się nie zastanawia, czy ktoś widzi jej podkrążone oczy lub oznaki zmęczenia w ruchach. Wchodzi do biur BAC, gdzie nikt nie zauważa jej wyczerpania po zarwanej nocy. Po tych bezsennych godzinach, które ona przyjmuje jako zasłużoną karę. Jej rozpaczliwe poszukiwanie szczęśliwego zakończenia powiększa krąg ofiar. Ma świadomość szkód, jakie wyrządza swojemu zespołowi, Chesce, Záratemu. Podczas tych bezgranicznie długich nocy jej pewność słabnie, jak gdyby musiała ułożyć puzzle, wiedząc, że brakuje elementów, że ostateczny efekt tej pracy będzie bezkształtny, potworny. Przyzwyczaiła się jednak żyć z tym strachem. Przy życiu utrzymuje ją praca i obsesja odnalezienia syna. Z nich czerpie nadzieję, że kiedy dotrze do końca, okaże się, że było warto przebyć tę drogę.

– Jakaś nowość na kontaktach Yaruma?

– Ani jednej – zapewnia Mariajo. – Na żadnym z nich nie dostał wiadomości, choć to dziwne. Ani od klientów, ani od dostawców. Musimy być cierpliwi, nikt nie wie, że jest aresztowany. Gdy będą potrzebowali jego usług, to się skontaktują. Ale sądzę, że coś mam.

Obraca monitor, żeby Elena mogła zobaczyć.

– Pamiętasz, jak byliśmy w tamtym domu w Rivas? Mówiliśmy, że czasami wydaje się, że coś zrobiją, a potem z tego rezygnują.

– Tak, pamiętam, że o tym mówiliśmy.

– Sądzę, że znam przyczynę. Przygotowałam wam kilka fragmentów filmu, żebyście to zobaczyli.

To prawda, często wydaje się, że dostają od kogoś instrukcje: mają wyłupić oko Aishy szpikulcem, lecz wycofują narzędzie; pojawia się oprawca z młotkiem i przebija jej policzek; celują w jej głowę z pistoletu, opuszczają broń, opierają lufę na sercu dziewczyny; mają ją zgwałcić kijem bejsbolowym, zabierają kij i zamieniają go na kuchenny wałek...

– Tak, widzieliśmy to. Ale ciągle nie znamy przyczyny. – Elena kiwa głową.

– Są też inne sytuacje, kiedy mają coś zrobić, czekają chwilę, ale nie porzucają zamiaru, przechodzą do działania. Uważam, że to nie przypadek.

Wszyscy patrzą na Mariajo zaintrygowani, czekają, aż zdradzi, co odkryła.

– Dostają polecenia z zewnątrz. Gdzieś, zapewne na jakimś forum internetowym, podrzucane są pomysły co do tego, jak torturować te biedne ofiary. Oni się przygotowują, żeby zrobić to, o co się ich prosi, i czekają na nowe sugestie.

– Cholera, coraz mniej mi się podobają ci ludzie – wybucha Chesca.

– To by wyjaśniało ekstrawagancję niektórych tortur, jak ta z ptakiem w pochwie – przyznaje Buendía. – Jeśli się nad tym zastanowicie, zobaczycie, że nie wszystkie mają erotyczny charakter, nie wszystkie są skrajnie brutalne, nie ma tu tendencji wzrostowej w poziomie bólu.

– Jak to wyjaśnisz? – pyta Elena.

– Nie wymyśliła ich ta sama osoba. Przebicie policzka szpikulcem lub odcięcie powieki należą do podobnej kategorii, ale zadanie szybkiej śmierci za pomocą wystrzału lub włożenie ptaka do pochwy to pomysły, za którymi kryje się inna motywacja. To różni ludzie, z różnymi potrzebami. Wszystko przeprowadzają dwaj oprawcy, których widzimy tu jedynie jako wykonawców poleceń.

– To brzmi sensownie. Zbadamy to. Porozmawiam z Castem Weylerem. Może sprzedawał również opcję zdalnego kierowania torturami.

Elena położyła na stole w pokoju przesłuchań dwie fotografie: Aishy i Aurory. Casto Weyler, Yarum, przygląda się im z zainteresowaniem.

– Zapewne powinienem je znać?

– Ta po lewej, Aisha, to dziewczyna zamordowana podczas nagrania, z powodu którego tu rozmawiamy.

– Być może, proszę pamiętać o być może. Jak pani przecież wie, nie wierzę, że naprawdę je zabijają, to tylko swego rodzaju spektakl.

– Mamy jej zwłoki w kostnicy. Prawdziwe zwłoki, nie rekwizyt.
– Może zmarła przypadkiem – kwestionuje pogardliwie Casto. – Za tym wszystkim stoją ludzie interesu, nie jacyś barbarzyńcy.
– Przypadkiem... Z poparzeniami, zgwałcona, z odciętą powieką, dziesiątkami ran i złamań, z postrzałem w pierś. Przypadkiem? Nie wydaje mi się.

Każdy, kto zobaczyłby minę Casta Weylera, pomyślałby, że to, co usłyszał, sprawiło mu przykrość i go zszokowało, że naprawdę jest to dla niego niespodziewana wiadomość.

– Powtarzam pani, że nie odpowiadam za to. Jestem tylko sprzedawcą usług internetowych. Chce pani obejrzeć filmy, które nie miały jeszcze premiery w kinach? Proszę się do mnie zgłosić. Chce pani obejrzeć erotyczne wideo z gwiazdą Hollywood, którego nikt nie widział? Zapraszam do mnie. Mogę pani też dostarczyć nagrania z aktów seksualnych hiszpańskich celebrytów, choćby i z aktorką, która zdobyła nagrodę Goya. To jedynie kwestia pieniędzy. Ach, a jeśli marzy się pani prawdziwy numer z jakimś celebrytą, mężczyzną czy kobietą, mogę pani załatwić upust. Zdziwiłaby się pani, gdybym pokazał katalog.

– Nie jestem zainteresowana pańskimi usługami, ale zdemaskowaniem Purpurowej Sieci.

– Nie uda się to pani. Proszę nawet o tym nie myśleć. Jeśli te dwie dziewczyny nie żyją i to byli oni, bardzo mi przykro, nie mogę nic zrobić, by przywrócić im życie. Mogę natomiast pomóc pani.

– Może mi pan pomóc tylko w jeden sposób: udostępniając informacje o Sieci. Jak się z panem kontaktują? Jak przekazuje im pan pieniądze?

– Słyszała pani o bitcoinach i blockchainie? Takie pieniądze nie zostawiają śladu. Ale to błażostki, chcę, żebyśmy porozmawiali o czymś ważniejszym, pani inspektor.

Yarum spogląda uważnie na Elenę, niemal przeszywa ją wzrokiem.

– Dlaczego nie powie mi pani, co się z panią dzieje? Niech pani nie myśli, że sam tego nie odkryję, choćby nie wiadomo jak bardzo starała się pani ukryć swoje uczucia, to na nic. Jest coś, co dręczy panią szczególnie mocno. Syn? Kochanek? To prawda? Trafiłem?

– Dość! – krzyczy Elena i natychmiast żałuje, że straciła panowanie nad sobą. – Chcę, żeby mi pan powiedział, jak się pan kontaktuje z Purpurową Siecią.

– Z jednej strony mamy pani dziecko lub ukochanego, to niepokój osobisty, światło. Z drugiej Purpurowa Sieć, niepokój zawodowy, ciemność. Te dwie sprawy całkiem wypełniają pani umysł. Jednak ten problem osobisty jest tak potężny, że nie pojmuję, że jeszcze zostaje miejsce na sprawę zawodową. Chyba że... Oczywiście! Pani dziecko lub ukochany i Purpurowa Sieć to jedno. Światło i ciemność są nierozzerwalnie związane. Czy pani mąż ogląda *snuff movies*? Nie, to nie to, chodzi o pani syna!

Elena milczy, cokolwiek powie, utwierdzi Casta w przekonaniu, że trafił, a ona straci w jego oczach wszelki autorytet.

– Czy życie nie jest cudowne? – kpi sobie Yarum. – Kiedy wydaje się, że już nie masz czego się uchwycić, odkrywasz poręcz w jednej ze ścian studni. Pani pomoże mnie, a ja pani. No dalej, pani inspektor, niech mnie pani pyta o wszystko, co chce pani wiedzieć. Będziemy kolejno negocjować cenę każdego pytania. Mówiłem to pani od pierwszego dnia, jestem tylko pośrednikiem, który wymienia swoją pracę na pieniądze.

– Wystarczy mi, jeśli potwierdzi pan, że mam rację – odpowiada Elena. – Rozumiem, że ludzie kupują u pana linki, żeby obejrzeć eventy organizowane przez Purpurową Sieć.

– Nigdy się tego nie wypierałem – przyznaje Casto.

– Jednak są dwa rodzaje zapisów: jedni są zwykłymi widzami, inni ponadto podejmują decyzje.

– Jak zawsze w życiu, pani inspektor. Jedni jeżdżą klasą turystyczną, a inni biznesową. Działa to podobnie do tego, o czym pani mówi, ale nie do końca. Nie wystarczy zapłacić, żeby spełniło się pragnienie. Trzeba wygrać.

– Aukcję? O to chodzi? Tortury wystawiane są na aukcje?

– Jest pani inteligentna, pani inspektor, aż miło się z panią rozmawia. Proszę jednak nie pozostawiać mnie w rozterce. Co łączy światło i cień? Purpurową Sieć, pani syna... Bo chodzi o syna, prawda?

– A zatem tortury wystawiane są na aukcje.

– Czy to nie genialny system biznesowy?
– Raczej potworny.
– I niezbyt rentowny, jeśli mam być szczery. Jest inny wariant biznesowy, dużo bardziej dochodowy.

– Jaki?

– Niech pani powie, z czyjego powodu tak pani cierpi.

Elena patrzy na niego z wściekłością. Casto przywołuje na twarz współczującą minę, jak gdyby był psychologiem albo nawet czymś więcej – lustrem, w którym może się przejrzeć Elena, osobą oferującą największe w świecie zrozumienie.

– To mój syn. Porwano go osiem lat temu.

Yarum, bo teraz to już nie Casto Weyler – jej rozmówca w jednej chwili przeistoczył się w lidera sekty – potakuje z czułością. Można niemal odnieść wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

– Bardzo mi przykro – mówi.

– Wcale nie jest panu przykro. Pan nie zna ludzkich uczuć.

– To zakłady.

– Co?

– To one są najbardziej dochodową częścią interesu. Aukcje działają, ale najwięcej kasy przynoszą zakłady.

– O co się zakładają? O określoną kwotę, że dziewczyna straci oczy?

– Coś w tym rodzaju. I coś jeszcze większego.

– Co może być gorszego?

– Teraz daję pani bardzo dobry trop, jeśli minie pani gniew, sama to pani zauważy. Kto jest królem zakładów? Kto potrzebuje zawsze więcej, by znów poczuć adrenalinę?

Elena się zastanawia. Nic nie przychodzi jej do głowy.

– Niech pani pomyśli.

– Hazardzista.

– Proszę mnie nie obrażać. To słowo nie opisuje należycie postaci, o której tu mówimy.

– Psychopata.

– Hazardzistą jest Andoni, wie pani, o kim mówię? Nie znam jego nazwiska, ale nazywają go Kortabarría. Ma w sobie coś z psychopaty, możliwe, że pasuje do tego profilu.

– Dlaczego podaje mi pan to nazwisko?

– Bo powiedziała mi pani, że wielką traumą jej życia jest pani syn, a ja w to wierzę. Dzieci nie są takie, jak sobie wymarzymy. Miałem jedno, wie pani? Powiedziałem, że miałem, nie, że mam, bo nigdy go nie poznałem. Jego matka nas rozdzieliła. Mieszka z nią, w Alicante. Czasem wkurza mnie, że nie mogę go przytulić, ale w głębi serca sędzę, że jego matka dobrze zrobiła, odsuwając go ode mnie.

– Mam rozumieć, że ten człowiek, Andoni czy Kortabarria, ma jakiś związek z Purpurową Siecią?

– Nie powinienem był mówić o moim synu, zawsze, gdy to robię, ogarnia mnie smutek. Chcę wrócić do celi. Nie powiem ani słowa więcej.

Elena wychodzi na ulicę Barquillo i kieruje się w stronę Salesas. Tam siada na ławce w małym parku. Nie po raz pierwszy usłyszała tę ksywkę.

Kortabarrię sprawdzali, kiedy zniknął Lucas. Pamięta, że mieli wiadomość o nielegalnych zakładach, w których obstawiano dosłownie wszystko, i wyglądało na to, że jednym z głównych organizatorów był właśnie ten człowiek – Kortabarria. Tak naprawdę nazywa się Andoni Arístegui. Pamięta, że Orduño przeniknął do tego środowiska. Ale całe śledztwo się załamało, kiedy porwano Lucasa. Nie miała na to sił. Odeszła z BAC. Miesiące paranoi i szaleństwa, zerwanie z mężem... aż w końcu wróciła na swoje stanowisko. Wówczas tamto dochodzenie było zamknięte. A teraz łączy elementy układanki. Wie już, jaki rodzaj ofiar interesuje Sieć: Aisha, Aurora, dwie dziewczyny bez rodzin, bez nikogo, kto mógłby się o nie upomnieć... Ale Lucas był inny. Lucas tak naprawdę zniknął, żeby zniszczyć Elenę. Porwali go, żeby odsunąć ją od sprawy Kortabarrii, bo – choć ona jeszcze o tym nie wiedziała – to śledztwo wiązało się z Purpurową Siecią. Kiedy Elena pojmuje, że syn został porwany z jej winy, całkowicie ją to dobija. Przypomina sobie film, który jej wysłali, gdzie Lucas występował jako kat. W jakiś sposób to ona odpowiada za to, że tak się stało...

Jakiś żebrak widzi, że płacze, i podchodzi:

– Przepraszam, mogę pani w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. To dla pana.

Wyjmuje z portfela banknot pięćdziesięcioeurowy i podaje mu go.

– Niech pan zje przynajmniej dziś jakiś porządny kotlet.

Wychodzi z parku. Choć czasem życie jest nie do zniesienia, jednak toczy się dalej. Elena musi znaleźć Kortabarię, a po południu umówiła się z Renterem.

Rozdział 27

Dry Martini by Javier de las Muelas – tak nazywa się ostatnie miejsce, do którego lubi chodzić Rentero wieczorami, żeby napić się czegoś, zanim wróci do domu. Lokal mieści się w hotelu Gran Meliá Fénix na ulicy Hermosilla, obok Castellany i plaza de Colón. Przed wejściem do baru z drinkami Elena wstąpiła do łazienki, gdzie poprawiła makijaż, żeby komisarz nie zauważył śladów łez sprzed kilku minut. Nie powie mu o Kortabarii, jeszcze nie teraz.

– Pozwolisz mi choć raz polecić ci coś, zamiast pić te swoje ulubione wódki? Choćby nie wiem jak włoską nazwę nosiły, to zwykła gorzała jak te, które piją robotnicy drogowi.

– Wolę moją grappę, Rentero.

– Jak trudno uczyć kogoś, kto nie chce poznać niczego nowego...

Sam wybrał dla siebie koktajl Noche Jerezana: stary Pedro Ximénez, ciemne mrożone mahou, skórka pomarańczowa, papryka syczańska, różowy pieprz i gałka muszkatołowa. Elenie podano kieliszek elisi, grappy z destylarni Berta w Piemoncie, o kolorze bursztynu i owocowym smaku.

– Słyszałem, że wysłałaś swoich ludzi do San Lorenzo, żeby wypytywali o Villacampe – zaczyna ostrzał komisarz.

– Wiadomości szybko się rozchodzą. Jeszcze nie ustaliłam, czy Villacampa jest dobrym czy złym człowiekiem, a ty już jesteś we wszystkim zorientowany.

– Dobrym, na pewno dobrym.

– To rozkaz?

– Możesz to tak potraktować. Villacampa ma teraz proces i my nie będziemy się do tego mieszać, ani na jego korzyść, ani przeciw niemu. Jakby tego było mało, w każdej chwili może zostać ministrem i lepiej byłoby dla nas mieć z nim przyjazne układy. Więc nie tylko jest dobrym człowiekiem, on jest wręcz człowiekiem przepięknym!

Opowiedz mi, co udało się wam zdziałać. Wiem także, że znaleźliście zwłoki na Gran Canarii i przywieźliście je tutaj.

– Gdzie te czasy, kiedy można było utrzymać śledztwo w tajemnicy? – obrusza się Elena.

– Skończyły się wraz z nadejściem internetu. My, którzy je pamiętamy, jesteśmy grupą starców jedną nogą w domu spokojnej jesieni. Musisz się przystosować do nowych realiów. Teraz wszystko jest jawne i ma swoje konsekwencje. Powinienem wiedzieć, co się wydarzyło, na wypadek gdyby zapytał mnie jakiś dziennikarz.

W tym momencie podchodzi do nich atrakcyjny mężczyzna w dobrym garniturze, około czterdziestki, o miłej aparycji. Elena natychmiast rozpoznaje znaną z telewizji twarz. Rentero nawet nie udaje, że to przypadkowe spotkanie. To zasadzka, którą sam przygotował.

– Inspektor Blanco? Jestem Ignacio Villacampa. Przypuszczam, że oboje mieliśmy chęć się poznać.

– Nie będę wam przeszkadzał. – Rentero się podrywa. – Zadzwońcie, gdy skończycie. Dopiję mój koktajl przy barze i przejrzę gazetę. „Marce”. Nie wiem, kiedy ostatnio miałem możliwość przeczytać ją w spokoju.

Nowo przybyły jest człowiekiem światowym, umie się znaleźć w każdej sytuacji i wywrzeć miłe wrażenie.

– Pije pani elisi? Chyba zamówię to samo.

Elena nie jest na tyle naiwna, by uwierzyć, że rozpoznał jej napój. Na pewno zapytał o to kelnera, zanim podszedł do stolika.

– No dobrze, pani inspektor, oto jestem, może mnie pani pytać, o co zechce. Nie wiem, czy pani wie, że moja kandydatura jest brana pod uwagę na stanowisko ministra zdrowia, dlatego wolę odpowiedzieć na pani pytania osobiście, zanim w jakimś internetowym pamflecie rozejdzie się wieść, że interesuje się mną policja.

Elena z niejakim trudem otrząsa się z zaskoczenia, ale od razu przechodzi do tego, co naprawdę ją interesuje.

– Pamięta pan Aishę i Aurorę?

– Bardzo dobrze. Przez takie nastolatki jak one czasem myślimy, że cała nasza praca nie ma sensu. Obie sprawiały w ośrodku wiele

problemów, były konfliktowe. Już nie wspominając o Mar, matce Aurory. Nie wiem, czy pani słyszała, że ostatnio zaatakowała mnie przed sądem. Rzuciła mi w twarz jajkiem.

– Jej zdaniem zasłużył pan sobie na to.

– Czy poznała pani wielu narkomanów, pani inspektor? Sądzę, że mają pewną cechę wspólną: wszyscy kłamią. Kłamią, kiedy mówią swoim bliskim, że ich kochają, kiedy obiecują, że rzucą narkotyki, kiedy przysięgają, że są czyści. Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa... Mar okłamywała Aurorę, a ona, póki była dzieckiem, wierzyła jej. Potem, w którymś momencie przestała i wtedy ją straciliśmy. Przepełniały ją wściekłość i żal. Raz trzeba ją było przywiązać do łóżka, bo groziła, że puści z dymem ośrodek.

– Przypuszczam, że obejmując stanowisko w takim miejscu, należy się liczyć z tym, że młodzież będzie sprawiać problemy.

– Aisha i Aurora czasem dawały nogę. – Villacampa nie zwraca uwagi na komentarz Eleny. – Wracały dopiero po kilku dniach. Zapewniam panią, że inni wychowankowie za nimi nie tęsknili. Dla wszystkich życie stawało się prostsze, kiedy nie było ich w pobliżu.

– Więc ucieszył się pan, kiedy definitywnie uciekły.

– Nie będę pani wmawiał, że sprawiło mi to wielką przykrość. Pozostałym mieszkańcom ośrodka także nie. Uchodzącemu wrogowi wybuduj most ze złota. Czy nie tak mówi przysłowie? Niech pani nie wierzy w wymysły Mar, to tylko fantazje kobiety, która powinna się leczyć psychiatrycznie. Opowiedziała pani o zamachu Al-Kaidy na nią? Gdyby to nie było żałosne, mogłoby nawet wydawać się śmieszne.

– Nie wie pan, dokąd pojechały po ucieczce z ośrodka?

– Nie mam pojęcia, ale jeśli się pani nimi interesuje, to obawiam się, że nie spotkało ich nic dobrego.

– Aisha nie żyje. Co do Aurory nie mam pewności.

– Smutna wiadomość. Nie jestem potworem i przykro mi słyszeć, że te biedne dziewczęta nie żyją. Ale nie mogę powiedzieć, że mnie to zaskoczyło.

– Aisha padła ofiarą brutalnych tortur z ręki organizacji o nazwie Purpurowa Sieć. Jej śmierć stała się spektaklem dla kilku degeneratów.

Zmartwiona mina Ignacia wydaje się szczerą.

– Co za potworność! Jak do tego doszło?

– Myślałam, że może pan będzie umiał powiedzieć, co mogły robić po ucieczce z ośrodka.

– Czytała pani trochę o zaginionych nastolatkach w Hiszpanii? Jest ich więcej, niż się wydaje.

– Dokąd się udają?

– Gdybym to wiedział, nie uważałbym ich za zaginionych. Nie ma bardziej niewdzięcznej pracy niż opieka nad tymi dziećmi. Mam powody tak mówić, bo poświęciłem część życia na próby wyciągnięcia ich ze studni.

– Udawało się to panu czasem?

– Nie zawsze, ale nawet gdyby udało się uratować tylko jedno dziecko, gra jest warta świeczki. Niektóre dzieciaki potrafią wykorzystać szansę, a inne nie. Nie będę pani okłamywał, zwykle łatwo poznać, do której grupy zalicza się każde z nich. Los Aishy i Aurory był przesądzony już na kilka lat wcześniej, zanim opuściły ośrodek. Nie można nikogo winić. Takie jest życie.

Villacampa żegna się z Renterem i Eleną. Komisarz zostaje jeszcze kilka minut, żeby z nią porozmawiać.

– I?

– To, co mówi, wydaje się sensowne, co jeszcze nie znaczy, że to prawda.

– Zapomnij o nim, Elena. Nie podnoś dywanu, kiedy nie chcesz wiedzieć, co pod niego zamieciono...

Rozdział 28

Normalnie Orduño wstałby rano o szóstej, żeby poćwiczyć przez godzinę, wykapać się, zjeść śniadanie i punkt ósma znaleźć się w biurze na ulicy Barquillo. Tym razem jednak zamarudził w łóżku z Mariną, przyniósł jej śniadanie, które wspólnie zjedli w pościeli, wziął tylko szybki prysznic i dotarł do BAC spóźniony piętnaście minut. Kiedy wszedł, inni już siedzieli na zebraniu.

– Dzień dobry, Orduño, jeszcze zdążyłeś – wita go Elena. – Wchodź, na pewno nam się przydasz.

Koledzy przejrzeni już jego raport, w którym streścił, co udało im się ustalić z Marrerem. Już wiedzą, że nie zdobyli żadnych konkretów. Nikt nie zapytał, jak mu poszło na Kanarach ani dlaczego opóźnił swój powrót o jeden dzień.

Elena dzieli się z nimi podejrzeniami – które zdają się potwierdzać – jakie nasunęły się Mariajo podczas oglądania filmu z egzekucji Aishy. Mówi o poleceniach z zewnątrz z instrukcjami, co należy zrobić dziewczynie, torturach zapoczątkowanych i niedokończonych.

– Yarum, czyli Casto Weyler, potwierdził, że są klienci, którzy mogą decydować o tym, co się stanie z dziewczyną, licytując w swego rodzaju nikczemnej aukcji. Ale poza tym powiedział mi, że największy zysk przynoszą zakłady.

– Jakiego rodzaju zakłady? – pyta Orduño.

– Nie wiemy. Ale podał nazwisko, które znamy już od dawna: Andoni Arístegui, Kortabarria.

Orduño nie czuje nic, choć spodziewał się, że ciarki przejdą mu po plecach: Kortabarria to jedyna osoba, której panicznie się boi.

Buendía z Eleną opowiadają nowym kolegom o sprawie, w której pojawił się Kortabarria. Było to kilka lat wcześniej, chodziło o sieć nielegalnych zakładów: wyścigi samochodowe pod prąd na szosie do

La Coruñi, ustawione mecze, ruletka, gry hazardowe, które czasem kończyły się śmiercią jakiegoś dłużnika...

– Pewien znany aktor był im winien pieniądze. Zepchnęli go z szosy do Burgos. W ramach ostrzeżenia, co może się stać, jeśli nie zapłacisz.

Organizatorem siatki był Andoni Arístegui, pseudo Kortabarria. Nazywali go tak, bo grał w piłkę nożną w drugiej lidze i chyba przypominał słynnego piłkarza Real Sociedad o tym nazwisku. Andoni musiał zrezygnować ze sportu ze względu na wadę serca. Od tamtej pory zajmował się zakładami.

– Wada serca była bardzo poważna. Kilka lat temu, kiedy się nim zainteresowaliśmy, już było dziwne, że jeszcze żyje. Widocznie nie myli się mądrość ludowa, gdy mówi, że złego lichy nie weźmie: wciąż działa i mąci – mówi Buendía.

– Orduño jako jedyny z nas poznał go osobiście – uzupełnia Elena.

– Jeśli chcesz, żebym przeniknął do środowiska tajnych zakładów, to moja odpowiedź brzmi: nie – mówi Orduño.

Wszystkich zaskakuje jego kategoryczny ton.

– Jeśli będzie trzeba, zrobisz to – odpowiada Elena.

– Nie. Nie zrobię tego po raz drugi. Dobrze wiesz, jakie problemy ściągnęło na mnie tamto śledztwo.

– Zyskałeś zaufanie Kortabarrii, najlepiej się do tego nadajesz.

– Nie zamierzam tego zrobić. Przykro mi, Elena, ale o sobie też muszę czasem pomyśleć.

– Odmawiasz wykonania rozkazu?

– Tak jest. Jeśli będę musiał opuścić brygadę, zrobię to.

– Skoro tak, to jeszcze dziś chcę widzieć twoje wypowiedzenie na moim biurku – ucina Elena ku zdumieniu wszystkich. – I niech wszyscy potraktują to jako ostrzeżenie. W brygadzie trzeba być do dyspozycji w stu procentach. Nie ma tu miejsca dla osób, które chcą pracować na pół gwizdka.

Dopiero później, sam na sam z Buendią Zárate dowiaduje się o tym, co zaszło kilka lat wcześniej. Orduño przeniknął do środowiska hazardzistów w Madrycie, poznał Andoniego Arísteguiego, odwalił kawał dobrej roboty, ale zapłacił za to słono: naprawdę wkręcił się

w hazard, który zamierzali zwalczyć, stracił oszczędności i pieniądze, które pożyczył, miesiącami myślał tylko o robieniu zakładów, póki Buendía nie zorientował się w sytuacji i nie pomógł mu się od tego uwolnić.

– Musiałem prowadzić go po psychologach, nawet zakwaterowałem go u siebie w domu, żeby mieć go na oku. Od tamtej pory Orduño nie gra, nie wrzucił choćby jednej monety do automatu.

– Na jego miejscu też nie chciałbym ryzykować. Nie wiem, czemu Elena tego nie rozumie.

– Możliwe, że nie wie, jak bardzo był uzależniony. Akurat wtedy... – Waha się, czy dokończyć, ale w końcu to robi. – To było wtedy, gdy zdarzyła się ta historia z jej synem.

Milczą przez chwilę, jak zawsze, gdy pojawia się duch syna Eleny. Zárate przypomina sobie jej bliźnię po cesarskim cięciu, która sprowokowała jego pytanie. Ten nieobecny syn ciąży na inspektor niczym wyrok. To trauma, która stopniowo oddala ją od otaczających ją ludzi, popycha ku samotności, ku autodestrukcji. A mimo to...

– Wiem, że to odcisnęło na niej ślad – postanawia to powiedzieć – ale to jeszcze nie powód, żeby zapomniała, że my też jesteśmy ludźmi.

– Elena, możemy pogadać? – Zárate nie zamierza szukać jej w barze z karaoke, nie chce odkładać na później tej rozmowy. Musi ją ostrzec, że popełnia błąd. – Nie możesz w ten sposób traktować ludzi.

– To elitarny oddział, wielu policjantów dużo by dało, żeby należeć do BAC. Nie ma tu miejsca dla tych, którzy nie wypełniają rozkazów albo którym się tu nie podoba. Zdarzało się to już wcześniej, mieliśmy już kolegów, którzy odeszli. Sam przecież poznałeś chociażby Marrera na Kanarach. To nic takiego, BAC działa nadal.

– Czy używasz brygady do swoich prywatnych celów?

Pytanie Záratego sprawia, że na kilka sekund Elena zamiera jak zmrożona. Trudno jej znaleźć właściwą odpowiedź, bo – być może przypadkiem – Ángel trafił w jej słaby punkt. Ledwie słyszy to, co

policjant mówi potem. Wspomina o jej synu. Czy to możliwe, że jego zniknięcie ma coś wspólnego z zachowaniem Eleny w ostatnich miesiącach? Jego słowa docierają do niej niczym bzyczenie uciążliwego owada, które postanawia uciąć za jednym zamachem.

– Wyjdź stąd, Zárate. I to już.

Rozdział 29

Chesca i Orduño piją piwo w Café de Belén. To dyskretny lokal w pobliżu biur BAC, tu mogą w spokoju porozmawiać. Chesca nie ma pojęcia, jak przekonać Orduña, żeby nie opuszczał BAC.

– Wiesz przecież, że Elena działa pod wpływem impulsów. Nie przejmuj się nią.

– Nie, Chesca, to coś gorszego. Elena traktuje nas, jakbyśmy byli elementami maszyny. Dla niej nie jesteśmy ludźmi. Całkiem zatraciła zdolność do empatii.

– Denerwuje się śledztwem, zrozum to.

– W życiu są ważniejsze sprawy niż śledztwo. Nie masz pojęcia, jak źle to wtedy przeszedłem, jeszcze nie było cię w BAC. Ale Elena wie. I bez wahania jest gotowa wystawić mnie na takie ryzyko, żebym ustalił jakiś bzdurny szczegół.

– To było dawno temu.

– Nie gram. Ale hazardzistą jest się do śmierci.

– Fakt, Elena potraktowała cię bardzo surowo – przyznaje Chesca.

Orduño opowiada o swoich upadkach, najgorszych momentach piekła, przez które przeszedł. Ma ochotę zwierzyć się jej ze swojego romansu z Mariną, który zaczął się w hotelu w Las Palmas i trwa dalej w Madrycie, pełen tego tajemniczego, magicznego blasku, jaki towarzyszy początkom relacji. Chciałby zrównoważyć swoje ponure opowieści o koszmarze uzależnienia od hazardu jakąś cieplejszą historią. Chętnie wyjawiłby z uśmiechem, że w tym momencie w domu czeka na niego Marina, że postanowił wymienić swój bilet lotniczy na późniejszy, żeby wracać razem z nią, bo miał już dosyć tego, że życie przecieka mu przez palce, bo znów jest szczęśliwy, czego nie czuł już niepamiętnych czasów. Ale w tym momencie nadchodzi Zárate. Orduño jest zły, że im przeszkodzi, wtargnie do tej świętej przestrzeni, jaką tworzy para przyjaciół wymieniających zwierzenia.

– Całe szczęście, że was znalazłem. Buendía powiedział mi, że pewnie tu jesteście.

– A nie powiedział ci, że chcemy być sami? – Chesca przyjmuje go wrogo.

– Przybywam z pokojową misją.

Jest pewien, że uda mu się nakłonić Elenę, żeby przemyślała zwolnienie Orduña. Rozmawiał już z nią i odniósł wrażenie, że owszem, jest wkurzona, ale także trochę żałuje tego, co zrobiła.

– Nie będę znów przenikał do sieci Kortabarii, nie zamierzam po raz drugi tego przechodzić – upiera się Orduño.

– Ja tam przeniknę – mówi Zárate.

– Ty nie znasz Kortabarii. Miałeś kiedyś styczność z tym środowiskiem?

– Przegrałem wiele kilogramów cieciorki z moim kuzynem, latem w Comillas. – Zárate próbuje żartować.

– Umiesz grać w pokera?

– Tak, w Texas Hold'em i Omahę.

– Gra w realu to nie to samo co w internecie.

– Chcę ci pomóc, Orduño. A Elena uznała to za dobry pomysł.

– Naprawdę?

Zárate kiwa głową. Chesca po przyjacielsku szturcha kolegę łokciem.

– Widzisz? Jednak ma jakieś uczucia.

Orduño uważnie patrzy na Záratego.

– Ostrzegam cię: o pieniądze gra się zupełnie inaczej niż o cieciorę.

Zárate przemierza Madryt w towarzystwie Cheski i Orduña. Tym razem to nie Carabanchel, poruszają się bardziej po centrum i północy. Orduño od lat trzyma się z daleka od środowiska graczy i niektóre miejsca już zniknęły, ale inne nadal działają: willa koło Alberto Alcocer, gdzie zwykle grają zawodowi piłkarze, aktorzy, przedsiębiorcy...

– To najbardziej wyrafinowane miejsce. Tutaj nie odwała się żadnych dziwnych numerów i nie tak łatwo się tam dostać. Ludzie przychodzą, grają i spłacają swoje długi. Raczej nie ma zadym: co

najwyżej czasem zjawia się jakaś łowczyni fortun, która próbuje się tu dostać w sprawach niemających nic wspólnego z hazardem. I niewiele poza tym.

Miejsce, gdzie Orduño najchętniej grał, jest zamknięte. To lokal przy Menéndez Pelayo, bardzo blisko Retiro, który dla niepoznaki działał jako szkoła pokera.

– Partyjki ludzi znających się na rzeczy, profesjonalistów, którzy stawiają się na turnieje. Czasem oskubią jakiegoś frajera, ale zwykle to dobre rozgrywki.

Przy Bravo Murillo, za Cuatro Caminos, w dzielnicy Tetuán znajdują się najgorsze miejsca: mieszkania, do których schodzą się najbardziej uzależnieni oraz ludzie pożyczający kasę i wykorzystujący zaślepienie graczy, żeby stawiali dalej, mimo że już skończyły im się pieniądze.

– Na pewno słyszeliście historie o takich, którzy przegrali mieszkanie, firmę lub nawet żonę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, ale jeśli takie historie gdzieś się zdarzają, to właśnie tutaj.

– A Kortabarria?

– Andoni nie ma jednego miejsca, organizuje rozgrywki mniej więcej raz na miesiąc. Nie każdy może przyjść, musisz być zaproszony i trzeba zapłacić wysokie wpisowe, powyżej stu tysięcy euro na rachunek bieżący. Poza tym inkasują pewną część za organizację imprez.

– Jak możemy się dowiedzieć, kiedy jest najbliższy termin?

– Wykonam kilka telefonów. Teraz idę do domu, czekają na mnie.

– Kto na ciebie czeka?

Orduño widzi, że się wygadał. Marina zajęła ważne miejsce w jego życiu, dziwi go, że nikt tego nie dostrzega, że przez skórę nie prześwitują mu emocje, a nawet chwile, które z nią dzieli. Ciekawość Cheski jest niepohamowana. Orduño zaczyna opowieść o swoim romansie dość nieśmiało, ciężko mu mówić przy Záratem na tematy osobiste, ale ostatecznie opowiada im wszystko.

– Nie wiem, czy to przez Marinę, czy przez rozmowę z Marrerem, na wyspach... Ale to otworzyło mi oczy. Spędzamy tyle czasu otoczeni najgorszymi przejawami ludzkiej podłości, że zapominamy,

że nie wszyscy są tacy. Co się dzieje z Eleną? Coraz trudniej rozpoznać w niej osobę, jaką kiedyś była. Pewnego dnia to samo stanie się z nami.

Rozdział 30

W trudnych dniach Elena odnajduje ukojenie jedynie w Cher's. Dziś są tam niektórzy z najlepszych wykonawców, a ona woli siedzieć w fotelu, słuchać ich, popijając swoją grappę i rozmyślając. Ma wrażenie, że zespół wymyka się jej z rąk, i to akurat teraz, kiedy najbardziej go potrzebuje: Chesca się stawia, Orduño jest gotów opuścić BAC, Zárate domaga się od niej wyjaśnień, których – choćby mu się należały – nie potrafi mu udzielić. Tylko Mariajo i Buendía poszliby za nią w ciemno. To najważniejsza sprawa w jej karierze, a ona zapędziła się w ślepy zaułek, nie wie, co dalej. Na dobitkę zamiast poszukać oparcia w swoich ludziach, odstrasza ich od siebie.

Widzi, że do lokalu karaoke wchodzi Zárate. Nie ma najmniejszej ochoty z nim gadać – w sumie to z nikim nie ma ochoty – ale zmusza się do zrobienia dobrej miny.

– Chcesz sobie pośpiewać? Wyglądasz na takiego, co lubi Camila Sesta¹².

– Nie możesz pozwolić, żeby Orduño odszedł. Przyszedłem o tym porozmawiać.

– Nikogo nie zmuszam, żeby był w brygadzie. Jeśli on nie ma na to ochoty, droga wolna.

– Jak to możliwe, że tak inteligentna osoba jak ty tego nie rozumie? Brygada to ludzie! Ty, Buendía, Mariajo i oni. Nie pozbywaj się lekką ręką takich osób, bo popełnisz jeden z większych błędów w życiu.

– Przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć? No to chyba możesz już iść.

– Jest coś jeszcze: jutro na zebraniu zaproponujemy, żebym to ja przeniknął do środowiska karciarzy Kortabarii, z pomocą Orduña. Mówię ci o tym, żebyś nie była zaskoczona i miała szansę sama to zaproponować jako własny pomysł. Dzięki temu wszyscy pomyślą, że o nich dbasz, że ci na nich zależy.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Ty tu jesteś szefową i będzie, jak zdecydujesz. Ale stracisz dobrego agenta, a być może także szacunek innych.

– Dzięki za rady. Mam nadzieję, że są gratis. A może powinnam zapłacić?

Wypowiada te słowa z goryczą. Przed odejściem Zárate wieńczy swe dzieło.

– Zostawiam cię samą, tak jak lubisz – mówi. – Aha, już powiedziałem Orduñowi i Chesce, że uprzedziłaś mnie o tym zadaniu. Więc nie wystaw mnie teraz do wiatru.

Tej nocy ciąży jej pusty dom. Nieobecność bliskich osób staje się niemal namacalna: Lucas, jej były mąż, nawet matka, której nie widziała już niemal od roku. Dawniej ktoś wypełniał tę przestrzeń, a teraz jest sama. Rzadko ma odwagę to robić, ale idzie w głąb mieszkania do pokoju, który należał do jej syna. Otwiera drzwi i zapala światło: zachowała go w takim stanie, w jakim go zostawił. Ciarki przechodzą jej po plecach na widok dziecięcych zabawek i ubrań. Poczucie pustki pęcznieje jeszcze bardziej. Myśli o kolegach. Byli także jej przyjaciółmi lub nawet kimś więcej, jak Zárate, a teraz ma wrażenie, że są zjawami, które powoli rozplývają się w powietrzu. Któregoś dnia przyjdzie do biur przy Barquillo, a tam też nikogo nie będzie. Wyjdzie na ulice Madrytu i będą całkiem puste, bez gwaru, bez chaosu głosów i dźwięków, dzięki którym czuje się jak w domu. Postanawia znieczulić grappą zawrót głowy wywołany tą otchłanią i w końcu zasypia na sofie w salonie. Zupełnie sama.

Następnego dnia rano Juanito jest w złym humorze. Łatwo to zauważyć: hałaśliwie odstawia talerze i filiżanki, włącza młynek do kawy, który pracuje, wydając przeszywające nieprzyjemne dźwięki, stawia na ladzie tosta z masą pomidorową i od razu odchodzi, daje jej szklankę wody bez lodu.

– No weź, Juanito, przecież lód macie gratis.

– Nic nie jest gratis, wszystko ma swoją cenę.

– To może w Rumunii, u nas lód w szklance z wodą jest za darmo. Co z tobą? Byłeś jedyną osobą, która się ze mną nie pokłóciła w tym

tygodniu.

– Nie chodzi o ciebie, tylko o mojego szefa, który jest palantem.

Juana, szefa Juanita, trudno uznać za najmilszego restauratora w Hiszpanii. Czasem się wita, innym razem nie, równie dobrze może się drzeć na swoich kelnerów, co pojechać do Rumunii, żeby wziąć udział w ich weselu lub zostać ojcem chrzestnym dziecka i pomóc w wyrobieniu papierów, żeby nie mieli problemów. Elena uważa go za człowieka szorstkiego, ale w gruncie rzeczy dobrego.

– Czym ci podpadł?

– Wszystko musi być tak, jak on powie. Chociażby nie miał racji. To ja sterczę co rano przy barze. Kto lepiej ode mnie może wiedzieć, czego chcą klienci? Ale gdzie tam, on w koło swoje, świątek czy piątek.

Elenę fascynuje znajomość najbardziej archaicznych wyrażeń u Juanita: świątek czy piątek.

– Coś pani powiem, pani inspektor, dostałem propozycję objęcia własnego baru w Pueblo Nuevo. Jak dalej będzie mnie wkurzał, rzucę to. Jeszcze za mną zatęskni.

Wyprowadzając ładę z garażu i w drodze na ulicę Barquillo, Elena myśli o Juanie, Juanicie i barze w Pueblo Nuevo. Juanowi, i jej także, na pewno bardzo brakowałoby Juanita. Ma nadzieję, że szef nie popełni tego błędu i nie pozwoli mu odejść. Życzy jak najlepiej swojemu ulubionemu kelnerowi, ale nie miałaby już gdzie jeść śniadań. Kolejne puste miejsce w życiu. Wie dobrze, że ta sytuacja nie różni się aż tak bardzo od tego, co sama robi ze swoimi ludźmi.

– Był u mnie wczoraj Zárate i zaproponował, że to on przeniknie do środowiska hazardzistów. Powiedział mi, że ty mu pomożesz, Orduño. To nie był mój pomysł, ale przekonał mnie, więc postaramy się tak zrobić. Wrzuciłam twoją rezygnację do niszcarki.

Nikt się nie odzywa, jak gdyby nie było nic dziwnego w tym, że inspektor Blanco zmieniła zdanie, ale na wszystkich twarzach maluje się wyraźna ulga.

– Mamy szczęście – oświadcza Orduño, omijając drażliwy temat. – W czwartek, czyli jutro, Kortabarría urządza rozgrywki.

– Możemy sprawić, żeby mnie zaprosił? – natychmiast chce wiedzieć Zárate.

– Uzyskanie zaproszenia jest proste, to turniej za taką kasę, że nie będą robili specjalnych problemów nikomu, kto ją ma. Chodzi o sto pięćdziesiąt tysięcy euro. Trzeba je wpłacić i czekać na podanie miejsca rozgrywek.

– Skąd weźmiemy sto pięćdziesiąt tysięcy euro? – stawia zasadnicze pytanie Elena.

– Przeniknięcie do największej sieci nielegalnych gier w Madrycie nie jest proste, albo wykładasz kapuchę, albo nie załapiesz się tam nawet na kelnera.

– No dobrze, załóżmy, że załatwimy tę kasę. Co wtedy?

– Nie wiem, trzeba to przemyśleć – przyznaje Zárate. – Poker nas nie interesuje, ale musimy się tam dostać, żeby zaprosili nas na zakłady innego rodzaju.

To nic pewnego. Do jakiego stopnia można ufać Castowi Weylerowi? To on zasugerował, że trzeba zacząć od Andoniego Arísteguiego, żeby znaleźć dojscie do Purpurowej Sieci, ale to wciąż jedynie słowa aresztowanego, człowieka, który zarabia na życie, sprzedając bilety na egzekucje i tortury młodych dziewczyn. Tylko jedno skłania inspektora do podjęcia ryzyka, mimo że nie ma wszystkiego pod kontrolą: jeśli naprawdę Kortabarria doprowadzi ją do serca Purpurowej Sieci, zapewne wskaże jej również drogę do Lucasa i być może uda jej się zapobiec śmierci innych dziewcząt takich jak Aisha. Oby nie było już za późno dla Aurory.

– Przemyślcie operację – zgadza się. – Ja biorę na siebie kwestię pieniędzy.

Rozdział 31

Nie tak łatwo spotkać się z Renterem, jeśli to nie on wyznacza spotkanie. Elena musi czekać prawie pół godziny, zanim sekretarka pozwoli jej do niego wejść. Nie przypomina sobie, żeby – od czasu gdy jej szef zajmuje ten gabinet – kiedykolwiek odwiedziła budynek przy ulicy Miguela Ángela w dwóch kolejnych tygodniach.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy euro, żeby zagrać w pokera? Chyba oszalałaś – bulwersuje się Rentero.

– Nie po to, żeby zagrać w pokera, tylko po to, żeby przeniknąć do bandy, która organizuje tajne rozgrywki, a podejrzewamy, że również uczestniczy w torturach Purpurowej Sieci. Prawdopodobnie to za ich pośrednictwem podejmowane są decyzje, co się stanie z ofiarami.

– Tak, bardzo pięknie, jednak za te sto pięćdziesiąt tysięcy euro będzie się grać w pokera.

– Masz zarezerwowane środki.

– Oglądasz za dużo telewizji. Nie, nie ma środków, z których można by zaczerpnąć te pieniądze na zakłady. Odpowiedź brzmi nie. I nie nalegaj.

– Nie możesz żądać ode mnie wyników, jeśli nie dajesz mi narzędzi do ich osiągnięcia.

– Gdyby to nie było absurdalne, zaproponowałbym ci, byś poszła do gabinetu ministra i mu o tym opowiedziała. Jestem pewien, że dałby ci pieniądze z własnej kieszeni – atakuje jej pomysł Rentero.

W rodzinie Eleny praca w policyjnych szeregach nie należy do tradycji, nie było wśród jej członków żadnego policjanta, dopóki ona, ku ogólnemu oburzeniu, nie wybrała sobie tego zawodu. Za to do tradycji należy posiadanie pieniędzy – Elena jest jedyną spadkobierczynią dwóch rodów, które od wieków mają wszystko, czego tylko zapragną. Rodzina Blanco posiada udziały w wielkim

banku – jej ojciec do śmierci był członkiem jego rady nadzorczej – i w dużych firmach z grupy IBEX 35. Matka wywodzi się z rodziny posiadaczy ziemskich, która w ostatnich dekadach zamieniła wiele ze swoich posiadłości rolnych na mieszkania w centrach najważniejszych miast. Elena zawsze szczyliła się tym, że utrzymuje się z własnej pracy. Jediną spuścizną, z której skorzystała, jest mieszkanie po babci przy plaza Mayor. Nie interesuje się pieniędzmi, które napływają do niej z inwestycji: idą do banku, którego pracownicy zajmują się ulokowaniem ich w akcjach, papierach wartościowych, nieruchomościach czy czymkolwiek innym. Ona nigdy nie wypłaca z tych kwot ani grosza.

– Sto pięćdziesiąt tysięcy euro? Tak, oczywiście, że dysponuje pani tą kwotą, pani Blanco. Możemy wypłacić od ręki w gotówce, ale zajmie nam to co najmniej godzinę.

W prywatnym banku – jej oddział znajduje się przy ulicy Serrano, bez tabliczek przy wejściu – zadowolenie klienta stanowi priorytet. Przy wejściu minęła się z młodym chłopakiem, którego twarz wydała jej się znajoma; teraz, podczas rozmowy z dyrektorem, uświadomiła sobie, że to ważny piłkarz z hiszpańskiej reprezentacji, który gra w Barcelonie, ale najwyraźniej inwestuje w Madrycie.

– Nie, nie chcę ich w gotówce, chcę, żeby zostały przelane na konto, którego jeszcze nie mogę panu podać. Prawdopodobnie w bitcoinach. To możliwe?

– Wszystko jest możliwe.

Kryptowaluty stały się rzeczywistością i banki nie chcą się odwracać od tego nowego interesu. Jak zawsze rolę pionierów wzięły na siebie instytucje szwajcarskie, takie jak bank Maerki Baumann, ale inne szybko poszły za ich przykładem. Dyrektor wzywa do gabinetu specjalistę od bitcoinów, który ma wyjaśnić Elenie, jak zostanie przeprowadzona transakcja. Inspektor ledwie rozumie techniczne szczegóły i słucha w milczeniu, gdy ostrzegają, że od momentu przewalutowania nie będzie już możliwe śledzenie przepływu tych środków. Po raz pierwszy Elena używa swoich prywatnych pieniędzy w służbowej operacji, ma nadzieję, że na coś się to przyda.

Orduño i Zárate zamknęli się razem w jednym z pokoi w siedzibie BAC. Gdyby ktoś ich zobaczył z talią kart i żetonami, na pewno nie domyśliłby się, że właśnie pracują, że przygotowują się do akcji, w której zaryzykują prawdziwą fortunę w nielegalnej rozgrywce.

– Przypuszczam, że już słyszałeś o tym, co zawsze się powtarza, że jeśli po dziesięciu minutach gry nie ustaliłeś, kto w tej rozgrywce jest frajerem, powinieneś zacząć się martwić, bo to znaczy, że frajerem jesteś ty.

– Niezłe – śmieje się Zárate.

– Ale na nic ci się nie przyda. W jutrzejszej rozgrywce ty będziesz frajerem i wszyscy natychmiast się w tym zorientują. Postaramy się tylko, żeby nie oskubali cię za szybko. Poker to gra strategiczna, nie chodzi w niej o szczęście.

– No ale musisz też dostać dobre karty.

– To drugorzędne. Musisz rozegrać jak najlepiej karty, które dostaniesz. To, czy wygrasz czy przegrasz, zależy od tego, co zrobią inni. To, czy grasz dobrze czy źle, już nie. Kiedy dostaniesz karty, musisz oszacować swoje możliwości, zorientować się, jak obstawiają inni, kiedy blefują... A przede wszystkim nikt nie może wiedzieć, czy jesteś zadowolony ze swoich kart, trzeba ukrywać emocje.

– Pokerowa twarz. No dobra, gramy?

– Jeszcze jedno. Nie wkurzaj się, pod żadnym pozorem. Jeśli się wkurzysz, najlepsze, co możesz zrobić, to wstać od stolika i zrobić sobie drinka. Granie w złości to najprostszy sposób, by przegrać wszystko, włącznie z koszulą, którą masz na grzbiecie.

Przez kolejne godziny, kiedy inni zajmują się przelaniem pieniędzy na wskazany rachunek, oczekiwaniem na podanie miejsca rozgrywek i przygotowaniem operacji tak, by mogli śledzić wszystko, co się wydarzy, Orduño i Zárate niestrudzenie rzną w karty.

– Elena! Mam adres rozgrywek – ogłasza Mariajo.

Zbierają się wokół biurka hakerki. Na ekranie jej komputera widać zdjęcia starej willi w El Plantío, niedaleko alei Victoria, za torami, na wysokości szosy do Monte del Pilar.

– Dla nas to dobra lokalizacja. Będziemy mogli rozstawić się w pobliżu, nie budząc podejrzeń.

– Zawiadom naszych hazardzistów. Działamy.

Rozdział 32

Jak bardzo zmieniło się jego życie w przeciągu zaledwie kilku dni: Orduño nie może się doczekać powrotu do domu. Jeszcze w zeszły piątek, kiedy poleciał do Las Palmas, myślał, że najważniejszą rzeczą na świecie jest BAC, cieszył się, kiedy Chesca po pracy wyciągała go na piwo, chodził na siłownię, często brał do domu jakieś papiery, żeby przejrzeć je na spokojnie i odnieść rano z notatkami, dobrze przestudiowane. W dniach, kiedy nie umówił się z żadną kobietą przez jakąś apkę, jego jedyną rozrywką było oglądanie telewizji, najlepiej serialu kryminalnego. Próbował nie dopuszczać do świadomości tego bólu, który w nim wzbierał, rosnącej potrzeby uwolnienia się z błędnego koła pracy. Jednak teraz pragnie wrócić do swojego mieszkania, chce, żeby Marina powitała go pocałunkiem.

Przez cały dzień wysyłali sobie liczne wiadomości na WhatsAppie, rozmawiali kilka razy. Zadzwoił do niej po wyjściu z biura i nie odebrała, może akurat udzielała lekcji boksu, pilatesu czy czegoś podobnego, musi się nauczyć jej rozkładu dnia, żeby jej nie przeszkadzać i nie męczyć... Dzisiaj poszła do swojego mieszkania, chciała wziąć trochę ubrań, kosmetyków... Kiedy wylądowali w Madrycie, pojechali prosto do Orduña. Od tamtej pory mieszkała u niego przez cały czas, nie planując zbyt wiele ani o nic nie pytając.

Musiałyby być bardzo naiwne, żeby nie mieć żadnych wątpliwości co do Mariny. Zawsze nosi na rękach kolorowe bransoletki, bardzo dużo, ze skóry, z materiału, nigdy ich nie zdejmuje... W nocy, gdy spali, przesunęły się jej do góry i mógł zobaczyć, że nie używa ich jedynie dla przyjemności, lecz po to, by zasłoniły charakterystyczne blizny na nadgarstkach. Wówczas pomyślał o swoim pierwszym wrażeniu w samolocie: przecuciu, że ona przed czymś ucieka. Nie zapytał jej o to ani nie zamierza pytać. Kiedyś sama mu opowie, jeśli zechce. On też nie powiedział jej wszystkiego, nie wyjawiał, że był

uzależniony od gier. Zrobi to, ale jeszcze nie teraz... kiedy przyjdzie właściwy moment.

Wczoraj musiał pójść z Chescą i Záratem, żeby zobaczyli, gdzie są lokale, w których organizuje się sesje gier, miejsca, które kiedyś poznał tak dobrze, i wrócił do domu później, dlatego teraz ma wielką ochotę zobaczyć Marinę. Nie zrobił tego ze względu na brygadę, lecz dla kolegów. Zanim poprzedniego dnia wyszedł do domu, zostawił na biurku inspektor Blanco swoją rezygnację, ale ona dziś ją podarła. Ucieszył się, wie jednak, że to coś tymczasowego, nie zostanie tu już długo, bez stałych godzin pracy, bez dni wolnych... Kiedy skończą tę sprawę, jeszcze raz napisze wypowiedzenie i się nie cofnie, będzie niezłomny.

Kiedy jedzie metrem do domu – woli nie brać własnego auta – targa nim jakiś dziwny niepokój. Spędził całe popołudnie, grając w pokera z Záratem. Chociaż nie stawiali pieniędzy, znów poczuł te emocje, gdy chciał go wyprowadzić w pole lub zdemaskować jego blefy, gdy czekał z niecierpliwością na sprawdzenie kart, żeby się przekonać, czy jego zagranie było lepsze niż przeciwnika. Wiele wycierpiał z powodu hazardu, ale musi przyznać, że go to fascynuje. Nie ma nic bardziej emocjonującego niż ta chwila, kiedy kulka ruletki już, już ma się zatrzymać na numerze, lub moment tuż przed odkryciem kart. Nawet nie potrafi sobie wyobrazić, co musi czuć przed pociągnięciem za spust ktoś, kto gra w rosyjską ruletkę, jak na tamtym filmie, który kiedyś widział, o grupie przyjaciół, Amerykanów, na wojnie w Wietnamie. Intryguje go to, ale wie na pewno, że nigdy tego nie spróbuje.

Musi na nowo poukładać sobie życie, znaleźć czas na sport, chwile wypoczynku z Mariną, postarać się, by praca zajmowała racjonalną część dnia, a nie wypełniała wszystkiego.

– Cześć, już jestem – ogłasza.

Nikt nie wychodzi mu na spotkanie. Nie powtarza się scena z wczoraj, na którą czekał, gdy Marina wybiegła z salonu i wskoczyła na niego, oplatając go nogami, żeby wziął ją na ręce, pocałował, przytulił, nie może znów zobaczyć jej uśmiechu ani oczu, które teraz podobają mu się bardziej niż cokolwiek innego na świecie, które zajęły miejsce w jego sercu należące kiedyś do brygady. Na lodówce

pryczepiła dla niego karteczkę z wiadomością: „Nie mogłam do Ciebie zadzwonić, bo zgubiłam komórkę, a nie znam na pamięć Twojego numeru. Musiałam zostać u siebie, bo przyjeżdża moja koleżanka, która nie mieszka w Madrycie. Jutro pogadamy. Kocham Cię, kocham, kocham...”

Przynajmniej wyznaje mu miłość, co pociesza go po rozczarowaniu wywołanym tym, że nie zastał jej w domu, że nie zobaczy jej tego wieczora. Jeszcze raz wybiera jej numer, na wypadek gdyby się okazało, że szczęśliwie znalazła komórkę, ale odzywa się automatyczna sekretarka. Teraz rozumie, czemu nie odebrała, gdy dzwonił przed wyjściem z biura, by uprzedzić, że wkrótce będzie w domu.

Zagląda do lodówki, jest pusta. Była pusta, jeszcze zanim wyjechał do Las Palmas, a ani on, ani Marina nie znaleźli czasu, żeby pójść na zakupy. Będzie musiał zejść na kolację do baru na rogu.

Kiedy je kawałek tortilli – to najlepsze, co tam mają – słyszy odgłosy automatów do gry. Puszczą je mimo uszu, jak przyzwyczał się robić w ostatnich latach. Prosi o rachunek, dostaje resztę, a w niej kilka monet po euro. Nic się nie stanie, jeśli wrzuci je do maszyny, w ten sposób pozbędzie się myśli, że grał w pokera bez pieniędzy przez cały dzień...

Rozdział 33

Elena wzywa Chescę do swojego gabinetu. Młoda agentka wie, o co ją zapyta: o Orduña. Tego ranka się nie pojawił, dzwoniли do niego, ale nie odebrał telefonu. To nie jest normalne, jest czwartek, dzień rozgrywki Andoniego Kortabarii i mają ważną operację w toku. Jeśli ktoś może pomóc Záratemu, doradzać mu i opowiedzieć o Basku, to właśnie Orduño.

– Nie wiem, gdzie się podziewa – zapewnia zaniepokojona Chesca. – Ja też do niego dzwoniłam kilka razy. Nagrałam mu się parę razy, ale nie odpowiada.

– Coś się z nim dzieje?

Chesca nie chce zdradzać kolegi, ale czuje, że coś jest nie tak, że powinna powiedzieć Elenie to niewiele, co wie.

– Orduño poznał podczas podróży do Las Palmas pewną kobietę.

– I?

– Sądzę, że postanowił odmienić swoje życie – dodaje z miną, jakby chodziło o głupstwo.

– Do Las Palmas pojechał w ostatni weekend. Czy to nie za szybko, by brać się za odmienianie życia? No cóż, każdy ma swoje tempo. Postaraj się go zlokalizować.

Początek rozgrywek wyznaczono na dziesiątą wieczorem. Sześć godzin wcześniej, o czwartej po południu, zbiera się cała Brigada de Análisis de Casos, z wyjątkiem Orduña, który się nie pojawił, by domknąć operację.

– Mamy dwie białe furgonetki bez żadnych oznaczeń zaparkowane niedaleko tego domu, ze wszystkimi systemami podsłuchowymi w środku. Jedna stoi dokładnie na ulicy Victoria, druga na parkingu restauracji El Descanso. Obie czekają na sygnał od Záratego, dzięki czemu będziemy mogli działać w zależności od rozwoju sytuacji.

– Będę miał przy sobie mikrofon? – pyta z obawą policjant. – Mogą mnie nakryć.

– Będziesz miał taki, którego nie znajdą, choćby sprawdzili cię detektorem do elektroniki – wyjaśnia Buendía. – Są małe, produkują je w Izraelu. Oficjalnie ich nie mamy, używa ich tylko Mosad i CIA.

– Lecz choć ich nie mamy, to je mamy. – Mariajo się uśmiecha.

– Nie ma to jak dobre kontakty. Mikrofon będzie ukryty w guziku koszuli. Jego sygnał możemy odebrać w promieniu do pięciuset metrów.

– Mam nadzieję, że się nie mylicie i rzeczywiście jest nie do wykrycia – wzdycha Zárate.

– Jeśli wolisz iść uzbrojony...

– Nie, za broń dziękuję, chcę tylko zagrać w pokera i zdobyć zaufanie Kortabarrii. Nie zamierzam pakować się w żadne kłopoty ani z nikim walczyć, nic z tych rzeczy... Zagram w pokera i postaram się coś wygrać, tylko tyle.

– W porządku – zgadza się Elena. – Przygotowali ci nową tożsamość?

– Tak. – Mariajo kładzie na stole teczkę. – Nie zmienialiśmy nazwiska, żeby uniknąć pomyłek. Ángel Zárate, biznesmen, zajmuje się organizacją podróży dla emerytów, wycieczek do Monasterio de Piedra, do katedry w Santiago de Compostela, Benidormu i tym podobnych miejsc.

– Da się na tym zarobić tyle, żeby mógł sobie pozwolić na takie rozgrywki?

– Nawet sobie nie wyobrażasz ile. Postawić sto pięćdziesiąt tysięcy euro to dla niego drobiazg.

– Aby zapewnić mu więcej pretekstów do zaprzyjaźnienia się z naszym obiektem zainteresowania, wymyśliliśmy, że Zárate także grał kiedyś w piłkę, choć nie zaszedł tak daleko jak on. Szczytowym punktem jego kariery były rozgrywki młodzików Moscardó, w drużynie z Colonia Moscardó, w dzielnicy Usera, tutaj, w Madrycie. Mają takie stroje jak Atlético de Madrid, tylko że z niebieskimi getrami.

– Przystudiowałem to dokładnie, znam nawet hymn klubu – zapewnia z uśmiechem Ángel.

Pokazują Elenie zdjęcie Záratego w stroju Moscardó.

– Wygląda wiarygodnie – akceptuje.

– Jest prawie prawdziwe, to naprawdę ja, zmienili tylko kolor stroju. Grałem w drużynie policyjnej, kiedy byłem w Akademii. Ale szło mi beznadziejnie.

– Nawet nie wiedziałam, że mamy drużynę. Jedno mnie martwi... – ciągnie Elena – ...skoro masz taką kasę i lubisz pokera na tyle, żeby w jedną noc przegrać sto pięćdziesiąt tysięcy euro, jak to możliwe, że żaden z graczy cię nie zna?

– W tym punkcie musimy polegać na mojej zdolności przekonywania i ufać, że łykną moją historyjkę. Nie grałem, bo kiedy braliśmy ślub, obiecałem żonie, że nie będę tego robił. A teraz się rozwiedliśmy. Dotrzymałem słowa, póki byliśmy razem, obecnie jestem z niego zwolniony.

– Mnie byś nie przekonał.

– Ty jesteś inteligentną kobietą, policjantką... Miejmy nadzieję, że Andoni Arístegui nie będzie taki bystry.

– Jeśli stoi na czele takiego biznesu, to różne rzeczy można o nim powiedzieć, ale głupi raczej nie jest.

– Ja wierzę w moją historię i jestem przekonany, że potrafię każdemu ją wcisnąć.

– No dobrze, zostawmy to. Teraz zajmijmy się najgorszym, na wypadek gdyby sytuacja się skomplikowała.

Mariajo wyjmuje kolejną teczkę, pełną planów okolicy i domu, w którym odbędą się rozgrywki.

– Jeśli zajdzie potrzeba, żebyśmy wkroczyli do akcji, możemy liczyć na wsparcie GEO, będą czekali, odpowiednio zamaskowani, w odległości mniejszej niż kilometr, w Międzynarodowym Klubie Tenisowym. Od chwili, gdy ich wezwiemy, dotrą na miejsce rozgrywek z całym swoim arsenałem w ciągu maksymalnie czterech minut.

– Dobrze – a probuje inspektor Blanco. – Przystudowali plan domu?

– Mają go od wczoraj. Przed zebraniem powiedzieli nam, żebyśmy się nie przejmowali, że mogą tam wejść bez problemu, chociażby dostępu do willi bronił oddział komandosów.

– Uwielbiają przesadzać. Wygląda na to, że wszystko w porządku, przygotujmy się. Zárate, chodź do mnie do gabinetu, musimy porozmawiać na osobności.

Zárate wie dobrze, że nie powinien zgrywać bohatera, a jeśli tego wieczora pojawi się jakaś przeszkoda, musi powstrzymać się od działania.

– Nie martw się. Nie mam skłonności do męczeństwa.

– Mam nadzieję. W sumie nie interesują nas pokerowe turnieje, tylko inne zakłady, te, które się wiążą z Purpurową Siecią. Takie, gdzie stawia się grubą kasę na eventy, które ich zdaniem naprawdę się liczą.

– Mówiłem ci już wcześniej: moim jedynym celem tego wieczoru jest grać w karty i wygrać. Naprawdę wyłożyłaś własne pieniądze?

– To bez znaczenia.

– Postaram się, żebyś nie straciła za dużo...

Elena zostaje sama. Nie chce go pochopnie osądzać i da mu okazję, żeby się wytłumaczył, jednak pozostaje faktem, że w dniu najważniejszej w ostatnim okresie operacji BAC jeden z jej ludzi, Orduño, nie stawiał się w pracy.

Rozdział 34

Członkowie BAC nie mogą życzyć mu powodzenia przed wejściem do domu, w którym odbędzie się turniej, bo już na dwie godziny przed jego przybyciem na miejsce ukryli się w furgonetkach. Zárate ma na sobie džinsy, białą koszulę, w której jeden z guzików został zastąpiony izraelskim mikrofonem, i amerykańską marynarkę. Wypróbował mikrofon – działa bez zarzutu. Przystanął, żeby się przywitać, gdy wysiadł z auta, na kilka metrów przed wejściem do budynku.

„Dobry wieczór. Zaczynamy. Trzymajcie za mnie kciuki”.

Wszyscy słyszą odgłos otwieranych drzwi, przyjmuje go jakaś kobieta.

„Pańskie nazwisko?”

„Ángel Zárate”.

„Proszę wybaczyć, panie Zárate, musimy potwierdzić pańską tożsamość”.

Domyślają się, że Zárate pokazuje swój dowód, żeby sprawdzili, czy jest na liście zaproszonych.

Choć nie zmienili mu nazwiska, dokument nie jest prawdziwy. Został jednak przygotowany przez samą policję: nie da się odkryć fałszerstwa.

„Proszę. Dziękuję” – znów rozlega się kobiecy głos. „Musimy sprawdzić, czy nie ma pan przy sobie broni ani aparatów podsłuchowych. Proszę...”

Na kilka sekund wszyscy wstrzymują oddech. Nadszedł moment, w którym się przekonają, czy te tysiące euro zapłacone izraelskiej firmie sprzedającej mikrofony zostały dobrze zainwestowane.

„Bardzo dziękuję, panie Zárate, może pan wejść”. W furgonetce wszyscy oddychają z ulgą. „Życzę panu, żeby karta dobrze szła. I miłej zabawy”.

Dziewczyna, która powitała go w drzwiach, była prawdziwą pięknoscią, bez wątpienia mogłaby startować w konkursie na miss Hiszpanii, jednak następna, która do niego podchodzi, wcale nie ustępuje jej urodą.

– Panie Zárate, oto pańskie żetony. Może pan je wymieniać bezpośrednio przy stolikach.

Wręcza mu dwanaście kwadratowych żetonów w czerwonym kolorze, każdy o wartości dziesięciu tysięcy euro. Kwota, jakiej brakuje do stu pięćdziesięciu tysięcy, które wpłacili na konto, to prowizja organizatorów – kolejne trzy żetony, trzydzieści tysięcy euro. Za te pieniądze ma dostęp do tego wszystkiego, co tu widzi: turnieju, drinków, bufetu na stole, a może nawet i do pięknych dziewcząt i chłopców, którzy im usługują. Jeden z nich podchodzi do niego.

– Napije się pan szampana, panie Zárate?

– Poproszę.

– To Louis Roederer Cristal, mam nadzieję, że będzie panu smakował.

– Louis Roederer Cristal? Niektórzy to mają farta – komentuje Mariajo w furgonetce. – Jestem pewna, że gdybym to ja miała przeniknąć do jakiegoś środowiska, uraczyliby mnie trunkiem z kartonu.

Wszyscy śmieją się z żartu. Mają za sobą ciężki dzień: stres związany z operacją, ostatnie przygotowania, nieobecność Orduña...

– Wiele bym dała, żeby widzieć to, co Ángel – wzdycha niecierpliwie Elena. – Zzerają mnie nerwy, kiedy słyszę to wszystko, a nic nie mogę zobaczyć. Dlaczego Izraelczycy nie wymyślą drugiego guzika z kamerą?

– Na pewno już wymyślili. Inna sprawa, czy nas na niego stać – odzywa się Buendía, który siedzi w innej furgonetce.

Zárate widzi luksusowy, bardzo duży salon z dwoma stołami do gry. Przy obu już ktoś siedzi – niektóre osoby zna z telewizji: to aktorzy, piosenkarze, sportowcy – rozmawiają spokojnie z krupierami, ale gra jeszcze się nie zaczęła. W kilku miejscach salonu stoją fotele, jest też

bar, gdzie może zamówić, co zechce, oraz stół z bogatą ofertą przekąsek: kanapkami, serami, szynką... Każdego z czterech wejść do pokoju pilnuje dwóch facetów wielkich jak szafa. W sumie ośmiu ochroniarzy – można przypuszczać, że mają broń. Na zewnątrz jest ich pewnie drugie tyle. Zárate nie wie, czy zapewnienia GEO, że wejdą tu bez problemu, nie były przechwałkami na wyrost. Lepiej, żeby wszystko poszło gładko i żeby nie musieli tego sprawdzać.

– Pan Zárate? Jest pan jedynym graczem, którego nie znam. Nazywam się Andoni Arístegui. Wszyscy mówią na mnie Kortabarria.

– Jak ten piłkarz z Realu?

– Podobno go przypominam i miałem podobny styl gry, ale szybko musiałem zakończyć karierę. Interesuje się pan futbolem?

– Bardzo, ale grałem tylko w młodzikach, w Mosce.

Zárate stara się ukryć swoje zainteresowanie rozmową z Kortabarrią. Arístegui jest gruby, trudno sobie wyobrazić, że kiedyś wychodził na boisko w krótkich spodenkach. Organizator turnieju sapie głośno i uśmiecha się na dźwięk nazwy Moscardó.

– To legenda madryckiego futbolu, cieszę się, że mogę pana poznać. Na pewno uda nam się jeszcze porozmawiać tego wieczoru.

– Z wielką przyjemnością.

– Powodzenia w kartach, niech się pan dobrze bawi.

Zárate niemal słyszy westchnienie ulgi, które przerywa ciszę w furgonetce. Pierwszy kontakt z interesującym ich obiektem ma już za sobą i nieźle sobie poradził. Jedno zadanie mniej z planu przewidzianego na tę noc.

– Siądzie pan do gry? – zwraca się do niego inny gracz. Nie rozpoznaje go, pewnie to jakiś biznesmen, ma na rękę imponującego złotego rolexa.

– Po raz pierwszy jestem na takim turnieju, wolę najpierw trochę się rozejrzeć. Nie chcę, żeby mnie za szybko oskubali.

– Bardzo słusznie, trzeba zachować ostrożność. Ale niech pan pamięta, że przyszedł się pan tu zabawić, więc proszę nie rozmyślać za długo. Można zacząć powolutku, kroczyć po kroczeniu. Mnie, jeśli mam być szczery, wszystko jedno, czy wygram czy przegram. Liczy się zabawa, jak mawiali w *Un, dos, tres*¹³...

Po dwóch godzinach przysłuchiwania się krupierom, okrzykom graczy i komentarzom, bez możliwości zajrzenia w karty i wiedzy, czy Zárate wygrywa czy przegrywa, wartowanie w samochodach staje się nudne. Chętnie wysiedliby, żeby rozprostować kości, ale nie mogą tego zrobić, żeby nikt nie zobaczył, że jacyś ludzie są w furgonetkach, i nie zaczął się zastanawiać, co tam robią.

– Cholernie chce mi się sikać – jęczy Chesca.

– Proszę bardzo, zabraliśmy nocnik. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to odwrócić wzrok – proponuje Buendía.

Zárate też wstaje od stolika i mówi hostessie, że idzie do łazienki. Ona informuje o tym jednego z mężczyzn pilnujących drzwi, a ten odprowadza go i staje przed wejściem, czekając, aż wyjdzie. W środku Ángel odzywa się do mikrofonu.

„Wiecie co? Gra w karty jest nudna, ale na razie wygrałem siedem tysięcy euro”.

– Idiota! – woła Elena. – A co, jeżeli oni też mają mikrofon w łazience?

Inspektor ma rację, ale nie mogą ostrzec Záratego, pozostaje im jedynie modlić się, żeby nie powtórzył błędu i żeby ludzie Kortabarrii nie mieli podsłuchów w budynku.

Kiedy Zárate wraca do salonu, cały czas w eskorcie ochroniarza, zaczepia go gospodarz, Kortabarria.

– Słyszałem, że pan wygrywa.

– Tyle co nic, siedem tysięcy euro.

– Wielu ludzi nie zarabia tyle przez miesiąc – śmieje się Bask.

– To prawda. A pan nie gra?

– Nie dziś, dzisiaj muszę tu uważać na wszystko. Napije się pan? Julio, nasz barman, robi najlepszy gin z tonikiem w Hiszpanii, jak u Dickensa¹⁴ w Donostii.

– Takiej okazji nie mogę przepuścić.

Podchodzą do baru. Na ten moment czekali wszyscy w furgonetkach, przyszła pora, żeby Zárate zaskarbił sobie zaufanie gospodarza i uzyskał jak najwięcej informacji.

– Julio, nalej panu Ángelowi gin z tonikiem. Dla mnie pół porcji, bo nie chcę się upić. Jeśli siada pan od razu do stolika, zaniósł panu

tam drinka – proponuje Kortabarria swojemu gościowi.

– Nie, wolę chwilę odetchnąć. – Zárate korzysta z okazji do rozmowy. – Podoba mi się ten trend na pół porcji ginu z tonikiem.

– Na aperitif to najlepsza sprawa. Proszę powiedzieć, czym się pan zajmuje?

– Mam biuro podróży.

– Wygląda na to, że nie najgorzej panu idzie. A ja myślałem, że teraz wszyscy kupują bilety lotnicze przez internet.

– Specjalizuję się w wycieczkach dla dziadków: to żyła złota, drogi panie...

– Cieszę się, że są jeszcze jakieś biznesy, które prosperują.

– Na swój chyba nie może pan się skarżyć. Jest nas tu dwunastu graczy, po trzydzieści tysięcy prowizji od każdego, to jeśli się nie mylę, trzysta sześćdziesiąt tysięcy w jeden wieczór. Nawet na wycieczkach dla staruszków nie zarabia się tak dobrze.

– Jest sporo kosztów: kelnerzy, ochrona, krupierzy, szampan bez limitu...

– Niech pan nie narzeka. Zresztą na pewno ma pan też inne, jeszcze bardziej dochodowe interesy... Karty to dobra inwestycja, ale przecież można obstawiać wiele innych rzeczy.

Andoni Arístegui spogląda na Záratego bez słowa. Policjant myśli, że być może za bardzo się pośpieszył i zbyt pochopnie ujawnił, co tak naprawdę go interesuje. Jednak Arístegui znów się uśmiecha.

– Jedyne, czego nie obstawiam, to mecze Real Sociedad. To świętość. Cała reszta to rzecz do uzgodnienia, ale na razie niech pan sobie pogra, po to się tu zebraliśmy. Później jeszcze porozmawiamy...

– Dobrze, dobrze, byle tak dalej, Zárate – mruczy Elena w furgonetce. – Chyba ugramy tej nocy więcej, niż się spodziewaliśmy.

Rozdział 35

Mijają kolejne godziny gry przerywane chwilami rozmowy z Kortabarią.

Wydaje się, że polubił Záratego i rozmawia z nim coraz bardziej otwarcie, przeszli nawet na ty. Omówili już swoje nieudane piłkarskie kariery, interesy, zakłady sportowe...

– Skoro tak lubisz hazard, to jakim cudem nigdy cię nie spotkałem na żadnym turnieju w Madrycie?

Elena nastawia ucha, teraz się okaże, czy alibi, które wymyślił sobie Zárate, zadziała.

– To przez moją żonę, obiecałem jej, że nigdy nie zagram.

– I co się stało?

– Ta suka wdała się w romans z trenerem spinningu ze swojej siłowni, masz pojęcie? Jesteśmy w separacji, a wkrótce będzie po rozwodzie. Bokiem jej to wyjdzie, tak to urządziłem, żeby nie dostała zupełnie nic, ani jednego pieprzonego euro. A obietnice już nieaktualne, będę grał, ile mi się spodoba, w końcu po coś koszę tyle kasy, upychając dziadków w autobusach. Zresztą całkiem dobrze mi idzie, wiesz, ile dzisiaj wygrałem?

– Około dwudziestu pięciu tysięcy. Wiem, ile wygrał lub przegrał każdy z tu obecnych.

– Myślałem, że tej nocy stracę sto pięćdziesiąt tysięcy euro, kolejne sto pięćdziesiąt za tydzień i tak, aż mi się nie znudzi, ale w tym układzie wyjdę bogatszy, niż przyszedłem...

– Całe szczęście, że tak na to patrzysz. Mówiłeś, że lubisz obstawiać, nie tylko w kartach.

– Co się da, nawet w bingo. Ale idę do stolika, bo została zaledwie godzina do końca.

Wszyscy są zadowoleni, Zárate zarzucił przynętę. Bask na pewno będzie chciał dostać te pieniądze, które jego klient, jak mówi, jest

gotów tracić co tydzień, zaproponuje mu inne możliwości gry... Ale minęła już czwarta rano, policjanci są zmęczeni, jest im niewygodnie i gorąco w furgonetkach...

Kolejna godzina mija powoli, jak poprzednie, już od dziewięciu godzin siedzą w samochodzie, o dwie dłużej, niż Zárate gra w karty. Słyszą ogłoszenie, że turniej dobiega końca. Wtedy Kortabarría podchodzi do ich kolegi.

„Jak masz chęć, zostań jeszcze chwilę, pogadamy – słyszą dzięki mikrofonowi. – Na pewno znajdą się imprezy, na których lepiej się zabawisz niż na turnieju pokerowym”.

Wszyscy znów słuchają z najwyższą uwagą.

– Zaprosi go do Purpurowej Sieci? – zastanawia się Chesca.

– Albo go zdemaskował. Nie byłabym taka ufna – mówi z obawą Elena.

Gracze i obsługa opuszczają willę, wspólnie przechodzą obok furgonetek. Policja sfotografowała wiele tablic rejestracyjnych, będą mogli zidentyfikować ich właścicieli. Wtem słyszą głos Záratego, który zwraca się do nich przez mikrofon.

„Wychodzą absolutnie wszyscy. Nie mogę uwierzyć, że zostanę całkiem sam z tym gościem”.

Elena chętnie poprosiłaby go, żeby wyszedł, ale kontakt jest niemożliwy. Zárate sam musi zdecydować.

– Niech na wszelki wypadek przygotuje się GEO.

Zárate zaczyna się niepokoić, widząc, że dom opuszczają ochroniarze z walizkami, w których są używane przez nich żetony i zebrane pieniądze. Wielu z tych, którzy stracili sto pięćdziesiąt tysięcy zdeponowane na rachunku, przyniosło więcej pieniędzy w gotówce i wymieniło je, żeby grać dalej. Zárate mógł usłyszeć rozmowy niektórych – prosili gospodarza o pożyczkę. Dzięki temu poznał zawyżony lichwiarski procent, który powinni zapłacić. Wyobraża sobie Orduña przechodzącego przez coś takiego w swoim okresie uzależnienia od hazardu i ogromnie współczuje koledze.

On też pod koniec turnieju wymienił swoje żetony na sto sześćdziesiąt tysięcy euro – odzyskał trzydzieści tysięcy prowizji i wygrał jeszcze dodatkowy tysiąc – sto pięćdziesiąt tysięcy wróci tą

samą drogą, którą przyszło: wręczono mu weksel ze zobowiązaniem zrobienia przelewu z rana na konto, z którego zapłacił za turniej.

– Nie patrz tak sceptycznie na nasz weksel, zapewniam cię, że tutaj wszystko opiera się na wzajemnym zaufaniu – mówi Kortabarría. – Choć nie mógłbyś nas oskarżyć na jego podstawie, dostaniesz pieniądze. Tylko tego brakowało... Jeśli zabraknie zaufania, cały interes pójdzie się pieprzyć.

Pozostałe dziesięć tysięcy dostał w gotówce do ręki, w banknotach po pięćdziesiąt związanych gumkami recepturkami.

– Możesz przeliczyć.

– Nie trzeba – odpowiada, chowając plik w wewnętrznej kieszonce marynarki.

Podchodzi do nich pracownik, który wygląda na szefa ochroniarzy.

– Chce pan, żeby ktoś został?

– Nie, José Luis. Możecie już iść, Ángel Zárate to mój przyjaciel.

Nalewają sobie jeszcze po szklaneczce ginu z tonikiem, zjadają kilka sandwiczów, które złapali w ostatniej chwili, i siadają na sofach...

– Jak poszło tej nocy?

– Bardzo dobrze, zarobiłem prawie tyle, ile bym dostał, gdybym zawiózł dziadków na zwiedzanie katedry w Burgos...

– Nie sądzę – śmieje się Zárate. – To dużo powiedziane.

– Trzeba to uczcić.

Funkcjonariusze w furgonetce tego nie widzą, ale Andoni podszedł do barku i wyjął spod blatu tacę z kilkoma równiutko ułożonymi kreskami koki.

– Poczęstujesz się?

– To jeden z tych nielicznych nałogów, których nie mam.

– Obiecałeś żonie? – śmieje się Bask.

– Nie, to pozostałość po sportowym etapie w życiu.

Rozmawiają dalej, a Andoni tymczasem wciąga kreski, jedną po drugiej. Zárate przypomina sobie dane z raportu: ten człowiek ma chore serce, musiał rzucić futbol, podobno był kilka razy operowany, nieustannie je, pije i wciąga kokę pomimo nadwagi i trudności z oddychaniem. Skoro jeszcze żyje, to dlatego, że złego licha nie bierze.

- Mówiłeś, że mógłbyś mnie zaprosić na inne eventy, gdzie mógłbym obstawiać. Chodziło o grę na większe pieniądze?
- Nie, miałem na myśli inne rzeczy.
- Na przykład?
- Co zechcesz, wyścigi, nielegalne walki...
- Wchodzę w to. Coś jeszcze?
- Jest coś jeszcze, ale najpierw musimy się lepiej poznać. Będziesz musiał przejść wszystkie wcześniejsze etapy.
- Jestem gotów.
- Świetnie. Powoli.

Andoni drapie się po piersi i robi mu się brzydkie zagniecenie na koszuli. Zastyga, patrząc na Záratego z jakimś zdeformowanym, niemal groteskowym uśmiechem na twarzy, niczym u pijanego ojca, który zamierza ucałować syna. I nagle się osuwa.

W furgonetce już niemal otwierają szampana, żeby wznieść toast. W ciągu jednej nocy dotarli do samego sedna! Nagle jednak słyszą zaniepokojony głos Záratego.

„Andoni, Andoni, co ci jest?”

Wszyscy przysłuchują się w napięciu, aż wreszcie znów go słychać. Tym razem mówi do mikrofonu, do nich.

„Zdaje się, że gość właśnie się przekreśli!”

Rozdział 36

Elena natychmiast musi podjąć decyzję. Wchodzą? Ograniczą się do zabrania Záratego? Nie chce, żeby ludzie z Purpurowej Sieci wiedzieli, że byli tak blisko, to by oznaczało zaprzepaszczenie wszystkiego, co osiągnęli, nie może napuścić na wilę GEO.

- Wszyscy do domu, operacja wstrzymana.
- A co zrobimy z Záratem?
- Pójdę po niego.

Nie tak łatwo przekonać funkcjonariuszy z GEO, którzy czekali przez całą noc.

– Wejść z tobą – mówi Mariajo. – Nie możemy stracić informacji, które mogą być tam w środku. Na pewno jest tam jakiś komputer.

Pięć minut później Zárate czeka w salonie willi. Jej właściciel leży na podłodze martwy, miał zawał. Próby resuscytacji podjęte przez policjanta na nic się zdały.

- Wreszcie. Nie wiedziałem, co robić.

Elena się wahała i jeszcze nie wie, czy dobrze zrobiła, wchodząc do domu. Nie chce, żeby Purpurowa Sieć odkryła, że byli tak blisko, nie chce zrujnować planu. Zajęło jej trochę czasu przekonanie GEO, by nie podejmowali działań. Razem z nią przyszła Mariajo.

– Na pewno są tutaj kamery. Trzeba je znaleźć i skasować zapis, powinniśmy też zrobić kopię z komputerów – organizuje akcję hakerka.

Weszła do budynku z dużą torbą. Ma w niej wszystko, czego potrzebuje, żeby skopiować informacje z twardych dysków, które znajdzie.

- Weźmiemy całą zawartość, niczego nie dotykając.

Przechodzą przez cały dom, aż znajdują gabinet, a w nim kilka laptopów i dysków z przenośną pamięcią. Mariajo bierze się do roboty, a Zárate z Eleną myją w tym czasie wszystko, czego dotknął

Ángel. Nie chcą, żeby następnego dnia, gdy wyjdzie na jaw śmierć Andoniego, zwykła policja odkryła odciski i dotarła do niego. Kilka razy sprawdzają dom, szukając jakiegoś sejfu, broni, czegokolwiek...

– Długo jeszcze?

– Pięć minut, za pięć minut idziemy. – Mariajo pracuje dalej.

Podczas ostatniej rundy po domu Elena wchodzi do jednego z pokoi. Jest tam coś, czego nigdy dotąd nie widziała, wygląda na dysk multimedialny. Nie wie, co nią kieruje, gdy to robi. To jakaś niejasna intuicja, przeczucie, że nie wszystko, co znajdą w domu Kortabarii, powinno wpaść w ręce jej kolegów. Dlatego bierze dysk i chowa do torebki. Zárate niemal nakrywa ją na gorącym uczynku, kiedy wchodzi, szukając jej, ale Elenie udaje się przybrać normalną minę.

– Mariajo mówi, że już wszystko gotowe, możemy iść.

We trójkę wychodzą z willi, wracają do Madrytu autem Záratego. To audi, które wzięli z policyjnego magazynu na potrzeby operacji. Świta już, gdy odstawiają Mariajo do jej domu w Dehesa de la Villa. Odpocznie chwilę i spotka się z nimi w biurach przy ulicy Barquillo, żeby przeanalizować zawartość komputerów. Potem jadą do Eleny.

– Kiedy wszyscy wychodzili i ten gość powiedział mi, żebym został, pomyślałem, że odkryli mikrofon i mnie zabiją – wyznaje Zárate.

– My też się tego obawialiśmy – potwierdza inspektor.

– Sądzę, że zasłużyłem na to, aby się dowiedzieć, czego naprawdę szukamy w Purpurowej Sieci.

Elena się waha, ale w końcu musi przyznać mu rację, zasłużył na to. Auto czeka na światłach. Miasto wokół wraz ze świtem budzi się do życia, niczym serce, które znów zaczyna bić.

– Osiem lat temu porwano mojego syna – przerywa milczenie Elena. – To oni zabrali Lucasa. Wiem, że nadal żyje. Jest w szponach Sieci.

Zapala się zielone światło, ale Zárate nie rusza. Nie wie, jak zareagować na to wyznanie. Wydaje mu się, że Elena czeka na uścisk, i czuje się winny, że nie potrafi jej przytulić. Od kiedy ona o tym wie? Od jak dawna to przed wszystkimi ukrywa? Choć broni się przed tym, czuć nutę żalu w jego słowach.

– Skąd o tym wiesz?

– Kilka miesięcy temu, kiedy badaliśmy nagrania podczas dochodzenia w sprawie cygańskich narzeczonych, odebrałam wiadomość z filmem. To był mój syn, który torturował młodą dziewczynę i ostrzegał mnie, że nie powinnam go dłużej szukać. Nie mogłam zapisać filmu ani go odzyskać. Gdy tylko go zobaczyłam, zniknął z mojej komórki. – Elena woli nie mówić całej prawdy, ukryć, że ma w telefonie zrzut ekranu, na którym widać tylko Lucasa. – Kiedy go zabrali, był dzieckiem, teraz jest jednym z nich.

Wzdrygają się na dźwięk klaksonu. Auto z tyłu ponagla ich, żeby nie blokowali pasa, więc Zárate rusza w milczeniu. Uliczne latarnie gasną. Świt staje się faktem. Ángel myśli o cierpieniu inspektor, ale również o znakach zapytania, które zostały po tym wyznaniu.

– Ta dziewczyna, którą torturował, to była Aisha? – pyta Zárate.

– Aurora, córka Mar Sepúlvedy. Dlatego to takie ważne, że jej matka powiedziała, że ona żyje, wiem przynajmniej, że mój syn nie zabił jej.

Elena opiera głowę o okno. Nagle zdaje sobie sprawę, że jej nadzieje są dziecinne. Że uparła się szukać fantastycznych stworów, choć przecież wie, że nie istnieją. Doświadczenie krzyczy w niej, że to się nie zdarzy. Że rzeczywistość jest okrutna i nie pozostawia miejsca na cuda. Co do Aurory... znajdą najwyżej jej zwłoki. Co do Lucasa... nawet nie ma odwagi myśleć.

– Rozpracujemy Purpurową Sieć, Elena – obiecuje Zárate, parkując przed jej domem. – Rozpracujemy ją i wyciągniemy stamtąd twojego syna.

– Nie wiem, być może jest już za późno, żeby mu pomóc, ale trzeba zapobiec temu, by inne dzieci przeszły przez to piekło.

Elena wchodzi do domu zdruzgotana. Chętnie poszukałaby pociechy w ramionach Záratego. Wie, że by jej nie odmówił, ale nadal uważa, że najlepiej dla Ángela jest trzymać się od niej z daleka. Nie chce zerwać tamy, która ich oddziela. Najchętniej zamknęłaby oczy, zasnęła i zapomniała, ale nie potrafi. Otwiera torbę, wyjmuje dysk multimedialny, który potajemnie zabrała z domu Kortabarii, i podłącza do swojego komputera. Otwiera się okienko z folderem,

zawierającym dziesiątki plików. Odtwarza pierwszy z nich i zaczyna przeglądać długiej listy filmów z torturami, zabójstwami, gwałtami. Nie wie, ile czasu spędza w ten sposób, kiedy dociera do nagrania, które mrozi jej krew w żyłach.

Jakiś hangar, coś w rodzaju przemysłowej hali. Wychodzi dwoje dzieci w wieku około trzynastu lat, są półnagie. Rozlega się gong i zaczyna walka między nimi, dzika walka. Choć to tylko dzieci, jedno dla drugiego nie ma ani krzyńy litości: są kopniaki, uderzenia pięściami, ugryzienia, palce, które próbują wyrwać oko przeciwnika.

Jedno z dzieci jest czarnoskóre. Drugie to Lucas.

Choć Afrykanin jest wyższy i na pozór silniejszy, Lucas bije się bardziej stanowczo, brutalniej.

Elena patrzy, jak jej syn wygrywa walkę. Film się kończy.

CZEŚĆ TRZECIA

Za nic w świecie

*Nie mówię, że jesteś do siebie niepodobny
albo że się zmieniłeś.*

*Nie, nie,
ty jesteś taki, jaki byłeś zawsze.*

Na przeciwnika wybrali mu Pavla, olbrzyma z Uzbekistanu, który jest od niego wyższy o głowę i nigdy nie przegrał walki. Jego pierwszy przeciwnik wytrzymał zaledwie kilka sekund, tyle, ile jemu zajęło wymierzenie mu kopniaka prosto w szyję. Skręcił mu kark. Drugiego zabił uderzeniem pięścią w ucho. Powiedzieli mu, że nie może być taki agresywny, że walki się nie podobają, jeśli trwają tak krótko. Od tamtej pory Pavel się bawi, zmuszając przeciwnika do tańca, niczym dobrze wyszkolony bokser. Teraz umie rozłożyć mordercze ciosy na pół godziny, żeby był lepszy spektakl.

Kobieta widziała go w akcji. Uzbek to śmiertelnie niebezpieczna bestia, niezwyciężony wojownik. Lada chwila przyjdzie mężczyzna, żeby zabrać Lucasa, który jest już gotowy. Kobieta patrzy na niego bez słowa. Jest niziutki i krępy, jeszcze nie wystrzelił w górę jak niektórzy jego rówieśnicy, nie wygląda jak czapla, jak trzcina, wciąż nie stał się rachitycznym młodzieńcem o długich rękach, jakiego się spodziewała. Wie, że z Pavlem nie ma żadnych szans. Podgląda, co robi. Siedzi na łóżku, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Jedną ręką pociąga palce drugiej, jeden po drugim, jakby mu zdrętwiały. Na swój niezręczny, nieśmiały, niepewny sposób przygotowuje się do walki.

Kobieta chce się pożegnać. Chciałaby mu powiedzieć, że był jej radością przez te lata, że pilnowanie go, rozśmieszanie, patrzenie, jak rośnie, było błogosławieństwem. Obawia się jednak, że popadnie w patetyczną wylewność akurat w momencie, gdy Lucas musi walczyć o życie. Dimas nie potrzebuje wchodzić do pokoju ani wypowiadać choćby jednego słowa. Otwiera drzwi, a Lucas wstaje i wychodzi, nie spoglądając na kobietę. Ani jednego gestu wdzięczności, na wypadek gdyby więcej się nie zobaczyli.

Kobieta korzysta z okazji, żeby przygotować apteczkę. Alkohol 96%, woda utleniona, jodyna, nić chirurgiczna. Sterylizuje igły i nożyczki, ma też gazę i waciki, sprawdza chirurgiczne rękawiczki. Przegląda walizeczkę traumatologiczną: szyny, gorsety, stabilizatory na kolana. Otwiera pudełko stomatologiczne: wiertła, obcęgi, znieczulenie miejscowe. Uśmiecha się, bo czuje, że oszukuje sama siebie, naiwna

matka, która ślepo wierzy w swojego syna. To właściwie pewne, że Lucas zginie w walce, a Pavel wyjdzie z niej jedynie z kilkoma zadrapaniami.

Mija godzina. Dwóch zbirów Dimasa wchodzi w pośpiechu, niosąc Lucasa na rękach, podduszonego, trupio bladego, niemal bez oddechu. Kobieta ucisza falę absurdalnej dumy, że jej chłopak wytrzymał więcej niż inni. Jest siny, dusi się, kobieta każe go położyć na łóżku i zanim rzuci się szukać maseczki, pojmując, że ma coś w tchawicy. Wkłada mu palec wskazujący aż za języczek i po omacku wymiata coś ze środka. To dwa palce zlepione ze sobą krwawą masą. Skupiona na oddechu Lucasa, który zaczyna reagować – jego ciałem wstrząsają spazmy – nie zauważa Dimasa. Wszedł do pokoju, stoi i przygląda się uważnie chłopakowi, z niedowierzaniem kręci głową. Teraz kobieta odwraca się do niego.

– Przeżył cudem – mówi. – Czy właśnie o to ci chodziło?

Na usta Dimasa wypływa jakiś złowrogi uśmiech.

– Pavel jest w ambulatorium, wykrwawia się z trzech różnych ran. Nie wiemy, czy dożyje do rana.

Kobieta patrzy na niego w zdumieniu. Lucas zaczyna się krztusić. Jego cera powoli odzyskuje normalną barwę.

Później, gdy Uzbek walczy o życie, Lucas w euforii opowiada o walce. Palce wyrwane ze stawów, kopniaki, walnięcia z byka, grzebanie w ranach, by urwać jak największy płat skóry. Opowiada szczegóły z wyraźną ekscytacją, w czasie gdy kobieta przemywa mu jodyną skaleczenia, które znajduje, na lewym łuku brwiowym, na kości policzkowej, na brodzie, i moczy mu dłonie w roztworze soli z alkoholem i tymiankiem, bo to zioło, jak gdzieś przeczytała, pomaga w regeneracji tkanki pokiereszowanych rąk.

Rozdział 37

Zárate wie, że nie zmruży oka: spędził noc, grając w pokera i trzymając nerwy na wodzy, stał się świadkiem śmierci gospodarza turnieju, były chwile, kiedy sądził, że nie opuści żywy tamtego domu, ale tak naprawdę męczy go co innego. Wyznanie Eleny o jej synu Lucasie przygniata go niczym ciężki kamienny blok. Wie, że nie uda mu się rozluźnić na tyle, żeby się położyć do łóżka i odpocząć. Po powrocie do domu wziął prysznic i usiadł na sofie, włączył telewizor, żeby nie myśleć, polityczne dyskusje do śniadania. Może nie powinien zostawiać Eleny samej. W jakimś stopniu chciałby dotrzymać jej towarzystwa, pocieszyć ją, ale z drugiej strony uświadamia sobie teraz rozmiar jej kłamstw. Przez cały ten czas oszukiwała już nie tylko jego, ale wszystkich w BAC.

Kiedy jednak dzwoni telefon, Zárate ma nadzieję, że to ona. Może poprosi go, żeby przyszedł. Wie, że nie mógłby jej tego odmówić.

Ale to nieznany numer.

– Słucham.

– Zárate, to ja, Orduño. Musisz mi pomóc. Skołujesz sześć tysięcy euro? – Wobec milczenia kolegi, naciska: – To nie żarty, naprawdę ich potrzebuję.

Ktoś zabiera telefon Orduñowi, ledwie ten kończy zdanie, i mówi Záratemu, dokąd ma przyjść, żeby przekazać pieniądze – sklep na ulicy Goiri, obok Cuatro Caminos.

– I pospiesz się, za każdą godzinę spóźnienia utniemy coś twojemu kumplowi: ucho, palec, cokolwiek... Co akurat wpadnie nam do głowy.

– Spokojnie, mam kasę, nic mu nie róbcie. Już jadę.

Mija kilka sekund, nim wiadomość w pełni dotrze do Záratego. W jakiego rodzaju kłopoty wpakował się Orduño? Bez trudu może to sobie wyobrazić i czuje się winny, że poprosił go o karciany trening. Zastanawia się, co teraz powinien zrobić. Zadzwoić do kogoś

z brygady czy samemu ruszyć na pomoc? Odpowiedź pojawia się niemal natychmiast, nie może wystawiać na ryzyko kolegi, organizując naprędce skleconą akcję. Nie może uwierzyć, że jego pełna przygód noc jeszcze się nie skończyła. Cieszy się tylko, że nie zażył pigułki nasennej, żeby choć chwilę się zdrzemnąć, to bardzo skomplikowałoby sytuację.

Jak można było się spodziewać, nie ma ich tam, na ulicy Goiri. Zárate wysiada z auta, staje na chodniku i się rozgląda.

Zastanawia się nad kolejnymi posunięciami, kiedy zaczepia go jakiś mężczyzna.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Daj mi kasę.

– Skąd mam wiedzieć, że wypuścicie mojego kolegę?

– Tego nie wiesz. Ale za to możesz być pewien, że jeśli nie dasz mi forsy, więcej go nie zobaczysz.

Zárate podaje mu kopertę z sześcioma tysiącami euro, których zażądali. To część tego, co wygrał na turnieju pokera. Gdyby sytuacja z Orduñem zdarzyła się innego dnia, nie miałby szans zebrać takiej kwoty.

– Czekaj za dziesięć minut przy wejściu do metra Estrecho.

Mężczyzna odchodzi, Zárate idzie we wskazane przez niego miejsce, nie ma wyboru.

Piętnaście minut później Orduño wchodzi niepewnym krokiem po schodach metra w tłumie innych porannych podróżnych. Zárate zbliża się do niego, pełen obaw. W pierwszym odruchu spogląda na jego ręce, uszy, twarz w półmroku, niczym na pełnym półcieni płótnie Zurbarána. Szuka ran, śladów pobicia, ale niczego takiego nie widzi.

– Nic mi nie jest.

– Jedziemy do mnie czy odwieźć cię do domu?

– Lepiej do ciebie.

Chwilę później Orduño zdążył już wziąć prysznic i się przebrać, założył dresy i podkoszulek Záratego. Potwornie boli go głowa i jest

pewien, że spieprzył sobie życie.

– Jestem ci winien sześć tysięcy euro. Oddam, przysięgam.

– Tym się nie martw. Lepiej opowiedz, co się stało.

– Przegrałem je, podobnie zresztą jak wszystko, co miałem na koncie. Grałem bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny, od wczoraj, gdy wrzuciłem monetę do jednorękiego bandyty w barze koło mojego domu.

Orduño niczego nie ukrywa: wrzucił pierwsze euro i wygrał. Potem zagrał po kolei wszystkimi monetami, które wyleciały, w nadziei na dużą wygraną, i przegrał. Wtedy rozmiął banknot dwudziestoeuroowy. Kiedy te pieniądze się skończyły, był już w szponach nałogu. Znalazł bankomat i wypłacił dwieście euro, miał zaryzykować tylko tyle... Poszedł do mieszkania w La Guindalera, które znał z dawnych czasów. Wieczór pokerowy zaczął się bardzo dobrze, kilka godzin później jego dwieście euro zmieniło się w tysiąc.

– Wtedy zaprosili mnie na inną partyjkę, nieco mocniejszą. Czuję się niezwykły. Nie wiem dokładnie, gdzie to było, bo zawieźli mnie tam autem, a sporo już wypilem, ale chyba gdzieś w rejonie Pueblo Nuevo czy Quintana. Był już dzień.

Tam też zaczął dobrze, miał około dwóch tysięcy euro, kiedy przegrał rozdanie, które wydawało mu się pewne.

– Miałem fula z króli z konikami¹⁵... Ale przegrałem. Powiedziałem ci, że najgorzej, jak grasz wkurzony. To nieprawda, najgorzej, gdy grasz nerwowo, kompulsywnie, tak grają ci, którzy nie umieją przestać.

W kilka godzin przegrał całe swoje pieniądze i zaczął prosić o pożyczki.

– Potem, a już znów zrobił się wieczór, zawieźli mnie na kolejną partyjkę, w okolicach Cuatro Caminos.

– Tam cię znalazłem.

– Już sam nie wiedziałem, jak mi idzie. Nie miałem pojęcia, która godzina ani gdzie jestem. Aż wreszcie przyłożyli mi nóż do gardła i powiedzieli, że albo zapłacę, co jestem winien, albo koniec ze mną.

– Dlaczego zadzwoniłeś akurat do mnie?

– Wstydziłem się dzwonić do Eleny albo Cheski. A Marina... Nie wiem, prawdopodobnie ją straciłem.

Marina przez całą noc nie mogła zasnąć, setki razy dzwoniła do Orduña, bez skutku. Nie wie, czy bierze udział w jakiejś operacji brygady czy coś mu się stało. Wyrzuca sobie, że nie pojawiła się w mieszkaniu poprzedniej nocy, ale musiała dopilnować kilku spraw.

Zaskakuje ją, że tak bardzo przejmuje się mężczyzną, którego poznała dopiero tydzień temu, mężczyzną, który powinien być jej obojętny, nie mieć dla niej żadnego znaczenia. Jednak spędziła z nim bardzo szczęśliwe dni. Niezależnie od intencji, które nią kierowały, gdy siadła obok niego w samolocie, polubiła go. To porządny facet, który naprawdę się w niej zakochał, nie jak wszyscy poprzedni, których poznała, a którzy po prostu jej używali. Dla Mariny to zupełnie nowe doznanie, wie, że nigdy nie zrobiłby jej krzywdy, że może spać u jego boku całkiem bezpieczna.

Zastanawia się, co robić, czy dalej czekać, czy wracać do domu, zapomnieć o wszystkim i pozwolić, by wspomnienia z Wysp Kanaryjskich powoli zatarły się w pamięci.

Zmęczenie szybciej pokonuje Orduña – który zasypia na sofie – niż Záratego. Jest wpół do ósmej rano. Ángel nie wie, czy iść na ulicę Barquillo, czy zadzwonić do Eleny i opowiedzieć jej, co się stało. Gdyby miał sześć tysięcy euro, wyłożyłby je z własnej kieszeni i na zawsze zachował dla siebie zdarzenia tego poranka. Choćby nie wiadomo ile błędów popełnił Orduño, to jego kolega, a kolegów się kryje, nawet kiedy trzeba to przypłacić życiem. Gdyby przynajmniej mógł znaleźć Marinę, żeby z nim została... Ale nawet nie wie, kim jest ta kobieta, o której Orduño mówił z takim entuzjazmem. Pozostaje mu jedno rozwiązanie – Chesca.

Rozdział 38

Elena od wielu godzin ogląda okrucieństwa, które Kortabarria przechowywał na swoim twardym dysku. Przewija je szybko, ale niektóre, najpotworniejsze, i tak zapadają jej w pamięć i dobrze wie, że zostaną tam na zawsze. Jest kilka walk, w których brał udział jej syn, każda z takim samym wynikiem: to starcia na śmierć i życie, z których wyszedł zwycięsko. Być może właśnie dlatego nadal żyje: kolejno zwyciężał swoich przeciwników, jednego po drugim, kto wie, kiedy zaczął się ten okrutny ciąg. Filmy, które miał Kortabarria, pochodzą z ostatnich miesięcy. Nie mogła zobaczyć, czy Lucas robił postępy, tylko tyle, że jest bardzo dobry w tym, co robi, nie waha się, nie ma wyrzutów, gdy przychodzi pora być okrutnym, nauczył się wszystkiego, co trzeba, żeby przeżyć. Za to ją wręcz przytłaczają wątpliwości. Czy naprawdę chce go znaleźć? Czy zdoła spojrzeć mu w oczy? Przekonuje samą siebie, że jej syn robi to tylko po to, by ująć z życiem, że od wczesnego dzieciństwa postawiono go przed koszmarnym wyborem. Przytłacza ją myśl, że jako siedmio- lub ośmiolatek wszedł w ten śmiertelny krąg. Niemal odchodzi od zmysłów, próbując sobie wyobrazić, jak przyswaja zasady, z zaciekawieniem właściwym dzieciom, które uczą się nowej gry.

Ma już dosyć, nie zniesie ani sekundy więcej oglądania tortur, okaleczania, agonii, tych, którzy za chwilę umrą. Mimo to potrzebuje znaleźć jakiś punkt zaczepienia, za którym będzie mogła pójść. Dlatego wciąż otwiera kolejne filmy.

Na tym dysku znajdzie się wystarczająco dużo dowodów, żeby powiązać Andoniego Arísteguiego alias Kortabarrię z Purpurową Siecią, ale co z tego? Andoni nie żyje, a te dowody zdobyła w sposób niezgodny z prawem. Musi szukać dalej i odkryć, jak dotrzeć do jądra organizacji. Do serca tego potwora. Zdaje sobie sprawę z konsekwencji: nie tylko Zárate będzie wiedział, na jaką drogę wkroczył jej syn, także koledzy, będą przy tym pracowali sędziowie...

Ale Lucas nie jest jedyną ofiarą. Musi pomyśleć także o innych. O Aishy. O Aurorze, która być może jeszcze żyje.

Jest ósma rano, pora na powrót do BAC. Nagle czuje zmęczenie po całej, pełnej napięcia nocy. Najchętniej rzuciłaby się na łóżko i zasnęła, zapomniała o wszystkim, poczuła pieśczętę czystej pościeli i odpłynęła. Zamiast tego bierze prysznic, ubiera się i rusza na ulicę Barquillo. Dziś nie wpadnie na kawę do Juanita, choć wie, że bardzo potrzebuje tego momentu, w którym czuje się normalnie, w którym nie dźwiga na swoich barkach całego ciężaru świata.

Kiedy dociera do pracy, zastaje tam jedynie Mariajo, która przegląda nagrania z kamer monitoringu w willi w El Plantío.

– Spałaś w ogóle, Mariajo?

– Od dnia śmierci tamtej dziewczyny nie mogę spać – wyznaje hackerka.

– Ja też, jeśli to cię pocieszy. Znalazłaś coś na nagraniach z monitoringu?

– Wiele rzeczy, ale żadna z nich na razie nam się nie przyda.

Mariajo zaznaczyła na filmach fragmenty, które powinni zobaczyć jej koledzy: słynne osobistości, które przyszły na turniej – poczynając od prezentera telewizyjnego po sportowców. Zapisała zbliżenia ochroniarzy, kiedy zabierali jednego z graczy, który protestował przed krupierem w sprawie jakiegoś zagrania, żeby spróbować ich zidentyfikować... Jednak uwagę Eleny zwraca to, co Mariajo ogląda właśnie teraz: jakiś mężczyzna podchodzi do Kortabarii i podaje mu kopertę. Bask zagląda, kiwa głową i chowa do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Ten facet... Poszukaj zbliżenia jego twarzy.

Mariajo klika różne kamery na ekranie komputera. W końcu znajduje odpowiednią perspektywę przy wejściu do willi.

– Ten?

Nie widać dobrze jego twarzy, jak gdyby starał się ją ukryć. Elena ma przecucie, którego nie może wypowiedzieć na głos. Gdyby dało się zobaczyć jego twarz, dostrzegłyby blizny po ospie: ten człowiek w jasnej marynarce to Dimas. Jego sposób poruszania się przypomina jej oprawcę w meksykańskiej masce. To, czego szuka,

cokolwiek by to było, znajduje się w kopercie w wewnętrznej kieszeni marynarki trupa, którego zostawili wczoraj w willi w El Plantío.

Inspektor Blanco decyduje się zrobić coś niezgodnego z prawem, choć zawsze obiecywała sobie, że się do tego nie posunie. Skręca w szosę do La Coruña i jedzie nią aż do zjazdu La Florida. Willa wygląda tak samo jak zeszłej nocy, wydaje się, że nikt tam nie wszedł, od kiedy opuściła to miejsce z Záratem i Mariajo. Parkuje jakieś pół kilometra dalej, na wypadek gdyby ostała się jeszcze działająca kamera, i zakłada chustkę na głowę, żeby nie mogli jej zidentyfikować. Wczoraj wyłączyli alarmy, nie boi się więc, że zaczną wyć. Zna plan pomieszczeń w willi i wejścia, idzie na tyły, pokonuje ogrodzenie i przedostaje się do środka przez okno do piwnicy. Wchodzi po schodach, w salonie zwłoki leżą w tej samej pozycji, w jakiej je zostawili, choć teraz już zeszywniały, a skóra zsiniała.

W wewnętrznej kieszeni marynarki Kortabarii znajduje kopertę. Zabiera ją, nie zaglądając do środka. W tym momencie słyszy odgłos, chowa się. Widzi, że wchodzi jakaś starsza kobieta, zapewne sprzątaczką, i krzyczy na widok trupa. Elena wykorzystuje jej oszołomienie, żeby wycofać się po własnych śladach, znów wychodzi przez okno w piwnicy i przeskakuje ogrodzenie.

Wsiada do auta i otwiera kopertę, która zawiera tylko karteczkę z adresem:

Cañada Real. Sektor 6. 20 z tyłu. Piątek 11.00.

Elena zerka na zegarek. Jest piątek, piętnaście po dziesiątej, jeśli się pospieszy, zdąży. Może ta notatka odnosi się do innego piątku, może chodzi o jedenastą w nocy, ale nie może przegapić szansy na spotkanie z Dimasem.

Zapuszcza silnik, słysząc w oddali wycie syren zbliżających się do miejsca zamieszkania Kortabarii.

Rozdział 39

Cañadas Reales były publicznymi szlakami o szerokości siedemdziesięciu pięciu metrów, na których nie wolno było wznosić żadnych zabudowań. Wytyczono je w średniowieczu dla sezonowego spędu owiec merynosów z północy na południe jesienią i z południa na północ wiosną. Najważniejsza – Cañada Real Galiana – prowadziła z La Riojy do Ciudad Real. Okrążała Madryt, jedno z jej odgałęzień przebiegało zaledwie o dwanaście kilometrów od Puerta del Sol... Pod koniec lat siedemdziesiątych, wobec bierności władz, niektórzy zaczęli zajmować te tereny. Niemal pięćdziesiąt lat później Cañada Real na swoim odcinku przechodzącym przez Madryt jest największym w Hiszpanii i zapewne jednym z większych w Europie miejsc nielegalnego osadnictwa. Na szesnastu kilometrach należących do Madrytu, Coslady i Rivas sąsiadują ze sobą luksusowe wille, chałupy, baraki biedoty, nielegalne warsztaty samochodowe, stadniny i wysypiska śmieci. Działa tu również najbardziej aktywny rynek narkotyków w kraju.

Najgorszym rejonem Cañada Real jest część zwana Valdemingómez, Sektor 6, zaraz koło wysypiska śmieci, na które trafiają odpady z wielkiego miasta, jakim jest Madryt. Na tych kilku kilometrach – wokół parafii Santo Domingo de la Calzada – żyją najbiedniejsi z biednych. Są tam kolonie rumuńskich Cyganów, narkomani, którzy już nie jeżdżą do miasta i trwają tutaj w namiotach, niewolnicy narkotykowych klanów... Przetrawało nadal czterdzieści punktów sprzedaży z ponad stu dwudziestu, jakie działały jeszcze kilka lat temu. To tu przyjeżdżają *cundas* z Vallecas czy Embajadores i tu żywe trupy wałęsają się, powłócząc nogami w poszukiwaniu swojej codziennej dawki. Niewielu madrytczyków ośmiela się zapuścić w te rejony swoim autem, jak uczyniła tego ranka Elena Blanco, niewielu wie, że ogniska widoczne po bokach drogi oznaczają miejsca, gdzie można znaleźć narkotyki.

Działka 20 tylna znajduje się za działką 20, na której koczuje trzydzieści czy czterdzieści rodzin rumuńskich Cyganów. Tam właśnie Elena wysiada ze swojego auta, tuż przed jedenastą, gotowa czekać na to, co ma nastąpić. Jest zdenerwowana, przestraszona, nie wie, czy stanie twarzą w twarz z Dimasem, a jeśli tak, to jak zareaguje.

Dzwoni jej telefon, spogląda na wyświetlacz. To Zárate. Inspektor postanawia dać sobie szansę na przeżycie, jeśli ta wycieczka przybierze zły obrót.

– Zárate?

– Elena, gdzie jesteś? Dzwonili, znaleźli zwłoki Kortabarii.

– Zárate, zdaje się, że coś odkryłam.

– Co?

– Nie wiem, nie mogę ci powiedzieć. Tylko tyle, że jestem w Cañada Real, w Sektorze 6.

– Nie rób głupstw, wracaj.

– Życz mi szczęścia. Muszę znaleźć mojego syna. Niech ci nie wpadnie do głowy tu przyjeżdżać.

Elena wyłącza komórkę, nie chce odbierać kolejnych telefonów od swoich ludzi. Nie chce, żeby ją przekonywali, że powinna wrócić i nie ryzykować. Przypomina jej się, co usłyszała kiedyś w filmie: „Żołnierz, który ucieknie, przyda się w innej bitwie”. Do tej pory głęboko w to wierzyła, ale dziś nie będzie się kierować tą zasadą.

Znów wsiada do samochodu i chowa tam komórkę, pod nadprutą tapicerką siedzenia pasażera, pod fotelem. Wkłada tam także swój służbowy pistolet i dokumenty. Nie może wykluczyć, że przeczeszą cały samochód, kiedy tylko spuści go z oczu, że zabiorą nawet fotele, a wtedy zostanie bez telefonu, broni i policyjnej odznaki. Boi się i zastanawia, co czuł jej syn Lucas, kiedy po raz pierwszy wystawiono go do walki. Musi się zmierzyć z własnym strachem. Dla niego. Żeby go z tego wyciągnąć.

Rozmowa z Eleną zaniepokoiła Záratego w najwyższym stopniu. W pierwszym odruchu zadzwonił do Cheski, żeby jej opowiedzieć, co dzieje się z Orduñem. Nie wie, czy dobrze robi ani czy zdradza swojego kolegę, ale nie może bawić się w jego niańkę, kiedy Elena

jest w niebezpieczeństwie. Wie, że Orduño nie powinien zostać sam, wyobraża go sobie, jak wstaje jak gdyby nigdy nic, nie pamiętając już o obietnicach, jakie złożył sobie przed snem, że nigdy więcej nie dotknie kart. Jednak on nie może się zająć tą sprawą. Nieoczekiwanie Chesca podsuwa mu wyjście z sytuacji.

– Marina, ta dziewczyna, o której nam mówił, dzwoniła do brygady. Mówi, że nie wie, co się dzieje z Orduñem, że już odchodzi od zmysłów. Zostawiła swój numer, zadzwonię do niej.

Tak też zrobiła. Marina ofiarowuje się zająć chorym, a oni mogą skupić się na pracy. Odwożą kolegę do jego domu. W bramie czeka na nich Marina. Zwraca ich uwagę jej uroda, niebieskie oczy, mina pełna współczucia.

– Możesz się zająć Orduñem? – pyta Zárate, nie wyjaśniając jej, w jakim stanie znalazł go o świcie. Sądzi, że jego kolega sam powinien zdecydować, kiedy zechce jej o tym opowiedzieć.

– Nazywajcie go, proszę, Rodrigo. To przecież osoba, a nie tylko kolejny funkcjonariusz – odpowiada i dodaje: – Zaopiekuję się nim.

Po rozwiązaniu problemu z Orduñem Chesca i Zárate pędzą do willi w El Plantío. Odkryto zwłoki i BAC chce poprowadzić śledztwo. Policjanci nienależący do brygady, z Moncloa-Aravaca, pierwsi, którzy przyjechali na zgłoszenie o znalezieniu zwłok, zabrali się bez zbędnych dyskusji. Sprawa należy do BAC i mogą zatrzeć wszystkie ślady, których nikt nie powinien znaleźć. Kolejne przekroczenie regulaminu.

Zárate opowiada Chesce o dziwnej rozmowie z Eleną, choć woli nie wspominać o przeczuciu inspektora, że jej syn jest w Purpurowej Sieci.

– Trzeba po nią pojechać.

– Zabroniła mi.

– To zostań, ja pojedę – proponuje Chesca.

Ángel się zastanawia, nie może pozwolić, żeby to ona wystawiała się na niebezpieczeństwo.

– Nie, nie. Ja pojedę. Zadzwonię do ciebie, kiedy czegoś się dowiem. Ty ogarnij tutaj.

Brygada podjęła rutynowe działania w willi El Plantío. Choć wiedzą, jak umarł Andoni, wykonają wszystkie przepisowe kroki. Buendía zabierze ciało i przeprowadzi sekcję, Mariajo skonfiskuje komputery i je sprawdzi, Chesca każe zebrać odciski palców i porozmawia z ewentualnymi świadkami... Dopełnienie procedury pozwoli im przynajmniej zalegalizować informacje, które zdobyła Mariajo wcześniej.

– Przyjechał brat zmarłego.

– Pójdę do niego – ofiarowuje się Chesca.

Joseba Arístegui jest bardzo podobny do Kortabarii, chociaż waży ze dwadzieścia kilo mniej i wygląda na dziesięć lat młodszego.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Co mu się stało?

– Zawał.

– Można się było tego spodziewać. – Mężczyzna robi zboląłą minę.

Ale jego żal nie trwa zbyt długo, rozgląda się wokół. Kilku techników kryminalistyki zabezpiecza ślady, inni pakują dowody, żeby je zabrać, paru sprawdza otoczenie willi.

– I wszystko to z powodu zawału?

Chesca wzrusza ramionami.

– Będę musiała zadać panu kilka pytań.

– Właśnie mi powiedzieliście, że mój brat zmarł na atak serca. Jeśli ktoś ma tu prawo zadawać pytania, to ja. Co tu robi tylu ludzi? Macie zgodę na zabranie komputera?

– Sądzymy, że wczoraj odbył się tu nielegalny turniej pokera.

– To może się zdecydować? Zawał czy nielegalny turniej?

– Jedno i drugie.

– Albo pokażecie mi nakaz rewizji, albo natychmiast macie stąd wyjść.

– Nie możemy zostawić zwłok. Dopóki nie zostanie przeprowadzona sekcja, nie mamy pewności, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

– Nie zabierzecie stąd niczego poza ciałem. Albo natychmiast to wszystko zostawicie, albo i tak na nic wam się to nie zda. Zadzwoń do mojego adwokata...

Nie ma Eleny, więc Chesca naradza się z Mariajo i Buendią.

– Ma rację, musimy opuścić ten dom. Bierzemy ciało. Jeszcze zdążymy zabrać komputery.

Rozdział 40

Elena nadal czeka wsparta o swoje auto. Wiele lat temu rzuciła palenie, skorzystała z tego, że była w ciąży z Lucasem, i po porodzie nie wróciła już do nałogu, ale teraz dałaby wszystko za papierosa.

Przeszło koło niej kilku mężczyzn, niemal wszyscy z nagim torsem, niektórzy z kiepskiej jakości tatuażami i w dżinsach do pół łydki. Idą dokądś, nie zwracając na nią uwagi, bez słowa. Powoli podchodzi do niej jakaś kobieta. Ma na sobie żarówiastożółte spodnie od dresu. Na widok jej wychudłej postaci inspektor mimowolnie nasuwa się skojarzenie z Mar Sepúlvedą. Myśli o śladach, jakie narkotyki odcisnęły na jej ciele, przegniłych zębach, bliznach na skórze. O demonie, który posłał ją do szpitala, gdzie wciąż leży w śpiączce. Kto wie, czy jeszcze się ocknie...

– Przysyła cię Kortabarria?

– Tak.

Kobieta zbiera włosy w prowizoryczną kitkę. Choć po ubraniu Elena oceniła, że jest ćpunką, z jej twarzy można wyczytać co innego. Nie ma niespokojnego spojrzenia uzależnionych, jej delikatna skóra lśni jak u kogoś, kto starannie o nią dba. Na lewej dłoni nosi obrączkę, którą narkoman sprzedałby wiele lat temu, żeby mieć na działkę. Przez kilka sekund kobieta przygląda jej się uważnie. Elena uświadamia sobie, co powinna zrobić, i szuka w kieszeni kartki, którą znalazła przy Kortabarrii. Tej, na której podano godzinę i miejsce spotkania. Wręcza ją kobiecie, a ta rzuca na nią okiem i oddaje ją.

– Chodź ze mną, słonko.

Nie wyjaśnia nic więcej, nie mówi, dokąd idą. Elena podąża za nią, niemal drżąc ze strachu.

Zárate jedzie najszybciej, jak się da. Gdy jednak skręca z M-203 na szosę do Cañada Real, okazuje się, że ruch jest wstrzymany.

Dziesiątki pojazdów stoją w szeregu, który ciągnie się w nieskończoność. Zárate schodzi z motoru i pyta, co się dzieje, kierowcy, który postanowił uzbroić się w cierpliwość i pali papierosa wsparty o maskę swojego samochodu.

– Ciężarówka wjechała w *cundę*. W sumie dziwne, że nie zdarza się to częściej. Biorą auto naćpani, żeby jeszcze sobie poprawić w Cañadzie...

Nie chce się pogodzić z tym, że nie zdąży na czas. Próbuje jechać na motorze poboczem. Jednak nie jest to proste. Niektórzy kierowcy poirytowani korkiem krzyczą na niego, widząc, co robi. Jakaś czerwona na twarzy kobieta zastawia mu drogę i zaczyna na niego wrzeszczeć.

– Dokąd to? Czekaj na dupie jak każdy...

– Proszę pani, jestem policjantem – mówi, pokazując odznakę. „Ubieraj się powoli, bo mamy mało czasu”, powtarza sobie w duchu Zárate niczym mantrę to, co mama zwykle mu powtarzała, kiedy widziała, że zżerają go nerwy.

Elena idzie za kobietą w dresowych spodniach aż do jednego z baraków pod numerem 20 w Cañadzie. W środku jest niemal całkiem pusto. Plastikowy stół i kilka krzeseł, z tych, których ludzie używają na tarasach, z pewnością kradzionych. W kącie na podłodze siedzi inna kobieta, która niczym wystraszony pies ucieka na widok Eleny i jej przewodniczki. Przechodzą do czegoś w rodzaju przedpokoju, z którego wychodzi korytarz prowadzący w głąb domu, ale kobieta zatrzymuje się właśnie tam. Odsuwa kilka kartonów leżących na podłodze i odsłania klapę w podłodze. Otwiera ją. Schodki wiodą do piwnicy, z której bije silne jasne światło.

– Takie są zasady – tłumaczy, gestem wskazując Elenie, żeby zeszła.

Elena z trudem tłumi dreszcz strachu. Ucieczka nie miałaby sensu, więc rusza schodami w dół. Kobieta idzie z nią i zamyka za sobą klapę.

Záratemu udało się dotrzeć na rondo, gdzie doszło do wypadku. Ciężarówka uderzyła w *cundę*, kiedy ta zjechała ze swojego pasa.

Policjant z drogówki wyjaśnia mu szczegóły kolizji. Lekarze z pogotowia próbują przywrócić funkcje życiowe jednego z pasażerów auta. Przez chwilę Zárate widzi ich przy pracy w karetce. Na jezdni jest dużo krwi. Nie tłumacząc nic więcej koledze z drogówki, Zárate mija wąskie gardło wytworzone przez służby ratunkowe oraz dźwigi, które zabierają pojazdy, i jedzie dalej szosą. Dzwonił kilka razy do Eleny, ale jej komórka nadal jest wyłączona lub poza zasięgiem.

Piwnica, do której zeszła, jest skąpana w białym świetle. Dzięki ledowym reflektorom łatwo zapomnieć, że są pod ziemią. Podłoga z białego marmuru, identyczne ściany, gładkie, bez żadnych dekoracji. Skórzana sofa, szklany stół, a obok niego barowa lada, na której półkach lśnią płyny w różnych butelkach. Połączenie luksusu najlepszego hotelu w Madrycie z aseptycznym klimatem sali operacyjnej. Stojący za barem mężczyzna w garniturze pyta Elenę, czy ma ochotę na jakiś koktajl. Jest mocno zbudowany i wysoki, ma pewnie koło dwóch metrów. Uśmiecha się do niej, gdy ona odrzuca jego propozycję. Jest świeżo ogolony, włosy ma nażelowane i zaczesane do tyłu.

– Na pewno nie chce się pani napić? – upewnia się kobieta miłym głosem.

Elena znów odmawia, choć nie wie, czy nie byłoby lepiej stępić nieco zmysły, może potem jeszcze zatęskni za alkoholem. Kobieta podchodzi do drzwi, których inspektor wcześniej nie zauważyła. Za nimi jest łazienka, a na drewnianej ławce ręcznik.

– Teraz powinna pani wziąć prysznic. Kiedy pani skończy, proszę mnie zawołać. Mam na imię Pina.

Rozmiary piwnicy nie odpowiadają barakowi nad nią. Salon, łazienka, wszystko jest większe niż mieszkanie na powierzchni, ale właściwie nie dziwi to Eleny. Wie, że domy w Cañadzie rozrosły się niczym nowotwór, bezkształtne, panosząc się bez planu, kolonizując teren. To luksus najbardziej zwraca jej uwagę: armatura Gunni & Trentino z wykończeniami z różowego złota, tej samej marki sprzęty toaletowe, kabina prysznicowa. Rozbiera się powoli, zostawia swoje ubranie obok ręcznika. Zanim odkręci wodę,

uświadamia sobie, że wokół rozbrzmiewa cicha muzyka. Przykłada ucho do drzwi, może uda jej się usłyszeć rozmowę między Piną a mężczyzną w garniturze. Jednak jej uszu nie dobiega nic poza delikatną muzyką klasyczną. Bierze szybki prysznic. Na szklanej półeczce znajduje żel i szampon. Pachnie miodem. Potem zawija się w ręcznik i woła Pinę.

– Proszę wybaczyć, ale to mój obowiązek. Czy może pani zdjąć ręcznik?

Elena nie wie, o co chodzi, ale spełnia jej prośbę. Stoi nago przed Piną, która weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

– Muszę się upewnić, że nie ma pani niczego przy sobie.

– Nie wiem, gdzie mogłabym coś mieć.

Pina uśmiecha się do niej. Podchodzi bliżej i wsuwa jej dwa palce między nogi.

– Bardzo przepraszam, ale musiałam to zrobić.

Potem kobieta otwiera stojącą w łazience małą szafkę. Wyjmuje szary kombinezon i tenisówki. Zbiera ubrania, które zdjęła Elena, i przed wyjściem prosi ją, żeby założyła rzeczy, które jej dała.

– Pojedziemy, kiedy się pani ubierze.

Elena zakłada kombinezon i tenisówki. Przed wyjściem z łazienki myśli o Záratem. Pakuje się w paszczę lwa, jest świadoma swojej nieostrożności, ale czepia się nadziei, że Ángel, jak kiedyś, zdoła ją odnaleźć, zanim będzie za późno.

Gdy wraca do salonu, mężczyzny w garniturze już tam nie ma. Pina podaje jej maskę.

– To konieczne? – Elena próbuje się wykręcić.

– Niech pani nam zaufa. Zadbamy o panią. Zapewniam, że nie będzie pani żałowała.

Po założeniu maski Pina naciąga jej również kaptur. Elenę ogarniają ciemności. Nie widzi nawet zmian w natężeniu światła, o ile takie występują. Pina bierze ją pod ramię i prowadzi. Policjantka słyszy metaliczny szcęk otwieranej zasuwy.

– Teraz będzie stopień. O właśnie, bardzo dobrze – gratuluje jej Pina, gdy pokonała przeszkodę.

Elena rozpoznaje odgłos otwieranych drzwi samochodu. Podwozie jest wysokie, pomagają jej wejść do środka, więc to zapewne

furgonetka. Ma wrażenie, że – nie licząc kierowcy – jest sama. Zapinają jej pas bezpieczeństwa, zamykają drzwi, samochód rusza.

Nie wie, dokąd jedzie, jak długo potrwa podróż ani co ją czeka, gdy już dotrze na miejsce. Wie, że powinna być czujna, by nie stracić orientacji i zdołać odtworzyć tę drogę, co zresztą wkrótce uznaje za niemożliwe. W aucie rozbrzmiewa cicho ta sama muzyka, którą słyszała w piwnicy. Zmęczenie po zarwanej nocy niweczy postanowienie. Elena zapada w sen.

Rozdział 41

Orduñowi jest wstyd przed Mariną. Wie dobrze, dlaczego koledzy zawieźli go do niej – bo ona jest jedyną osobą, która może go powstrzymać przed tym, by wyszedł i znów zaczął grać.

– Proszę, wybacz mi, choć zrozumiem, jeśli odejdziesz i nie będziesz chciała więcej o mnie słyszeć.

– Tak właśnie byś zrobił, gdybym ja miała problem?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc nie obrażaj mnie, myśląc, że tak postąpię – mówi kategorycznie, lecz z czułością Marina.

Znają się tak krótko, że właściwie wszystko, co robią, robią po raz pierwszy. Orduño nigdy nie widział jej poważnej i nie może oprzeć się myśli, że jej niebieskie oczy są teraz nawet piękniejsze niż wtedy, gdy się uśmiecha. Dom wypełniony jej obecnością wydaje się przyjemniejszy niż kiedykolwiek. Policjant jest szczęśliwy, że ona jest tutaj, że wszędzie leżą jej rzeczy, że może słuchać, jak parzy kawę w kuchni. Nie chce, by odeszła, dałby wszystko, żeby się z nią nie rozstawać.

– Proszę cię tylko o jedno: abys powiedział mi prawdę – mówi Marina, siadając naprzeciw niego.

Orduño postanawia nie ukrywać niczego, nawet najmniejszego szczegółu, poczynając od tego, co wydarzyło się wczoraj – choć nie za wiele pamięta – aż po pierwszy raz, gdy uświadomił sobie, że ma problem z hazardem.

– Wszyscy myślą, że się wkręciłem, kiedy musiałem wniknąć w środowisko turniejów Kortabarii, ale to nieprawda, to było dużo wcześniej.

Orduño opowiada jej o swoim despotycznym ojcu, który krzykiem utrzymywał spokój w domu, o matce, która wolała całkiem się podporządkować, niż kłócić z mężem, o swoim dzieciństwie jedynaka, któremu nikt nie poświęcał uwagi, choćby po to, by

pogratulować dobrych wyników w nauce czy sporcie, pochwalić za to, że jest dobrze wychowany, grzeczny, miły...

– Może oni wiedzieli, że to wszystko kłamstwo, że jedyne, co tak naprawdę mnie interesowało, to zakładać się o naklejki, o to, kto odrobi pracę domową, o to, że zrobię to czy tamto...

– To jakieś głupstwa, Rodrigo.

– Możliwe, ale właśnie tym się zajmowałem.

Zakłady o pieniądze nie przetrwały do czasów w Akademii Policyjnej, po jego okresie sportowym. Potem to już nie były zakłady, tylko rywalizacja: komu uda się więcej razy wspiąć po linie albo niemal całkiem gładkiej ścianie, pokonać w krótszym czasie tor przeszkód.

– Wygrywałem, bo zakładałem się o rzeczy, na które miałem wpływ, które nie zależały od kart czy jakiejś kulki. Wystarczyło, że byłem lepiej przygotowany niż inni. Ale potem odkryłem pokera. Nauczył mnie kolega z roku. W tym czasie mój ojciec już nie żył, zmarł na raka. Mama, jak gdyby nie potrafiła żyć bez krzyków ani rozkazów, przeżyła go tylko o rok. Nagle się okazało, że mam mieszkanie po rodzicach i całkiem sporą sumę pieniędzy.

– I wszystko przegrałeś.

– I nikt się nie zorientował. Kiedy zostało mi tylko kilka tysięcy euro, poszedłem do pani psycholog. Właśnie na to je wydałem. Wykonała swoją robotę, jak należy, dzięki niej przez kolejne trzy lata nie zbliżyłem się do karcianego stolika. W tym okresie wstąpiłem do BAC.

To był dobry i spokojny czas dla Orduña. Sądził, że nigdy więcej nie będzie niczego obstawiał, ale zaczęli rozpracowywać organizację Kortabarii...

– No i przeniknąłem do środowiska karciarzy, przekonany, że zdołam zapanować nad swoimi skłonnościami. Wtedy wsiąknąłem w to bardziej niż kiedykolwiek. Kilka miesięcy później wróciłem do tej samej psycholog, która pomogła mi poprzednio. Dziewczyna mnie rzuciła, ale zachowałem posadę... Bez zakładów, bez kart, bez ruletki...

– Aż do wczoraj.

– Tak, aż do wczoraj. Wiem, że niełatwo być z kimś takim jak ja. Nie winię mojej dziewczyny, że się spakowała i odeszła. Tak jak nie będę winił ciebie, jeśli zrobisz to samo.

– Zrobię to, jeśli dalej będziesz grał. Zostanę z tobą, jeśli powiesz mi prawdę.

– A ty powiesz mi prawdę?

Orduño bierze dłonie Mariny, odsuwa bransoletki, które zakrywają blizny na jej nadgarstkach.

– Kiedyś ci opowiem – obiecuje Marina. – Ale jeszcze nie teraz i to nie jest to, co myślisz...

Przytula Orduña, a on kładzie głowę na jej kolanach. Ona gładzi go po włosach. Włączyła płytę Kinksów w wieży. W milczeniu słuchają muzyki i po raz pierwszy od wielu godzin mężczyzna ma wrażenie, że ustaje szaleńczy zawrót głowy, od którego nie potrafił się uwolnić. Że odzyskuje kontrolę.

Rozdział 42

Zárate musi się zatrzymać przy wjeździe do Cañady, żeby przepuścić czarną furgonetkę z tych, które mają przeszklone jedynie okna z przodu, a z tyłu i po bokach czarną blachę. Zwraca jego uwagę, że jest taka zadbana i nowa. Jakieś przecucie podpowiada mu, że warto zapamiętać numer rejestracyjny. Nie udaje mu się to w całości, ale przynajmniej wie, że litery na początku to KFK.

Potem dostrzega czerwoną ładę riwę należącą do inspektor i myśli sobie, że do tego osiedla, gdzie wygląda na porzuconą, pasuje lepiej niż do centrum Madrytu. Aż trudno uwierzyć, ale jeszcze nikt się nią nie zainteresował, wciąż ma wszystko na swoim miejscu. Zárate przyjechał na motorze i nie wie, jak zabrać samochód. Jeśli go tu zostawi, za pół godziny nie będzie po nim śladu, wyniosą nawet kurz spod wycieraczek.

Zanim się tym zajmie, przygląda się pobliskim barakom. Z jednego wychodzi narkomanka w żółtych spodniach.

- Ej, wiesz może, gdzie jest właścicielka tego wozu?
- A co? Chcesz go kupić?
- Wiesz czy nie?
- Wal się.

Ćpunka odchodzi. Zárate wyjmuję telefon, próbuje zadzwonić do inspektor, ale nikt nie odbiera. Potem wybiera numer Cheski.

- Dalej jesteście w willi w El Plantío?
- Nie, przyszedł brat zmarłego i musieliśmy się zwijać. Namierzyłeś szefową?

- Nie, znalazłem auto, ale jej nie ma.
- Powiedz, gdzie jesteś, zaraz tam przyjadę.
- Spokojnie, sprawdź dla mnie blachy. Nie znam numerów, ale to seria KFK, czarny mercedes, furgonetka, z tych dużych, nie wiem, jaki model.

- Po co?

– Nie mam pojęcia. Potem do ciebie zadzwonię.

Zárate rozgląda się wokół. Kilka kobiet wyszło z baraków i nie podchodząc, z bezpiecznej odległości mierzy go wzrokiem. Kiedy rusza w ich kierunku, chowają się w swoich domach z cegieł i desek pokrytych dachami z blachy falistej. Nie ma tu stacji benzynowej, sklepów, niczego. Żadnej kamery monitoringu w promieniu kilku kilometrów. Miejsce zostało dobrze wybrane: nikt z tutejszych nigdy nie zechce gadać z policją. Cokolwiek by się działo, nie będzie świadków, którzy by to opowiedzieli.

Rusza przejściem przed barakami, tylko jeden jest otwarty: ten, z którego wyszła kobieta w żółtych dresach. Podchodzi, w środku widać samotne krzesło i plastikowy stół z reklamą piwa. Zagląda do przedpokoju, stamtąd korytarz prowadzi do kilku równie opuszczonych pokoi. Stawiając stopy na lepiących się od brudu kartonach, wychodzi na zewnątrz. Pewnie znajdują tu schronienie ci, którzy chcą się schować przed ciekawskimi spojrzeniami.

Po powrocie na ulicę Zárate mija człowieka, który przygląda się ładzie, zapewne zastanawiając się, czy nie rozebrać jej na części.

– Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie go tknąć.

– Twój? – odpowiada niemal doskonałym hiszpańskim, w którym jednak da się wyczuć, że to nie jest jego ojczysty język.

Zárate nie zamierza z nim dyskutować, pokazuje mu chwyt pistoletu w kaburze pod pachą i powtarza ostrzeżenie.

– Nie ruszaj go. Umiesz jeździć na motorze?

– Lepiej niż Valentino Rossi.

– Chcesz zarobić pięćdziesiąt euro?

– Kogo trzeba puknąć?

– Musisz jedynie odstawić go na parking przed Carrefourem w La Gavia, ja pojedę za tobą autem.

– Umowa stoi.

Otworzenie łady i połączenie przewodów, by silnik zaskoczył, to łatwizna. Zárate dziwi się, że nikt nie gwizdnął auta inspektor. Zapewne nikt nie chce sowieckiego złomu.

Ruszając, przejeżdżają obok kobiety w żółtych spodniach, która wyjmuje komórkę, aparat najnowszej generacji. Wybiera numer.

Zárate posuwa się za Rumunem, który jedzie jego motorem. Bez przeszkód docierają do La Gavia. Rumun jest w porządku, chce tylko swoje pięćdziesiąt euro, nie próbuje go oszukać.

– Wiesz może, po co sprowadzili moją przyjaciółkę, właścicielkę auta do Cañady?

– Ja nic nie wiem, kolego.

– Nawet za drugie pięćdziesiąt?

– Za drugie pięćdziesiąt mogę ci powiedzieć, że czasami przyjeżdżają jacyś ludzie, a potem wywożą ich furgonetką. Kiedyś to było berlingo, ale niedawno zmienili na mercedesa, widać, że dobrze im idzie. Zabierają ich, ale nie wiem dokąd. I nie wiedziałbym tego, choćbyś dał mi tysiąc.

– Dzięki. Jak masz na imię? Może jeszcze kiedyś będę potrzebował, żebyś odstawił mi motor.

– Constantin. Wiesz już, gdzie mnie szukać.

Kiedy Zárate zostaje sam, przeszukuje ładę, aż znajduje telefon, pistolet Eleny, jej dokumenty policyjne i klucze od domu. Gdziekolwiek poszła jego szefowa, jest tam całkiem nieuzbrojona i bez odznaki. Zastanawia się, czy dobrze zrobił, ruszając jej auto. Wyobraża sobie, że Elena ucieka i odkrywa, że ktoś zabrał jej samochód i pistolet, a wraz z nimi wszelką możliwość obrony. Na pociechę mówi sobie, że gdyby nic nie zrobił, ktoś ukradłby to wszystko i tym sposobem służbowy pistolet inspektor trafiłby w ręce jakiegoś handlarza narkotyków w Cañadzie.

– Chesca, wiesz coś o tych numerach rejestracyjnych, o które cię pytałem?

– Coś wiem, ale nie na wiele ci się to przyda. Jest przynajmniej osiem czarnych furgonetek Mercedesa, których numer zaczyna się na KFK, żadna w Madrycie. Dasz mi więcej danych, żebym lepiej poszukała?

– Nie, nie mam nic więcej. Nawet nie wiem, czy to ma związek z naszą sprawą. Jadę do ciebie.

Rozdział 43

Gdy Elena się budzi, furgonetka nadal jedzie. Nie wie, jak długo spała. Ma wrażenie, że poruszają się szybko dobrą drogą, bez wybojów, możliwe, że autostradą.

– Daleko jeszcze? Jestem głodna.

– W schowku, który może pani namacać obok siebie, są czekoladki i woda.

Rozpoznaje głos, to ten mężczyzna w garniturze, którego poznała w piwnicy. Postępuje zgodnie z jego wskazówkami i znajduje wodę. Podnosi kaptur, żeby się napić.

– Nie powinna pani tego robić.

– I tak nic nie widzę.

Elena nie kłamie. Opaska na oczach uniemożliwia jej orientację w przestrzeni. Policjantka ma pokusę, żeby ją ściągnąć. Mogłaby obezwładnić kierowcę i przejąć kontrolę nad pojazdem, ale czy nie byłby to błąd? Czy nie lepiej poczekać do końca podróży i się przekonać, dokąd ją wiozą?

Furgonetka zwalnia. Obawia się, że mężczyzna w garniturze zauważył coś dziwnego, że odkrył oszustwo, ale nie. Nawierzchnia drogi się zmieniła, teraz jest mniej stabilna, i wjeżdżają w jakąś dziurę. Są już blisko.

Chesca i Zárate zamknęli się w jednym z pomieszczeń BAC, nic nie mówiąc pozostałym.

– Jeśli Elena zadzwoniła do ciebie i powiedziała, gdzie się znajduje, to na pewno nie po to, żebyś zabrał jej samochód. Musiała wiedzieć, że jest w niebezpieczeństwie.

– Wybacz, ale telefony od Eleny nie mają załączonej instrukcji. Zadzwoniła do mnie, pojechałem do Cañada Real, zobaczyłem jej auto i zabrałem je stamtąd, zanim ktoś je ukradł.

– Dobra, nie będziemy się kłócić o to, co już się stało. Co robimy teraz?

– Spróbujmy myśleć tak jak ona, kiedy postanowiła pojechać do Cañady. Musimy wejść do jej głowy i odkryć, czego tam szukała.

Zárate wie, że pozbawia Chescę kluczowej informacji: to syn Eleny jest motorem jej wszystkich działań, ale nie ma czasu teraz jej tego wyjaśniać. Do pokoju wchodzi bez pukania Mariajo.

– Patrzcie tylko, co odkryłam. Nasz przyjaciel Yarum, to znaczy Casto Weyler, był winien dwieście sześćdziesiąt tysięcy euro Andoniemu Arísteguiemu.

– Serio? – dziwi się Chesca. – To wiele wyjaśnia.

– Nie lubię wychodzić na głupka, ale co masz na myśli?

– Zárate, pomyśl trochę. Yarum nie podał tego nazwiska, żeby nam pomóc. Podsunął nam łakomy kęs, chciał, żebyśmy się nim zajęli i uwolnili go od wierzyciela.

– I to wierzyciela bardzo sumiennego w swoich rachunkach. Popatrzcie, pod jakim tytułem wpisał to do swojej księgowości: „260 000 € zakłady ranczo”.

– Zakłady ranczo? – pyta Chesca. – Co to, do cholery, ma być? Mariajo wzrusza ramionami.

– Trzeba będzie z nim pogadać – stwierdza Zárate. – Jest u nas?

– Zabrali go dziś rano, nie mogliśmy go dłużej przetrzymać.

– Trzeba poprosić, żeby znów go przywieźli. Ja się tym zajmę – postanawia Chesca.

Furgonetka wreszcie się zatrzymuje. Ktoś otwiera drzwi od strony Eleny.

– Tędy – słyszy kobiecy głos.

Nikt więcej się nie odzywa, dopóki nie wejdą do domu. Prowadzą ją po schodach na górę do pokoju. Elena słyszy, że zamykają drzwi na klucz.

– Może pani zdjąć kaptur. Przepraszamy za niedogodności, to dla pani dobra. Mam na imię Carla i jestem do pani usług.

Elena znajduje się w pokoju umeblowanym w stylu wiejskim. Okiennice zamknięto i zablokowano od zewnątrz, nie może zobaczyć, gdzie jest. Kobieta, która zdjęła jej kajdanki

i przyprowadziła tutaj, ma około dwudziestu lat, jest ubrana jak kelnerka, w czarne spodnie i białą koszulę. Byłaby piękna, gdyby jednego z jej oczu nie przesłaniała opaska.

– Napije się pani szampana? – pyta, nalewając płyn do kieliszka. – Zaraz przyniosą pani coś do zjedzenia, pewnie jest pani głodna. Podróż była długa i niewygodna.

– Gdzie jesteśmy?

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Do spektaklu brakuje jeszcze trochę ponad trzy godziny. Jeśli pani sobie życzy, może pani coś zjeść lub chwilę odpocząć.

Carla wychodzi z pokoju, zamyka za sobą drzwi na klucz. Są też drugie drzwi, do łazienki, w której Elena znajduje wszystko, czego potrzeba, żeby się odświeżyć, włącznie z miękkimi szlafrokami. Są szczoteczki i pasta do zębów, żel, perfumy... Na komodzie stoi taca z jedzeniem. Jest bardzo głodna, dziś rano nie zjadła nawet śniadania u Juanita. Pochłania z apetytem sandwicza z rostbefem, rukolą i parmezanem i kawałek ciasta z truskawkami i śmietaną, które składają się na menu. Jest wino, woli je od szampana, którego nałała jej Carla. Chętnie poprosiłaby o grappę, ale chyba lepiej zadowolić się tym, co dostała.

Drzwi ponownie się otwierają, to znów Carla.

– Czy smakowało pani? Potrzebuje pani czegoś jeszcze?

– Nie, wszystko było bardzo dobre. Dostanę inne ubranie?

– Nie mam takich poleceń. Powiedziano mi, że kiedy przedstawienie się skończy, wróci pani do Madrytu. Spędzi tu pani tylko kilka godzin.

– Co ci się stało w oko?

– Straciłam je – odpowiada służąca beznamiętnie.

Elena okropnie chciałaby zapytać, na czym polega przedstawienie, ale przeczuwa, że nie powinna tego robić.

– Najlepiej niech pani odpocznie, ta noc będzie długa i pełna wrażeń, bardzo ekscytująca – mówi dziewczyna, zanim znów zostawi ją samą.

Rozdział 44

Na monitorze Chesca i Zárate oglądają Yaruma, który siedzi w pokoju przesłuchań, w kajdankach i z nieobecną miną.

– To szczególny typ – uprzedza Chescę Zárate. – Widziałem, jak wyprowadzał inspektor z równowagi. Zacznie ci mówić, że widzi twój umysł, że zna twoje problemy. Nie wpadnij w jego sidła, nie denerwuj się. Nie ma się co wściekać, bo chodzi nam o to, co powie, a nie o pojedynek umysłów.

– Masz mnie za idiotkę? Poza tym już z nim rozmawiałam.

Kiedy wchodzi do pokoju, Yarum wita ich jak dobrych znajomych.

– Całe szczęście, że to wy. Denerwują mnie rozmowy z panią inspektor.

– A to czemu?

– Jest tak przytłoczona sprawą swojego syna... Ta kobieta zawsze jest na skraju wybuchu, trzeba z nią uważać. Zdejmiecie mi kajdanki? Wiecie już chyba, że nie jestem porywczy, a bardzo niewygodnie się w nich siedzi.

Chesca podchodzi i spełnia jego prośbę.

Yarum pociera sobie nadgarstki, jakby wywołany przez kajdanki ból był nieznośny.

– Czy kajdanki nie są anachronizmem? Na filmie widziałem, że teraz zakłada się opaski zaciskowe. Chociaż na pewno blokują krążenie krwi. Nie wiem, co gorsze.

Żadne z dwojga policjantów mu nie odpowiada, przeglądają papiery, zachowują się, jakby się im nie spieszyło, ale mężczyzna nie milknie, śmieje się z nich.

– Uwielbiam wasze metody przesłuchań. Najpierw gracie mi na nerwach swoim milczeniem, potem jedno wciela się w rolę dobrego, a drugie złego policjanta. Jak chcecie, możemy się w to bawić, ale szefowa powinna wam powiedzieć, że i tak mnie wypuścicie, bo nic

na mnie nie macie. No dobra, nielegalne dochody na czarno i bez VAT-u. Mandat i do domu.

– Dlaczego mówi pan, że inspektor jest na granicy wybuchu?

– Nie wiecie o jej synu?

– A co powinniśmy wiedzieć?

Pytanie Cheski nie podoba się Záratemu. Nie spodziewał się, że przesłuchanie przybierze taki obrót.

– Jeżeli ona nic wam nie powiedziała, to ja również nie będę o tym mówił. Ale macie powody do zmartwienia. Nie zauważyliście jej nerwowości? Ja mam moce, ale wcale ich nie potrzeba, żeby to dostrzec. To udręczona osoba. Jeśli wy, którzy, jak zakładam, się z nią przyjaźnicie, nic dla niej nie zrobicie, to nie wiem, kto biedaczce pomoże.

– Gdzie jest jej syn? – ośmiela się zapytać Chesca.

– Tego to akurat nie wiem. Wiem, gdzie ona sądzi, że jest. W Purpurowej Sieci, no wiecie... Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Sprzedawał pan linki do jej eventów, więc coś chyba jednak miał pan wspólnego – wtrąca Zárate, który cały czas wpatruje się w Chescę. Jego koleżanka po raz pierwszy usłyszała o możliwości powiązania Lucasa z Siecią.

Jednak Yarum puszcza mimo uszu jego uwagę i skupia się na policjantce, patrzy jej w oczy, jakby właśnie ją odkrył.

– Czy w tej brygadzie nie ma ani jednej normalnej osoby? – zastanawia się zatrzymany, jakby naprawdę był zdumiony. – Szefowa ma zszargane nerwy przez swojego syna, a pani, Paquita, dlatego, że nie potrafi ułożyć sobie życia. Marzy pani o mężu, który by panią kochał, dzieciach, domku szeregowym i białym minivanie, a jedyne, co pani ma, to karnet na siłownię i czasem szybki numer w aucie... Nie wiem tylko, czy z kolegą, czy z koleżanką.

– Milczeć! – Chesca nie umie się powstrzymać.

– Spokojnie – ucisza ją Zárate, który obawia się, że ona uderzy aresztanta.

Yarum się uśmiecha, bo szybko zdołał wyprowadzić ją z równowagi i teraz poświęca więcej uwagi nienawiści, jaką w niej

wzbudza, niż pytaniom lub informacjom, które ona chce od niego wydobyć. Kiedy tylko nadarzy się okazja, zajmie się tym drugim.

– Proszę się nie zastanawiać, skąd to wiem, to nieistotne – podsumowuje zatrzymany. – Proszę tylko pamiętać, że dopóki nie pomoże pani sobie, nie zdoła pani pomóc innym. Radzę opuścić ten pokój, mówię to dla pani dobra. Nie chcę mieć na sumieniu zniszczenia funkcjonariuszki policji, która mogła być użyteczna dla kraju. Ja bardzo szanuję policję, proszę nie myśleć, że nie.

Chesca stara się oddychać głęboko, rozluźnić.

Yarum mówi dalej, nie daje jej czasu do namysłu, zapewne to kolejna z jego taktyk – w żadnym razie nie pozwolić przeciwnikowi zebrać myśli.

– Decyzja należy do pani, ale jeśli tu pani zostanie, odkryję więcej szczegółów z pani życia. Możliwe, że wcale nie chce pani o nich słuchać, może woli pani, żeby pani kolega o nich nie wiedział.

– Chcemy pomóc inspektor Blanco, ale nie wiemy, gdzie jest. – Zárate postanawia odkryć karty.

– I chcecie, żebym ja wam pomógł?

– Tak samo jak my pomogliśmy panu.

– No proszę, to dla mnie coś nowego. Niech mnie pan oświeci, jak mi pomogliście?

Zárate widzi, że ma przed sobą kogoś, kto się nie złamie. Uznaje, że powinien być z nim szczery, jeśli chce skłonić go do współpracy. Opowiada mu, że gdy wymienił nazwisko Kortabarii podczas rozmowy z inspektorem, namierzyli go i przeniknęli na jeden z nielegalnych turniejów pokera, że zbadali jego powiązania z Purpurową Siecią i – co najważniejsze – że on nie żyje.

– No proszę! Świetna wiadomość. To wy go stuknęliście?

– Zawał.

Yarum robi pełną ubolewania minę, która wygląda co najmniej komicznie.

– Dziwne, że tak długo pociągnął. Wcale mi go nie żal.

– Odkryliśmy, że był mu pan winien dwieście sześćdziesiąt tysięcy euro. To dlatego podał pan jego nazwisko inspektor?

– Czasem coś się uda. To dług, który zostaje anulowany z chwilą jego śmierci. Jestem o dwieście sześćdziesiąt tysięcy euro bogatszy.

– Jak pan widzi, pomogliśmy panu. Ma pan okazję się odwdziżyć. Już nie musi się pan obawiać Kortabarii.

– OK, podoba mi się, że pokornie prosicie o pomoc. Jaka była ostatnia wiadomość, którą mieliście o inspektor Blanco?

– Zniknęła w Cañada Real.

– W Sektorze 6?

– Tak.

– Nigdy nie chciałem się w to mieszać, słyszałem jedynie pogłoski w Deep Webie. Wydawało mi się to odrażające, a choćbyście nie wierzyli, są pewne granice, których nie chcę przekraczać. Podobno jeżdżą stamtąd do pewnego domu na wsi... Nie wiem gdzie... Żeby oglądać walki pomiędzy dziećmi.

– Co jeszcze wie pan o tych walkach? Będzie teraz jakaś? – Zárate z trudem maskuje niecierpliwość. Przeczuwa, że jest bardzo blisko prawdy.

– Powtarzam, że nigdy w tym nie uczestniczyłem.

– Dług u Kortabarii – przypomina mu Zárate. – Miał zanotowane, że to było za zakłady na ranczu. Chodziło o walki?

– Raz już prawie tam miałem pojechać, ale w końcu tego nie zrobiłem. Ten drań Kortabaria i tak chciał mnie za to skasować. – Yarum umie być przekonujący.

– Kłamiesz.

– Nie mogę wam powiedzieć nic więcej, ale pytajcie o pewną kobietę. Ma na imię Pina i zwykle tam się kręci. A teraz odprowadźcie mnie do mojej celi, dotrzymałem słowa. Pomogłem wam.

Rozdział 45

Elena nigdy nie lubiła polowań, ale jej ojciec był zapalonym myśliwym i z braku syna zabierał ją czasami na łowiecki wypad. Elena wiedziała, że w ten sposób okazywał jej miłość, i udawała entuzjazm w te trzy czy cztery weekendy w roku, kiedy proponował jej, żeby z nim pojechała, tylko we dwoje, bez matki. Owszem, podobały jej się obiady po całym dniu spędzonym na polowaniu i zabawy, które często uświetniali gitarzyści oraz śpiewacy i tancerze flamenco. To właśnie podczas jednego z tych weekendowych wyjazdów odkryła swoje zamiłowanie do terenówek, dzięki portugalskiemu naganiaczowi, którego psy traktowały, jakby był ich bogiem.

Elena lubiła polowania z wyjątkiem tego momentu, kiedy strzelano. Wówczas celowo zwracała lufę w złym kierunku, jakby jej celność wyćwiczona podczas strzałów do puszki nagle zniknęła, kiedy miała przed sobą żywą istotę. Tylko raz zabiła zwierzę. To wystarczyło, by zrozumiała, że nigdy więcej nie chce tego zrobić.

Te polowania, w których brali udział inni mężczyźni, jak jej ojciec, w towarzystwie swoich synów i rzadko córek, odbywały się w pobliżu granicy z Portugalią, którą czasem przekraczali, jak wtedy, gdy udawali się do imponującej posiadłości w Alentejo, gdzie wystarczyło strzelić przed siebie, żeby ubić dzika.

Od momentu, gdy wysadzono ją z furgonetki i umieszczono w tym pokoju, Elena czuje się podobnie jak wówczas. Nie może się oprzeć wrażeniu, że jest w jednej z tych posiadłości, choć nie ma żadnych danych, które by to potwierdzały: nie udało jej się nikogo usłyszeć, poza Carlą, która nie ma żadnego szczególnego akcentu, nie zdołała otworzyć drzwi ani okiennic, w pokoju też nie ma nic, co mogłoby jej podpowiedzieć, gdzie się znajduje. Może polegać wyłącznie na swoich wrażeniach, na przecuciach, na zapachu tamtych myśliwskich weekendów. Nie pozostaje jej nic innego, jak czekać, aż

Carla lub ktokolwiek inny przyjdzie i zaprowadzi ją w miejsce, gdzie odbędzie się widowisko.

Siada i zastanawia się nad swoim położeniem. Do głowy przychodzą jej tylko dwie możliwości. Pierwsza jest przerażająca: została zdemaskowana i spotka się twarzą w twarz z Dimasem. Ale nie po to, by się z nim zmierzyć, nie po to, by się dowiedzieć, co się stało z jej synem Lucasem, tylko po to, by stać się nową ofiarą Purpurowej Sieci. Wycierpi to samo, co wycierpiała Aisha Bassir, młoda Marokanka, co być może wycierpiała Aurora. Mężczyzna w masce meksykańskiego wrestlera i ten z metalową protezą ręki zajmą się nią w czasie, gdy setka widzów będzie się delektować przedstawieniem, licytować, żeby wprowadzono w czyn ich pomysły na tortury, i zakładać o to, kto wyda rozkaz.

Druga opcja wydaje jej się bardziej prawdopodobna: koperta, którą wyjęła z kieszeni w marynarce Kortabarii, była zaproszeniem na ten event. Ktoś zapłacił, żeby wziąć w nim udział, zapewne jakąś zawrotną kwotę, ale z powodu śmierci Baska wiadomość do niego nie dotarła i zamiast niego przyjechała ona. Wszystko toczy się jak zwykle, nawet to oczekiwanie. Nikt nie wie, kim jest naprawdę.

Musi się uspokoić i przestać w kółko zastanawiać nad tym, co ją czeka. Po prostu tego nie wie i nie może ustalić. Zna tylko jeden sposób, żeby nie myśleć – śpiew. Nuci więc pod nosem te same piosenki, które tyle razy śpiewała w Cher's: *Gira, il mondo gira, nello spazio senza fine, con gli amori appena nati, con gli amori già finiti, con la gioia e col dolore, della gente come me...* Nagle urywa, zdaje się jej, że coś usłyszała, jakieś pospieszne kroki, szcęk zatrzaśniętych drzwi. Nadstawia uszu, ale znów panuje cisza. Gdzieś w oddali słychać podniesione głosy, warkot motoru. Ale cisza przeważa i trudno jej rozstrzygnąć, czy naprawdę coś dzieje się na zewnątrz, czy tylko jej się zdaje. Zrezygnowana kładzie się na łóżku, gotowa pozwolić, by czas płynął.

Mija ponad godzina, potem drzwi wreszcie się otwierają. Do środka wchodzi nie tylko znana jej już Carla, ta z opaską na oku, lecz także dwóch mężczyzn z zakrytymi twarzami.

– Już czas. Musimy pani zawiązać oczy – mówią grzecznie, pokazując jej opaskę i kaptur.

Elena się boi, choć może za chwilę zobaczy swojego syna. Zawsze myślała, że jeśli ten moment nadejdzie, opanuje ją jakaś niezwykła odwaga i nie będą miały dla niej znaczenia żadne przeszkody, jakie napotka na swojej drodze. Jednak się boi, ma ochotę się rozpłakać, osunąć na ziemię i czekać na to, co ma nadejść. Kilka godzin temu, sześć, siedem, osiem, właściwie nie wie ile, zawiązano jej oczy w piwnicy w Cañadzie, dzielnie to zniosła. Teraz wszystko się powtarza, a ona nie jest pewna, czy zdoła nad sobą zapanować.

Po założeniu kaptura zabierają ją z pokoju i prowadzą przed dom, czuje na twarzy ciepły powiew wiatru. Znow wsadzają ją do auta. To nie jest ta sama furgonetka, która ją tu przywiozła, teraz jedzie terenówką. Droga nie trwa długo, sześć czy siedem minut, po wybojach można wywnioskować, że jadą polem na przełaj. Nie potrafi określić, do czego to wszystko zmierza, czy jest widzem czy aktorką.

– Może pani wsiąść. Ostrożnie, wejdziemy po schodach.

Elena pokonuje schody po jednym stopniu, trzymając za rękę mężczyznę, który ją prowadzi. W końcu docierają do czegoś w rodzaju saloniku. Tam zdejmują jej kaptur i opaskę.

– Spektakl zacznie się już za kilka minut. Nie wiemy, jak długo potrwa. Po zakończeniu przyjdziemy po panią. Proszę pamiętać, że postawiła pani pięćdziesiąt tysięcy euro na zielonego zawodnika. Powodzenia.

Nie wie, gdzie jest. Do saloniku przylega coś w rodzaju łoży. Wychyla się. Łoża wychodzi na małą zadaszoną arenę walki byków. Domyśla się, że jest więcej podobnych balkoników, ale panują całkowite ciemności i nie może zobaczyć, kto zajmuje inne, ani nawet czy są puste, czy ktoś tam jest.

Carla znow wchodzi z tacą, na której znajdują się butelka szampana, kieliszek i kilka czekoladek.

– Udanej zabawy.

Znow wraca do łoży. W innej z łoż dostrzega żar papierosa, nie jest więc sama. Choć próbuje przyzwyczaić wzrok do ciemności, nie udaje jej się zobaczyć nic więcej. Nagle zapala się światło, reflektor

oświetla środek ringu. Stoi tam wielka ośmiokątna klatka. Wchodzi mężczyzna. To Dimas w masce meksykańskiego wrestlera, podobnej do tej, którą miał na sobie w dniu śmierci Aishy.

– Witam – mówi czystym hiszpańskim, może z lekkim akcentem z Andaluzji lub Estremadury. – Już porobili państwo zakłady. Niektórzy z państwa są naszymi stałymi gośćmi, inni przyjechali po raz pierwszy. Mam nadzieję, że wszyscy spędzą czas zgodnie ze swoimi oczekiwaniami i wkrótce znów nas odwiedzą. Jak zawsze prosimy o wybaczenie niewygód podróży. Jak państwo wiedzą, podejmujemy te środki wyłącznie dla państwa bezpieczeństwa. Rozpoczynamy walkę. Przed państwem dwóch najbliższych zawodników Purpurowej Sieci. W zielonych spodenkach Jonay z Santa Cruz de Tenerife. W czerwonych Caín z Madrytu. Walka jak zwykle toczy się na śmierć i życie.

Elena nie jest w stanie zareagować. Powiedzieli Caín... Biblijny zabójca Abla. Czy to możliwe, że Lucas wybrał takie imię celowo, żeby w jakiś sposób upamiętnić swojego ojca? Nie wie tego, ale przeszywa ją dreszcz. Jeśli zdarzy się to, co przeczuwa, za chwilę, po tylu latach, ujrzy swojego syna.

Rozdział 46

Chesca i Zárate zsiadają z motoru w tym samym miejscu, gdzie rano Ángel znalazł samochód Eleny. Jest jeszcze dzień, ale mogą już sobie wyobrazić, jak tu będzie wyglądało za kilka godzin, kiedy kałuże znikną w mroku i nie da się ich wyminąć. Tutaj nie ma miejskich latarni, tylko skąpe światło od ognisk oznaczających miejsca sprzedaży narkotyków.

– Sądziłam, że będą nam utrudniali dotarcie tutaj – zauważyła Chesca, ściągając kask.

– Gdyby to utrudniali, nie mogliby handlować narkotykami. W najgorszym razie będziemy mieli problem, żeby stąd wyjechać.

– Niespecjalnie mnie uspokoiłeś.

Żadne z nich nie wie, jak poruszać się po tych slumsach. To bezkształtny labirynt, w którym trudno się odnaleźć.

– Dokąd idziemy?

Wiedzą, czego szukają: Piny, kobiety, o której powiedział im Yarum. Szkoda tylko, że nie wiedzą, jak ją znaleźć. Podejrzewają, że jeśli zapytają o nią kogoś na ulicy, narobią sobie kłopotów.

– Na początek się przespacerujemy, może coś nam wpadnie w oko.

Wciąż przejeżdżają jakieś auta, niektóre się zatrzymują i wysiadają z nich różni ludzie. To kursujące między Madrytem a tym osiedlem *cundas*, narkotaksówki, takie jak ta, która dziś rano zderzyła się z ciężarówką. Można przypuszczać, że ich kierowcy umawiają się z pasażerami, że podjadą po nich za pół godziny w ustalone miejsce. Oni kupią sobie działkę heroiny albo dwie, wypalą ją tu na miejscu albo zachowają na później i znów wsiądą do *cundy*. Poświęcą dzień na zdobycie kasy, żeby jutro zafundować sobie taką samą przejażdżkę. Są też auta, które wyglądają normalnie, w środku siedzą jacyś goście sprawiający wrażenie pracowników biurowych. To pewnie tacy uzależnieni, którym udaje się jeszcze prowadzić normalne życie. Niektórzy funkcjonują tak przez wiele lat.

Inni, którzy są już w gorszym stanie, zostają tutaj, w barakach lub namiotach. Oddają przysługi handlarzom w zamian za swoją codzienną działkę: roznoszą, sprzedają, wyszukują klientów lub okradają własnych kolegów niedoli, kiedy ci właśnie coś wciągnęli i nie są w stanie się bronić. To oni podtrzymują ogień w ogniskach. Przeważają wśród nich mężczyźni, choć czasem zdarzy się też jakaś kobieta. Chesca przygląda się im, może wśród nich jest Pina, której szukają.

– Chcecie coś kupić? – pyta jedna z nich, widząc, że na nią patrzą.

– Potem, na razie się rozglądamy.

– Tutaj przyjeżdża się kupować, rozglądać możesz się w swojej pieprzonej dzielnicy, która ma wystawy – odpowiada poirytowana ćpunka.

Para policjantów spaceruje dalej, czasem ktoś na nich patrzy, ale pozwalają im chodzić, nikt ich nie zaczepia.

– Sądzę, że Pina to jedna z kobiet, które wyszły z tych domów, ta, która miała żółte dresy. Zapytałem, czy widziała właścicielkę auta, a ona posłała mnie do diabła – przypomina sobie Zárate.

– Mam wrażenie, że tutaj wszyscy lubują się w posyłaniu innych do diabła – zauważa Chesca. – Idziemy tam?

Kiedy podchodzą do baraków, podnosi się jakiś facet, który siedział przy ognisku i rozmawiał z innymi.

– Znowu ty?

To Constantin, Rumun, który odstawił motor na parking w La Gavia.

– Powiedziałeś, że jeśli będę miał interes, to cię tu znajdę.

– To było, zanim się dowiedziałem, że pytają o ciebie bardzo niebezpieczni ludzie.

– Pytają o mnie?

– O tego, co zabrał stare auto, ale nie wiedzą, kim jesteś.

– Powiedziałeś im, gdzie je odstawiliśmy?

– Ja nigdy nic nie mówię.

– Szukam kobiety, która nazywa się Pina.

Constantin gwizdże przez zęby.

– Zły człowiek z tej Piny. Powiedziałbym ci, że najlepsze, co ci się może przytrafić, to żebyś jej nie spotkał.

- Czasem człowiek nie ma wyboru.
- Co będę z tego miał?
- A co byś chciał?
- Pozwól, że się zastanowię. Poczekaj tu, a ja powiem ci, co wiem.

Rumun oddala się od nich i znów siada ze swoimi rodakami przy ognisku. Chesca i Zárate nie wiedzą, co robić, czy odejść kilka kroków, w ogóle sobie pójść, a może tkwić tu dalej. Wstaje inny z mężczyzn.

– Tam z tyłu, jakieś dwieście metrów stąd, jest barak z napisem „Kiosk”. Czekać, Constantin już idzie.

Barak z napisem „kiosk” namalowanym grubym pędzlem i czarną farbą ma okienko, przez które obsługiwani są klienci. Na zewnątrz jest kilka stolików i plastikowych krzeseł, ukradzionych z ogródka jakiegoś baru w Madrycie, każde inne: z logo Coca-Coli, Mahou, San Miguela, Aperola... Siedzi tam paru narkomanów, którzy jedzą kanapki, ale widać, że nie są to godziny największego ruchu.

- Masz zaufanie do tego Rumuna? – pyta z niepokojem Chesca.
- Tutaj nie ufałbym nawet własnej matce. Zamówię piwo.

Zárate wraca z kiosku z dwoma dobrze schłodzonymi buteleczkami mahou. Podchodzi do nich jakiś mężczyzna.

- Jak szukacie dobrej koki, to wiem, gdzie mają.
- Już mamy kogoś, kto nam da. Dzięki.
- Na pewno nie tak dobrej jak moja.
- Na pewno. Może innym razem.

Mężczyzna odchodzi. Chesca patrzy, jak idzie, rozglądając się podejrzliwie.

– Nie wiem, dlaczego dopuściliśmy do tego, że takie miejsce istnieje. Powinniśmy tutaj wjechać z koparkami i wszystko zrównać z ziemią.

- Już to robią.
- Ale wszystko, nie kilka domów.

– I co byśmy na tym zyskali? Że zamiast sprzedawać narkotyki tutaj, sprzedawaliby je na Gran Via? To jak ropiejąca rana, ma swoje zalety, bo to znaczy, że układ odpornościowy działa.

– Lekarstwo gorsze od choroby... – kpi Chesca i pociąga łyk ze swojej butelki.

Niewiele rozmawiają, przyglądają się mężczyznom i kobietom, którzy podchodzą do kiosku przez kolejne pół godziny. Większość kupuje kanapki, ale są i tacy, którzy biorą talerz czegoś, co wygląda jak całkiem przyzwoite ziemniaki po riojańsku. Wreszcie zbliża się do nich dziesięcio- lub jedenastoletni chłopiec.

– Constantin mówi, żebyście przyszli.

Wstają i idą za nim. Rumun czeka na nich kilka metrów dalej.

– Piny już tu nie znajdziecie. Zapytajcie o nią w melinie na ulicy Palomeras, w Puente de Vallecas.

– Tam jest dużo melin.

– Tamtą prowadzą Nigeryjczycy, szef nazywa się Adisa. Pina jest czysta, ale robi interesy z tym całym Adisą.

– Nie powiedziałaś mi, co chcesz w zamian.

– Jesteś mi winien przysługę. Któregoś dnia poproszę, żebyś się odwdzieczył.

Constantin odchodzi, nadal nie znaleźli Piny, ale przynajmniej już wiedzą, gdzie jej szukać.

– Jeden mój kolega z roku pracuje w Puente de Vallecas – przypomina sobie Chesca.

– Zadzwoń do niego, przyda się nam.

Rozdział 47

Elena czuje się jak w koszmarnym śnie. Snop światła pada pionowo z góry na ośmiokątną klatkę. Słowa przemowy Dimasa nie docierają już do niej, gdy dwaj zawodnicy wychodzą na ring. Jego głos stał się szumem, jakby jej zmysły się zablokowały. Widzi żylastego chłopca w zielonych spodenkach. Przypomina jej się, że mężczyzna, który odprowadził ją do łoża, powiedział, że na niego postawiła. Usiłuje się skupić na szczegółach: na arenie, gdzie odbywa się walka, na architekturze budynku. Może to jedno z tych miejsc, gdzie w gospodarstwach wypróbowuje się waleczność byków, a może zbudowano to pomieszczenie specjalnie do tego celu. O tym myśli, kiedy on wychodzi na środek. Od tego momentu nic innego już się nie liczy.

Jej syn, Lucas.

Ma na sobie czerwone spodenki i podnosi ramiona, spacerując wokół klatki, jakby był mistrzem. Być może widzowie biją mu brawo. Nie wie tego, nie słyszy ich. Cała jej uwaga jest skierowana na odnalezienie cech niewinnego dziecka, które straciła na plaza Mayor. Gdzie jest jej syn? Chce myśleć, że nadal tutaj, pod skórą żylastego nastolatka, niezbyt wysokiego, ale krępego. Nastolatek, który śmieje się i robi miny do ludzi ukrytych w ciemności łóż. Czuje się bohaterem. Ma kilka blizn, niezbyt dużo, na ciele, na twarzy. Brakuje mu płatka lewego ucha. Lucas zatrzymuje się przed jej łożem. Zrobił to już wiele razy, ale Elena czuje, że serce podchodzi jej do gardła. Czy ją widzi? Czy ją rozpoznał? Czy istnieje ta niewidzialna nić, która łączy matkę z dzieckiem? Czy coś poczuł? Lucas wbija wzrok w ciemność, w której siedzi Elena, i znów się uśmiecha. Przez ułamek sekundy ona przypomina sobie te niewinne, pełne życia oczy, kiedy wkładał do klasera znaczki kupione z ojcem na targu, kiedy siadał nad filiżanką czekolady, kiedy budził się po sjeście i odkrywał, że mama siedzi na brzegu łóżka i czule na niego patrzy.

To te same oczy, które teraz spoglądają na nią ze środka ringu, a zarazem są to oczy całkowicie inne. Martwe.

Caín wydaje euforyczny okrzyk i idzie dalej. Teraz Elena może usłyszeć gwar innych widzów, którzy nagradzają krzykami i brawami prezentację zapaśnika. Nie potrafi powstrzymać łez: to jasne, że dla jej syna bliskość walki nie jest powodem do strachu, lecz do ekscytacji i dumy.

Kiedy Lucas kończy rundkę wokół areny, kieruje się na środek i staje obok drzwi klatki. Tam czeka na niego przeciwnik, chłopiec w zielonych spodenkach. Jest nieco wyższy od Caína, ale nie tak muskularny. Elena ze zdziwieniem odkrywa, że wygląda na dobrego chłopca, nieśmiałego, dobrze wychowanego, nie ma łobuzerskiego stylu jej syna. Gdyby była całkiem bezstronna, chciałaby, żeby to Jonay wygrał walkę. Ale Lucas jest jej synem i tak naprawdę chce jedynie, żeby to wszystko się nie odbyło, żeby nie było zwycięzców ani pokonanych.

– Walka zaraz się zacznie, obaj zawodnicy stali już na tym ringu i wygrali. Dziś tylko jeden z nich wyjdzie stąd żywy. Wiecie już – zwraca się do zawodników – że wszystkie chwytły dozwolone: uderzenia pięścią, kopniaki, ugryzienia, ciosy poniżej pasa... Zaczynajcie!

Elena czuje, że nie będzie w stanie tego znieść. Mężczyzna wychodzi z klatki, z przestrzeni wyznaczonej snopem światła, który podąża za zawodnikami. Jonay i Lucas spędzają długie sekundy, może nawet więcej niż pół minuty, przyglądając się sobie nawzajem, krążąc wokół siebie, ale nie przypuszczając ataku. Jonay patrzy z lękiem, z twarzy Lucasa ani na chwilę nie schodzi uśmiech.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać, jako pierwszy rzuca się na przeciwnika Jonay. To stanowczy atak, przed którym Lucas uchyla się z pewną elegancją. Pomimo efektownego zwarcia nie wymierzają sobie żadnego ciosu. Dalej się kiwają, próbują wybadać przeciwnika, posuwają się do przodu i wycofują, poruszają wokół ringu. Wreszcie Lucas wyprowadza kopniaka w udo Kanaryjczyka, który wydaje okrzyk bólu i odskakuje. Elena po raz pierwszy słyszy jego głos.

– Zabiję cię.

Lucas zbliża się do niego, teraz już stanowczo, ale Jonay broni się, wymierzając mu prosty cios w głowę, który posyła go na ziemię. Elena widzi, jak jej syn robi unik, turlając się.

W pojedynku znów następuje chwila względnego spokoju. Walka będzie dużo dłuższa i bardziej bolesna, niż Elena się spodziewała. Przez kolejne minuty przeciwnicy wymieniają się brutalnymi ciosami, pomiędzy którymi pozwalają sobie niekiedy na chwilę przerwy. Aż wreszcie rozpętuje się piekło.

Jonay znów przejmuje inicjatywę, ale tym razem udaje mu się wymierzyć Lucasowi bolesnego kopniaka w bok. Potem wali w niego pięściami i kolanami, obaj wczepiają się w siebie i wymierzając sobie kolejne ciosy, turlają się po ziemi. W końcu – Elena nie wie, jakim sposobem – jej syn ląduje na górze i łomocze z całej siły przeciwnika pięściami po twarzy. Jednak Jonay nie powiedział jeszcze ostatniego słowa i chwyta Lucasa za szyję nogami. Pociąga tak mocno, że ten traci równowagę i uderza głową o podłogę.

Obaj wstają, ale wydaje się, że Lucas jest oszołomiony, na łasce drugiego zapaśnika, który przygotowuje się, by go dobić. Jonay łapie go i chce jeszcze raz uderzyć jego głową o podłogę. Elena krzyczy, lecz nie jest jedyną osobą, która to robi, słychać inne wrzaski, wszystkie z podniecenia, tylko z jej gardła wyrывa się wołanie rozpacz. Tyle lat go szukała! Czy tylko po to, żeby stać się świadkiem jego śmierci, której nie może w żaden sposób zapobiec? Wychyla się z łoży, z której ogląda spektakl. Znajduje się na wysokości około pięciu metrów. Gdyby skoczyła...

Jednak, kiedy mimo wszystko rozważa skok, rozlega się kolejny wspólny okrzyk. Elena znów spogląda na klatkę i widzi, że uśmiech powrócił na twarz Lucasa. Tylko udawał, żeby Jonay zmniejszył czujność, i teraz to on go dusi.

Ból na widok śmierci syna był nieznośny, ale obserwowanie, jak się uśmiecha, kiedy Jonay traci siły, a jego mięśnie wiotczeją, jest jeszcze gorsze. Chłopak umrze, nic już nie może przeszkodzić Lucasowi w dopełnieniu dzieła. Krzyk Eleny wypełnia całe pomieszczenie, odcinając się od milczenia reszty widzów, którzy za chwilę zobaczą śmierć, bo właśnie po to tutaj przyjechali.

– Nie! Synu, nie! Przestań, Lucas!

Nawet Lucas rozgląda się wokół zaskoczony i wypuszcza szyję Jonaya, który osuwa się na ziemię jak kłoda. Wówczas Elena krzyczy raz jeszcze.

– Nie zabijaj go!

Dimas wraca na arenę i rozgląda się wokół. Lucas ręką wskazuje mu kierunek, skąd dobiegł okrzyk, pokazuje na swoją matkę. Dimas biegnie do jakiegoś wyjścia. Lucas stoi tam dalej. Pomaga wstać Jonayowi, jak gdyby pomiędzy nimi nie było żadnej wrogości, mimo że próbowali się zabić.

Elena wie, że za chwilę wejdą do jej łoży. Teraz rzeczywiście musi skoczyć. Robi to, upada i toczy się po arenie, potem biegnie do wyjścia w drugim końcu pomieszczenia. Lucas z wnętrza klatki dostrzega, jak przebiega obok niego. Elena się zastanawia, czy ruszy za nią, ale nie, on wciąż się uśmiecha, jak wtedy, gdy walczył... Jakiś mężczyzna zastępuje jej drogę, ale Elenie udaje się go wyminąć. Wreszcie jest na zewnątrz, pośród ciemnej jak smoła nocy. Biegnie, nie może się teraz zatrzymać.

Rozdział 48

Ulica Palomeras jest jedną z głównych w dystrykcie Puente de Vallecas i od niej bierze nazwę cała dzielnica. Biegnie o kilka kroków od alei Albufera, przy której znajduje się stadion piłkarski klubu Rayo Vallecano – dumy miejscowych. Ulica zajmuje odcinek, który dawniej należał do szosy prowadzącej do Walencji. Blisko stamtąd do Parlamentu Wspólnoty Autonomicznej Madrytu. Władze próbowały poprawić poziom życia mieszkańców, umieszczając tam jeden z ośrodków władzy, ale ta strategia nie całkiem się powiodła, udało się stworzyć jedynie małą wyspę dobrobytu pośród chaosu.

– No to jesteśmy, teraz musimy zlokalizować melinę Adisa. Zobaczymy, czy twój kolega będzie mógł nam pomóc – mówi Zárate.

Wiele z tak zwanych narkomieszkań w Puente de Vallecas nie jest tak naprawdę mieszkaniami, lecz lokalami handlowymi lub niskimi budynkami, które stały puste, aż zostały zajęte przez dilerów. Ulubiona przez narkomanów część dzielnicy znajduje się właśnie przy ulicy Palomeras, w pobliżu Amós Acero, parku z okrągłą fontanną, przy której często siadają okoliczni mieszkańcy. Park byłby naprawdę ładny, ale jest mocno zaniedbany, a poza tym chętnie gromadzą się w nim drobni dilerzy.

W środku postawiono muszlę koncertową, obecnie już nieużywaną, z miejscami dla publiczności. Tam przesiadują grupy chłopców i dziewczyn z litrowymi butelkami piwa ukrytymi w reklamówkach. Chesca i Zárate dobrze wiedzą, że ta młodzież im nie pomoże, i to nawet nie dlatego, żeby miała jakiś interes w kryciu handlarzy narkotyków. Po prostu w tej dzielnicy człowiek uczy się bardzo szybko, że wtrącanie się w cudze sprawy to jeden z najgorszych pomysłów, na jakie można wpaść.

Wreszcie widzą osobę, której szukają – Paca, dawnego kolegę Cheski oddelegowanego do Puente de Vallecas. Ubrany jest po

cywilnemu, ale Zárate nie ma wątpliwości, że to on, jeszcze zanim się przedstawi. Na kilometr widać, że to gliniarz.

– Adisa? – powtarza Paco po powitaniu. – Pierwsze słyszę, tu w pobliżu jest ponad trzydzieści melin, wiele z nich pod kontrolą Nigeryjczyków. Będziemy musieli popytać. Nie wpakujecie mnie w jakieś gówno, co?

– Nie – odpowiada Chesca bez przekonania. – Chcemy tylko znaleźć niejaką Pinę.

Paco oprowadza ich po dzielnicy, pokazuje kilka zamurowanych okien.

– Tutejsi lokatorzy sami zamurują mieszkania, które zostały puste w wyniku eksmisji lub z innego powodu. W ten sposób próbują uniemożliwić ich przejęcie. W budynku, gdzie mieszkają moi rodzice, jest jedno takie, musieli się zrzucić po dwanaście euro każda rodzina. A tutaj się nie przelewa.

Na jednej z ulic koło parku widzą wchodzącego do bramy narkomana.

– Tu jest punkt sprzedaży.

– Jeśli o tym wiecie, dlaczego go nie zamkniecie? – bulwersuje się Chesca.

– Po co? Żeby przenieśli się do budynku obok? Przynajmniej wiemy, gdzie są. Na tej ulicy znam trzy takie miejsca, na sąsiedniej dwa kolejne, a na następnej pięć... Wiecie, ilu mieszkańców tej dzielnicy odsiaduje wyroki w więzieniach w Peru, Boliwii, Kolumbii czy Brazylii, bo pojechali, żeby sobie dorobić jako kurierzy koki? Nie znam dokładnej liczby, ale jest ich całkiem sporo. Wejdziemy do tego baru.

To jeden z takich odwiecznych barów, gdzie przed laty była podłoga wysypana trocinami. Zamawiają trzy małe butelki, kelner przynosi piwo, a obok stawia okrągły metalowy spodek z kilkoma orzeszkami ziemnymi w łupinie.

– Zadzwoń po Tysiącza – prosi Paco kelnera.

Mężczyzna wychodzi na zaplecze.

– Możecie się chyba domyślić, dlaczego go tak nazywają. Choć ksywę nadano mu za młodu. Gdyby teraz policzyć wkłucia, pewnie lekko przeskoczyłby dziesięć tysięcy.

– Wybacz, spieszy nam się – ośmiela się powiedzieć zniecierpliwiony Zárate. – Od tego, czy znajdziemy Pinę, może zależeć życie inspektor Blanco.

– Wiem, ale nie przychodzi mi do głowy szybszy sposób na jej znalezienie niż wypicie kilku kolejek w tym barze – odpowiada mu Paco z całym spokojem.

Ani Chesca, ani Zárate nie rozumieją, o co mu chodzi, dopóki zza baru nie wyjdzie starszy, bardzo szczupły mężczyzna z niemal białymi włosami.

– Czego chcesz, Paco? Któregoś dnia wpakujesz mnie w niezłe gówno, kręcąc się tutaj.

– Sam wpakowałeś się w gówno, Tysiączek. Szukam Adisy, Nigeryjczyka, który ma melinę.

– Te afrykańskie imiona wszystkie brzmią dla mnie tak samo. Oni zresztą też są wszyscy tacy sami, jak zobaczyłeś gębę jednego, to tak jakbyś zobaczył wszystkich.

– Wysil pamięć.

– Sądzisz, że nazywaliby mnie Tysiączek, gdyby została mi jakaś pamięć? Do pięciuset jakoś się trzymałem. Ale potem z głowy zrobiła mi się sieczka. Całe szczęście, że starzy zostawili mi ten bar. Gdyby nie to, koczowałbym w namiocie w Cañadzie. W takim z Decathlonu, które stawiasz w dwie sekundy, podrzucając do góry.

– A Pina? Znasz może Pinę? – ośmiela się zabrać głos Chesca.

– A na co ci ta suka? – Mężczyzna spogląda na nią. – Lepiej o niej zapomnij.

– Zrobiłabym to z największą przyjemnością, ale najpierw muszę z nią pogadać.

– Pina nie zajmuje się narkotykami. – Policjanci milczą, więc Tysiączek ścisza głos do szeptu, by wyjaśnić. – Ubija interesy z Afrykanami, ale szuka kobiet. To stręczycielka i z tego, co mówią, lepiej trzymać się od niej z daleka.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

– W Entrevías, w domu jej matki. Doña Carmen dawniej często tu zaglądała, ale teraz jeździ na wózku i już nie wychodzi. Pina codziennie wpada do niej na kolację. Sami widzicie, choć jest suką, ma jakieś uczucia i każdego dnia odwiedza matkę. A wy? Kiedy

ostatnio widzieliście wasze? Mieszka naprzeciw Centrum Kształcenia dla Dorosłych, w niskim domu z białymi drzwiami do garażu.

– To tutaj.

Dom matki Piny nie jest zaniedbany. To niski budynek na ulicy Serena, obok Ronda del Sur. Wchodzi się przez drzwi garażowe, tak jak zapowiedział im Tysiącdek.

– Co robimy?

– Patrz.

Chesca jako pierwsza zauważyła, że po drugiej stronie ulicy stoi zaparkowany czarny mercedes, furgonetka.

– To ten, który widziałeś w Cañadzie?

– Cholera, tak.

Numer rejestracyjny zaczyna się od KFK. Te same litery, które Zárate podał Chesce, kiedy zniknęła Elena.

Rozdział 49

Elena słyszy za plecami szczekanie psów i przypomina jej się portugalski naganiacz, który prowadził psiarnię. Wie, co mogą jej zrobić zwierzęta, jeśli ją dopadną, i wie też, że nie da się przed nimi uciec. Biegnie w całkowitej ciemności i boi się potknąć, skręcić sobie kostkę, upaść na ziemię i wystawić się na atak psów, które zapewne wypuścili. Mogą ją zagryźć i być może najlepiej byłoby zrezygnować z ucieczki. Jeśli ich opiekunowie będą blisko, kiedy psy ją dorwą, mogą zabronić im ją rozszarpać. Wtedy przychodzi jej na myśl, że może zmuszą Lucasa, żeby to zrobił, i to w jeszcze brutalniejszy sposób, postanawia więc nie przerywać ucieczki.

Zaczyna zbiegać po stoku. Nie wie, dokąd zaprowadzi ją ten szlak. Wreszcie dzieje się to, czego najbardziej się obawiała: potyka się i upada. Jej dłoń wyczuwa strumień. Możliwe, że to szczęśliwe zrządzenie losu, może w wodzie psy stracą jej trop. Ale to tylko przypuszczenia, wszystko, co przychodzi jej do głowy, by się uratować, to rzeczy, które kiedyś zobaczyła w filmach.

Wchodzi kilka metrów w głąb rzeki, woda sięga jej powyżej kolan, porusza się z trudem, ale nie przestaje iść.

– Tędy – słyszy wówczas.

Wie, że ten kobiecy głos zwraca się do niej.

Może to już koniec ucieczki, ale możliwe także, że to jej jedyna szansa na ocalenie, idzie więc za tym głosem. Kobieta lub dziewczyna – ma wrażenie, że jest bardzo młoda – łapie ją za ramię i prowadzi bardziej na środek rzeki. Chce ją utopić? Mimo wszystko Elena się nie zatrzymuje, idzie za nią, aż woda sięga jej piersi.

– Sto metrów – mówi głos. – Sto metrów stąd jest miejsce, gdzie psy nie będą mogły nas wyczuć.

To tylko sto metrów, jednak ma wrażenie, że pokonanie ich zajmuje im całą wieczność. Idzie cały czas w strachu, że bestie za chwilę się pojawią, reflektory aut oświetlą koryto rzeki, a ludzie

z pościgu – słycać ich głosy – odkryją je i zaczną do nich strzelać. Albo że ta dziewczyna ją oszukuje i zaraz przekaże ją oprawcom.

– Trzeba przejść na drugą stronę.

Dziewczyna pociąga ją za sobą, wreszcie wychodzą z wody. Otwiera metalową pokrywę w ziemi, a wówczas zalewa je fala mdlącego smrodu.

– No już, schodź.

– Nie zamierzam tam wchodzić.

– No to zostań na zewnątrz. Przekonasz się, jak szybko zwietrzą cię psy. Tylko odejdz stąd, nie chcę, żeby mnie złapali.

Dziewczyna schodzi, Elena decyduje się pójść w jej ślady. Zamyka pokrywę. Ciemność, która na zewnątrz wydawała się całkowita, staje się jeszcze bardziej nieprzenikniona.

– Gdzie jesteśmy?

– To się chyba nazywa szambo. Nigdy nie wdepnęłaś tak głęboko w gówno jak teraz – śmieje się dziewczyna. – Usiądź wygodnie i spróbuj zapomnieć o smrodzie. Ja siedzę tu od ponad dwóch godzin i da się wytrzymać. To nic takiego.

– Jutro psy dalej tu będą.

– Jutro się zobaczy. Będziemy się tym martwić, jak przyjdzie pora. I będzie od ciebie tak waliło, że nawet psy nie będą chciały cię tknąć.

Do ciemności przyłącza się cisza. Elena nie wytrzymuje długo w milczeniu, musi wiedzieć, gdzie jest i jak się stąd wydostać.

– Jak się nazywasz?

– Aurora.

Żałuje, że zapytała. Czy życie uratowała jej dziewczyna, którą jej syn torturował na filmie? Byłby to naprawdę dziwny przypadek, gdyby zgadzało się imię, a to nie była ona. Przynajmniej Lucas jej nie zabił. Nie ją. Jeszcze dwa dni temu stanowiłoby to dla niej wielką ulgę. Teraz już nie. Wie, że było wielu innych zabitych w walkach, widziała to na nagraniach i niemal zobaczyła na własne oczy tej nocy.

– Twoja matka ma na imię Mar?

– Znasz ją?

– Szuka cię.

– W takim razie to nie ona. Moja matka szuka tylko pieniędzy, żeby dać sobie w żyłę, to jedyne, co się dla niej liczy.

– Powiedziała mi, że do niej dzwoniłaś, żeby powiedzieć, że żyjesz.

– Mogłam wykonać tylko jedno połączenie i zadzwoniłam do niej.

– Kto stoi za tym wszystkim?

– Nie wiem.

– Próbowałam prześledzić to połączenie i natknęłam się na mur. Musi być w to zamieszany ktoś bardzo potężny.

– Ja wiem tylko, że nie powinnam była dzwonić do matki. Myślałam, że mi pomoże, jestem kretynką. Mogłam zadzwonić gdziekolwiek indziej.

Znów popadają w milczenie. Elena nie czuje się na siłach, by przekonać Aurorę, że Mar próbuje, że rzuciła heroinę, nawet jeżeli teraz jest w szpitalu z powodu przedawkowania.

Choć trudno w to uwierzyć, chwilami zapomina o smrodzie, nie myśli o tym, gdzie jest i co ją otacza, tylko o tym, by stąd wyjść i uciec.

– Znasz Caína?

– Tego, który walczył dziś wieczorem? To szalenie. Inni robią, co mogą, żeby przeżyć. Caín walczy, bo lubi.

– Torturował cię.

– Skąd wiesz?

– Widziałam nagranie.

– Zrobił je dla swojej matki. To ty?

– Tak.

– Nigdy nie powinnaś była wydać na świat tej bestii.

Co zrobi, gdy go spotka? Nie wątpi, że Aurora ma rację i jej syn Lucas stał się bestią. Ani w to, że porwano go tylko dlatego, że był jej synem, by ją oddalić od dochodzenia w sprawie zakładów Kortabarii. Nie zaszli jeszcze daleko w tamtym śledztwie, ale ludzie z Purpurowej Sieci wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, lepiej było temu zapobiec. Dlatego porwali Lucasa. A teraz, jak mówi Aurora, jej syn jest jednym z nich.

Nie potrafi uniknąć myśli, że musiało być wielu porwanych chłopców, którzy walczyli. Część z nich zginęła, inni przeżyli, na pewno. Czy wielu z nich przyłączyło się do Sieci, czy zrobili tak tylko

ci, którzy nosili w sobie skłonność do sadyzmu? Ani ona, ani Abel, jej eksmąż, nie są tacy, są zwykłymi ludźmi, którzy cieszyli się życiem, lubili czytać, słuchać muzyki, spacerować na łonie przyrody. A może byli tacy, bo nigdy nie musieli stanąć nad przepaścią, nad którą stanął Lucas?

Był zwykłym chłopcem, jak ona, jak Abel. Chociaż był jeszcze bardzo mały, kiedy go porwano, miał swoje upodobania: piłka nożna, znaczki, samochodziki... Był czuły dla nich i dla swoich obu babć, lubił chodzić do przedszkola i cieszył się, kiedy tata siadał wieczorem na jego łóżku, żeby przeczytać mu bajkę.

A jednak Aurora ma rację: nie powinna była urodzić tej bestii.

Rozdział 50

Chesca i Zárate dalej czekają w aucie przy ulicy Serena. Mariajo podała im dane właściciela furgonetki: Ramón Rodríguez Potrero, czterdzieści pięć lat, karany za handel narkotykami i napad z bronią w rękę. Należał do jednej z najważniejszych grup rabujących sklepy w stolicy.

– Gość jako szesnastolatek napadł na autobus linii EMT i pruł po Madrycie z drogówką na ogonie. Złapali go dopiero, gdy walnął w fasadę Mercadony. Ale wygląda na to, że się poprawił, od prawie dziesięciu lat nie ma żadnych problemów.

– Muszę cię rozczarować, Mariajo, z pewnością się nie poprawił – odpowiada Zárate. – Coś jeszcze?

– Nie mieszka w Madrycie, jest zameldowany w małym miasteczku pod Kadyksem: Coto Serrano. Tam właśnie zarejestrowano furgonetkę.

– A znalazłaś coś o tej całej Pinie? Może coś ich łączy.

– Z tego, co mi wiadomo, to nie. Została zatrzymana trzy lata temu po obławie w sprawie dotyczącej handlu ludźmi. Przetrzymywali piętnaście kobiet w klicie przy ulicy Buenavista. Ktoś podał jej nazwisko, ale nie udało się udowodnić żadnych powiązań i wypuszczono ją na wolność. Chcesz, żebym spróbowała się dowiedzieć, gdzie mieszka?

– Stoimy przed jej domem. Wyszukaj, ile się da, o tym gospodarstwie w Kadyksie. Ciekawe, skąd ten cały Ramón miał kasę na furgonetkę.

– Wchodzimy czy czekamy, aż oni wyjdą? – rzuca z niecierpliwością Chesca, gdy tylko Zárate kończy rozmowę.

– Nie mamy żadnego pretekstu, żeby tam wejść. Dom jest na nazwisko matki, która nic złego nie zrobiła. Nie dostaniemy nakazu. Cierpliwości.

Jest wpół do dwunastej w nocy, szacują, że Elena zniknęła dwanaście godzin temu, może trochę wcześniej. Nie wiedzą, czy jeszcze żyje. W pewnym momencie Chesca wpada na pomysł.

– „Zakłady ranczo” – przypomina sobie notatkę w papierach Kortabarii. – A jeśli wywieźli Elenę do domu w tej wsi, do Coto Serrano? Byłam raz na urlopie w wioskach w tamtejszych górach, Sierra de Cádiz, Grazalema i tak dalej. Widziałam tam imponujące posiadłości. Gdybym była przestępcą i chciała zrobić coś nielegalnego, kupiłabym sobie tam dom i tysiąc hektarów działki.

– Aishę Bassir zamordowano na Gran Canarii. Sądzisz, że gdyby mieli posiadłość wielkości tysiąca hektarów, bawiliby się w turystykę?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Ale z dwojga złego lepiej już, żebyśmy to sprawdzili i wystawili się na pośmiewisko, niż żebyśmy miała rację, a my nic nie zrobimy.

Nie mają czasu na podjęcie decyzji, bo w tym momencie otwiera się brama garażu i wychodzą dwie osoby. Prawdopodobnie to Pina i Ramón.

– Zanim wsiądą do furgonetki, nie?

– Tak.

Jak gdyby ćwiczili to wiele razy, każde z nich rusza na wybraną osobę z pistoletem w ręku. Chesca na Pinę, Zárate na Ramóna.

– Spokojnie. Nie podskakujcie, a nic złego wam się nie stanie.

W niecałe dziesięć sekund mają ich już w furgonetce, Chesca trzyma ich na muszce, a Zárate prowadzi, żeby oddalić się z tego miejsca.

– Kim jesteście? Nie macie prawa.

– Chcesz wiedzieć, gdzie mam twoje prawa? – Głos Cheski brzmi stanowczo. – Nie odzywaj się, dopóki nie zapytam.

Zárate wywozi ich na pusty teren, niezbyt daleko. Przesiada się do tyłu do Cheski, też trzyma ich na muszce. Ramón w garniturze, z włosami ułożonymi na żel, wydaje się bardziej zdenerwowany niż Pina, która robi wrażenie, jakby wszystko to spływało po niej niczym woda po kacze.

– Teraz sobie pogadamy. Wszyscy nas przed tobą ostrzegają, Pina. Podobno kawał suki z ciebie – zaczyna Chesca.

– Plotki złych ludzi. Tak naprawdę jestem święta.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo marzę o tym, żeby ubyło jednej suki na tym świecie! – Groźba brzmi całkiem szczerze.

– Chcemy, żebyście nam powiedzieli, co wiecie o Purpurowej Sieci – mówi Zárate.

– Tyle jest miłych tematów, o których moglibyśmy pogadać, a poruszasz taki, na który akurat najmniej mam ochotę – odpowiada wyniośle Pina.

– No widzisz, czasem masz przechlapane nawet podczas przyjacielskiej rozmowy. Zdaje mi się, że dziś rano zawiozłeś naszą koleżankę do Kadyksu. Musiałeś się niezłe zwijać, żeby obrócić w jeden dzień – mówi Zárate, skupiając się na Ramónie.

– Masz mnie za idiotę? Sądzisz, że ci o tym powiem? – obrusza się tamten.

– To brzmi tak, jakbyś już się zgodził.

Ramón się spina i nic nie odpowiada. Zrozumiał swój błąd i postanowił więcej nie otwierać ust, żeby znów się z czymś nie wygadać. Chesca i Zárate obawiają się, że czekają ich długie godziny przesłuchania, zanim uda się złamać któreś z tej dwójki.

– Ja nie mam nic wspólnego z tym, co oni tam robią. Tylko przygotowuję klientów. – Wyznanie Piny ich zaskakuje. Kobieta się uśmiecha, dostrzegając zdumienie policjantów.

Ramón obraca się do niej z miną pełną wyrzutu.

– Odwaliło ci, Pina?

– Zadzwoiłam do ciebie i uprzedziłam, że wypytują o tę kobietę. A ty co zrobiłeś? Nic. To teraz się wal. Nie zamierzam płacić za cudze gówno. Pewnie właśnie dlatego wszyscy uważają mnie za sukę.

Dziesięć minut później Chesca może zadzwonić do Mariajo.

– Trzeba wysłać Guardia Civil do tego miasteczka, Coto Serrano, gospodarstwo nazywa się La Travesera. Wywieźli tam dziś rano Elenę i sądzimy, że odbywają się tam walki dzieci.

– Walki?

– Na śmierć i życie, z zakładami. Trzeba wszystko ogarnąć i jechać tam w te pędy. Zadzwoń do Rentera czy do kogo tam trzeba.

W niespełna pół godziny wszystko jest gotowe. Krótco po północy komisarz zawiadomił już Guardia Civil, Pina i Ramón siedzą

w areszcie, a Zárate z Chesą kierują się w stronę Cuatro Vientos, po raz drugi w przeciągu ostatnich godzin, by wybrać drogę do Coto Serrano, do posiadłości zwanej La Travesera. Choć żadne z nich o tym nie wspomina, brakuje im Orduña. Woleliby, żeby jechał z nimi.

Rozdział 51

Spędzają w dole długie godziny, a przynajmniej tak zdaje się Elenie. Nawet już nie czuje odoru szamba.

- Jeszcze nas szukają?
- Nie wiem – odpowiada Aurora.
- Musimy wyjść.

Aurora jest przerażona, opowiada Elenie, co zrobili Casimirowi, chłopcu, który próbował uciec, niedługo po tym, jak trafiła do hacjendy.

– Odrąbali mu głowę. Widziałaś kiedyś, jak się ucina głowę? Przekazywali sobie nagrania, nie masz pojęcia, jaki to był hit. Casimiro był z Huelvy i opowiadał najlepsze kawały pod słońcem. Podobał mi się.

– Jak tu trafił? Dlaczego?

– Jak wszyscy. On też był na gigancie. Ja uciekłam z ośrodka w San Lorenzo, a on z poprawczaka w Sewilli, nie wiem, dlaczego tam był. Po ucieczce pracował jako kurier dla tych, co przerzucają dragi w Tres Mil Viviendas, nosił paczki na różne imprezy w bogatych dzielnicach Sewilli. Ale któregoś dnia go napadli i został bez towaru i bez pieniędzy. Wtedy trafił do hacjendy...

– A ty?

– Wpadłyśmy im z Aishą w łapy w Las Palmas. Wymyśliłyśmy, że fajnie będzie pojechać na wyspy. Poleciałyśmy samolotem za pieniądze, które ukradłyśmy gościowi, co chciał, żebyśmy mu zrobiły loda w aucie... Mnie wsadzili na statek i przywieźli na półwysep. Co stało się z Aishą, nie wiem.

– Nie żyje.

Aurora przez chwilę milczy.

– Może to lepiej, przynajmniej nie cierpi. – W jej głosie słychać bardziej ulgę niż smutek.

– Kto uciął głowę Casimirowi? – pyta z obawą Elena. – Mój syn?

– Nie, Dimas.

To jakaś ulga dla inspektor Blanco. Pragnie, żeby Lucas nie zabił nigdy nikogo poza ringiem. Tylko w ten sposób zdoła go usprawiedliwić: robi to, żeby się uratować... Powtarza to sobie w kółko niczym mantrę.

– Widziałaś kiedyś twarz Dimasa?

– Wiele razy. Nie wiem, ile razy mnie zgwałcił, on i inni. Wtedy nie zakłada maski.

– Ma dzioby po ospie?

– Tak, ma całą twarz w bliznach, nie ma ani kawałka gładkiej skóry.

Przez długą chwilę nic nie mówią, aż wreszcie Elena uznaje, że nadeszła odpowiednia pora. Wyjdzie, póki ma jeszcze jakieś siły.

– Skąd zadzwoniłaś do matki?

– W dużym domu jest telefon.

– Pójdę go poszukać.

– Zabiją cię.

– Powiedz mi, gdzie jest telefon.

– Kiedy wejdiesz przez drzwi frontowe, musisz przejść przez hall, w głębi jest salon z dwoma parami drzwi. Jedne z nich prowadzą do gabinetu Dimasa. To tam.

– A dom? Gdzie jest?

– Musisz znów przejść przez rzekę. Jest duży, sama się przekonasz. Elena otwiera metalowy właz.

– Wrócę po ciebie.

Nawet dobrze, że znów musi przejść przez rzekę, dzięki temu zmyje z siebie odór szamba. Przy tym zapachu nie potrzeba psów, jest pewna, że każdy wyczuje ją z odległości kilku metrów. Rozbiera się i trze, jak umie, kombinezon. Wyciska wszystko – ubranie nie będzie suche, ale przynajmniej nie będzie z niej kapało – a potem sama się myje. Jest ciemna noc i temperatura bardzo spadła. Elena drży z zimna, a wie, że za chwilę musi na siebie włożyć mokre ciuchy. Jeśli ujdzie z życiem, na pewno nabawi się gigantycznego kataru.

Kiedy w końcu wychodzi na drugi brzeg, wkłada kombinezon i rusza przed siebie, czujnie nasłuchując i wypatrując, na ile pozwala

ciemność. Nie domyśla się, gdzie jest dom, dopóki nie widzi światła kilkaset metrów przed sobą. Idzie ku niemu, jeszcze ostrożniej, o ile to możliwe, uważna na psy, na osoby i na wszystko, co może napotkać, ale wydaje się, że wszędzie panuje spokój, jak gdyby zakończono poszukiwania i odłożono je na następny dzień.

Jedynie przed wejściem do dużego domu dostrzega uzbrojonego mężczyznę ubranego na czarno. Pomysł, żeby wejść do środka i skorzystać z telefonu, był absurdalny, teraz to widzi. To tak trudne, że prościej już uciec z hacjendy i zadzwonić skądinąd, choć nie ma zupełnie pojęcia, jak daleko znajdują się od jakiegoś zamieszkanego miejsca.

Elena dalej myszkuje wokół domu w nadziei, że trafi się jakaś okazja. I rzeczywiście... Znajduje coś w rodzaju placu z kilkoma autami. Gdyby któreś z nich było otwarte...

Dociera tam, niemal pełzając, wsuwa się między samochody, sprawdza, czy któreś drzwi się otworzą. Wreszcie jedno ustępuje. A nawet lepiej: kluczyki są w stacyjce. Wsiada i uruchamia silnik, ale wówczas...

– Dokąd się wybierasz?

Czuje lufę pistoletu na karku. Koniec ucieczki. Człowiek, który do niej mierzy, nie jest Hiszpanem, mówi ze słowiańskim akcentem.

– Dimas się upierał, że nie, ale ja mu powiedziałem: Założę się, że jeśli zostawimy jej kluczyki w aucie, to je znajdzie.

Dzwoni przez krótkofalówkę do kolegów.

– Mam ją, na parkingu.

Czekając na nich, wyciąga ją z auta. Wtedy Elena może zobaczyć jego rękę – ma metalową protezę zamiast dwóch palców.

Słyszy zbliżające się kroki. Za chwilę ujrzy wreszcie Dimasa, mężczyznę z twarzą poznaczoną bliznami po ospie, popatrzy mu w oczy...

Jednak przed nimi wyrasta ktoś, kogo się nie spodziewali.

– Guardia Civil! Rzuć broń!

Rozdział 52

Elena ani przez chwilę nie widziała Aurory w świetle. Gdy tylko jeden z funkcjonariuszy Guardia Civil zakłada kajdanki Pavłowi – bo tak ma na imię chłopak z protezą ręki, nie więcej niż osiemnastoletni – inspektor idzie do szamba, żeby uwolnić stamtąd dziewczynę.

– Obiecałam, że po ciebie wrócę – mówi, przytulając ją, i znów czuje smród, w którym przesiedziały całą noc. Odsuwa się od niej trochę, rozpoznaje te rysy, miodowe oczy. – Co ci się stało w twarz?

– Dlatego uciekłam, nie mogłam tego dłużej znosić. Wolałam już, żeby mi ucięli głowę, jak Casimirowi.

Twarz Aurory jest zniekształcona od uderzeń, szczególnie zwraca uwagę rana na policzku.

– Te rany trzeba jak najszybciej oczyścić, zwłaszcza jeśli przesiedziałaś kilka godzin tu w środku – mówi policjant, który im towarzyszy.

Dziewczyna ma na sobie jedynie męską koszulę, której kolor po nocy spędzonej w szambie trudno określić. Trzeba się nią zająć, dać jej ubranie, opatrzyć rany, nakarmić... Wracają do głównego budynku hacjendy. Wszędzie kręcą się funkcjonariusze Guardia Civil, przyjechali też koledzy z BAC.

– Jak się czujesz? – Mariajo od razu bierze Elenę w objęcia.

– Dobrze, potem wam wszystko opowiem. Teraz trzeba przeszukać hacjendę, żeby nikt nie uciekł.

– Najpierw musisz wziąć prysznic i się przebrać. – Chesca podaje jej mundur, żeby mogła zdjąć z siebie brudny i mokry kombinezon.

Dziesięć minut później może zobaczyć dwadzieścia trzy zatrzymane osoby. Są tam Pavel i Carla ze swoją przepaską na oku. Z dreszczem przerażenia Elena odkrywa, że nie tylko ona ma tę „ozdobę” – jeszcze pięć dziewczyn nosi dokładnie taką samą opaskę.

– Brakuje Dimasa i Lucasa – mówi do Záratego, odchodząc na bok, żeby inni nie mogli ich słyszeć.

– Wielu ludzi wyjechało, zanim się zjawiliśmy. W miasteczku powiedzieli nam, że przed trzema czy czterema godzinami wyjechało z hacjendy ponad dziesięć samochodów.

– Publiczność, która oglądała walkę...

– Gdyby udało nam się dotrzeć tu wcześniej – ubolewa Zárate.

– Widziałeś te przepaski na oczach?

– Obawiam się, że to nie będzie jedyna rzecz, która nas zaskoczy w tym miejscu.

Wszyscy zajmują się swoimi obowiązkami. Elena przesłuchuje zatrzymanych. Niektórzy, zapewne członkowie organizacji, nie chcą nic mówić. Najgorsi są chłopcy, którzy czekali na swoje walki. Zachowują się, jakby Purpurowa Sieć była ich rodziną, której zawdzięczają wszystko, co mają, która pomogła im stać się tym, kim są.

– Gdzie jest Caín? – pyta Elena jednego z nich.

– Caín zawsze jest z Dimasem, on się z nami nie zadaje. Tylko wtedy, kiedy walczy. Caín jest najlepszy – odpowiadają z podziwem i strachem.

Ma przed sobą Carlę. Usiadły w gabinecie, który musiał należeć do Dimasa.

– Od razu wydałaś mi się podejrzana – mówi z wściekłością dziewczyna, jak gdyby nie została uwolniona. – Powinnam była o tym powiedzieć Dimasowi.

– Dlaczego tak myślałaś?

– Za dużo pytałaś i nie czekałaś na walkę. Wszyscy się niecierpliwiają.

– To dlaczego nic mu nie powiedziałaś?

– Nie wiem. Myślisz pewnie, że nas uratowałaś, ale my nie potrzebujemy, żeby ktokolwiek nas ratował.

– Co ci się stało w oko?

– Wypadek.

– Wszystkie sześć miałyście wypadek?

– Wszystkie sześć miałyśmy ten sam wypadek.

Dziewczęta zajmujące się klientami przyjeżdżającymi na nocne spotkania przypominają sektę bardziej niż jakakolwiek inna grupa, którą poznała Elena: to sekta Dimasa.

– To on wyłupił wam oczy?

– Pozwolił nam być u siebie na służbie i nie cierpieć więcej.

Zárate, który siedzi obok i przysłuchuje się wszystkiemu w milczeniu, wreszcie ośmiela się zapytać o coś Carłę:

– Znasz Yaruma?

– Dzięki niemu poznałam Pinę. Ona skontaktowała mnie z Dimasem.

Elementy układanki za chwilę się połączą: sekta Yaruma i Nahína, Pina, Purpurowa Sieć Dimasa i któż wie, czyja jeszcze.

– Pina i Yarum przyjeżdżają do hacjendy?

– Ja nigdy ich tu nie widziałam. Robią biznesy z Dimasem, ale się nie przyjaźnią.

Wciąż poruszają się po omacku. Kiedy wydaje się, że posuwają się do przodu, następny świadek znów ich zawraca i uświadamia im, że to, co myśleli, zapewne było fałszywym tropem.

Buendía zbadał Aurorę i pokazuje mały odłamek czegoś, co Elenie wydaje się kamieniem.

– Znalazłem to w ranie na jej policzku.

– Może to z szamba?

– Nie, prawdopodobnie uderzono ją pięścią z sygnetem, który się ukruszył. Może dzięki temu uda się nam zidentyfikować jakiegoś klienta Purpurowej Sieci?

– Samego Dimasa?

– Nie, tę dziewczynę zgwałcono dziesiątki razy, ale dzisiaj zdarzyło się coś innego: to musiał być szczególnie brutalny klient, dlatego uciekła.

– Spędziłam z nią całą noc i nie powiedziała mi o tym – dziwi się inspektor.

– Daj jej odpocząć, jutro w Madrycie wszystko ci opowie.

– Jak idzie Mariajo?

- Jest w swoim żywiole, zabiera do BAC całą furgonetkę komputerów, twardych dysków, a nawet dyskietek, z tych dawnych - śmieje się Buendía, promyczek światła w ciemnościach.

Rozdział 53

Zanim przesłuchali Aurorę w BAC, Elena chciała, żeby dziewczyna odwiedziła matkę. Nadal jest w szpitalu, na intensywnej terapii, lekarze wciąż nie wiedzą, czy odzyska świadomość, czy podniesie się po przedawkowaniu, które ją tam zaprowadziło.

– Kiedy powiedziałaś mi, że mnie szukała, przez chwilę uwierzyłam, że naprawdę odstawiła heroinę.

– Tydzień temu była pełna nadziei, nie brała. Odwiedziłam ją u niej w domu i zaskoczyło mnie, że ma tam tak czysto i porządknie. Opowiedziała mi o tobie i o Aishy, chciała zacząć od nowa, dać ci to wszystko, czego wcześniej dać nie umiała.

– Wiesz, ile razy mi obiecywała, że się poprawi, że rzuci narkotyki, że zamieszkamy razem?

– Sądzę, że tym razem mówiła szczerze, Auroro.

– Zawsze mówi to szczerze, ale zawsze to kłamstwo. Albo i nie, ale i tak nigdy jej się to nie udaje. Jeśli teraz się z tego wyliże, znów to zrobi.

– Zajęła się Aishą. Powiedziała mi, że to ona zawiozła ją do szpitala...

– A potem znów zniknęła. Pewnie dała sobie w żyłę albo coś w tym stylu... Nie ufam jej. Mam swoje powody, zapewniam cię. Przykro mi to mówić, ale będzie lepiej dla wszystkich, jeśli się nie ocknie. Dla niej także.

Inspektor Blanco zaskakuje dojrzałość słów Aurory, chociaż wie, że mimo swoich osiemnastu lat przeżyła i wycierpiała więcej niż większość dorosłych. Chętnie poszłaby z nią na spacer, na zakupy odzieżowe lub choćby na lody, porozmawiała w ogródku jakiejś kawiarni, bez kamer i mikrofonów BAC, dała jej sposobność, by znów stała się nastolatką, ale to byłoby nieodpowiedzialne. Dlatego usiądzie z nią w pokoju przesłuchań i jeśli Aurora zacznie mówić o jej synu, a jej koledzy domyślą się, kim jest Caín, o którym

wspomina, ona nie będzie tego dalej ukrywać. Nie ma już sensu tego robić.

Zostawili w Kadyksie wszystkich aresztowanych oprócz Aurory i Pavła. Guardia Civil zajmie się przesłuchaniami służących i ochroniarzy. Zárate i Buendía są tam nadal, z zadaniem zbadania wszystkiego, co ludzie w Coto Serrano wiedzą o hacjendzie La Travesera.

Elena siada w pokoju sama z Aurorą, choć kamery i mikrofony są włączone. Być może jej koleżanki – są tylko Chesca i Mariajo – siedzą przed monitorami i wszystkiemu się przysłuchują. Elena woli tego nie wiedzieć.

Zależy jej na tym, żeby Aurora jej zaufała. Ma w pamięci, że wczoraj, w hacjendzie, opowiedziała Buendíi – mężczyźnie – że uciekła, bo nie mogła znieść gwałtu, jednego spośród wielu, że przeraził ją klient, który rozwalił jej pięścią policzek. Jej o niczym nie wspomniała, mimo że jest kobietą. Może dlatego, że również matką Lucasa.

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie, co ci się przypomni.

Aurora nie chce wchodzić w szczegóły, to historia jakich wiele, nie ma tu miejsca na niespodzianki: rodzice uzależnieni od heroiny, dzieciństwo w mieszkaniu przy plaza del Cazador z dziadkami i matką, która pojawiała się i znikwała – ojca widywała jeszcze rzadziej – która przychodziła, zapewniając, że już to rzuciła, i odchodziła z nielicznymi wartościowymi rzeczami, jakie jeszcze zostały w domu.

– I tak aż do śmierci dziadka. Potem było tylko gorzej. Dziadek nie potrafił matce niczego nakazać, ale przynajmniej stawiał jej opór.

Ojciec Aurory umarł szybko, nie miała jeszcze ośmiu lat, nawet nie pamięta dokładnie, kiedy to się stało.

– Nie był dla mnie ważny. Ledwie go znałam. A kiedy przychodził, budził we mnie strach. Któregoś dnia zabrał mi kolczyki, które dostałam od babci, pewnie chciał za nie kupić heroinę. Ja nigdy jej nie próbowałam, nie chcę pójść w ich ślady.

– Kiedy zabrano cię do ośrodka dla nieletnich?

– Po śmierci babci. Najpierw byłam w kilku rodzinach zastępczych, ale zawsze mnie oddawali. Tylko raz chcieli, żebym została, ale mama się na to nie zgodziła, powiedziała, że już rzuciła narkotyki, a ona jest moją matką, że będziemy razem mieszkały w domu dziadków... Ta sama historyjka co zawsze, jak ta, którą opowiedziała i tobie.

– W ośrodku był Ignacio Villacampa...

– Nie chcę o nim mówić.

Elena próbuje ją do tego nakłonić, delikatnie, ale dziewczyna zaczyna się w milczeniu. Z jej ust padają jedynie wyzwiska pod adresem dawnego dyrektora ośrodka.

Muszą porozmawiać o Purpurowej Sieci, co będzie dla nich obu najtrudniejsze. Wcześniej Elena prosi ją, żeby opowiedziała jej o swoim zniknięciu z ośrodka w San Lorenzo.

– Dawaliśmy nogę z Aishą zawsze, kiedy był festyn w jakiejś wsi. W zeszłym roku w Halloween dowiedziałyśmy się, że będzie bal przebierańców w willi w Hoyo de Manzanares. Poszłyśmy w strasznie obciachowych strojach, przebrane za mumie. Poznałyśmy tam dwóch starszych chłopaków z autem, którzy zabrali nas do jednego domu w Pozuelo. Tamtą noc spędziłyśmy z nimi i było w porządku. W willi był nawet kryty basen. Następnego dnia zaprosili nas na obiad do Guadarramy, a wieczorem wróciliśmy do Pozuelo, ale oni zadzwonili po swoich kumpli... Ja nie chciałam, ale zmusili nas, żebyśmy były ze wszystkimi. Nocą odwieźli nas do San Lorenzo i dali nam po trzysta euro. To nas pocieszyło i złapałyśmy pociąg do Madrytu, planowałyśmy pójść sobie rano na ciuchy. Poszłyśmy do domu mojej matki w Pan Bendito, ale nikogo nie było. Weszłyśmy więc do baru, jakiś koleś zaproponował nam po pięćdziesiąt euro za zrobienie mu lodu w aucie. Zgodziłyśmy się, ale zobaczyłyśmy, że ma w portfelu dużo kasy i ją świsnęłyśmy. Wtedy wpadłyśmy na pomysł, żeby pojechać na Kanary. Nigdy wcześniej nie widziałam morza, wiesz?

– Byłyście nieletnie. Nikt nie robił wam problemów przy wejściu na pokład samolotu?

– Aisha właśnie skończyła osiemnaście lat, a mnie nic nie powiedzieli.

– A w Las Palmas?

– W Las Palmas wszystko się spieprzyło... Mogę pójść do ubikacji?

– Jasne.

Kiedy Aurora jest w łazience, do pokoju wchodzi Chesca, żeby zawiadomić Elenę, że przyszedł Orduño. Choć odsunięto go od wątku śledztwa związanego z hazardem, postanowił złożyć wymówienie. Nie chce dłużej być w BAC.

– Myślałam, że już wszystko w porządku.

– Nie porozmawiasz z nim?

– Później. Teraz zajmuję się Aurorą.

Inspektor się krzywi. Nie lubi być taka twarda, taka profesjonalna, tak mało empatyczna. Ale nie potrafi tego uniknąć.

– Elena, on znów zaczął grać – mówi Chesca.

– A ty sądzisz, że to moja wina?

– Tylko cię informuję.

– Jeśli znów gra, nie może tu pracować.

– Przyszedł ze swoją dziewczyną. To Marina, kobieta, którą poznał w Las Palmas.

– Jaka jest? – Elena nie potrafi powściągnąć ciekawości.

– Ładna. Wygląda na bardzo w nim zakochaną. A on w niej.

Do pokoju wraca Aurora. Jej jeszcze przed chwilą spokojna twarz teraz jest przerażona. Elena natychmiast to dostrzega.

– Aurora, co się stało?

– Co ona tu robi?

– Kto?

– Ta kobieta.

Elena i Chesca wymieniają zdumione spojrzenia.

– Przecież tu nie ma nikogo.

– Widziałam ją na korytarzu, widziałam ją. To ona!

– Na korytarzu nie ma nikogo. Tylko Orduño ze swoją dziewczyną – wyjaśnia Chesca.

– To była Marina. Nie może mnie zobaczyć, błagam – szlocha Aurora. – To ona mnie porwała.

CZEŚĆ CZWARTA

Tylko ciebie

*Są ludzie, którzy mieli tysiące rzeczy,
wszystko, co najlepsze i co najgorsze w świecie.
Ja miałam tylko ciebie.*

Kobieta, Marina, martwi się o Lucasa. Widzi, że robi się coraz bardziej milczący, pogrążony we własnym świecie, mniej czuły. Może to wszystko wynika z młodzieńczego buntu, dojrzewania, które w zamknięciu przejawia się ze wzmożoną siłą. Jednak ona nie szuka pociechy w tej myśli. Widzi mrok w jego duszy, szuka radosnego błysku w jego oczach, a odnajduje tylko puste spojrzenie rekina. Powoli zabijają chłopca, który był pełen życia.

Już nie grają w karty. W ostatnich miesiącach Lucas przerzucił się na pasjansa. Skupiał się na każdej rozgrywce z zawziętością szaleńca, jak gdyby nieuwaga lub niepomysłna karta groziły komuś śmiercią. Marinę przepełniał strach, gdy na to patrzyła, a on zachowywał się tak, jakby nie było jej w pokoju. Kto by pomyślał, że kiedyś zatęskni za tymi chwilami? Choć robił to ogarnięty jakąś obsesją, jednak przynajmniej grał. Teraz tylko śpi. Śpi i chodzi po pokoju, licząc kroki, od jednej ściany do drugiej. Myje podłogę, poleruje drewno, glansuje buty z wojskową determinacją. I śpi. O wiele więcej niż potrzebuje.

Marina ma plan. Wie, że przekroczy czerwoną linię i wystawi na ryzyko swoje życie, nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze. Ale nie może tak dłużej. Lucasowi zostało już niewiele czasu. Zaczyna dojrzewać, jeśli ucieknie, jeszcze ma szansę się uratować. Mógłby mieć normalne życie. Decyzja nie przyszła jej łatwo, ale teraz, na kilka chwil przed, jest tak pewna tego, co chce zrobić, że nie rozumie swoich wcześniejszych wątpliwości. Plan jest prosty. Podczas zmiany straży nikt nie pilnuje, dla wysportowanego chłopaka wyjść przez okno to żaden problem. Potem pozostaje tylko zeskoczyć na wewnętrzne podwórze, a tam otworzyć bramę wiodącą na wolność.

Korzysta z tego, że Lucas właśnie obudził się z jednej ze swoich drzemek i siedzi na łóżku, jeszcze nieruchomy niczym zaspiane zwierzątko. Marina siada obok niego, bierze go za rękę. Lucas spogląda na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, ale wyczuwa, że dzieje się coś szczególnego. Ona przedstawia mu swój plan. Zmiana strażników, skok przez okno, wewnętrzne podwórze, brama. A potem wolność. Wyjawia mu, że jego matka wciąż go szuka, czeka na niego z utęsknieniem. Daje

klucze, którymi będzie mógł otworzyć zamek. Lucas bierze je, bawi się nimi przez chwilę, obraca w palcach kółko, do którego są przypięte. Z uśmiechem mruczy, że nie chce uciekać. Mówiąc to, rozprostowuje bez trudu kółko od kluczy. Szybkim ruchem, wbija koniec drutu w przedramię kobiety, a kiedy już wsadza go głęboko w mięsień, pociąga, wycinając w jej skórze głęboką bruzdę.

– Bardzo mi tu dobrze – powtarza kilka razy.

Marina z zakrwawioną ręką pojmuje, że dla Lucasa jest już za późno.

Rozdział 54

Aurora zażyła środek uspokajający i odpoczywa w pokoju. W BAC odbywa się pospieszna, prowadzona szeptem narada, pełna improwizowanych pomysłów, które rozbłyskują, by po chwili zgasnąć.

– Marina widziała Aurore? – pyta Elena.

– Wyszła równie spokojna, jak przyszła, chyba jej nie zobaczyła, wiedziałyby, że ją zdemaskowaliśmy. Nikt nie potrafi tak bardzo nad sobą panować – dedukuje Mariajo.

– A jeśli to pomyłka? Jeśli ta kobieta nie ma nic wspólnego z Purpurową Siecią? Może jest tylko podobna – powątpiewa Chesca. – Nie udałoby się jej tak wyprowadzić w pole Orduña, on nie jest idiotą. Ta dziewczyna, Aurora, bardzo się zdenerwowała, mogła się pomylić.

– Sama widziałas jej przerażoną minę, kiedy tu wróciła. Musimy przynajmniej wdrożyć środki bezpieczeństwa – mówi Elena.

Aurora nie potrafiła im dobrze wszystkiego wyjaśnić, była tak zdenerwowana po spotkaniu z tą kobietą, że z trudem kleciła zdania, ale tyle wystarczyło, by zrozumieli najważniejsze – Marina, dziewczyna Orduña, należy do Purpurowej Sieci. Mało tego, jest tam kimś ważnym, zaufaną osobą Dimasa. Wielu sądzi, że to jego żona.

– Trzeba ją aresztować – proponuje Mariajo. – Orduño to zrozumie, gdy mu wyjaśnimy nasze podejrzenia. Kiedy już będziemy mieli ją pod kluczem, możemy wszystko na spokojnie posprawdzać.

– Nie – sprzeciwia się Elena. – Trzeba skorzystać z okazji, że mamy ją blisko i wiemy, kim jest, żeby dotrzeć do Dimasa. Nie powinna wiedzieć, że coś podejrzewamy.

– Mamy wystawić na niebezpieczeństwo Orduña? – protestuje Chesca.

– To raczej on wystawia nas, od kiedy zadaje się z tą kobietą.

– Jeżeli ona należy do Purpurowej Sieci, to świruska gotowa na wszystko. Pozwolisz na to, żeby spała w jednym łóżku z twoim kolegą?

– Nie pozwolę, żebyś kwestionowała moje rozkazy.

– Ani ja, żebyś narażała nas na niebezpieczeństwo. Jeżeli chcesz szafować własnym życiem, proszę bardzo, droga wolna, ale nie możesz wymagać tego samego od nas.

– Wyjdź stąd i ty też złóż wypowiedzenie.

– Nie zamierzam zrobić ci tej przyjemności.

– Uspokójcie się, proszę – interweniuje Mariajo. – Zebrałyśmy się tu, żeby ustalić plan działania, a nie po to, żeby skakać sobie do oczu.

Elena pochyla się do przodu i zakrywa twarz rękoma. Próbuje się uspokoić, ale to nie takie proste. Czuje, że się gubi, że obsesja przytłumiła jej zdolność do empatii wobec kolegów. Zawsze była liderką obdarzoną autorytetem i charyzmą, a teraz jest tylko tyranem zafiksowanym na myśli o odnalezieniu syna.

– Dajcie mi chwilę pomyśleć, nic nie róbcie, nie kontaktujcie się z Orduñem, dopóki nie podejmiemy decyzji. Zgoda?

Chesca przytakuje, przeżuając spięcie, które miała z szefową. Mariajo ogranicza się do skinięcia głową bez przekonania. Elena nagle się podrywa.

– Porozmawiam jeszcze z Aurorą, nie możemy teraz się poddać.

Kiedy inspektor opuszcza pomieszczenie, Mariajo spogląda na Chescę, jakby chciała ją zachęcić, by sobie ulżyła, jeśli tego potrzebuje. Ale Chesca jest pełna rezerwy, oschła, rozgoryczona. Czuje się rozdrażniona, bo coraz bardziej ma wrażenie, że Elena coś przed nimi ukrywa. To coś nowego w BAC. U nich przy każdej sprawie wciąż były zebrania, w których dzielili się wszystkim, by skorzystać z wiedzy i spostrzegawczości pozostałych członków zespołu. Wygląda na to, że te czasy minęły, a brygada nie jest już tym miejscem, w którym chciał być każdy policjant i gdzie wymagano od nich, by dali z siebie to, co najlepsze. Nigdy tak nie było, ale teraz rozumie tych, którzy odeszli, Marrera, Amalię... Gdy nie ma już Orduña, po niepotrzebnym numerku z Záratem, kiedy poznała emocje towarzyszące odwiedzinom w różnych dilerskich

melinach czy w Cañada Real, z każdym dniem jest coraz głębiej przekonana, że jak najszybciej powinna poprosić o przeniesienie. Kiedy tylko rozmontują Purpurową Sieć.

Elena ostrożnie bada Aurorę. Strach może sprawić, że ktoś opowie wszystko, co wie, by się chronić, ale równie dobrze, że zamknie się w sobie i nie zechce powiedzieć nic, co mogłoby wystawić go na jeszcze większe ryzyko.

– Skąd mam wiedzieć, że ona nie pracuje dla was? Skąd mam wiedzieć, że ty nie jesteś na rozkazach Dimasa?

– Przysięgam ci, Auroro. Nikt bardziej ode mnie nie chce skończyć z Purpurową Siecią. Mają Caína.

Dlaczego nazywa go Caínem, a nie Lucasem? Uświadamia sobie, że próbuje obsesyjnie czepiać się tej tajemnicy, której strzegła przez wiele dni.

– Caína nie trzymają tam siłą, on by nie uciekł, nawet gdyby mógł. Nie potrafiłby żyć, nie wyrządzając krzywdy innym. Purpurowa Sieć to dla niego najlepsze miejsce.

Inspektor z najwyższym trudem udaje się zapanować nad sobą. Słowa Aurory ranią ją niczym ostrze noża, ale musi nadal próbować wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji, postarać się jak najlepiej poznać Dimasa, zanim wreszcie będzie mogła się z nim zmierzyć.

– Powiedziałaś mi, że widziałaś Dimasa wiele razy.

– Tak. Najpierw w Las Palmas, kiedy go poznałyśmy z Aishą. I potem, kiedy zabrali mnie do hacjendy.

– Nigdy nie przychodził tam nikt z miasteczka?

– Nie wiem, jedzenie przywoziła czarna furgonetka. Ale nie wiem skąd.

Czy to możliwe, że nikt w Coto Serrano nie wiedział, co dzieje się kilka kilometrów dalej? Zárate i Buendía zostali tam, żeby to sprawdzić. Wątpi w to. Ale powinna lepiej poznać historię Aurory.

– Buendía powiedział mi, że uciekłaś, bo cię zgwałcono.

– Zgwałcono mnie wiele razy. Uciekłam, bo to, co wydarzyło się w dniu walk, było dużo gorsze od gwałtu. Bałam się, bardzo się bałam. Nawet bardziej niż wtedy, gdy nagrali film.

Już rano się zorientowała, że to szczególny dzień, że coś się szykuje. Dziewczyny, które pełniły funkcję służących – te jednookie, jak je nazywała – pracowały przez cały dzień, sprzątały i porządkowały wszystko. Ona już się wyleczyła z ran, jakie zadano jej podczas rejestrowania tortur na filmie, który widziała Elena, i dali jej nową sukienkę. Powiedzieli też, żeby zrobiła sobie ładny makijaż.

– Zawołał mnie Dimas, mówił, że tej nocy będzie walka, ale wcześniej muszę obsłużyć bardzo szczególnego gościa, który powinien wyjść naprawdę zadowolony, bo to szef tego wszystkiego i od niego zależy, czy będziemy żyli czy nie. A jeśli zdołam go zadowolić, dostanę nagrodę.

Kiedy zjawił się człowiek, którego miała obsłużyć, czekała na niego przed domem tylko z Dimasem. Nadjechał żółtym sportowym wozem, który sam prowadził. Za nim zdążyła furgonetka, z której wyskoczyły dwa psy, dwa ogromne dobermany. Mężczyzna spojrzał na nią i uśmiechnął się z aprobatą, powiedział coś do Dimasa, a ją poprosił, żeby poczekała w salonie. Po chwili ją zawołano. On był w sypialni, siedział w fotelu. Na podłodze koło niego leżały oba psy.

„Masz na imię Aurora, prawda?”

„Tak, proszę pana”.

„Widziałem twoje wideo, spodobało mi się, że zносиłaś ciosy bez skargi. Dlatego poprosiłem, żeby przygotowano cię dla mnie. Lubisz psy?”

„Nigdy żadnego nie miałam”.

„Są lepsze niż ludzie. Rozbierz się”.

Aurora posłuchała go, została w bieliźnie, którą jej dali, białej, jak dla dziewczynki...

„Podejź bliżej”.

Zrobiła, o co prosił, a mężczyzna, ostrożnie i delikatnie, pomógł jej się rozebrać do końca, potem posadził ją sobie na kolanach.

– Pomyślałam, że dobrze mnie potraktuje, był bardzo kulturalny, bardzo spokojny... – opowiada dalej Elenie.

– Hiszpan?

– Tak. Wydawał się miły i sądziłam, że będzie z nim łatwo. Pomyślałam, że muszę tylko pozwolić, żeby mnie przeleciał, a on nie

zrobi mi krzywdy. Pieścił mnie, bawił się moimi włosami... Ale nagle, choć nic nie zrobiłam, wymierzył mi cios pięścią.

Aurora nie wiedziała dlaczego. Nie po raz pierwszy ją bito, od kiedy trafiła do tego domu, ale tym razem nie spodziewała się tego. Psy się poderwały i zaczęły na nią warczeć...

„Buda i Pest są niezadowolone. – Mężczyzna się zaśmiał. – Sądzą, że chcesz mi zrobić krzywdę. Jakie niewinne, prawda? Nie wiedzą, że to ja zrobię krzywdę tobie”.

Przy tym wspomnieniu Aurora z trudem łapie oddech.

– Poszczuł cię psami? – dziwi się inspektor.

– Nie, wiele razy mi groził, że to zrobi, ale nie doszło do tego. Powiedział, że jego psy tylko kończą po nim robotę... Zrozumiałam, że nie wyjdę stamtąd żywa, że na koniec psy mnie rozszarpią.

– Jak zrobił ci ranę na policzku? Miał sygnet?

– Tak.

– Co za skurwiel.

– Myślę, że wcale nie chciał mnie przelecieć, chciał tylko zadać mi ból.

– Wiesz, kto to był?

– To był szef. Nazywają go Ojcem.

Elena gładzi ją uspokajająco po rękę.

– Teraz poproszę cię, żebyś wysiliła pamięć i opowiedziała mi, jak wyglądał ten człowiek. Wszystkie szczegóły, jakie pamiętasz. To bardzo ważne.

Aurora zaciska wargi, jakby ten wysiłek był dla niej zbyt bolesny.

– W jakim był wieku? – próbuje ją poprowadzić Elena.

– Starszy.

– Czterdzieści lat? Pięćdziesiąt?

– Pięćdziesiąt. Albo więcej, nie wiem. Miał krótkie ciemne włosy... Białe bokobrody, no takie jakby z siwymi kosmykami.

– Postura?

Aurora patrzy na nią, nie rozumiejąc. Widać, że nie zna tego słowa.

– Był silny? A może gruby?

– Normalny. Ale wysoki, to na pewno.

– Oczy?

– Nie wiem. Chyba brązowe. Nie zwróciłam uwagi, bałam się na niego patrzeć, wydawał mi się szaleńcem.

– Opisujesz go bardzo dobrze.

– Nie przyjrzałam mu się dokładnie. Przykro mi.

Elena ze zrozumieniem kiwa głową.

– Jak uciekłaś?

– Wykorzystałam moment, gdy poszedł zrobić sobie kreskę koki, złapałam jego koszulę i wyskoczyłam przez okno.

– Koszula, którą miałaś na sobie, kiedy wyciągnęliśmy cię z szamba, należała do niego?

– Tak.

Aurora opowiada, jak wybiegła z domu. Na początku kilku ludzi Dimasa próbowało ją znaleźć, ale wkrótce dali sobie spokój. Elenie przypominają się odległe okrzyki, odgłosy, które słyszała w pokoju, kiedy czekała na spektakl. Być może dlatego nie upierali się przy poszukiwaniu Aurory. Za chwilę miała się zacząć walka, klienci czekali w pokojach, nie mogli ich zaniedbać, a Aurora koniec końców była tylko pobitą dziewczyną, która nie mogła uciec daleko. Jeszcze będzie czas się nią zająć.

Dziewczyna opowiada, że schowała się w lesie i zobaczyła, ukryta za drzewem, jak odjeżdża z hacjendy żółte auto Ojca. Potem znalazła dół z szambem i uznała to za dobrą kryjówkę. Bała się, ale nie aż tak bardzo: choć wiedziała, że będą jej szukać, była szczęśliwa, że uniknęła pewnej śmierci. Wyszła dopiero, gdy usłyszała dyszenie Eleny. Pojęła, że ktoś jeszcze uciekł i jest w kłopotach.

Elena podnosi telefon, gdy tylko Aurora kończy swoją opowieść.

– Mariajo, zadzwoń do Buendíi. Trzeba odzyskać koszulę, którą miała na sobie Aurora, w chwili gdy ją znaleźliśmy. To własność głównego szefa Purpurowej Sieci.

Rozdział 55

Eulogio Morales to młody mężczyzna, nie ma jeszcze czterdziestu lat, ale od czterech jest alkaDEM Coto Serrano. A przecież dopiero dwa lata wcześniej, kiedy założył firmę produkującą oliwki w zalewie, osiedlił się w miasteczku. Z zatroskaną twarzą chodzi z Buendią i Záratem po hacjendzie La Travesera.

– Zapewniam pana, że w miasteczku nie mieliśmy pojęcia o tym, co się tu dzieje.

– Wyjaśni mi pan, jak można to przeoczyć? – atakuje Zárate bezlitośnie. – Albo udzieli mi pan jakiegoś sensownego wyjaśnienia, albo włączymy pański ratusz i pana samego do kręgu podejrzanych. Na pewno mieli wiele pieniędzy do rozdania.

– Nigdy nie wzięłem od nikogo ani grosza – obrusza się alkaD. – Już panu mówiłem, że o niczym nie wiedziałem.

– To samo mówiły władze miast, które znajdowały się obok obozów koncentracyjnych w nazistowskich Niemczech. I wie pan co? Kłamały.

Coto Serrano to małe miasteczko, trzystu dwudziestu pięciu zameldowanych mieszkańców. Ich liczba wzrasta nieco latem, ale niewiele. Choć znajduje się niedaleko szlaku białych miasteczek górskich w prowincji Kadyks, nie zalicza się do nich. Nie jest na tyle urokliwe, by odwiedzali je turyści. Tutaj można się utrzymywać jedynie z rolnictwa, z hodowli bydła, zasiłków i pracy w fabryce oliwek.

– Panowie chyba myślą, że to urząd miasta w Madrycie, a ja jestem Manuela Carmena¹⁶... AlkaD w takim miasteczku jak to nawet nie ma pensji ani pieniędzy na wydatki, niczego. Jeśli chcę pojechać na zebranie w Kadyksie albo Sewilli, sam płacę sobie za paliwo.

– Więc dlaczego pan to robi?

– Bo istnieją osoby, choćby pan nie wierzył, które chcą pomóc innym, żeby żyło im się lepiej. Kiedy tutaj przyjechałem,

zrozumiałem, że ktoś musi coś zrobić dla tych ludzi.

Wchodzą na niewielki plac w hacjendzie, gdzie urządzano walki. Jest tu ośmiokątna klatka i wystarczy trochę poruszyć butem piasek, by natknąć się na miejsca przesiąknięte krwią.

– Tutaj walczyły dzieci, na śmierć i życie.

– Przysięgam, że o niczym nie wiedziałem... Zawiadomiłbym Guardia Civil, coś bym zrobił. To barbarzyństwo.

Alkad przyznaje, że domyślał się, że dzieje się tu coś dziwnego. Od czasu do czasu przejeżdżało przez miasteczko dużo luksusowych samochodów, które odjeżdżały tej samej nocy lub następnego dnia rano, ale jemu wystarczało, że płacili podatki, z nich pokrywano wydatki ratusza i jeszcze zostawały pieniądze na pomoc najbardziej potrzebującym mieszkańcom.

– Tutaj mamy naprawdę pod górkę. Myśli pan, że młodzi uciekają stąd dla kaprysu? Całkiem jak wtedy, gdy ludzie jeździli do Niemiec czy Francji na winobranie... Teraz młodzi jadą do Madrytu, do Sewilli, do Katalonii... I nie wracają nawet na Boże Narodzenie, miasteczko starzeje się coraz bardziej.

– Powiedział pan, że sądził, że dzieje się tu coś dziwnego. Nie przyszło panu do głowy zapytać?

– Jeśli nie pytała Guardia Civil, to ja tym bardziej. Cholera, jestem tylko alka dem miasteczka, w którym pakuje się oliwki do słoików.

Tego samego dnia rano porucznik Guardia Civil poinformował Záratego i Buendię, że miejscowi funkcjonariusze zostali zawieszani w czynnościach do czasu wyjaśnienia sprawy. Trudno było uwierzyć, że nie wiedzieli, co się tam działo, a ich poziom życia wykraczał ponad to, na co pozwala pensja żandarma.

– Mówią, że mają dobre auta, bo wygrali na loterii. Przekonamy się.

Nie podano informacji do wiadomości publicznej, nie chcą, żeby prasa pisała o rozmontowaniu Purpurowej Sieci, przynajmniej do czasu, aż wszystkich nie aresztują.

– Myślałem, że działa tu burdel. – Alkad zasłania się niewiedzą. – Że w autach przyjeżdżają dziewczyny i jacyś zamożni goście. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że giną tutaj dzieci. Wiem, że to nie było

dobrze i nie powinienem być udawać głupiego, ale nigdy nie przypuszczałem, że rozgrywa się tu taki koszmar.

Alkad dostarczył im wszystkie dokumenty dotyczące hacjendy. Posiadłość należy, jak można się było domyślić, do firmy z siedzibą w rajach podatkowych. Z pewnością napotkają jeszcze całą serię fikcyjnych firm, zanim dotrą do rzeczywistego właściciela, zakładając optymistycznie, że w ogóle da się to zrobić.

W tym momencie kilka zespołów badawczych sprawdza każdy centymetr kwadratowy hacjendy. Są też koparki, które tylko czekają na znak. Pomyśleli, że jeśli tutaj w walkach umierali chłopcy, być może pochowano ich ciała gdzieś w pobliżu.

– Posiadłość ma tysiąc osiemset siedem hektarów, prawie dziesięć razy więcej niż park Retiro – powątpiewa Buendía. – Upłyną całe miesiące, zanim zbadają ją w całości. Jeśli wrzucali ich do dołu, mogą być gdziekolwiek. Wiesz, co powinniśmy zrobić? Pogadać ze starszymi ludźmi z miasteczka. Dowiedzieć się, kim był poprzedni właściciel tego terenu i tak dalej. Może ktoś z nich widział tych, którzy to kupili, gdy po raz pierwszy przyjechali do miasteczka.

W Coto Serrano są dwa bary. Ważniejszy, ten, gdzie się gra, znajduje się przy rynku. Wiadomość dnia – obecność Guardia Civil w La Travesera – nie zaburzyła zwyczajów. Czterej mężczyźni, z których najmłodszy ma pod siedemdziesiąt pięć lat, grają w domino i piją anyżówkę. Agenci BAC czekają na koniec partyjki. Buendía przejmuje inicjatywę, ma większe doświadczenie w rozmowach z ludźmi w tym wieku.

– Panowie tutejsi, prawda?

– Tak, to znaczy oprócz niego.

Wskazany, niejaki Matías, broni się, jak gdyby bycie obcym stanowiło ujmę na honorze.

– Przyjechałem w wieku jedenastu lat, a teraz mam osiemdziesiąt osiem. Jestem równie tutejszy jak wy.

– Wiedzą panowie, co wydarzyło się wczoraj w nocy w La Travesera?

– Podobno odbywały się tam walki, jak dawniej.

To Matías znów się odezwał. Zárate i Buendía wymieniają zdumione spojrzenia. Choć ubiera się podobnie do reszty – ma na sobie sztruksowe spodnie i koszulę w kratkę – jego odzież jest markowa i dość nowa.

– Jak dawniej?

– Po wojnie, w latach czterdziestych. Organizowano walki na śmierć i życie w tej samej hacjendzie.

Pozostali potakują, widząc, że nowina nie zaskoczyła najstarszych mieszkańców.

– Burmistrz nic nam o tym nie wspomniał – dziwi się Buendía.

– A co on tam może wiedzieć, skoro przyjechał do Coto Serrano parę dni temu. Eulogio nie jest stąd, nie wiem, dlaczego wybrali go na alkada.

– Bo nikt inny się nie zgłosił – śmieje się drugi.

Buendía udaje się nakłonić ich, by znów skupili się na interesującym go temacie i wspólnie opowiedzieli historię walk. Opowiada głównie Matías, a inni tylko dopowiadają i uściślają szczegóły.

– Hacjenda należała do paniczyka z Jerezu, tutaj nazywali go Markizunio. Początek wojny zastał go w jego domu w Jerezie. Zapisał się do wojsk generała Franco.

– Jego żona i dwójka dzieci zostali w Madrycie. Ona podobno była piękną, a Markizunio miał fioła na jej punkcie. Wychodził z siebie, by ją stamtąd ściągnąć.

– Lepiej by na tym wyszedł, gdyby mu się udało. Kiedy frankiści odbili Madryt, kobieta miała dwoje nowych dzieci, żyła na kocią łapę z jakimś komunistą. Markizunio mało nie oszalał.

– Żonę wraz z jej komunistą posłał na tamten świat. Wszystkie czworo dzieci oddał do przytułków i słuch o nich zaginął – uzupełnia historię inny z graczy.

– Markizunio wrócił do miasteczka. Z tamtego okresu pochodzą pogłoski o walkach.

– To nie plotki, to było równie rzeczywiste jak my tutaj – oburza się Matías. – Ja widziałem jedną, wiem o tym nie tylko ze słyszenia. Widziałem ją na te oczy, które wkrótce się zamkną. Nigdy nie

zapomnę, jak płakał ten chłopiec, gdy zabił drugiego i wygrał walkę. Nie chciał tego, ale gdyby nie zabił, sam by zginął.

– Podobno przyjeżdżali ludzie z całej Hiszpanii, żeby zobaczyć walki chłopców, których brali z sierocińców, i robiono milionowe zakłady. Wielu z nich było dziećmi republikańskich więźniów. Innym obiecywano, że wyciągną z nędzy swoje rodziny, jeśli wygrają. Podobno przywozili też kobiety dla tych, którzy chcieli się zabawić.

– Nikt z miasteczka?

– O ile mi wiadomo, to nie.

– Trwało to krótko, kilka lat, dopóki markiz się nie zabił. Strzelił do siebie z broni myśliwskiej. Więcej nikt nie słyszał o walkach i hacjenda stała pusta jeszcze kilka lat temu.

– No, trochę się słyszało o walkach przy okazji tej książki – uściśla Matías. – Dwadzieścia lat temu przyjechał jakiś dziennikarz, który zamierzał o tym napisać książkę. Nawet daliśmy mu zdjęcia hacjendy i nasze.

– Wydał tę książkę?

– Nawet jeśli tak, to nigdy nam jej nie przysłał. W każdym razie ja jej nie widziałem. A przecież jest w niej moje zdjęcie z czasów, gdy byłem podrostkiem, i drugie z okresu, jak dziennikarz przyjechał. No dobra, zagrajmy jeszcze partyjkę.

Buendía wycofuje się z rozmowy, bo dzwoni jego telefon.

Nic nie daje po sobie poznać i dopiero po zakończeniu połączenia wyjawia Záratemu, o co chodzi:

– Proszę nas, żebyśmy odzyskali koszulę, którą miała na sobie Aurora, gdy ją uratowano. Wiele wskazuje na to, że należała do szefa Purpurowej Sieci.

– Gdzie jest?

– Zapewne w śmietniku.

Rozdział 56

Ostatnio Orduño kilka razy się przeprowadzał. Najpierw, podczas swojego najtrwalszego związku, mieszkał z Aną niedaleko plaza de Castilla. Kiedy zerwali, przeniósł się do kawalerki w rejonie Moratalaz. Niedawno, zaledwie dwa miesiące wcześniej, osiedlił się w okolicy Madrid Río, gdzie znajduje się najlepsze jego zdaniem miejsce do uprawiania sportów w mieście.

Tego ranka, gdy wyszedł z BAC po złożeniu wypowiedzenia, postanowił pobiegać. Marina nie chciała mu towarzyszyć. Poszła do swojej siłowni poprosić o kilka dni wolnego, chce być przy nim w tych trudnych dniach. Jest jej za to wdzięczny, nie wie, co by było z jego niepewną stabilnością bez jej wsparcia.

Przykro mu, że inspektor Blanco, jego szefowa przez te wszystkie lata, nie wyszła się z nim pożegnać. Ale rozumie ją. Ostatnio nie stanął na wysokości zadania. Kiedy zaczyna grać, odsuwa na bok wszystkie ważne rzeczy. Nie może znów tego zrobić, nigdy więcej. Jest jak ci alkoholicy, którzy wiedzą, że wpadną w szpony nałogu, ledwo wezmą łyk wina. Z nim dzieje się to samo, jeśli chodzi o hazard. Pech alkoholików i hazardzistów polega na tym, że żyją w kraju, który nie szczeni im pokus. Jak nie urodziny, na których wznosi się toast cava, to jednoręki bandyta, który nęci muzyką, udział w loterii lub reklama w telewizji, w której zachęcają cię, byś obstawił, kto strzeli więcej goli do końca sezonu...

Wciąż jeszcze upał daje się we znaki, mimo że zbliża się październik. Orduño biegł w silnym słońcu i leje się z niego pot. Niczego nie pragnie tak bardzo jak porządnego prysznica i dobrze schłodzonego piwa. Jutro zacznie organizować swoje życie na nowo, poprosi o nowy przydział – najchętniej pracowałby w Wydziale Zabójstw, ale jeżeli zaoferują mu jedynie usługi ochroniarskie czy coś w tym rodzaju, też się zgodzi. Może przeznaczy kilka dni urlopu na wyjazd

z Mariną. Żadne z nich nie zna Lizbony i wydaje mu się, że to idealny moment na wizytę w tym mieście. Może nawet zaproponuje jej, żeby się do niego wprowadziła, coś więcej niż to obecne prowizoryczne wspólne mieszkanie... Ciężko mu będzie się przyzwyczaić, że już nie należy do BAC, elity hiszpańskiej policji, ale z drugiej strony ma też ogromną chęć, by zacząć żyć w inny sposób.

Kiedy dociera na swoją ulicę, czeka na niego niespodzianka – rozpoznaje czerwony samochód zaparkowany przed jego bramą. To łada inspektor Blanco. W środku czeka na niego ona we własnej osobie.

- Pani inspektor...
- Orduño, muszę z tobą porozmawiać.
- Wejdziemy do mnie?
- Wolałabym się przespacerować. I napić grappy, mam ci coś trudnego do powiedzenia.

Idą pieszo do Café del Río i siadają w ogródku. Jest stąd świetny widok na Palacio Real, Torre de Madrid, Edificio España...

– Uwielbiam Edificio España – zauważa Elena. – Bardziej niż Torre de Madrid, chociaż jest wyższa. Edificio España przypomina mi Nowy Jork. Byłeś?

– Tak, dwa lata temu, podczas urlopu. Ale niezbyt mi się podobało: za duży, zbyt wiele ludzi.

– Mnie się bardzo podoba, przynosi mi ulgę myśl, że jestem nikim.

– Może to dlatego, że ja tutaj też jestem nikim.

Przerywa im kelnerka, która podchodzi, by przyjąć zamówienie. Nie mają grappy i inspektor tym razem poprzestaje na galisyjskim orujo.

– Nie twierdzę, że jest złe – ocenia po spróbowaniu. – Ale to nie to co grappa, nie wiem, czemu ludzie doszukują się tu jakiegoś podobieństwa.

Orduño umiera z pragnienia po treningu, pociąga więc długi łyk swojego piwa, zanim zacznie rozmowę.

– Domyślam się, że nie przyjechałaś tutaj, żeby wymieniać się uwagami o Nowym Jorku czy różnicy między grappą a orujo...

– Marina nie jest tą osobą, za którą się podaje – wyrzuca z siebie Elena jednym tchem. – Należy do Purpurowej Sieci.

– Co?

Orduño szuka argumentów, by obalić ten zarzut, gotów jest zaprzeczać wszystkiemu do końca, ale musi przyznać, że zadra wątpliwości od razu toruje sobie drogę do jego głowy: ta informacja wiele wyjaśnia...

Wyjaśnia bardzo przypadkowy sposób, w jaki się poznali; wyjaśnia, dlaczego tak szybko się dopasowali; wyjaśnia zainteresowanie Mariny dochodzeniem, zainteresowanie, które sączyła mu delikatnie, kropla po kropli; wyjaśnia jej sprzeciw, kiedy postanowił rzucić brygadę; wyjaśnia łatwość, z jaką zdecydowała się z nim zamieszkać; wyjaśnia jej wyrozumiałość, kiedy wyjawiał jej swoje uzależnienie od hazardu. Wyjaśnia, wyjaśnia, wyjaśnia... To zbyt wiele rzeczy, żeby mogło chodzić o pomyłkę.

– Jak się dowiedzieliście?

– Ofiara Sieci rozpoznała ją dzisiaj, kiedy zobaczyła ją w naszym biurze.

– Jesteś pewna?

– Sądzisz, że rozmawiałabym teraz z tobą, gdybym nie była?

Orduño rozplakałby się, gdyby nie było mu tak bardzo wstyd. W ciągu kilku dni wrócił do kart, utracił swoje miejsce w BAC i zaufanie kolegów oraz odkrył, że Marina go oszukała. Nic nie poszło jak trzeba.

– Aresztujecie ją?

– Nie, jeszcze nie. Chcemy, żebyś nam pomógł namierzyć wierzchołek Purpurowej Sieci. Użyjemy jej. Rozumiesz chyba, że jeśli ci o tym mówię, to dlatego, że nadal ci ufam, nadal jesteś naszym człowiekiem.

Nie może odmówić. Bardzo mu zależy na zatrzymaniu osławionego Dimasa, chciałby zapobiec temu, by kolejne dziewczyny skończyły jak Aisha Bassir, i pragnie pomścić jej śmierć. Ponadto, podobnie jak dla inspektor, ta sprawa stała się dla niego czymś bardzo osobistym.

– Możecie na mnie liczyć.

– Wiedziałam. Witaj z powrotem w BAC.

Orduño z bólem w sercu słucha o planie, który przedstawia mu Elena. Najważniejsze, żeby Marina nie domyśliła się niczego, zanim nie nadejdzie właściwy moment.

– Ważna sprawa. Nie wiemy, czy Marina zobaczyła świadka. Nie możesz zapytać jej o to wprost, bo to by nas zdemaskowało, ale bądź czujny. Jeśli będziesz miał jakieś podejrzenia, zawiadom nas.

– Sądzisz, że chciałyby ją zlikwidować?

– Jestem o tym przekonana. Przykro mi, Orduño, nie będziesz się mógł nad nią litować, niezależnie od tego, co czujesz.

– Jasne, wszystko, tylko nie litość.

– Nie mów o tym reszcie. Dopóki nie przyjdzie czas na działanie, będziemy o tym wiedzieć tylko my dwoje.

Orduño się zgadza, wróci do domu, weźmie prysznic i poczeka na Marinę. Niczego nie da po sobie poznać.

Rozdział 57

Dimas dobrze wie, że policja szuka tam, gdzie zwykle poruszają się przestępcy. To dzielnice zmarginalizowanych, biedoty, najgorsze sektory miasta. Nigdy nie przychodzą z zaskoczenia do budynku, w którym mieszkają szanowane rodziny: sędziowie, adwokaci, przedsiębiorcy, politycy. Jeśli chcesz zgubić policję, powinieneś skryć się pomiędzy osobami wpływowymi. Dlatego stara się umawiać wyłącznie w najbardziej eleganckich miejscach w mieście.

Poza tym, mimo swojego niegodziwego zajęcia, lubi luksus i wygodne życie, raczej nie nęci go perspektywa wychylenia szklaneczki whisky w Cañada Real czy w którejkolwiek z ubogich dzielnic, dokąd czasem musi zaglądać ze względu na interesy. Jest jednym z najlepszych w swojej branży, żyje więc tak, jak powinni żyć wybitni specjaliści. Mimo wszystko trzeba zachowywać dyskrecję, dlatego nie mieszka w La Finca, w Moraleja ani w Puerta de Hierro, choć bardzo by mu to odpowiadało. Kiedy jest w Madrycie, zatrzymuje się w przestronnym apartamencie przy ulicy San Francisco de Sales, w pobliżu plaza de Cristo Rey. Podobno w sąsiednim budynku mieszkali po ślubie Julio Iglesias i Isabel Preysler. Nie wie, czy to prawda, nie mógł tego zobaczyć na własne oczy, ale opowiada o tym, ilekroć ktoś go odwiedza, jak gdyby był bliskim przyjacielem wokalisty.

Tylko nieliczni wiedzą, gdzie znajduje się jego madryckie schronienie. Nawet Marina, kobieta, która najwięcej lat spędziła u jego boku, nie zna tego adresu. Umówił się z nią w barze hotelu Urso, koło Alonso Martínez. To jeden z najnowszych i najbardziej luksusowych hoteli w Madrycie.

- Wow! – zdumiewa się Marina. – Mieszkasz tutaj?
- Oczywiście, że nie. Wstąpiłem na whisky. Czego się napijesz?
- Tego, co ty.

Gdy już ich obsłużono, mogą porozmawiać w spokoju.

– Kiedy się dowiedziałam, że zrobili obławę w hacjendzie i aresztowali tyle osób, martwiłam się o ciebie – wyznaje.

– Zmyłam się natychmiast, gdy wyczułem, na co się zanosi. Poprzedniej nocy dałem namiary na walkę Kortabarii i ktoś je wykradł.

– A co on mówi?

– Nic. Zabili go. Albo sam umarł, kto to wie. Dziwne raczej, że pociągnął tak długo.

Dimas wydaje się spokojny, Marina dużo mniej.

– Straciliśmy wszystko?

– Wszystko to za dużo powiedziane. Żyjemy, prawda? A to znaczy, że nie straciliśmy niczego ważnego – filozofuje Dimas.

– Mają Pavła.

– Z Pavła nie wydobędą ani słowa. Wiesz przecież. Choćby go torturowali, jak tylko my potrafimy, będzie milczał. A policja nie torturuje lub przynajmniej tak mówi.

– Dlaczego go tam zostawiłeś, a wzięłeś Lucasa?

– Lucas to nasz list żelazny. Jest w bezpiecznym miejscu. I lepiej, żeby tam był, wiesz przecież, jak łatwo się denerwuje. W żyłach tego chłopaka nie płynie krew, tylko materiał wybuchowy, nitrogliceryna czy coś w tym stylu.

– To jego matka tym kręci. Zaczynam myśleć, że porwanie go w tamte święta nie było dobrym pomysłem.

– Na jego porwaniu zyskaliśmy wiele lat, siedem czy osiem, nie pamiętam dokładnie. Gdybyśmy nie odsunęli inspektor Blanco od tamtego śledztwa, już wtedy by nas namierzyli. Teraz mamy kasę, żeby zniknąć, jeżeli tego zechcemy. Moglibyśmy żyć sobie niczym królowie w Brazylii, masz pojęcie?

– Czegoś by nam brakowało.

Dimas się śmieje.

– Przy tej liczbie dzieciaków, jaka pałęta się po ulicach w Brazylii? Zmontowalibyśmy coś wspaniałego: Złotą Sieć.

– Lucas powinien być umrzeć, taki był plan – upiera się kobieta.

– Wiem, ale mamy umowę: musi umrzeć w klatce, podczas walki. Kto mógł przypuścić, że będzie wygrywał wszystkie starcia, jedno po

drugim, aż w końcu stanie się niezwyknięty? Nie myśl już o tym, zajmijmy się problemami, których nam nie brak.

– Możliwe, że mnie zdemaskowali – wyznaje Marina – i może nie będę miała dojścia do BAC, by wiedzieć o tym, co tam się dzieje. Chciałam się z tobą naradzić, to był twój pomysł, żebym wyrwała tego policjanta z brygady.

– Jaki on jest?

– To dobry facet.

Marina opowiada Dimasowi, że wejście do samych biur brygady uznała za doskonały pretekst, by spróbować dowiedzieć się jak najwięcej o ich sprawie, o wszystkim, co wie inspektor Blanco.

– Ale wtedy ją zobaczyłam.

– Kogo zobaczyłaś?

– Aurorę. Chodziła sama po biurze, wolna.

Dimas opuszcza szklankę z whisky i z powagą patrzy na swoją towarzyszkę.

– Rozpoznała cię?

– Nie wiem, nic nie dała po sobie poznać. Wydaje mi się, że nie, ale wolałam ci o tym powiedzieć.

– Ta dziewczyna bez wątpienia jest zdolna ukryć swoje emocje na twój widok.

– To co robimy? – pyta Marina.

Dimas zamyśla się targany wątpiwościami.

– Aurora była w hacjendzie z Ojcem i jego psami.

– I uszła z życiem? Czy teraz te psy jedzą karmę?

– Sama widzisz, Ojciec też czasem popełnia błędy.

– Widziała jego twarz? Nawet ja jej nie znam.

– Oczywiście, że tak. Nie zaprzęaliśmy sobie głowy maskami. Zamierzaliśmy ją zabić, kiedy Ojciec skończy, jeśli on sam i jego psy tego nie zrobią. Ale uciekła.

– A więc mogłaby go rozpoznać.

– To trudne – ocenia Dimas. – Policja nie ma go w swojej kartotece, wątpię, żeby kiedykolwiek zapłacił choćby mandat drogowy. Musiałaby się na niego natknąć. A zatem to trudne, ale nie niemożliwe.

– W takim razie należy temu zapobiec – stwierdza Marina.

– Zajmij się tym, zabij ją. Tylko nie spieprz tego. Historia z Orduñem... Jeśli nie może nam się przydać, nie trać na niego czasu. Porzuć go albo wyeliminuj, jak wolisz. Jeśli ta dziewczyna na ciebie doniosła i cię zdemaskowali, możliwe, że będą cię śledzić, więc bardzo uważaj. Wiesz już, jak się z nami skontaktować, żebyśmy ci dali instrukcje.

– Jak sobie życzysz.

Marina musi wrócić do Orduña, ale wcześniej powinna podjąć środki ostrożności, upewnić się, że nikt jej nie śledzi. Tym razem nie ma już na myśli BAC, lecz własnych towarzyszy z Purpurowej Sieci. Dimas jest cholerykiem, a dziś był dziwnie spokojny. Dobrze go zna, zachowuje się tak tylko wtedy, gdy podjął wszystkie konieczne decyzje. Być może jedną z nich było wydanie na nią wyroku.

Kilka razy przesiada się w metrze, by mieć pewność, że nikt za nią nie idzie, i wreszcie dociera do mieszkania Orduña. On wita ją czule, jak zwykle. Czeka na nią, bo chce, żeby razem poszli do kina. Marina nie wie już, od ilu lat nie siedziała w ciemnej sali, jak dawno nie oglądała filmu, który byłby czystą fikcją, bez związku z rzeczywistością.

– Dobrze, chodźmy do kina, ale ja wybieram. Chcę zobaczyć film o miłości.

– No nie! – protestuje Orduño.

– Taki, w którym bardzo się kochają i wreszcie zostają razem. A najlepiej, żeby na koniec był ślub. Żadnych smutnych zakończeń – ledwo wypowiada te słowa, przypomina się jej film, który obejrzała w samolocie. Fałszywe łzy, którymi zwróciła na siebie uwagę policjanta.

Po filmie idą na kebab niedaleko kina. Do lokalu o nazwie Ebla, który szczyli się tym, że jada tam król Filip z królową Letycją, kiedy idą obejrzeć film.

– Nie wierzę w to, to zbyt obskurne miejsce.

– Potem poszukamy w internecie, zobaczysz, że przychodzą tu na kolację. Nawet były zdjęcia.

– Kiedy mówisz, że będziesz mnie traktował jak królową, masz na myśli to, że weźmiesz mnie na kebab?

Oboje wybuchają śmiechem. Orduño ubolewa, że to wszystko ściema. Naprawdę mu szkoda. Nie wie tylko, że Marina też tego żałuje, bardzo dobrze się czuje w jego towarzystwie, ale jutro znów będzie pracować dla Purpurowej Sieci. Dostała bardzo konkretny rozkaz i musi go wykonać: zlikwidować Aurorę López Sepúlvedę. Jeśli tego nie zrobi, jej dni będą policzone, nieraz już widziała takie akcje...

Nocą w łóżku kochają się, a ona nie może potem zasnąć. Orduño też nie, wierci się niespokojnie.

– Rodrigo, chciałabym tylko, żebyś coś wiedział: zrobiłam w życiu wiele rzeczy, z których nie jestem dumna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Ty uzależniłeś się od hazardu, ale wszyscy mamy coś, czego żałujemy. I czasem trudno zostawić to za sobą.

Rozdział 58

Zárate i Buendía wrócili z Coto Serrano po południu, wcześniej próbowali bez skutku jeszcze raz docisnąć alkada. Członkowie brygady spotykają się przed zakończeniem pracy, żeby przekazać sobie wszystkie nowości.

Buendía położył na stole torbę na próbki z czymś, co wygląda na brudną szmatę.

– To koszula, którą miała na sobie Aurora w chwili uwolnienia. Nie wiem, czy na coś się przyda: jest odrażająca, na pewno nie został na niej ani ślad ewentualnego DNA, nie ma inicjałów...

– To koszula szefa Purpurowej Sieci. Nazywają go Ojcem – informuje Elena.

– Jedno, co przykuwa uwagę, to fakt, że uszyto ją na zamówienie, ale jest mnóstwo zakładów, gdzie to robią, a tkanina należy do bardzo popularnych. To błękitna oksfordzka bawełna.

– Nic nas nie kosztuje zanieść ją do kilku zakładów krawieckich i zapytać.

– Trzeba będzie ją najpierw wyprać. Z taką szmatą nigdzie nas nie wpuszczą.

– Spróbuj – ucina inspektor. – Czego jeszcze dowiedzieliście się w miasteczku?

– Ktoś musiał przemykać oko, to jasne – odpowiada Zárate. – Takiej organizacji jak ta nie sposób nie zauważyć. Guardia Civil podejrzewa własnych ludzi.

– A alkad?

– Wygląda na niewinnego, ale nie ufam mu w stu procentach. Może to po prostu świetny aktor, choć robił wrażenie, jakby szczerze przeżywał wszystko, o czym mu mówiliśmy.

Główna rzecz, o której najbardziej chcą opowiedzieć, to ich rozmowa ze staruszkami i to, co wyjawiał im Matías.

– Ten człowiek twierdzi, że na początku lat czterdziestych, po wojnie domowej, organizowano walki. Podobno sam jedną widział. No wiesz, zwycięzcy mszczą się na pokonanych, zmuszają dzieci republikanów, żeby walczyły o swoje życie, żeby zdobyć jedzenie dla rodziny... Tego, który to organizował, jakiegoś markiza, parę lat później dopadły wyrzuty sumienia i popełnił samobójstwo.

– To może być prawda lub lokalna legenda – uściśla Buendía. – Inni potakiwali, ale nikt więcej nie widział walk, teoretycznie tylko on.

– Wierzycie im?

– W sumie to nie bardzo – wyznaje Zárate. – Ale kto wie, nie uwierzyłbym też w to, na co natknęliśmy się w tej hacjendzie, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

– Z książki, o której mówili miejscowi, moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Podobno jakieś dwadzieścia lat temu pewien dziennikarz wypytywał w miasteczku o walki, żeby napisać książkę. Ale nie wiedzą, czy ostatecznie ją wydał, i nikt nie pamięta, jak się nazywał. Zaraz zadzwonię do kolegi, który ma antykwariat, może mi poradzi, jak to znaleźć.

– Doskonale – mówi Elena.

– Przesłuchaliście chłopaka z metalową ręką?

– Próbowaliśmy, ale nie powiedział ani słowa. Nie mogliśmy nawet stwierdzić, jaki ma akcent. Posiedzi kilka dni w samotności, to może zmięknie, zobaczymy, ale nie obiecuję sobie po nim zbyt wiele.

– W końcu każdy zaczyna śpiewać jak najęty – stwierdza Buendía.

– Obyś miał rację – podsumowuje Elena. – Wobec tego to wszystko na razie, najlepiej będzie, jak wszyscy trochę teraz odpoczniemy.

– Nie zapominaj, że brat Kortabarii chce nas pozwać.

– No to powodzenia. – Inspektor w ogóle się tym nie przejmuje.

– Gdzie przenocuje Aurora? – pyta Chesca.

– U mnie w domu – oświadcza Elena, a nikt z obecnych nie ośmiela się oponować.

Na zebraniu ani razu nie padło nazwisko Orduña, tylko Elena wie, że znów jest częścią ich zespołu.

– Zostajesz jeszcze? – Zárate podchodzi do Cheski, kiedy wszyscy inni już wyszli.

– Czekałam, aż będziemy sam na sam.

– Uprzedzam cię, że to miejsce jest naszpikowane kamerami i mikrofonami – śmieje się Ángel.

– Nie o to chodzi, idioto. Przejdźmy do pokoju przesłuchań, tam można wszystko wyłączyć.

Udają się tam oboje i odłączają urządzenia nagrywające znajdujące się w pomieszczeniu.

– Co się stało?

– Chodzi o Orduña. Elena nie chce, by wiedział o tym ktokolwiek, kogo tu nie było, ale muszę ci o tym powiedzieć.

– Coś się stało?

– Przyszedł z Mariną, złożył wymówienie.

– Przykro mi, ale spodziewałem się tego.

– To nie wszystko: dziewczyna, która poszła z inspektorem, Aurora, zobaczyła Marinę. Zmieniła się na twarzy. Mówi, że Marina należy do Purpurowej Sieci.

Chesca czeka na wyraz zdumienia na twarzy kolegi, ale Zárate bardziej niż zaskoczony jest zmartwiony. Natychmiast pojmuje, co to oznacza. Nagle układa mu się w głowie wiele rzeczy, podobnie jak Orduñowi, gdy inspektor wyjawiała mu prawdę.

– Cholera, biedny Orduño. Zatrzymaliście ją?

– Nie, Marina nie wie, że ją zdemaskowaliśmy. Inspektor zdecydowała, że nie aresztujemy jej teraz, lecz użyjemy jako przynęty, żeby przeniknąć do ich struktur.

Zárate potrzebuje tylko chwili, by wyciągnąć wnioski:

– To dobry pomysł.

– A Orduño?

– Będzie mu ciężko, kiedy się dowie, ale zrozumie. Postąpiłby tak samo.

– Nie jestem tego taka pewna, Orduño jest lepszy od nas wszystkich.

– W takim razie może powinien odejść z brygady. To nie miejsce dla dobrych ludzi.

Chesca kiwa głową.

– Może. Ja chyba też to rzucę, kiedy skończy się ta sprawa. Dawniej było inaczej, tworzyliśmy zespół. Teraz inspektor prowadzi wojnę na własną rękę, my o niczym nie wiemy, same tajemnice...

– I co będziesz robić? – pyta Zárate. – Uprzedzam cię, że praca na komisariacie jest do dupy. Ja przez długi czas tylko przedłużałem paszporty.

– Zanim wstąpiłam do brygady, byłam w Zabójstwach. Może uda mi się tam wrócić.

– To jest jakaś myśl, ale zobaczymy jeszcze, co zdecydujemy, kiedy ta sprawa dobiegnie końca. Idziemy?

– Masz dwa kaski? Nie wzięłam auta, mógłbyś mnie podrzucić do domu na motorze.

– Mam tylko jeden.

Chesca nie spodziewała się, że dzień tak się skończy, nie wie nawet, dlaczego tak się stało, choć zdaje sobie sprawę, że sama do tego doprowadziła. Nie będą mogli o tym zapomnieć, kiedy znów zaczną kogoś przesłuchiwać w tym pokoju. Wiedzą, że zaledwie kilka metrów dalej są inni funkcjonariusze, którzy pracują jako wsparcie brygady, że w każdej chwili ktoś może ich nakryć i nie będą mieli jak się wytłumaczyć, ale żadne z nich nie próbuje tego uniknąć. Chesca kładzie się nago na stole, przy którym brała udział w tylu rozmowach. Zárate się nie rozbiera, tylko rozpina spodnie i kładzie się na niej.

To szybki numerek, niewiele wygodniejszy niż ten sprzed kilku dni w aucie. Bez czułości, bez pocałunków, ale przyjemny.

– Musimy to wreszcie zrobić w jakimś wygodniejszym miejscu – stwierdza Zárate, gdy kończą.

– Jeśli kiedyś będziesz miał dwa kaski, pojedziemy do mnie albo do ciebie.

Rozdział 59

Ubranie inspektor jest trochę za duże na Aurorę, ale dziewczyna i tak zachwyca się spodniami od piżamy i swetrem, które Elena jej dała.

– Chyba jeszcze nigdy nie miałam na sobie tak delikatnego i miękkiego swetra – śmieje się.

– Możesz go sobie wziąć.

– Nie, przecież jest twój.

Aurora tylko kilka razy była na plaza Mayor, nigdy, od kiedy umarł jej dziadek, który przyprawdzał ją tu co roku na Boże Narodzenie i kupował kanapkę z kalmarem.

– Masz ochotę na taką?

– Nie, nie lubię kalmarów. Lubiłam z nim przychodzić, bez ciągle płaczącej babci i matki, która zawsze wszystko psuła. Dziadek był jedyną osobą, która traktowała mnie jak człowieka. Szkoda, że umarł.

Elena nic na to nie może poradzić, takie jest życie. Dużo gorzej jest tęsknić za kimś, kto odszedł, lecz nadal żyje, w jakimś miejscu, prawdopodobnie gorszym od śmierci.

– Co chcesz zjeść na kolację?

– A co jest?

– Na razie nic nie ma, ale mam w telefonie apkę i w pół godziny mogą nam przynieść, co zechcemy: hamburgery, pizzę, sushi... Choćby *cocido*¹⁷, jeśli sobie zażyczysz.

– Nigdy nie próbowałam sushi.

– No to załatwione, zamówimy sobie japońską kolację.

– Lepiej nie, jeszcze mi nie zasmakuje. Może hamburgera, bo jestem głodna i wolę nie ryzykować.

Patrząc na Aurorę, która śmieje się przy kolacji, Elena nabiera nadziei. Ta dziewczyna była ofiarą gwałtów, tortur, porwań, przemocy, wychowała się u dziadków, bo jej rodzice ćpali, przyjęło ją i odrzuciło wiele rodzin zastępczych, a mimo to, gdy tylko okazać jej

trochę serdeczności, zachowuje się niczym beztroska dziewczynka. Po kolacji, już najedzona, Aurora obserwuje plaza Mayor, jak gdyby nie miała na głowie żadnych problemów. Bawi się swoimi włosami, bierze kosmyk do ust, gryzie go – nawyk, który pewnie pozostał jej z dzieciństwa. Może Lucas też jest taki i jeśli któregoś dnia wróci do ich mieszkania, znów będzie oglądał swoje klasery ze znaczkami, będzie się domagał całusa na dobranoc, próbował oglądać kwadrans dłużej telewizję przed snem, prosił o szklanekę wody, gdy ona już się położy...

– Aisha bardzo lubiła chodzić do Burger Kinga. Jak tylko skołowałyśmy trochę kasy, musiałyśmy iść. Lubiła zamawiać zestaw z potrójnym whopperem, chociaż potem zostawiała połowę frytek.

– Dlaczego ona nie wyjechała z Las Palmas, a ciebie przywieźli na półwysep?

– Pewnie dlatego, że ciągle protestowała. Wszystkim się stawiała, a raz nawet podrapała Dimasa po twarzy.

– Jak go poznałyście?

– Pierwsze dwa tygodnie w Las Palmas były bardzo dobre. Miałyśmy kasę, a po moich urodzinach obie byłyśmy już pełnoletnie. Chodziłyśmy codziennie na plażę, a potem na imprezy, poznawałyśmy chłopaków. Aż wreszcie skończyły nam się pieniądze. Wtedy jedna Rosjanka, która też przychodziła na plażę i opalała się koło nas, powiedziała nam o klubie na ulicy Molino de Viento.

– Poznałyście go w klubie?

Elena wzmaga czujność, może znajdzie klucz, miejsce, gdzie Purpurowa Sieć zdobywa dziewczyny, które na Gran Canarię przyjeżdżają z całego świata.

– Nie, nawet tam nie dotarłyśmy. Ubrałyśmy się wystrzałowo i właśnie tam szłyśmy, a oni zatrzymali się autem obok nas.

– Kto to był?

– Dimas i Marina. Ona prowadziła, to ona zaprosiła nas do samochodu. Była taka słodka i ładna, że wzbudziła nasze zaufanie. Dimas usiadł z tyłu z Aishą, odstąpił mi miejsce koło kierowcy.

– Co wydarzyło się w aucie? Zawieźli was do tego klubu?

– Kręciliśmy się tam po okolicy. Nie wiem, co się stało, wiem tylko, że Aisha zaczęła się wkurzać i on się zirytował. Ja byłam

skupiona na rozmowie z Mariną. Ale usłyszałam okrzyk Dimasa, obejrzałam się i zobaczyłam, że Aisha podrapała go po twarzy. Zaczął ją bić. Chciałam ją obronić, a wtedy uderzyła mnie Marina. Rozdzielili nas, mnie wywieźli do hacjendy. Nie wiedziałam, co się stało z Aishą, aż do czasu gdy... gdy ty mi o niej powiedziałaś, chociaż podejrzewałam, że ją zabili.

– Tęsknisz za nią?

– Była moją najlepszą przyjaciółką. – Aurora milknie. Znowu uwidacznia się ta dojrzałość, którą wcześniej w niej dostrzegła. – Jak dziadek i babcia. Muszę się przyzwyczaić, że już jej nie ma. W sumie życie z Aishą to była jazda bez trzymanki, stale pakowała się w jakieś problemy – mówi z melancholijnym uśmiechem. – Wiedziałam, że to się źle skończy. Jeśli żyję, to dlatego, że nas rozdzielili.

Elena sprząta ze stołu po kolacji. Hamburgery, frytki i coca-cola – wszystko przypomina jej syna. On też uwielbiał takie jedzenie i choć nie chciała, żeby je jadł, Abel chodził z nim w sobotnie wieczory po hamburgery, które przynosili w wielkich papierowych torbach. Wiele razy jedli je na tym samym stole. Lucas się nie zgadzał, żeby kupowali mu zestaw dla dzieci, chciał jeść to samo, co dorośli.

– Jestem zmęczona. Mogę się położyć?

Elena najpierw zamierzała ją przenocować w sypialni Lucasa, ale potem zmieniła zdanie i przygotowała dla niej pokój gościnny. Aurora uśmiecha się na widok łóżka, dwa metry na dwa.

– To chyba największe łóżko, jakie w życiu widziałam. Zaraz się zgubię...

Kiedy Elena zostaje sama, nalewa sobie grappy – ma jeszcze tę, którą podarował jej Rentero, i smakuje jej coraz bardziej – i siada na sofie w salonie. Pomimo wszystko miło było mieć choć raz towarzystwo w domu i zjeść wspólnie kolację. Myśli, że może da się przywrócić życie temu domowi, na nowo wypełnić puste miejsca, które tak bardzo ją bolą. Jeszcze nie zasnęła, gdy otwierają się drzwi jej pokoju. To Aurora.

– Boję się być sama. Mogę spać tutaj z tobą?

Łóżko jest bardzo duże, tego samego rozmiaru co to w pokoju gościnnym. Aurora kładzie się obok niej. Stara się nie ruszać, nie przeszkadzać.

O świcie Elena budzi się zaalarmowana, usłyszała jakiś odgłos. Aurora śpi spokojnie. Elena nasłuchuje, wydaje jej się, że odgłos dochodzi od drzwi wejściowych, wstaje, bierze swój pistolet i idzie do przedpokoju. Gdy tam dociera, znów słyszy chrobotanie, jak gdyby ktoś manipulował przy zamku.

Z bronią w prawym ręku wymierzoną w kierunku drzwi, otwiera gwałtownie, gotowa strzelić. Ale nie ma nikogo. Wychyla się, słyszy czyjeś pospieszne kroki na schodach. Idzie na balkon, w nadziei, że zobaczy kogoś wybiegającego na ulicę, ale brama się nie otwiera. Przypomina jej się dzień, kiedy Mar do niej zapukała – nietrudno ją znaleźć. Nigdy nie przykładła wagi do tego rodzaju środków bezpieczeństwa.

Przez resztę nocy nie udaje jej się zasnąć. Siedzi na sofie w salonie, z pistoletem w ręku. Musi ukryć Aurorę, zawieźć w miejsce, gdzie nikt jej nie znajdzie, chronić ją tak, jak nie potrafiła uchronić własnego syna.

Rozdział 60

Już trzeci dzień z rzędu Elena rezygnuje ze swojego tosta u Juanita. Ma nadzieję, że kelner nie spełni swoich pogroźek i nie przeniesie się do baru w Pueblo Nuevo. Gdyby do tego doszło, przejdzie całą dzielnicę, aż go znajdzie, żeby podziękować mu za serdeczność, z jaką obsługiwał ją przez te wszystkie lata, najgorsze w jej życiu.

Wzięła Aurorę na śniadanie do San Ginés, miejsca, do którego Lucas uwielbiał chodzić w niedziele, bo sprawia jej wielką przyjemność patrzeć, jak wszystkim się cieszy. Bardziej niż czekolada i *churros* uwagę dziewczyny przyciągają zdjęcia słynnych osób, które odwiedziły lokal. Na myśl, że siedzi tam, gdzie wcześniej siedziało wiele z nich, na jej usta wypływa uśmiech szczęścia.

– Mój tyłek nigdy nie otarł się tak blisko o sławę – żartuje rozbawiona.

Potem idą do garażu po auto. Nie chce zwracać na siebie uwagi, nie biorą więc czerwonej łady, tylko drugi samochód, perłowego mercedesa sedana 250, którego kupiła na dłuższe trasy i właściwie nigdy nie używa.

– Dokąd jedziemy?

– Do miasteczka w prowincji Valladolid, nazywa się Uruuña. Mieszka tam mój były mąż ze swoją nową żoną. Spodoba ci się.

– Twój były mąż to ojciec Caína?

– Tak, ale on nie wie, że Caín żyje.

– Mam mu o tym powiedzieć?

– Wręcz przeciwnie, lepiej, żebyś nic mu nie mówiła. Ja z nim porozmawiam.

Ostatnim razem gdy Elena pojechała do Uruëni, zajmowała się sprawą zabójstwa Susany Macai, Cyganki, którą zamordowano na krótko przed ślubem w identyczny sposób jak kilka lat wcześniej jej siostrę Larę. Była pogubiona, potrzebowała przyjaznego uśmiechu, uścisku i jak zwykle pomyślała o swoim byłym mężu. Jednak zawsze,

gdy odwiedza Abła, w końcu zaczyna mu wyrzucać, że ułożył sobie życie na nowo. Choćby nawet nic nie mówiła, nie musi: jej milczenie, spojrzenia, zachowanie są wystarczająco wymowne.

Tym razem jest pewna, że tego nie robi, tym razem nie zamierza z nim rozmawiać o Lucasie, lecz o Aurorze. Zostawić ją u niego, poprosić, żeby ją chronił.

– Dlaczego zabierasz mnie do tego miasteczka?

– Po pierwsze, dlatego że jest bardzo ładne. A poza tym dlatego, że obawiam się, iż Marina też mogła cię zobaczyć w biurze BAC.

– Szuka mnie?

– Znasz ludzi z Purpurowej Sieci lepiej niż ja. Bezpieczniej będzie uprzedzić ich ewentualny ruch.

Droga do Urueñi trwa około dwóch i pół godziny, podczas których mają czas pogadać o wielu rzeczach: o życiu w hacjendzie, o dziewczynach i chłopakach, których Aurora tam poznała, o Marinie...

– Nie jest najgorsza z nich, ale mówią, że trzyma się z Dimasem od ponad dziesięciu lat. Niektórzy myślą, że to jego żona, inni, że tylko kolejna kobieta.

– Ale spędza dużo czasu poza hacjendą i z dala od Dimasa, prawda?

– Nie, tylko dwa lub trzy tygodnie. Pewnego dnia zniknęła i nie widziałam jej aż do wczoraj.

– Brała udział w torturach?

– Nigdy jej przy tym nie widziałam, sądzę, że zajmowała się innymi sprawami. Nawet nie oglądała walk, zostawała w domu. Była dziwna.

Auto pokonuje kolejne kilometry, nawet włączają muzykę. Aurora zaskakuje Elenę, śpiewa dość dobrze. Jej ulubione piosenki nie pasują w ogóle do dziewczyny w jej wieku, to przeboje Rocío Jurado, Pantojy i innych w tym rodzaju.

– Babcia śpiewała to podczas sprzątanania.

Starcza też czasu, żeby Aurora zapytała o Lucasa. Jak trafił do Purpurowej Sieci.

– Lucas został porwany wiele lat temu. Chodziło o to, żeby uderzyć we mnie. Od tamtej pory go szukam i wszyscy mi mówili, że

na pewno nie żyje. Ale zobaczyłam nagranie.

– Gdybyś nie szukała dalej, nie zrobiliby mi tego. Może pozwoliliby mi zostać kelnerką.

– Bez jednego oka?

– Im najlepiej się powodziło w hacjendzie. Utrata oka to nie tak wiele w porównaniu z tym, co mogą ci zrobić.

Aurora milknie, gdy na horyzoncie wyłaniają się mury Urueñi.

– Jak ładnie. Zamieszkałabym w takim miejscu na zawsze.

– To bardzo szczególne miasteczko. Ma ponad piętnaście księgarń. I muzea, jest też dużo muzeów.

– Twój mąż ma księgarnię?

– Nie, ale jego dziewczyna w jednej pracuje. To Brazylijka. Bardzo ładna i bardzo młoda, sama zresztą zobaczysz.

– A on? Czym się zajmuje?

– Winem, robi okropne wino. Jeśli zaproponuje ci kieliszek, lepiej odmów. Mam nadzieję, że szybko się nauczy fachu, w przeciwnym razie to będzie nieznośne, co roku posyła mi butelki – śmieje się Elena.

Parkuje, potem idą wąskimi uliczkami, przy których stoją piękne budynki, wszystkie wyglądają jak małe pałace. Elena musi przyznać, że Abel wybrał idealne miejsce, żeby usunąć się w cień.

– Twój mąż zgodzi się, żebym tu została?

– Mój były mąż. Pewnie, że tak. Jest trochę burkliwy, ale potem się z tego śmiejesz.

Gabriella, dziewczyna Abła, jest dyskretną osobą – inspektor przypuszcza, że o to właśnie chodzi, gdy mowa o inteligencji emocjonalnej – i doskonale wie, kiedy powinna odejść i zostawić Elenę i Abła samych.

– Nie znasz Urueñi? To niewybaczalne! – woła do Aurory, nie wspominając słowem o ranach na jej twarzy. – Pokażę ci księgarnię, w której pracuję, i kupimy ci jakiś podkoszulek, bo masz na sobie sweter jak stara baba.

Na pewno nie chciała urazić Eleny, właścicielki swetra, a może i tak. Gabriella jest tak młoda, ma tak doskonałe ciało, cerę tak

śniadą i tak bujne kręcone włosy, że patrząc, jak idą razem z Aurorą, można pomyśleć, że to siostry.

– Chcesz, żeby ta dziewczyna u mnie została? – dziwi się Abel, gdy już są sami.

– Tylko przez kilka dni, do czasu, aż będzie można bezpiecznie zabrać ją do Madrytu.

– Nie byłaby bezpieczniejsza pod ochroną policji?

Inspektor wcale nie jest tego taka pewna. Purpurowa Sieć dociera wszędzie. Żeby ochronić dziewczynę, trzeba by ją wsadzić do więzienia, do pojedynczej celi. A Elena myśli, że Aurora już zbyt długo siedziała w zamknięciu. Chce potraktować ją tak, jak by potraktowała Lucasa.

– Proszę cię o to, bo jesteś osobą, do której mam największe zaufanie, a poza tym wiem, że tu będzie jej lepiej niż gdziekolwiek indziej.

– Niech będzie, ale powiedz mi, skąd się wzięła.

Elena musi wyjawić Ablowi, skąd uratowała Aurorę. A w związku z tym opowiedzieć o nagraniach, torturach, walkach na śmierć i życie. Obawia się, że zapyta ją, czy widziała Lucasa na którymś z tych filmów, ale on tego nie robi. Nie ma powodów, żeby to robić, Abel od lat jest przekonany, że jego syn nie żyje. Elena myśli ze smutkiem, że być może ma rację. Lucas umarł w dniu, gdy porwano go z plaża Mayor.

W głębi duszy zazdrości naiwności swojemu byłemu mężowi, który nawet nie podejrzewa, że każda policyjna operacja wymierzona w Purpurową Sieć wynika z jej potrzeby odnalezienia syna.

– Ranę, którą ma na policzku, zrobili jej w tej hacjendzie?

– Tak.

– Zadbamy o nią. Jestem pewien, że Gabriella zna jakąś maść na gojenie, żeby nie została jej duża blizna.

To właśnie Abel i Gabriella mogą dać Aurorze w odróżnieniu od Eleny: serdeczność, radość, uwagę i maść na blizny.

Elena nie chce zostawać z nimi na obiad, nie chce zaburzać życia Abła i jego nowej żony, która zdążyła się zaprzyjaźnić z Aurorą, jeszcze zanim inspektor wsiadła do auta.

– Wrócę po ciebie.

– To samo powiedziałaś mi, kiedy zostałam w szambie, i wróciłaś. Wiem, że to zrobisz.

Elena uśmiecha się, nie wie, czemu ta dziewczyna musiała tyle wycierpieć, polubiła ją. Ma nadzieję, że jej matka wyjdzie w końcu ze szpitala, że nie zacznie znów brać i że będą mogły razem mieszkać w jakimś miasteczku równie ładnym jak Uruuña.

Nie ujeżdża nawet dwudziestu kilometrów, kiedy odbiera połączenie. W ładzie nie mogłaby tego zrobić, ale w mercedesie ma wszelkiego rodzaju urządzenia, żeby być cały czas w kontakcie.

– Daniel? Chłopak z Rivas? Będę tam za dwie godziny.

Daniel Robles, nastolatek, który naprowadził ich na trop Purpurowej Sieci, popełnił samobójstwo. Elena czuje się winna, przez ostatni tydzień nie poświęciła mu ani jednej myśli.

Rozdział 61

Na pogrzeb Daniela Roblesa przyszło bardzo mało ludzi. Jego rodzice i kilku krewnych Soledad. Nie ma sąsiadów ani przyjaciół. Alberto nie chciał zadzwonić do nikogo ze swojej rodziny, sprzeciwił się zaproszeniu nauczycieli i kolegów ze szkoły. Nie ma nawet Sandry, młodszej siostry zmarłego. Na ten ostatni akt spuszczone zasłonę, aby ukryć wstyd.

Elena stara się, by jej smutek wyglądał przekonująco, a kiedy to robi, uświadamia sobie, że naprawdę go odczuwa. Podchodzi do Alberta, jakby starannie odmierzała każdy krok.

– Proszę przyjąć moje kondolencje.

Alberto odwraca się do niej, jest zaskoczony, że znalazła się na tym skrytym pożegnaniu. Jednak nie pokazuje po sobie niezadowolenia. Ma zachmurzoną twarz, zaciśnięte i spierzchnięte usta, które chyba od dawna się nie uśmiechały.

– To najlepsze, co mogło się stać – odpowiada twardo.

Potem odchodzi, nie dając jej najmniejszej szansy na podtrzymanie rozmowy. Elena szuka wzrokiem Soledad. Otacza ją grupka krewnych. Płacze i opiera głowę na ramieniu jakiejś kobiety, zapewne siostry. To nie jest dobry moment na składanie kondolencji. „To najlepsze, co mogło się stać”. Słowa Alberta Elena odbiera niczym cios w brzuch, czuje coś podobnego do mdłości. Czy naprawdę to najlepsze, co mogło się stać? Syn schodzi na złą drogę, stacza się po równi pochyłej, a rodzice odwracają się od niego na zawsze? Czy miłość do dziecka nie powinna być bezwarunkowa? Elena rozumie rozczarowanie ojca, rozumie też gniew i cierpienie. Ale nie nienawiść. Ona nie chce być taka jak on, w jej sercu nigdy nie będzie miejsca na nienawiść do Lucasa, choćby nie wiadomo ile potworności popełnił. Możliwe, że jest po prostu naiwniejsza niż ten zdruzgotany mężczyzna, który nie może nawet opłakać śmierci

swojego syna, ale zamierza ochronić miłość i podtrzymać płomień nadziei.

Ma już wyjść, kiedy Soledad przypuszcza na nią atak niczym rozjuszony byk.

– To wszystko pani wina – rzuca jej w twarz.

Elena wie, że nie ma sensu przemawiać do rozsądku matce, która właśnie pochowała syna.

– Gdyby nie weszła pani do mojego domu tamtego wieczora...

– Wypełniałam jedynie swoje obowiązki.

Odpowiada najprościej, jak umie, nie próbuje tłumaczyć rzeczy oczywistych. Poczucie taktu podpowiada jej, żeby odejść, nie dodając nic więcej, nie wypowiadając choćby słów kondolencji, które teraz nie zostałyby dobrze przyjęte. Lecz Soledad chwyta ją za ramię, by powiedzieć coś jeszcze.

– Od chwili aresztowania jego ojciec ani razu go nie odwiedził.

– Przykro mi.

– Ja poszłam. Ostatnio zaledwie dwa dni temu – ciągnie Soledad. – Powiedział mi, że dałby wszystko, by móc cofnąć czas i nigdy nie wejść na tamtą stronę...

– Szkoda, że nie możemy cofnąć czasu.

– I wie pani, co jeszcze mi powiedział? – Zaciska wargi, starając się powstrzymać szloch. – Jestem chory. Jestem chory i nikt nie może mi pomóc. Tak mi powiedział.

Idąc do auta, Elena rozmyśla o słowach Daniela i wydają się jej straszliwe w swojej prawdzie. Świat jest chory od przemocy. Są ludzie uzależnieni od przemocy w dowolnej postaci. I dotąd nikt nie zadał sobie trudu, by znaleźć na to lekarstwo.

Mariajo jako jedyna z BAC poszła z Eleną na pogrzeb Daniela. To ona namierzyła tamte wiadomości od Larry'ego³³, które pozwoliły im przełamać zabezpieczenia Purpurowej Sieci, to ona tropiła, aż znalazła adres IP w willi w Rivas. Nie jest winna, ale w jakiś sposób przyczyniła się do tego, że ten chłopak odebrał sobie życie w ośrodku, w którym go umieszczono.

– Czasem dochodzisz do wniosku, że nie warto – wyznaje Elenie, kiedy zatrzymują się na kawę. – Myślisz sobie wtedy, że lepiej rzucić

to wszystko w diabły, wynieść się do domku nad brzegiem morza...

– Nie, Mariajo. Ty nie możesz także mnie porzucić. Orduño, Chesca...

– Chesca też? – dziwi się stara hakerka.

– Jest niezadowolona. Nic mi nie powiedziała, ale widzę, na co się zanosi.

– I to wszystko? Rozmawiałaś z nią o tym?

Elena wzrusza ramionami, jakby nic nie mogła na to poradzić.

Mariajo kręci głową. Elena nie jest już dzieckiem, powinna lepiej wiedzieć, czego potrzebują inni.

– Znam cię od prawie dwudziestu pięciu lat, jesteś błyskotliwą policjantką, nauczyłaś się czegoś przy każdej sprawie, którą prowadziłaś. Nie rozumiem, jak to możliwe, że tak niewiele wiesz o ludziach – mówi Mariajo surowo. – Zostajesz sama i nie potrafisz nic z tym zrobić.

Elena jest zaskoczona, nigdy żaden kolega z pracy nie powiedział jej czegoś takiego.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić – broni się.

– Owszem, mam. Wolno mi, bo wiem, że mam rację, i nie obawiam się konsekwencji.

Elena spuszcza z tonu, nie chce, żeby Mariajo też się od niej odwróciła.

– Co niby powinnam zrobić?

– Ludziom zależy na zwykłej serdeczności, żebyś im powiedziała, że ich doceniasz i potrzebujesz. Pozwoliłaś odejść Orduñowi, teraz robisz to samo z Chescą, Zárate nigdy nie był jednym z nas... Kto ci zostanie? Buendía i ja? Myślisz może, że dwójka starych i ty, która też już nie jesteś nastolatką, może stworzyć elitarny zespół?

– Już wcześniej odchodzili ludzie. Zostali zastąpieni innymi.

– To dalej pij grappę i chodź na karaoke śpiewać piosenki Miny, czy jak tam ona się zowie, a której, mówiąc szczerze, nie znoszę, bo śpiewa straszne smęty. Mam dużo pracy, wracamy do BAC?

Każda z nich przyjechała na cmentarz Rivas-Vaciamadrid własnym autem, Mariajo elektrycznym smartem, który – jak wszystko w niej – zaskakuje u kobiety w jej wieku, Elena swoją ładą. Inspektor korzysta

z okazji, że jest niedaleko Cañady, żeby wrócić tam, gdzie nawiązała kontakt z Piną i gdzie wsadzono ją do furgonetki, która wywiozła ją do hacjendy w Coto Serrano. Parkuje w tym samym miejscu co wtedy. Nie ma nikogo w baraku, do którego wtedy weszła. Na ziemi nadal leżą kartony, a pod nimi znajduje się właz, przez który dostała się do piwnicy. Otwiera go, schodzi: znajduje tylko zrujnowane pomieszczenie. Ani śladu po marmurach, meblach, luksusowej łazience. Teraz to jedynie dziura w ziemi.

Wychodzi na zewnątrz. Atmosfera się zmieniła. Widać jedynie nielicznych ćpunów ledwo powłóczących nogami. Idzie przez Cañadę, aż dociera do czegoś w rodzaju ulicy, gdzie stoi kilka radiowozów i paru policjantów. Podchodzi do nich.

– Coś się stało?

– Zabili jakiegoś Rumuna.

– Coś wiadomo?

– Wygląda to na porachunki związane z handlem narkotykami.

Elena nie wie, jaką rolę odegrał ten Rumun w jej ocaleniu, że pomógł ją zlokalizować i uratować jej życie w Coto Serrano. Nie domyśla się, że za jego śmierć odpowiada Purpurowa Sieć, nie dowiedzą się o tym również Chesca ani Zárate. Okoliczności zamordowania Constantina nigdy nie zostaną wyjaśnione.

Elena wraca do auta, ale nie decyduje się ruszyć. Widzi, jak przechodzi kilku policjantów, widzi nadejście funkcjonariuszy, którzy zabierają zwłoki, sędziego, jakąś płaczącą kobietę... Myśli o tym, co powiedziała jej Mariajo, i uświadamia sobie, że powinna jej posłuchać: wszyscy mają rację, gdy mówią, że chcą odejść, i ją krytykują. Nie wykonuje dobrze swojej pracy, bo już jakiś czas temu przestała być policjantką, jest jedynie matką, która szuka własnego syna.

Z zamyślenia wrywa ją telefon. To Zárate, który pyta, czy przyjdzie do biura. Nie chciał bez niej zaczynać przesłuchania Pavła, a poza tym powinni jeszcze porozmawiać z Yarumem. Elena prosi go, żeby się nim zajął, nie ma siły mierzyć się ze spojrzeniem tego człowieka, nie chce też, żeby znów – nie wie jakim sposobem – analizował jej życie.

– Zamierzam z niego wyciągnąć, jak wyglądało robienie zakładów przy torturach, i dowiedzieć się, co go łączy z Piną – zapowiada policjant.

– Dobrze. I jednookie, nie zapomnij o nich, wciąż jeszcze nic nie wiemy o tych dziewczynach. Zapytaj go, czy to on przyprowadzał je Dimasowi. Niech Chesca ci pomoże.

Elena chciałaby, żeby wszystko dopasowało się niczym elementy układanki, której nie brakuje żadnego kawałka, ale tropów jest tyle, że prowadzą donikąd, tyle szczegółów, że trudno je powiązać, tyle niezbadanych wątków, że każdemu odkryciu towarzyszy poczucie, iż nawet nie zahaczyli o jądro problemu.

– I jeszcze jedno, zanim pójdziecie do domu, mamy dziś po południu zebranie: zamierzam poinformować, jak idzie śledztwo, żeby wszyscy byli na bieżąco. Nie chcę, żeby o pewnych rzeczach jedni wiedzieli, a drudzy nie.

– Bardzo dobry pomysł, Eleno – mówi Zárate. – Naprawdę dobry.

Rozdział 62

Yarum wita Záratego sarkastycznym uśmiechem. Nadal jest równie elegancki jak pierwszego dnia, chociaż minęło tych dni już wiele, od kiedy został zatrzymany.

– Myślałem, że już was więcej nie zobaczę. Nie jestem jeszcze aresztowany?

– Wie pan przecież, że nie. Poinformowano pana chyba, że dobrowolnie stawia się pan na przesłuchania, prawda? – Zárate uderza w równie ironiczne tony co jego rozmówca. – Nie wiem, czy słyszał pan, że namierzyliśmy hacjendę w Coto Serrano.

– Już wam mówiłem, że nigdy tam nie byłem, ale cieszę się. Domyślałem się, że nie zatrzymaliście Dimasa.

– Nie.

– I potrzebujecie mojej pomocy? No to nie będzie takie łatwe. Ani bezpłatne. Ani nawet tanie.

– Niech pan nam powie to, co chcemy wiedzieć, a my panu powiemy, co możemy dla pana zrobić.

– Raczej powiedzcie mi, co możecie dla mnie zrobić, a ja zobaczę, ile mogę wam zdradzić z tego, co was interesuje.

Chesca wchodzi do pokoju. Yarum wita ją podobną miną jak Záratego.

– Pan zawsze w tak dobrym towarzystwie, Zárate. Albo z panią inspektor, która najwyraźniej już nie chce mnie znać, pewnie ze względu na to, co powiedziałem o jej synu, albo ze swoją koleżanką... Prawdziwy z pana donżuan, przeleciał pan obie. Gratulacje.

– Dostyc tych bzdur – przerywa mu Zárate. – Są pewne rzeczy, których nie rozumiemy.

– Dużo ich jest?

– Owszem, dużo. Jak robione są zakłady podczas eventów?

– Powtarzam wam, że nic o tym nie wiem. Ja tylko sprzedaję linki. Nie wiem, co tam się dzieje. Ponadto nadal uważam, że to jedynie

zwykły teatrzyk.

– Przyjmuje pan zakłady?

– Nie, tym zajmuje się Sieć. Sprzedawałem tylko dwa rodzaje dostępów: tym, którzy mogli robić zakłady, i tym, którzy nie mogli. Jestem prostym pośrednikiem.

– A jednak miał pan rację, gdy kazał nam poszukać Piny – argumentuje Zárate. – Wie pan dużo więcej, niż chce nam wyjawić.

– Ma pan rację: wiem, że czuje się pan pogardzany przez osobę, której pan pożąda. Wiele można wiedzieć i wcale nikt nam nie musi o tym mówić – śmieje się z niego.

Zarówno Zárate, jak i Chesca są coraz bardziej przekonani, że coś więcej niż zwykła fanfaronada kryje się za słowami Yaruma.

– Z Piną znamy się od lat. Skontaktowałem ją z Dimasem, tak jak przedstawia się sobie dwie osoby, które mogą ubić wspólnie interes. On potrzebował dziewczyn, a ona mogła je dostarczyć.

– Dziewczyn, które pracowały w hacjendzie. – Zárate łączy fakty. – Wie pan, że sześciu z nich wyłupiono oko?

– Co za koszmarny wypadek przy pracy?

– Jak pan skontaktował Pinę i Dimasa? Gdzie się spotkali?

– Na jakim świecie pan żyje? Kto dziś musi spotykać się w realu? Internet. Blockchain. Wyszukiwarki z maskowanym IP. Zaszyfrowane fora. Już kiedyś powinny się panu obić o uszy te terminy...

– Nie powinien pan być taki spokojny. Ktoś będzie musiał zapłacić za to, co znaleźliśmy w hacjendzie.

– Podali moje nazwisko? – Milczenie policjantów wywołuje uśmiech Yaruma. – Nie przypisujcie mi rzeczy, z którymi nie mam nic wspólnego.

– Może Pina to zrobi – odpowiada Zárate, bardziej ze złości niż dlatego, że na to liczy. Wie, że ta kobieta nie powie nic, co mogłoby ściągnąć na nią problemy, a podanie imienia Yaruma być może właśnie tym by się dla niej skończyło.

– *Do ut des*. To stare powiedzenie, przysłowie czy coś w tym stylu, z łaciny: Daję, abys dał. Już wam powiedziałem, że musicie mnie wynagrodzić. To wymiana – odpowiada Yarum pojednawczym tonem.

Drzwi pokoju się otwierają i wchodzi Elena.

– Przeczuwam wiele rzeczy, ale zupełnie się nie spodziewałem, że pani przyjdzie – dziwi się Yarum. – Witam, pani inspektor.

– Chcę panu zadać tylko jedno pytanie.

– Proszę się nie krępować.

– Mamy wyjść? – pyta Chesca.

– W brygadzie nie ma tajemnic.

Elena musi znieść wybuch śmiechu Yaruma.

– Paradne, pani inspektor... Tutaj jest więcej tajemnic niż na występie magika. Ale proszę bardzo, czekam na pytanie.

– Zna pan Marinę?

– Tę z Purpurowej Sieci? Wiem, że jest ktoś taki, ale nigdy nie widziałem jej osobiście. W sumie mało o niej wiem, słyszałem, że to żona Dimasa, ale nie mam pojęcia, czy to prawda. Z Dimasem rozmawiałem kiedyś na forum, jego też nigdy nie widziałem. Pewnie zdziwi was informacja, że pisze bez błędów ortograficznych.

– Niech go odprowadzą – prosi Elena swoich kolegów. – Musimy porozmawiać.

– Opowie im pani o swoim synu? Bardzo słusznie, pani inspektor – drwi Yarum.

– No dalej, niech go zabiorą. – To jej jedyna odpowiedź.

Kilka minut później wszyscy członkowie BAC siedzą wspólnie przy stole. Elena zabiera głos.

– Chciałam was przeprosić, chyba w ostatnich tygodniach nie byłam w formie. Są rzeczy, o których wam nie powiedziałam, i wiem, że to nie w porządku: wymagam od was poświęcenia, nie tłumacząc, o co chodzi. – Inspektor musi głęboko zaczerpnąć powietrza, zanim powie to, co postanowiła wyjawić: – Osiem lat temu porwano mojego syna Lucasa. Wszyscy o tym wiecie. Jednak nie powiedziałam wam czegoś: mam pewność, że on żyje. Został porwany przez ludzi stojących na czele Purpurowej Sieci.

Po tej rewelacji w pomieszczeniu zapada cisza jak makiem zasiał. Zárate, jedyny, który o tym wiedział, spogląda na kolegów. Widzi zdumienie Buendíi i Mariajo, którzy chyba chętnie uściskaliby Elenę, bo choć jej syn pozostaje uwięziony w pajęczynie Sieci, to przecież żyje, a to dobra wiadomość, wciąż jest nadzieja na uratowanie go.

Chesca nie ma śmiałości spojrzeć w oczy inspektor. Zárate domyśla się, że przez głowę przemykają jej wszystkie dziwne, nieraz desperackie zagrania szefowej. Teraz wreszcie odnajduje w nich sens, a zarazem czuje się winna, że była dla niej taka surowa.

– Wiem, że macie tysiące pytań. Jak się o tym dowiedziałam, skąd mam pewność... Zapewniam was, że w tym momencie to nieistotne. Naszym priorytetem jest złapanie Dimasa. Proszę was o kredyt zaufania.

– Wiesz, że go masz – obiecuje Buendía, a milczenie reszty zdaje się potwierdzać jego słowa.

Elena nadal ukrywa dużą część prawdy. Powiązania Lucasa z Purpurową Siecią nie sprowadzają się do tego, że padł po prostu jej ofiarą. Jest coś jeszcze. To Caín, chłopak w czerwonych spodenkach, ten sam, który torturował Aurorę, ale Zárate wie, że poprosić Elenę, by wyjawiała także to, to zbyt wiele. Jak wystawić własnego syna na osąd innych? Jak zmienić go z ofiary w kata?

– Wiecie także, że Marina, dziewczyna, którą Orduño poznał podczas swojego wyjazdu do Las Palmas, należy do Purpurowej Sieci. Nie ustaliliśmy dokładnie, jakie stanowisko zajmuje, ale wszystko wskazuje na to, że odgrywa tam ważną rolę. Nie wiecie natomiast, że wczoraj poszłam z nim porozmawiać i wyjaśniłam mu sytuację. Jak możecie się domyślić, był to dla niego ciężki cios, ale to człowiek sprawiedliwy, uczciwy i odpowiedzialny, jest gotów nam pomóc. Kontaktowałam się z nim kilka minut temu i jeszcze dziś w nocy zastawimy pułapkę na Marinę. Powie jej, gdzie jest Aurora. Jesteśmy pewni, że ona do niej pójdzie.

– I narazimy na ryzyko tę dziewczynę? – bulwersuje się Mariajo.

– Nie. Nie podamy jej prawdziwej informacji. To by była nieodpowiedzialność – zgadza się z nią Elena. – Tylko ja wiem, gdzie jest Aurora, i zapewniam was, że nie może być pod lepszą opieką. Wyślemy Marinę w przeciwnym kierunku. Kiedy zjawi się w miejscu, gdzie zastawimy pułapkę, już będziemy na nią czekali. Wtedy zarówno Orduño, jak i my pozbędziemy się wszelkich wątpliwości.

Wszyscy oddychają z ulgą.

– A zatem Orduño znów jest członkiem brygady. Bez niego czułam się osierocona... – żartuje Chesca, próbując rozładować napiętą

atmosferę.

Chociaż nikt o nim nie mówi, wszyscy myślą o Lucasie. O piekle, przez jakie przeszedł ten chłopiec, i cierpieniu kobiety, która jest nie tylko policjantką, ale również matką.

Rozdział 63

Orduño wrócił tego popołudnia do tej samej pani psycholog, która już dwa razy leczyła go z uzależnienia od hazardu w swoim gabinecie przy ulicy Arturo Soria. Poszedł sam, Marina została w domu. Obawia się nieco, że wykorzystała te dwie godziny samotności, żeby zniknąć, ale kiedy wraca, Marina próbuje przyrządzić na kolację piezzonego kurczaka. Wita się z nim, jak zawsze gdy wraca – z oznakami wielkiej czułości, którą okrasza namiętymi pocałunkami.

– Bardzo za tobą tęskniłam.

Gdyby Orduño mógł wypowiedzieć jakieś życzenie, poprosiłby, żeby podejrzenia Eleny okazały się fałszywe, żeby Marina nigdy nie miała nic wspólnego z Purpurową Siecią, by wszystko było jedynie pomyłką tamtej dziewczyny, która mówi, że ją rozpoznała.

– Co powiedziała pani psycholog?

– Umówiła mnie na przyszły tydzień. Wtedy oceni, czy powinienem wrócić na terapię i czy to ona powinna ją poprowadzić, czy podda się po dwóch próbach.

– Ale nie miałeś znów pokusy, żeby zagrać.

– Nie, na szczęście nie.

– To cudownie. Chodź, musisz mi pomóc. Ten cały piekarnik jest bardziej skomplikowany, niż się spodziewałam.

– Przedtem muszę ci coś powiedzieć. Zadzwoiła do mnie inspektor Blanco. Poprosiła, żebym wrócił, przynajmniej na kilka dni.

– To wspaniała wiadomość.

– Chcą, żebym pilnował jednej z tych dziewczyn, które były uwięzione w Purpurowej Sieci. Nie wiem dlaczego, ale myślą, że może jej grozić niebezpieczeństwo.

Przejęta Marina znów go przytula.

– Wiedziałam, że wszystko się ułoży.

Całuje go w usta, gładzi po twarzy, a potem wyciera serwetką, bo ma palce mokre od soku cytrynowego. Krząta się po kuchni, niezdarna i uśmiechnięta. Nie zapytała w ogóle o tę dziewczynę. Orduño spogląda na nią z nową dawką optymizmu i czuje się niemal szczęśliwy.

Wspólnie, na bazie porad z tutoriali na YouTube, udaje im się przyrządzić kurczaka i wstawić do piekarnika. Kiedy czekają, aż będzie gotowy, otwierają butelkę wina i wznoszą toast.

- Za najlepszego policjanta w Hiszpanii.
- Za najpiękniejszą specjalistkę od pieczonych kurczaków.
- I najlepszą trenerkę boksu.
- To też.

Szkoda by było, żeby to wszystko się popsuło, żeby potwierdziły się oskarżenia tamtej dziewczyny i podejrzenia Eleny. Orduño czepia się myśli, że Aurora się pomyliła, ale zarazem obawia się paść ofiarą miłostnego zaślepienia. Omówił z inspektorem plan działania, zgadza się z nią, że wkrótce wszystko się wyjaśni: jeśli Marina należy do Purpurowej Sieci, będzie chciała wyeliminować świadka, który wie wystarczająco dużo, by posłać ich wszystkich za kratki.

„Gdybyś był na jej miejscu i sądził, że ta dziewczyna może cię zdemaskować, co byś zrobił?”, zapytała go Elena po południu.

„Zniknąłbym. Marina nie zniknęła”.

„To prawda. Ale zapytam cię inaczej. Gdyby ta dziewczyna mogła cię zdemaskować, a dowiedziałbyś się, gdzie się ukrywa, co byś zrobił?”

„Zapewne postarałbym się zapewnić sobie jej milczenie”.

„Sprawdzimy to. Będziesz na tyle niedyskretny, że zdradzisz jej miejsce pobytu Aurory. Jeśli tam pojedzie, to znaczy, że chce wyeliminować świadka zdolnego posłać całą Purpurową Sieć do więzienia”.

Orduño wciąż nie umie uwolnić się od tych pytań. Czy to możliwe, że kobieta, która przywróciła mu radość życia, jest potworem? Czy może mieć tyle zimnej krwi, że rozpoznawszy Aurorę, zamiast zniknąć, je z nim kolację?

– Kiedy zaczniesz ochronę tej dziewczyny? – Głos Mariny ściąga go na powrót do salonu.

– Jeszcze nie odpowiedziałem inspektor. Umówiliśmy się, że zadzwonię do niej jutro w południe. Nie wiem, czy powinienem się zgodzić.

– Dlaczego?

– Bo musiałbym wyjechać na kilka dni z Madrytu. A nie chcę się z tobą rozstawać.

– Bardzo daleko?

– Nie, blisko. Dziś po południu przewieźli dziewczynę do pewnego domu, który należy do państwa, niedaleko San Ildefonso, w miejscu, które nazywa się Valsaín, na uboczu. Dziś jest z nią Chesca, jutro miałbym ją zastąpić.

– Ale na pewno jest tam więcej policjantów...

– Nie, nie chcą, żeby ktokolwiek wiedział, że ona tam jest. Nazywamy to lekkim nadzorem.

Marina myśli szybko, a robi to jak zawodowiec: nie sposób dostrzec mrocznej nuty w jej radosnej twarzy. Gdyby pojechała z rana do tego domu w prowincji Segovia, mogłaby zamordować dziewczynę. Sądzi, że wyeliminowanie jej i Cheski nie będzie trudne. Potem mogłaby wrócić i być z Orduñem w chwili, gdy wszystko się wyda.

– Na twoim miejscu bym się zgodziła.

– Podobno dom jest wspaniały, w środku sosnowego lasu, prowadzi do niego droga gruntowa. To będzie przygoda trochę w stylu Robinsona Crusoe. Szkoda, że nie możesz zabrać się tam ze mną.

– To przecież tylko kilka dni. Mamy całe życie, żeby być razem.

Zjadają kurczaka, oglądają serial w telewizji, kochają się – jak każdego innego dnia. Orduño już niemal słodko zasypia, gdy słyszy głos Mariny.

– Jutro muszę wyjść wcześniej rano, mam w siłowni zajęcia, których nie udało mi się odwołać. Ale w południe będę tu z powrotem, żebyśmy się pożegnali, jak należy, zanim pojedziesz na wieś.

Orduño nie obraca się do kobiety, która gładzi go po plecach. Patrzy na niewyraźne w mroku zarysy przedmiotów i z trudem powstrzymuje się od płaczu.

Ani słowem nie komentuje podenerwowania Mariny przez resztę nocy, udaje, że nie zauważył, że wcale nie spała, i nie proponuje jej, że ją odprowadzi, gdy wychodzi rano. Ale zaraz po jej wyjściu zawiadamia kolegów.

– Wyszła z domu, przypuszczam, że jedzie do Valsaín.

Marina spieszy się tak bardzo, że nie zwraca uwagi na motor jadący za taksówką, którą złapała po wyjściu z domu.

– Właśnie weszła do firmy wynajmującej auta. Zaraz podam wam model i numery rejestracyjne.

Kobieta nie dostrzega też, że przez część drogi jedzie za nią volvo XC90, potem mercedes 250, a wreszcie citroën C3. Nie podejrzewa również, że w Valsaín spotka wielu mieszkańców w zaskakująco dobrej kondycji fizycznej: to antyterrorysty.

Valsaín leży osiemdziesiąt kilometrów od Madrytu, jedzie się tam niewiele ponad godzinę – najpierw szosą na La Coruñę do Collado Villalba, a potem trzeba skręcić w drogę CL-601, która prowadzi do wsi.

Valsaín w prowincji Segovia, w gminie San Ildefonso de la Granja nie ma nawet dwustu mieszkańców, ale dysponuje jednym z największych skarbów w okolicy – ponad dziesięćmioma tysiącami hektarów sosnowego lasu. Tam właśnie znajduje się dom, który musi zlokalizować. Spodziewa się, że będzie niewiele większy od chaty.

W drodze do wsi Marina jest zdenerwowana. Nie dlatego, że ma zamiar zabić Aurorę – to rozkaz Dimasa, a z jego rozkazami się nie dyskutuje. Chodzi o to, że w tych dniach spędzonych z Orduñem była szczęśliwa, a to dziwne uczucie, nigdy wcześniej go nie zaznała. Jeśli zlikwiduje tę dziewczynę, Dimas każe jej zniknąć. Nigdy więcej nie będzie mogła zobaczyć Orduña. Zresztą nie miałoby sensu do niego wracać, któregoś dnia by ją zdemaskował, zakładając, że Aurora jeszcze nie powiedziała im, kim jest. Chciałaby wierzyć, że stoi na rozdrożu i może wybrać pomiędzy dwiema drogami, ale prawda jest inna. Prawda wygląda tak, że dla niej istnieje tylko jedna możliwość. Czy potrafi dalej tak żyć?

Kiedy już dojeżdża do Valsaín, po raz pierwszy, dzięki długiemu prostemu odcinkowi drogi, uświadamia sobie, że jedzie za nią jakieś C3 w odległości około pięciuset metrów. Wtedy przypomina sobie, że już je widziała na zjeździe w Collado Villalba, zaparkowane na poboczu. Śmieje się, przez całe życie zmusza ludzi do patrzenia za siebie, a teraz ona sama zapomniała o ostrożności. Nie zamierza z nimi walczyć. Podejmuje decyzję. Koniec ze strachem przed Dimasem, koniec ze wszystkim. Odkrywa, że jednak ma alternatywę.

Zatrzymuje auto na skraju drogi, wyjmuje pistolet i czeka, aż C3 znów się pokaże. Wkłada lufę do ust. Jest gotowa strzelić i odebrać sobie życie, ale nie na to, że z samochodu wysiądzie Orduño.

– Nie rób tego!

Marina się waha, spogląda mu prosto w oczy i ma wrażenie, że prócz determinacji dostrzega w nich cień współczucia. Powinna pociągnąć za spust, raz na zawsze zniknąć. Wie, że to jedyny sposób, by uciec przed Purpurową Siecią. Ale pokonuje ją strach, a może absurdałna nadzieja na szczęśliwe życie. Opuszcza pistolet, pozwala, by założył jej kajdanki i ją objął.

– Wybacz, kocham cię. – To wszystko, co jest w stanie wyszeptać mu na ucho.

Potem przyjeżdża więcej policjantów, którzy ich rozdzielają. Marina uświadamia sobie, że straciła swoją wielką szansę. Nie chodzi o zabicie Aurory. Straciła wielką życiową szansę, by się ocalić.

Rozdział 64

– Chcę ją przesłuchać.

– To raczej nie jest dobry pomysł – odpowiada Zárate. – Ty powinieneś się usunąć, a nie jej wybaczać czy się na niej odgrywać. Zostaw to w naszych rękach.

Orduño spogląda na Chescę, licząc na jej pomoc, ale ona odwraca wzrok.

– Ja też uważam, że nie byłoby to dobre ani dla sprawy, ani dla ciebie – mówi wreszcie jego koleżanka.

– Muszę wszystko wiedzieć – protestuje Orduño. – Gdyby nie ja, nie zostałaby aresztowana.

– Orduño ma rację – ocenia Elena.

Marina jest zamyślona i zapłakana, ledwie podnosi głowę, kiedy wchodzi inspektor i Orduño.

Elena zaczyna przesłuchanie.

– Mamy wystarczająco dużo dowodów na to, że należysz do Purpurowej Sieci.

Wydaje się jednak, że dla Mariny bardziej liczą się reakcje Orduña niż niewypowiedziane wprost pytanie zawarte w tych słowach.

– Nie mogę zaprzeczyć. Zresztą nawet nie chcę, nie będę kłamać, pomogę wam, w czym będę mogła, już dawno powinnam była to zrobić, powstrzymywał mnie jedynie strach.

– Jechałaś zabić Aurorę.

– Takie rozkazy dostałam od Dimasa.

– Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

– Nie zamierzam go zdradzić.

Zaciska wargi w upartym grymasie. Unika wzroku Orduña.

Przez następne dwie godziny Marina opowiada o Purpurowej Sieci. O tym, jak się w niej znalazła – była jedną z dziewcząt z dobrych rodzin, które wystąpiły w filmach porno Yaruma i Nahína. Potem

zaczęła pracować dla Piny i to ona poznała ją z Dimasem. Wtedy została członkiem szajki, na długo przed tym, zanim brygada rozpoczęła śledztwo.

– A więc znasz Yaruma?

– Byłam w sekcie, dałam się omotać jak ostatnia idiotka, ale nie sądzę, by mnie pamiętał. Oszukał bardzo wiele dziewcząt.

– Potem go już nie spotkałaś?

Marina kręci głową.

– A Pinę? – Orduño zachowuje chłód mimo zawstydzonego spojrzenia Mariny.

– Nie, dopiero dwa tygodnie temu, gdy Dimas kazał mi uwieść Rodriga Orduña.

– Dlaczego mnie?

– Z rozkazami Dimasa się nie dyskutuje. Kazał mi cię poderwać, a ja wykonałam polecenie. Gdyby wybrał kogokolwiek innego, postąpiłabym podobnie.

Elena nie chce, by przesłuchanie zeszło na zbyt osobiste tory.

– Co ma z tym wszystkim wspólnego Pina?

– Zaprowadziła mnie do pewnego domu, dała mi nowe ubrania na lot na Kanary. To wszystko. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, jakie polecenie dostałam od Dimasa. Po okresie z Yarumem przez jakiś czas dla niej pracowałam. Pina też przeszła przez sektę, ale znalazła sposób, żeby zarabiać na dziewczynach, które tam trafiały. Robiła z nas prostytutki. W ten sposób poznałam Dimasa, to miała być kolejna praca, nie wiedziałam, że staję się jego własnością.

– Możesz podać nam jakieś dane, które umożliwią ujęcie go? Na przykład jego prawdziwe nazwisko...

– Nie zamierzam go zdradzić – powtarza jeszcze raz.

Marina dalej opowiada, co działo się w hacjendzie La Travesera, gdzie spędzała większą część roku. Walki, filmy, zakłady...

– Znasz Lucasa? – pyta wreszcie inspektor.

– Podczas walk używa pseudonimu Caín – odpowiada i postanawia powiedzieć prawdę. – To ja prowadziłam auto w dniu, kiedy Dimas porwał go z plaza Mayor. To był taki słodki, delikatny chłopiec...

– Już taki nie jest – wtrąca z goryczą Elena.

– Nie, teraz jest potworem, bestią bez serca i uczuć. Przykro mi, że się do tego przyczyniłam, ale dla Lucasa nie ma już ratunku, on się nie zmienia.

Przez chwilę Elena ma ochotę potrząsnąć tą kobietą i powiedzieć jej, że każdy może się zmienić, że tak samo jak oni odmienili jej syna, ona sprawi, że znów będzie normalny. Jednak w głębi duszy nawet ona w to nie wierzy.

Czuje rękę Orduña, który przytrzymuje jej nadgarstek: koledzy powiedzieli mu o związkach Lucasa z Purpurową Siecią. Teraz on i wszyscy, którzy oglądają przesłuchanie w przyległym pokoju, odkryli skalę tych powiązań jej syna. To, czego ona sama nie odważyła się im powiedzieć prosto w oczy. Nikt nie może jej winić, że ukryła tę wiadomość.

Elena patrzy na dłoń Orduña, który próbuje okazać jej wsparcie, i uśmiecha się do niego. Jest szczerze wdzięczna za ten serdeczny gest towarzysza, przyjaciela. Odzyskuje panowanie nad sobą i dalej wypytuje Marinę.

– Ile było takich dzieci?

– Tylko dwoje, Pavel i Lucas. Tylko oni przeżyli wszystkie walki. Raz Dimas kazał im ze sobą walczyć, a wtedy Lucas odgryzł Pavłowi dwa palce. To uratowało mu życie, musieli przerwać walkę, dlatego Lucas go nie zabił jak tylu innych.

– Gdzie jest Lucas?

– Nie odpowiem na to pytanie. Nie zdradzę ani jego, ani Dimasa.

Orduño, który do tej pory się nie odzywał, przerywa milczenie.

– Elena, zostaw mnie na pięć minut z Mariną sam na sam.

– Nie mogę tego zrobić.

Orduño nic nie mówi, ale jego spojrzenie jest tak błagalne, że Elena postanawia ustąpić.

– Ufam ci.

Zostają sami w pokoju, a Orduño, ku zaniepokojeniu kolegów znajdujących się w pomieszczeniu obok, wyłącza kamery.

– Jeżeli zrobisz mi krzywdę, zasłużyłam na to – godzi się Marina. – Od kiedy wiesz?

– Od soboty, wtedy spotkałem się z Eleną i mi powiedziała. I nie, nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

– Nic nie było po tobie widać. Nawet wtedy, gdy zastawiłeś na mnie pułapkę, żebym pojechała do Valsaín.

– Ja też dałem się nabrać, kiedy sądziłem, że się zakochałaś. Mamy remis.

– To prawda, że zbliżyłam się do ciebie na rozkaz Dimasa, ale potem wszystko się zmieniło.

Orduño robi zniesmaczoną minę.

– Raz już mnie oszukałaś, nie próbuj znowu zdobyć mojego zaufania – rzuca pogardliwie.

– Nie o to chodzi, wcale nie próbuję odzyskać twojego zaufania, po prostu chcę powiedzieć ci prawdę. Całe moje życie było do dupy, od kiedy związałam się z tamtą sektą, od kiedy poznałam Pinę, a potem Dimasa. Moim przeznaczeniem było trafić do jednego z tych filmów, ale spodobałam mu się i darował mi życie. Przez długi czas robiłam tylko to, co mi kazał, jak te biedne dziewczyny, którym wyłupują oko, a one potem mu służą. Ale spodobały mu się moje niebieskie oczy i je oszczędził. Tak wyglądało moje życie do momentu, kiedy wsiadłam do tamtego samolotu do Las Palmas, w którym cię poznałam.

– Wzruszające – kpi sobie Orduño, który cierpi bardziej niż ona.

– Śmiejesz się, a to bardzo smutne. Po raz pierwszy w życiu poznałam dobrego faceta. Od tamtej pory przeżyłam wiele rozterek. Potem zatrzymałam auto przy tamtej szosie do Valsaín, bo postanowiłam nie iść dalej tą drogą, chciałam skończyć z Purpurową Siecią.

– I ja mam w to uwierzyć?

– Mówię szczerze, ale nie musisz mi wierzyć. Wiem, że resztę życia spędzę w więzieniu, i na to właśnie zasługuję. Ale teraz mówię prawdę.

– Udowodnij.

– Jak?

– Pomóż nam złapać Dimasa.

– To jak podpisanie na siebie wyroku śmierci. Nie ma więzienia, w którym byłabym potem bezpieczna.

- Będzie siedział.
 - Ale zostanie jeszcze Ojciec.
 - Kto to jest?
 - Prawdziwy szef Purpurowej Sieci. Nigdy go nie widziałam i nie wiem, jak się nazywa, wiem tylko, że to ktoś bardzo potężny.
 - Zapewniam cię, że jego też dopadniemy.
- Marina waha się przez kilka sekund.
- Nie, nic mu nie zrobicie. A jeśli spróbujecie, będzie umiał się wywinąć i mnie zabija.
 - Kilka godzin temu na drodze do Valsaín chciałaś popełnić samobójstwo.
- Kobieta czuje moc tych słów. Zastanawia się nad tym przez chwilę. To prawda. Po raz drugi widzi szansę, by to ona sama pociągnęła za spust broni wymierzonej we własną skroń. Powoli kiwa głową.
- Spróbuję wam pomóc.
 - Dziękuję.
 - Zawołaj inspektor. Ale zanim to zrobisz, chcę, żebyś wiedział, że cię nie okłamałam. Zmieniłam się dzięki tobie. Szkoda, że dla nas jest już za późno.

Elena przechodzi do wspólnej sali. Obawia się reakcji swoich kolegów: nie była uczciwa, kiedy obiecała, że wyzna im całą prawdę. Teraz jednak wiedzą już wszystko. Nie ma odwagi spojrzeć w oczy Mariajo czy Buendíi. Nie wie, czy ujrzy w ich spojrzeniach wyrzut, czy ją osądzili. Nagle czuje serdeczny uścisk Cheski, która przytula ją i mamrocze, że nie ustana w wysiłkach, póki nie znajdą Lucasa, póki nie wyciągną go z tego piekła. Elena z trudem powstrzymuje wzruszenie. Ta pustka, która doskwierała jej w życiu, tak naprawdę pełna jest ludzi. To oni: Chesca, Orduño, Zárata, Buendía i Mariajo. Jej rodzina.

Orduño zagląda do wspólnej sali.

- Elena, możesz wejść. Marina pomoże nam znaleźć Dimasa i twojego syna.

Rozdział 65

– Tutaj jest książka tego dziennikarza – oświadcza Buendía i kładzie tom na stole, żeby mógł go obejrzeć każdy, kto zechce. – Niełatwo było ją znaleźć, bo w miasteczku powiedzieli nam, że to się zdarzyło przed dwudziestu laty, ale jest starsza, ma co najmniej trzydzieści lat.

Książkę wydano byle jak, a jej strony pożółkły w wyniku upływu czasu i niezbyt starannego przechowywania. Okładka jest zszargana, bez trudu jednak można przeczytać tytuł: *Zemsta markiza*.

– Znalazłem ją wczoraj wieczorem dzięki koledze, który prowadzi antykwariat koło Opery. Już ją przeczytałem. Jako dzieło literackie jest beznadziejna, uprzedzam was, ale dziennikarz rozmawiał trzydzieści lat temu z ludźmi z miasteczka i udało mu się z grubsza zrekonstruować historię walk dzieci w hacjendzie La Travesera. Zgadza się z tym, o czym mówił nam ten dziadek Matías. Najważniejsze, że są też zdjęcia. Spójrzcie.

Buendía przerzuca kartki ze zdjęciami umieszczonymi w książce, aż znajduje to, którego szuka: pierścień. Pomimo kiepskiej jakości ilustracji wydaje się niebieski lub purpurowy.

– Purpurowy pierścień – mruczy.

– Purpurowa Sieć – powtarza cicho inspektor.

– To sygnet z inkrustowanym szafirem. Dziennikarz pisze, że stanowił nagrodę dla zwycięzców walk. Pamiętacie odłamek, który wyjęliśmy z rany na policzku Aurory?

– Szafir? – Zárate natychmiast wyciąga wniosek.

– Dokładnie tak. Ten cały Ojciec miał na palcu właśnie taki pierścień, kiedy ją uderzył.

Buendía dalej przewraca kartki, aż dochodzi do zdjęcia pięćdziesięcioletniego mężczyzny z nastoletnim synem u boku.

– Spójrz, Zárate, wiesz, kto to?

– Podobny do Matías, dziadka z miasteczka.

- To on, ma tu trzydzieści lat mniej.
- Zlokalizowałeś autora książki? – pyta Elena.
- Umarł przed dziesięcioma laty. Rozmawiałem z wdową po nim, ale nie przechowuje papierów po mężu. Wyrzuciła wszystko, kiedy trzy lata temu przeprowadziła się do domu spokojnej starości.
- Pech. Będziesz musiał wrócić do Coto Serrano, żeby porozmawiać z tym Matíasem. Chcę, żebyś sprawdził wątek z pierścieniami. Coś jeszcze?
- Koszula sławetnego Ojca, którą wyciągnęliśmy z kosza na śmieci. Nie da się pozyskać z niej DNA. Pokazaliśmy ją w kilku zakładach krawieckich i we wszystkich mówią nam to samo: krój jest zwykły, materiał zwykły, rozmiary zwykłe... Tą drogą nic nie wskóramy.
- No trudno, zastanówmy się, jak dopaść Dimasa. Orduño...
- Przewycięzając wstyd, że dał się oszukać Marinie, Orduño opowiada wszystkim, co mu wyjawiała na temat Purpurowej Sieci.
- Liderem jest Ojciec, którego tożsamość zna jedynie Dimas, lub przynajmniej tak nas zapewniają. Sieć to jego pomysł, to on ją finansuje i nawet projektuje wydarzenia. Zwykle nie bierze w nich udziału, a jeśli czasem przyjeżdża, to zawsze ma na twarzy maskę, żeby nikt go nie zobaczył. Jego twarz widzą jedynie dziewczęta, które czasem są dla niego wybierane, jednak nigdy nie będą mogły go zidentyfikować: ma dwa psy, które dobijają ofiary.
- Skurwiel – wrywa się Chesce.
- Psy nazywają się Buda i Pest. Aurora jest pierwszą osobą, która się przed nimi uratowała. Oprócz Dimasa tylko ona widziała twarz Ojca, przynajmniej o ile nam wiadomo – uzupełnia Elena. – Kontynuuj, Orduño.
- Dimas ma mieszkanie w Madrycie, ale nikt nie wie gdzie. Marina sądzi, że w rejonie Ciudad Universitaria, nic ponadto. Kiedy jest w mieście, bywa w luksusowych miejscach: hotelach, dobrych restauracjach i tak dalej.
- Przesłuchałam Pinę. Ona też nie może nam nic powiedzieć o Dimasie. Mówi, że zawsze kontaktowała się z nim przez internet. Nigdy nie widziała go osobiście, chociaż mówi to samo, co Marina, że był miły i nie zalegał z płaceniem.

– Kiedy przyjeżdżał do hacjendy La Travesera lub jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie mieli działać, zmieniał się – ciągnie Orduño. – Z eleganckiego mężczyzny z Madrytu stawał się skurwysynem, którego widzieliśmy na nagraniach.

– To on porwał mojego syna, to on był mężczyzną z twarzą poznaczoną bliznami po ospie, którego szukam od tylu lat – wtrąca Elena, przewyciężając skrępowanie, że mówi o sobie. – Powinniśmy założyć, że Lucas jest z nim i że Dimas będzie próbował go użyć, żeby ocalić własną skórę.

– A jeśli to zrobi? – ośmiela się zapytać Zárate.

– Moim obowiązkiem jest uratowanie syna, waszym zatrzymanie Dimasa. Miejmy nadzieję, że uda nam się osiągnąć oba te cele.

– Dimas obsesyjnie dba o swoje bezpieczeństwo. Żeby z nim porozmawiać, trzeba się kontaktować przez Deep Web, jak mówi Pina. Zostawiają mu wiadomości na pewnych forach i czekają, aż zadzwoni.

– Zaszyfrowane wiadomości? – pyta Mariajo.

– Tak.

– W takim razie równie dobrze mogą posłużyć, żeby się z nim skontaktować lub żeby go ostrzec o niebezpieczeństwie.

– Dokładnie tak – przyznaje Elena. – Ale to jedyny punkt zaczepienia, jaki mamy, więc spróbujemy. Wiadomości zostały wysłane. Teraz pozostaje czekać.

Rozdział 66

W zmrużonych oczach Matíasa lśni iskierka emocji, gdy ogląda zdjęcia w książce. W każdym oku zbiera się jedna łza i wydaje się, że za chwilę popłynie, jednak nigdy nie spływa. Buendía zjawił się w miasteczku z samego rana i znalazł go w barze przy rynku, gdy moczył grzanki w kawie z mlekiem.

– To ja z moim chłopakiem. – Uśmiecha się, rozpoznając siebie w trzydziści lat młodszej postaci. Jego dłoń pełna nagniotków, pieprzyków i plamek gładzi fotografię, jakby chciał ułożyć włosy potarganemu chłopcu, który pozuje razem z nim.

Inny staruszek, który też siedzi przy stole, pochyla się nad książką i udziela mu się nostalgiczny nastrój.

– To Anselmo, pamiętasz?

– Mało to razy z nim piłem? – obrusza się Matías. – Dopóki nie zaręczył się z jakąś dziewczyną z Jerezu, która zawróciła mu w głowie.

Buendía przewraca kartki, słuchając uważnie reakcji miejscowych.

– Wytwórnia mydła – mówi Matías na widok wyblakłego budynku. – Już ją rozebrali, ale to był porządny zakład.

– Ludzie przyjeżdżali do nas z daleka, żeby kupić mydło – wspomina inny z dumą.

Teraz zatrzymują się przy zdjęciu szafiru. Matías chce przewrócić stronę, ale Buendía przytrzymuje ją palcem.

– Mówi wam to coś? Wiecie, co to takiego?

– Jakiś diament, na pewno bardzo drogi – stwierdza inny staruszek. – Ale tu nie było kopalni diamentów, co widać gołym okiem, jak ktoś się przejedzie po okolicy. Tutaj nic nie ma, to pustkowie.

Buendía obraca się do Matías, który siedzi w milczeniu, wpatrując się w zdjęcie. Jego ręka drży, co równie dobrze może być efektem emocji, jak i reumatyzmu.

– Tym, którzy wygrali walkę, dawano szafir. Nie pamięta pan tego, Matíasie?

Stary siorbie swoją kawę z ustami w filizance, jakby chciał uciąć temat.

Wchodzą na małą arenę do corridy w hacjendzie La Travesera, gdzie organizowano walki. Natychmiast staje się jasne, że Matías potrzebuje kilku minut w milczeniu i samotności. Obchodzi miejsce, zatrzymując się tu i ówdzie, podnosi wzrok do wyimaginowanej łoży i Buendía przez chwilę ma wrażenie, że mężczyzna chce ofiarować publiczności swoją walkę.

– Tak, to tutaj, ale nigdy później tu nie byłem – mówi, otrząsając się z transu. – Wtedy nie było klatki. Walczono na zewnątrz, na całej arenie. Kiedy ktoś zbliżał się do barierek w poszukiwaniu schronienia, kłuli go taką jakby piką, jak u pikadorów, ale mniejszą. Żeby dalej walczył.

– Kto to oglądał?

– Różni ludzie. Na zewnątrz stało pełno dobrych aut. W domu robili zabawę, sprowadzali dziewczyny lekkich obyczajów, grupy muzyków, tancerzy i *palmeros* flamenco z Jerezu. Ale widzowie byli z całej Hiszpanii, nie tylko z Andaluzji, także z północy, czasem jakiś Portugalczyk.

– Skąd pan wie o tym wszystkim, skoro był pan tu tylko raz?

– Wtedy ludzie więcej rozmawiali... Czy ja wiem? Proszę też nie ufać znanemu mojej pamięci.

Buendía kiwa głową i spogląda mu w oczy.

– Pan walczył, prawda? Musiał pan zabić jakiegoś chłopca własnymi rękoma. Dzięki wygranej walce uszedł pan z życiem.

Matías nic nie mówi. Wbija wzrok w dal, jakby szukał tam pomocy. Znowu zdaje się, że łzy potoczą się po jego policzkach i każde oko lśni krystalicznie. Lecz i tym razem nie płyną. Jego szczęki poruszają się jakoś dziwnie, jak gdyby przeżuwał tytoń.

– Tak, walczyłem. Tamten chłopak był z Sewilli. Nie był synem więźnia politycznego, tylko kogoś, kto potrzebował pieniędzy i sprzedał go markizowi za pięć tysięcy peset. Był bardzo chudy, ja byłem od niego dużo silniejszy.

– A więc dali panu łatwe zadanie. Dlaczego?
– Pamięta pan, jak mówiłem, że żona Markizunia miała z nim dwoje dzieci i kolejną dwójkę z komunistą?

– Tak.

– Już słyszeliście, że kiedy Markizunio ich zabił, oddał całą czwórkę do przytułku. Nawet własnym dzieciom nie darował zdrady matki. Ja byłem drugim, to znaczy młodszym synem markiza.

Buendía wręcz oniemiał, ale nie chce tego pokazać po sobie, woli, żeby Matías mówił dalej.

– Markiz wiedział, że pan jest jego synem?

Matías robi kilka kroków, wszystkiemu dokładnie się przygląda, nawet się pochyla, żeby zobaczyć znak w dolnej części *burladera*¹⁸.

– Widzi pan to M? To ja je zrobiłem. M jak Matías.

– Wiedział, że jest pan jego synem? – Buendía nie odpuszcza.

– Wszyscy prędzej czy później tu walczyliśmy, całe rodzeństwo. Nawet moja przyrodnia siostra, najmłodsza. Biedaczce kazali walczyć z chłopakiem z Jerezu, nie trwało to nawet trzech minut. Tylko ja przeżyłem. Miałem trzynaście lat. Dał mi pierścień i posłał mnie do domu doñi Lucii, kobiety z miasteczka, która dla mnie była jak prawdziwa matka... Jedyna osoba w moim życiu, która o mnie dbała.

Matías wciąż czegoś szuka, ale chyba nie może znaleźć. Obchodzi wokół plac, naokoło klatki. Zatrzymuje się w pewnym miejscu, gdzie dawniej musiała być trybuna.

– Tutaj siadał markiz. Jeśli nie podobała mu się walka lub uznawał, że chłopcy są nie dość brutalni, dawał znak swojemu mistrzowi ceremonii i kłuto ich szpikulcami. Mówił, że któregoś zapaśnika muszą stąd wynieść nogami do przodu, a jeśli nie potrafią się wzajemnie pozabijać, zginą obaj.

– Robiono zakłady?

– Bardzo wysokie. Identyfikowali nas po kolorze spodenek, zawsze zielonych lub czerwonych. Mnie przypadły w udziale czerwone.

– Markiz popełnił samobójstwo? – wypytuje dalej Buendía.

– Tak, strzelbą myśliwską. Ludzie mówią, że gryzło go sumienie. Któż to może wiedzieć.

– A zatem pan był jedynym spadkobiercą.
– Nigdy nie upomniałem się o ten spadek, nie chcę o tym nic wiedzieć. Porzucił mnie pod nazwiskiem Matías Expósito¹⁹ i noszę je do dziś.

Znów zapada cisza, której Buendía nie przerywa, dopóki Matías nie podejdzie bliżej.

– A pierścień? Co się z nim stało?

Stary wzrusza ramionami, nie ma pojęcia.

– Przechowywałem go przez wiele lat, to był dobry kamień i wszyscy mówili, że wart fortunę. Ale pewnego dnia zniknął. Przypuszczam, że skradła mi go Encarna, dziewczyna, która przychodziła do mnie sprzątać. Te dziewczuchy mają bardzo lepkie ręce.

– Nie zgłosił pan kradzieży?

– A skąd! Wie pan co? Ten szafir przywoływał złe wspomnienia. Niemal poczułem ulgę, gdy zaginął.

– Kto jeszcze w miasteczku miał taki szafir?

– Wszyscy, którzy wygrali walkę. Ale wszyscy już nie żyją, o ile mi wiadomo. Możemy stąd wyjść?

Buendía odprowadza starca z powrotem do baru. Odwiedzi burmistrza, a potem wpadnie do garnizonu Guardia Civil w sąsiednim miasteczku. Dźwigi dalej pracują w La Travesera, ale na razie nie znaleziono żadnych zwłok. Aresztowanych odstawiono do Kadyksu i umieszczono w tamtejszych więzieniach.

– To było piekło – mówi funkcjonariusz. – Mam nadzieję, że złapie pan tych skurwieli.

Buendía wyrusza w podróż powrotną do Madrytu, niewiele już zostało do zrobienia w tym przeklętym miasteczku.

Rozdział 67

Marina uprzedza ich, że ma złe przeczucia. Dimas nigdy nie umówił się z nią w miejscu publicznym, na świeżym powietrzu, zawsze wyznaczał spotkanie w hotelowym barze, restauracji lub nawet w muzeum. Jednak tym razem, gdy przeczytał jej wiadomość na forum w Deep Webie, w odpowiedzi zaproponował spotkanie w parku Retiro, nad jeziorem, o dwunastej w południe.

– Dimas jest bardzo sprytny – martwi się Marina. – Skoro wybrał takie miejsce, to znaczy, że obawia się zasadzki. Jeśli coś go zaniepokoi, nie pokaże się. A potem już nie odpowie na żadną z moich wiadomości.

– Nigdy więcej go nie zobaczysz?

– Owszem, w dniu, w którym mnie zabije.

Muszą podjąć wszelkie dostępne środki bezpieczeństwa. Dimas nie może się zorientować, że w parku kręci się mnóstwo policjantów pilnujących Mariny. Elenie przypomina się dzień na stacji Atocha, kiedy zastawili pułapkę na Yaruma. Wtedy miała wrażenie, że policjanci, choć bardzo się starali nie rzucić się w oczy, z łatwością zostaliby odkryci przez każdego, kto poświęciłby im nieco uwagi, przez godzinę siedzi więc z Chesą, planując choreografię agentów z wózkami dla niemowląt, pary zakochanych, kilku pływających łódkami po stawie, nawet dwóch policjantek, które udają, że stawiają karty dwóm innym agentom... Rentero był szczodry, przydzielił jej do tej operacji pięćdziesięciu funkcjonariuszy.

– Tylko nie nawal, Elena, ten typ najbliższą noc powinien już spędzić w areszcie – prosi.

Marina przyjeżdża w taksówce – prowadzonej przez policjanta – pod wejście do Retiro od strony plaza de la Independencia, tego z Puerta de Alcalá. Wchodzi do parku i idzie, starając się nie okazywać zdenerwowania. Dociera do stawu. Po drodze nikt jej nie zaczepia. Kiedy rusza brzegiem, dostaje SMS-a. Mariajo tak

przygotowała jej telefon, żeby wiadomość przyszła jednocześnie na inną komórkę, którą ma ona.

„Wyjdź bramą koło biblioteki. Przed tobą zatrzyma się uber, wsiądź do niego”.

Nie potrafią określić, z jakiego numeru przyszła wiadomość, ale też nie spodziewali się, że wszystko pójdzie tak gładko. Przygotowali się na różne warianty rozwoju sytuacji, przy każdym wejściu stoją zakamuflowane auta, a w tym momencie inne samochody kierują się do wskazanego punktu. Marina podąża, nie przyspieszając kroku, do miejsca podanego w wiadomości i wychodzi z parku na aleję Menéndez Pelayo. Tak jak uprzedzono, przed nią zatrzymuje się uber. Ma przyciemnione szyby. Wsiada z tyłu, za kierownicą siedzi Dimas.

– Zlikwidowałaś Aurorę?

– Nie, nie udało mi się jej znaleźć. Pojechałam tam, gdzie niby miała być, i nikogo nie zastałam.

– To znaczy, że cię zdemaskowali.

– Wiem.

Marina ma przy sobie ten sam mikrofon, którego użył Zárate podczas turnieju pokerowego. Ostrzegła policjantów, że Dimas obsesyjnie dba o swoje bezpieczeństwo i wciąż się obawia, że ktoś go nagrywa. Guzik wydaje się bardzo sprytnym urządzeniem, ale na wszelki wypadek postanowili założyć jej jeszcze drugi aparacik lokalizacyjny, który będzie wysyłał im informację o jej położeniu.

– Jeśli nabierze podejrzeń, wyrzuci telefon. To powinno być coś, co nie wygląda na urządzenie – powiedziała rano Mariajo.

– Może być bransoletka? – zapytała Elena.

– Idealnie.

– Mam nadzieję, że jej nie stracę, lubię ją.

Mariajo i Buendía umieścili urządzenie w taniej bransoletce, którą miała na rękę inspektor. Nawet Marina nie wie, co się w niej kryje.

Dzięki mikrofonowi Elena może słyszeć, co mówi mężczyzna z ospowatą twarzą. Wcześniej, gdy miał meksykańską maskę wrestlera, jego głos był zdeformowany. Mówi jak dobrze wykształcony człowiek.

– Masz ogon?

– Nie, na pewno nie.

– Tracisz moje zaufanie, Marina... Spędziliśmy razem tyle lat, a teraz odnoszę wrażenie, że cię nie znam, że jesteś zupełnie inna, niż myślałem.

Uber mija szpital Niño Jesús i kieruje się dalej na południe w stronę plaza de Mariano de Cavia. O tej porze ruch nie jest zbyt duży. Pilnują ich trzy auta, a kolejne zaraz pojawi się u wyjścia alei Mediterráneo, żeby jechać przed nimi i uniemożliwić im zbyt szybkie posuwanie się do przodu. To furgonetka dostawcza z reklamą firmy cateringowej. Z tyłu jest dwóch uzbrojonych agentów.

– Przysięgam, że jestem z tobą, Dimas. Pojechałam do Aurory, myślałam, że jest w pewnym hostelu w Valsaín, ale nikogo tam nie znalazłam. Nie wiem, czy to była pułapka. Uciekłam.

Nagle, jakby wiedziony szóstym zmysłem, Dimas zaczyna uważnie się rozglądać. Skręca na rondo w kierunku pasażu Reina Cristina. Dociera do niego, że jest zablokowany – furgonetka z przodu, taksówka z boku, prywatne auto z tyłu. Nie ma którejś uciec.

– Suka! – rzuca przez zęby.

Wyjmuje pistolet spod gazety na siedzeniu obok siebie. Nie próbuje uciekać, tylko obraca się i strzela do Mariny. Na szczęście kierowca taksówki jadącej sąsiednim pasem zorientował się w porę i uderza w jego wóz z boku, dzięki czemu Dimas chybia.

Elena krzyczy w swoim punkcie obserwacyjnym:

– Chcę go żywego!

Uzbrojeni agenci całkowicie blokują auto Dimasa, który próbuje uciec, wjeżdżając w samochód po lewej, jednocześnie ostrzeliwuje się i zmusza agentów, by także odpowiedzieli mu ogniem. Strzelanina nie trwa nawet pół minuty. Przechodnie rozbiegają się w popłochu, słychać krzyki, jakaś starsza kobieta upada na ziemię. To do niej policjanci podbiegają w pierwszej kolejności.

– Jest pani ranna?

– Nie, tylko się przestraszyłam.

Chesca, która jechała za taksówką, wyskakuje z auta i biegnie, żeby sprawdzić stan Dimasa.

– Nie żyje.

Za nią nadbiega Zárate.

Elena, na swoim stanowisku obserwacyjnym, ma łzy w oczach.

– Nie... Mówiłam wam, że on nie może zginąć.

– Przykro mi, chciał nas pozabijać. Agenci musieli strzelać – tłumaczy się Zárate.

Mariajo przytula Elenę. Uświadamia sobie, że schwytywanie Dimasa żywcem było jej jedyną szansą na odnalezienie Lucasa.

Orduño nie kryje swojego głównego zmartwienia: szuka Mariny w aucie i znajduje ją przytomną. W środku wszystko zbryzgane jest krwią.

– To nic takiego, dostałam tylko w nogę, wszystko w porządku – uspokaja go ranna.

Coraz wyraźniej słychać sygnały karetek, niczym ścieżkę dźwiękową chaosu. Pierwsi sanitariusze zajmują się Mariną.

– Jadę z nią – mówi Orduño do Cheski i wsiada do karetki, nie czekając na odpowiedź.

Chesca patrzy na to oniemiała, niezdolna zareagować. Nie musi się obracać, by wiedzieć, że Zárate stoi za nią.

– Nadal coś do niej czuje – ubolewa. – Faceci... Nigdy was nie zrozumiałem.

Zárate serdecznie przygarnia ją ramieniem. Chesca mu się wrywa.

– Sprawdźmy, czy Dimas miał coś przy sobie. Spieprzyliśmy to, zabijając go, trzeba przecież znaleźć tego szefa, Ojca.

Rozdział 68

W drodze do domu Elena zatrzymuje się w Cher's. Potrzebuje kieliszka grappy i piosenki, tylko jednej. Nie chce z nikim rozmawiać, przyjmować zaproszeń nieznajomych, nie skusi jej żaden facet z terenówką.

– C'e'gente che ha avuto mille cose, tutto il bene, tutto il male del mondo. Io ho avuto solo te, e non ti perderò, e non ti lascerò, per cercare nuove avventure.

Są ludzie, którzy mieli tysiące rzeczy, wszystko, co najlepsze, wszystko, co najgorsze na tym świecie. Ja miałam tylko ciebie i nie stracę cię, nie zostawię, by szukać nowych przygód, śpiewa Elena. To, co miało być pieśnią zdesperowanej kochanki, staje się pieśnią o jej miłości do Lucasa. Którego, jak sądzi – teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – utraciła na zawsze.

Kieruje się w stronę domu, w górę Huertas, omija plaza de Santa Ana, zawsze pełną rozbawionych ludzi. Dociera do plaza del Ángel i przechodzi obok Café Central, niegdyś jednego z ulubionych miejsc Abła, jej byłego męża. Tego wieczora rozmawiali: Aurora czuje się dobrze, bardzo się zaprzyjaźniła z Gabriellą i oboje są zadowoleni, że mają ją pod swoim dachem, nie musi się spieszyć z zabieraniem jej, nawet nauczyła się już kilku słów po portugalsku...

Na rogu ulicy Cruz, przy plaza de Jacinto Benavente, spotyka jedną ze stałych bywalczyń. Często ją mija, wracając z karaoke, nawet pozdrawiają się skinieniem głowy. Być może ta niemłoda prostytutka darowałaaby sobie te uprzejmości, gdyby wiedziała, że Elena pracuje w policji. To mocno podstarzała kobieta, podobnie jak jej klienci – gdy któregoś traci, może być pewna, że umarł. Elena uważa, że to jeden z najbrzydszych placów w Madrycie, nie wie dlaczego, być może przez ten okropny biurowiec, w którym się mieści Centro

Gallego. Gdyby została prezydentem miasta, zaczęłaby od zburzenia tego maszkarona.

Na ulicy Bolsa stoi zwykle grupka żebraków. Czasem popijają piwo z litrowych butelek, niekiedy zonglują piłką, która wciąż spada im na ziemię, innym razem ograniczają się do prośby o monetę na kolejne piwo.

– Cześć, ślicznotko, masz może na zbyciu milion euro, żebym sobie kupił willę z basenem?

Rozśmiesza ją ten tekst, więc podaje mu banknot pięcioeurowy.

– Dzięki, ślicznotko, kiedy skołuję brakującą kwotę, będziesz pierwszą osobą, którą zaproszę na kąpiel. Weź bikini.

Idzie dalej, przechodzi przez plaza de la Provincia z pałacem Santa Cruz, o którym mówi się, że w średniowieczu służył jako madryckie więzienie. Teraz mieści się w nim Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wreszcie dociera na plaza Mayor, gdzie stoi jej dom. Spogląda na swoje okno i widzi, że nadal jest tam kamera, która przez tyle lat robiła zdjęcia placu, bo ona miała nadzieję, że zarejestruje twarz poznaczoną dziobami po ospie, twarz mężczyzny, który dziś zginął. Gdyby nie był jedyną osobą, która mogła jej powiedzieć, gdzie przebywa Lucas, jego śmierć by ją ucieszyła.

Zaraz po wejściu do domu Elena idzie na balkon ze skrzynką z narzędziami. To jedna z tych rzeczy, których Abel nigdy nie zabrał. Powoli demontuje aparat, co wynika raczej z przygnębienia niż braku manualnej sprawności. Trzymając kamerę w rękę, po raz ostatni spogląda przez wizjer. Na środku placu, w tym samym miejscu, gdzie osiem lat temu straciła z oczu swojego syna, stoi chłopak, nastolatek. Serce zaczyna jej bić szybciej, kiedy spogląda na niego już bez pośrednictwa aparatu. Rozpoznaje jego niską, muskularną sylwetkę. Czy to Lucas?

Stoi nieruchomo niczym człowiek posąg, jak zagubione dziecko, które nie widzi swoich rodziców. Elena głęboko nabiera powietrza, zamyka oczy pewna, że to halucynacja i kiedy znów je otworzy, wizja zniknie.

Ale on wciąż tam jest. To Lucas, który patrzy na nią i macha do niej ręką, tym samym gestem, jaki zawsze wykonywał, gdy wracał

z ojcem ze spaceru i widziała ich z daleka.

Elena zbiega po schodach. Dociera na plac, postać się nie rozmyła, nadal tam stoi. Podbiega do niego, obejmuje go.

– Cześć, mamó – mówi Lucas.

CZEŚĆ PIĄTA

Bezmiar

*Jestem pewna, że z każdej kropli,
z każdej kropli, która spadnie,
wyrośnie nowy kwiat.*

Jest pewna dziewczyna, która mu się podoba. Po raz pierwszy zobaczył ją, gdy chowała się w stajni, między dwiema belami słomy. Dalej szorował podłogę, jak gdyby nigdy nic, starając się, żeby woda z miednicy nie zamoczyła kąta, w którym się kryła.

Kilka dni później spotkał ją znowu w tym samym miejscu, z kosmykiem włosów w ustach. Chwilę przyglądał się temu dziwnemu nawykowi: najpierw przez moment bawiła się kosmykiem, okręcała go wokół palca, potem wyrywała go mocnym pociągnięciem, a zaraz potem wkładała sobie do ust i połykała.

– Dasz mi trochę? – zapytał.

Przestraszyła się, gdy zrozumiała, że ją nakrył, i schroniła się w swoim kącie z wrogą miną. To było wszystko.

Miała na imię Aurora. Lucas widywał ją czasami, ale Dimas nie zezwalał na kontakty z innymi mieszkańcami, jeśli nie liczyć jakichś przypadkowych spotkań. Tak było lepiej, ta dziewczyna mogła stać się jego przeciwniczką w walce lub czymś jeszcze gorszym.

Któregoś dnia zobaczył ją nago, obok miski z wodą, jak przeciągała gąbką po ciele. Poczł jakies niewygodne, nieznanne wyładowanie elektryczne. Od tamtej pory nauczył się spuszczać głowę, kiedy się na nią natykał w korytarzu lub kiedy wychodził z łazienki. Dimas ma rację, pomyślał, lepiej unikać osobistych relacji.

Dlatego nie podoba mu się, że Dimas wchodzi do jadalni i rzuca mu w twarz, niczego nie wyjaśniając:

– Twoja matka wciąż węży.

Lucas nie lubi, gdy ktoś wspomina jego matkę. Nauczył się żyć bez niej, wydarł ze swojej duszy wszystkie atrybuty człowieczeństwa. To jedyny sposób, by przeżyć to piekło.

– Powiedział nam o tym jeden ze współpracowników Sieci, który właśnie wyszedł z więzienia.

Lucas patrzy na niego w milczeniu. Przyzwyczał się nie zadawać pytań, woli poczekać, aż Dimas wyrzyga całą informację.

– Nagramy wideo i przemówisz na nim do swojej matki, żeby zobaczyła, że jesteś z nami. Nie sądzę, by chciała doprowadzić to do

końca, jeśli będzie wiedziała, że wówczas skończy również z tobą.

Lucas nie lubi udawać, zwracać się do swojej matki jak gdyby nigdy nic. Czuje lekką pokusę, by poprosić o pomoc, delikatny impuls, który grzęźnie w bagnie wściekłości, gniewu, nienawiści. Dimas przygotowuje kamerę. Dwóch zbirów przyprowadza dziewczynę, która krzyczy, płacze i wierzga. To Aurora. Lucas nie chce jej torturować. Znowu czuje jakieś wzdrygnięcie gdzieś w środku, mrowienie, od którego kręci mu się w głowie, robi mu się niedobrze, nie rozumie tych odczuć. Bo w jego życiu nie ma uczuć, nie może być.

Aurora płacze błagalnie i spogląda mu w oczy. Ale Lucas wie, że nie może pozwolić sobie na wątpliwości.

Wybiera najostrzejszy nóż.

Rozdział 69

Elena przygląda się, jak jej syn je, i jest przerażona. Bierze jedzenie rękami, przeżuwa z otwartymi ustami, ale to nie brak dobrych manier najbardziej przykuwa jej uwagę, lecz jego spojrzenie, całkiem puste, jak u rekinów na filmach przyrodniczych, które tak lubił w dzieciństwie.

– Skąd się tu wzięłeś?

– Uciekłem. Już kilka godzin temu, ale nie znam dobrze Madrytu. Nie chciałem pytać, ale wiedziałem, że w dzieciństwie mieszkałem przy tym placu. Często wspominałem ten plac przez te lata.

Aż do tej chwili Elena czuła emocje, ale nie czułość. Teraz tak, wyobraża sobie tamtego chłopca, który zniknął – nie tego nastolatka, który wrócił – jak wspomina swój dom, plac, sprzedawców znaczków. Chłopca, który zabija w walkach innych sobie podobnych, ale zarazem przywołuje w pamięci dzieciństwo, czas, kiedy jego życie wyglądało inaczej.

– Trudno ci było uciec?

– Zawsze mogłem to zrobić, ale zostawałem, czekałem na Dimasa. Dzisiaj Dimas nie przyszedł.

Elena nie spodziewała się, że to ona będzie musiała przekazać mu nowinę, i robi to pełna obaw, boi się jego reakcji.

– Dimas nie żyje.

Wydaje się, że wiadomość nie robi na Lucasie wrażenia. Je dalej jak gdyby nigdy nic. Dopiero kilka sekund później pyta:

– Ty go zabiłaś?

– Nie, nie ja. Chciał uciec przed policją i go zastrzelili.

– On nie strzelał?

– Strzelał.

Lucas z zadowoleniem kiwa głową.

– Zawsze to mówił: mogą cię zabić, ale musisz się bronić, zabrać ze sobą na tamten świat, ilu zdołasz. Dzięki temu przeżyłem.

Nadal nie widać po nim żadnych emocji, wkłada sobie kęsy jedzenia do ust i przeryka, czasem nawet nie gryząc.

– Nie martwisz się, że Dimas zginął? – niepokoje się Elena.

– Ludzie umierają. Jedni żyją, a inni umierają. My też umrzemy. To bez znaczenia. Daj mi jeszcze wody.

– Jest drugi szef Purpurowej Sieci.

– Ojciec – potwierdza Lucas. – Ma fajne psy: Pesta i Budę.

Uwagę Eleny zwraca fakt, że wypowiedział ich imiona w innej kolejności, prawie nikt by tak nie zrobił.

– Wiesz, kim on jest? Jak się naprawdę nazywa?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że jeśli on chce, zabiją cię bez walki. Pavel też nie żyje?

– Nie, jest aresztowany.

– To mój przyjaciel.

– Odgryzłeś mu palce.

Lucas wzrusza ramionami. Nawet nie odpowiada. Wstaje od stołu.

– Nie chcę więcej.

Siada na sofie i włącza telewizję, zmienia kanały, póki nie trafi na kreskówkę. Śmieje się tak samo jak w czasach, gdy był chłopcem, który jeszcze nie zniknął z tego mieszkania.

– Nie zapytałeś o tatę. – Mimo woli w pytaniu Eleny brzmi wyrzut.

Lucas spogląda na nią niepewnie, jakby szukając w głowie obrazu ojca.

– Zapomniałem o nim. Żyje?

Elena wyczuwa, że nie jest szczery, w jego zachowaniu dostrzega coś teatralnego. Niemożliwe, by pogrzebał wszystkie swoje uczucia.

– Tak, żyje. Teraz ma nową żonę. Już nie mieszka w Madrycie. Chcesz z nim porozmawiać?

– Nie. – Niczego nie wyjaśnia.

– On cię kocha.

Lucas dalej ogląda film animowany, śmiejąc się pod bezsilnym spojrzeniem matki, która nie wie, co zrobić, żeby z nią porozmawiał, żeby jej opowiedział, żeby wyjawiał, co myśli. Wreszcie chłopak ma dosyć i wyłącza telewizor.

– Chcę spać.

– Chodź, twój pokój wygląda tak, jak go zostawiłeś.

Prowadzi go do jego sypialni z dzieciństwa. On sunie przed siebie bez najmniejszych oznak wzruszenia. Wygląda jak zawodowiec szukający odpowiedniego miejsca na zamontowanie podsłuchu lub oceniający możliwe drogi ucieczki z więzienia. Elena bierze pluszowego królika, który leży na łóżku.

– To Pipo, pamiętasz?

Lucas nawet nie spogląda na zabawkę. Obrzuca wzrokiem pokój pełen wspomnień z dzieciństwa.

– Nie chcę tu spać.

Elena prowadzi go do pokoju gościnnego, do łóżka, na którym miała spać Aurora, zanim ostatecznie przyszła do jej sypialni.

– Tu będzie ci wygodniej.

Lucas zatrzymuje się w progu, jak gdyby wyczuwał w tym pokoju jakąś obcą energię. Elena ma wrażenie, że porusza nozdrzami w rytuale rozpoznawczym. Węszy. Jak gdyby wiedział, że zaoferowała wcześniej ten pokój innej osobie, z której zapachem już się zetknął. Komuś, kto wzbudził w nim uczucia, jakich wcześniej nie znał.

– Jonay jest sam. Chodźmy po niego.

– Jonay? – Elenie coś mówi to imię.

– Został w mieszkaniu, z którego uciekłem. Jeśli Dimas nie żyje, nikt po niego nie przyjdzie. Jonay nie zna Madrytu i nie ma tu nikogo. Nie chcę, żeby stało mu się coś złego.

Teraz Elena przypomina sobie, kim jest Jonay: to ten zawodnik z Kanarów, którego Lucas o mało nie zabił. Targa nią burza uczuć, to prawdziwy cud, że jakoś trzyma się na nogach, nie poddaje się, całkiem się nie rozsypuje, że nie wybucha płaczem ani nie rzuca się z pięściami na potwora, którego ma przed sobą. Lucas martwi się o Jonaya, a ona przyjmuje z wdzięcznością pierwszy przejaw ludzkich uczuć u syna.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Pewnie.

Kilka minut później wsiadają do czerwonej łady. Jest coś małpiego w sposobie, w jaki Lucas mości się na siedzeniu obok niej i zapina pas.

– Wywal tego rupiecia. Jest stary i brzydki.

Elena spogląda na niego w nadziei, że dostrzeże odświeżający ślad żartu, zawadiacki uśmiezek, złośliwy błysk w oku. Ale Lucas ogranicza się do wydawania wskazówek, by dotrzeć do Lavapiés, i każe matce zaparkować przed bramą budynku na ulicy De la Fe.

– To tutaj, na pierwszym piętrze.

Elena obawia się, co tam zastanie, boi się, że syn zastawił na nią pułapkę, i nie ośmiela się wejść. Bierze telefon i dzwoni do Záratego. Daje mu adres.

– Przyjedź, ale nie sam, weź patrol ze sobą. Możliwe, że znajdziemy tylko chłopca, ale uważaj.

– My nie wejdziemy? – pyta Lucas.

– Zaraz przyjedzie radiowóz.

– Nie ufasz mi. I bardzo słusznie.

– Nie, nie ufam – przyznaje Elena. – Poczekamy tutaj.

Z zaparkowanego auta bez słowa patrzą, jak przyjeżdża radiowóz z Záratem. Widzą policjantów, którzy wchodzą do budynku, by po kilku minutach pojawić się z Jonayem.

– Chciałbym się z nim przywitać – mówi Lucas.

Elena obraca się do niego.

– Naprawdę? Mało go nie zabiłeś.

– To mój najlepszy przyjaciel.

– Chcesz z nim porozmawiać?

– Nie. Chodźmy spać – mruczy Lucas, który nagle zmienił zdanie.

Jadą do domu. Zanim Elena się położy, dzwoni do Záratego.

– Przyjedź do mnie jutro rano przed pracą. Nie mów o tym nikomu. I każ przeszukać mieszkanie przy De la Fe co do milimetra. Należy do Purpurowej Sieci.

Rozdział 70

Orduño spędził noc w szpitalu, siedząc w fotelu obok łóżka Mariny. Przy drzwiach zmieniają się warty, żeby nie uciekła. On nie jest tam służbowo, lecz jako osoba towarzysząca rannej. Marina obudziła się i patrzy na niego, jak śpi w niewygodnej pozycji. Nic nie mówi, żeby go nie budzić, aż do chwili, gdy mężczyzna otwiera oczy.

– Dzień dobry.

– Cholera, ale niewygodne te fotele – skarży się policjant.

– Trzeba było pójść spać do domu.

– Chciałem się upewnić, że dobrze się czujesz, i sprawdzić, czy czegoś ci trzeba – mówi, ale wtedy uświadamia sobie, że brzmi to czule, a tego nie chce. – I żebyś nie mogła uciec.

– Wiem, że nie mam prawa o to prosić, ale wszystkie moje ubrania i kosmetyki są u ciebie w domu. Czy mógłbyś mi coś przynieść w torbie... Nie wiem, czy wolno.

– Nie martw się, przed południem ci to podrzucę.

Orduño zerka na zegarek w swojej komórce.

– Dopiero piąta rano, myślałem, że już później. Powinnaś się przespać.

– Zabiłabym za butelkę zimnej wody.

– Lepiej nie mów o zabijaniu.

– To tylko takie powiedzenie.

Mimo wszystko oboje się uśmiechają. On wstaje i sprawdza kajdanki, którymi nadgarstki Mariny są przykute do poręczy łóżka.

– Nie ucieknę, wczoraj dostałam postrzał w nogę. Myślisz, że mogę biegać, kulejąc? Wolę już zostać skazana, niż robić z siebie pośmiewisko.

Orduño wychodzi z pokoju, a policjant, który stoi na warcie, pokazuje mu, gdzie jest automat z napojami. Rodrigo wraca po kilku minutach z wodą, sokiem i paczką herbatników. Marina przyjmuje go na pozór radośnie.

– Co za uczta.

– W automacie były jeszcze chipsy, ale uznałem, że na to jest za wcześnie.

– Herbatniki będą lepsze.

Oboje jedzą i piją w milczeniu. Mają ochotę porozmawiać, ale brak im odwagi, czują, że każde zdanie może być początkiem pożegnania. Wreszcie Marina postanawia rozładować napięcie.

– Nienawidzisz mnie?

– Nie – odpowiada on po prostu. – Od kilku dni próbuję, ale mi nie wychodzi. Pomyślisz, że jestem głupi, ale narobiłem sobie nadziei. Wyobraziłem sobie życie z tobą, w którym oboje byliśmy bardzo szczęśliwi.

– Jak w *Waterloo Sunset* – mruczy ona, przypominając sobie piosenkę Kinksów, która ich zbliżyła, ale po minie Orduña widzi, że nie jest gotów na nostalgiczne wspominki. – Pewnie ty też pomyślisz, że jestem głupia, ale ja również sobie to wyobraziłam. Nawet pomyślałam, że moglibyśmy mieć dziecko.

– Sądzę raczej, że jesteś hipokrytką – ucina on twardo.

– Masz rację. Trudno potraktować mnie inaczej.

Znow zapada między nimi milczenie, biorą jeszcze po herbatniku i pociągają po łyku ze swoich butelek z wodą, starając się na siebie nie patrzeć.

– Prawdopodobnie zostaniesz dziś przeniesiona do ambulatorium w zakładzie karnym.

– Boję się tego. Purpurowa Sieć wszędzie ma swoje macki.

– Będziesz pod ochroną.

– Zawsze? Nie da się nikogo chronić przez całe życie. Dotrze do nich wiadomość, że przyczyniłam się do śmierci Dimasa, ludzie Purpurowej Sieci przejdą do działania, stanę się trędowatą na forach Deep Webu, gdzie mówi się na te tematy. Któregoś dnia przyjdą po mnie, pod prysznicem, w jadalni... Nigdy nie byłam w więzieniu, tylko z filmów wiem, jak tam jest.

– Jest zupełnie inaczej. Więźniowie mają lepsze życie niż dzieci, które zmuszaliście do walki.

– Zobaczymy się jeszcze?

Orduño zwleka z odpowiedzią, jak gdyby wcześniej się nad tym nie zastanawiał, jak gdyby zbierał się na odwagę, by wypowiedzieć te słowa.

– Nie, za kilka godzin pójde do brygady i zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc kolegom w namierzeniu szefa Sieci. Kiedy nam się to uda, a możesz być pewna, że tak będzie, zdecyduję, czy poprosić o przeniesienie, czy dalej z nimi pracować. Albo rzucę policję i udam się w podróż dookoła świata na rowerze górskim, sam nie wiem.

– Chętnie pojechałabym z tobą.

– No tak, ale będziesz siedziała w więzieniu. Chociaż pewnie któregoś dnia wyjdiesz.

– Nie, nigdy nie wyjdę, zabiją mnie. Zresztą nawet gdybym wyszła, byłabym już tak stara, że nawet nie chciałbyś na mnie spojrzeć. Będę musiała przez całe życie wspominać, jak kiedyś zakochałam się podczas lotu na Kanary. Zawsze jak będziesz w samolocie, pomyśl o mnie.

Marina uśmiecha się i Orduñowi nie pozostaje nic lepszego, niż pójść w jej ślady.

– Nie lubię samolotów, wolę AVE.

Herbatniki już się skończyły. Orduño dochodzi do wniosku, że przyszła pora zebrać rzeczy i pójść sobie, pożegnać się z Mariną na zawsze. Szuka jednak pretekstu, żeby zostać z nią jeszcze przez chwilę.

– Powiedz mi, co wiesz o Ojcu.

– Nie okłamałam was, nigdy nie widziałam go bez maski. Wiem tylko, że to ktoś wpływowy, że to on tym wszystkim rządzi i że jest sadystą, chociaż woli oglądać tortury i walki na ekranie, a nie osobiście.

– Kiedy mówisz, że to ktoś wpływowy, co masz na myśli? To jakiś polityk?

– Możliwe, ale nie wiem. Wiem tylko, że w razie jakiegoś większego problemu Dimas dzwonił do niego, a on to załatwiał.

– Skąd się znali z Dimasem?

– Znali się od zawsze, chyba przez całe życie. Może z dzieciństwa.

– A Dimas? Co możesz mi o nim powiedzieć?

Marina jest zawstydzona, ale nie chce niczego ukrywać.

– Przez wiele lat sądziłam, że to najwspanialszy facet pod słońcem, prawdziwy bóg.

– A morderstwa, tortury?

– Nie zrozumiesz tego – ciągnie – teraz nawet ja sama nie rozumiem, ale wydawało mi się to normalne. Lucas był jedynym chłopcem, którego polubiłam, może dlatego, że byłam przy tym, jak Dimas go porwał, i zajmowałam się nim. Nawet chciałam mu pomóc w ucieczce.

– I co się stało?

– Pamiętasz moje blizny na nadgarstkach? Myślałeś, że próbowałam się ciąć, wszyscy tak myślą, ale to on mi je zrobił.

Marina opowiada o dniu, kiedy przygotowała wszystko do ucieczki Lucasa, o tym, jak dała mu klucze, a on użył ich przeciwko niej, by ukarać ją za to, że zdradziła Dimasa.

– Ale potem nic mu nie powiedział. Nawet byłam mu wdzięczna. Gdyby Dimas się dowiedział, zabiłby mnie, może poddał torturom, żeby wszyscy widzieli, co czeka tych, którzy go zdradzą.

Przez okno wpada do pokoju światło. Teraz rzeczywiście przyszła już pora się pożegnać.

– Muszę iść do pracy.

– Dziękuję, że tu ze mną siedziałeś.

Orduño zbiera opakowania po herbatnikach, puste kartoniki po soku, butelki po wodzie.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie. Żebyś na siebie uważał.

Podchodzi do niej, składa niewinny pocałunek na jej policzku.

– Ty też. Uważaj na siebie. Poproszę, żeby dostarczyli ci coś do ubrania, a kiedy będzie wiadomo, gdzie cię umieszczą, wyślę ci resztę rzeczy.

– Dziękuję.

Wychodząc, Orduño żegna się ze strażnikiem. W windzie nie potrafi powstrzymać łez. Dźwig zatrzymuje się kilka pięter niżej i wsiada pielęgniarka. Nic nie mówi, poza krótkim „Przykro mi” wypowiedzianym półgłosem. Są w szpitalu, wiele osób będzie dziś zjeżdżało tą windą po otrzymaniu wiadomości o śmierci kogoś bliskiego, o nieuleczalnej chorobie...

Rozdział 71

Elena przez całą noc była niespokojna, przestraszona. Boi się, panicznie wprost boi się własnego syna. Zamknęła się w pokoju na klucz, a na szafce nocnej położyła pistolet, jak gdyby rzeczywiście miała odwagę bronić się przed Lucasem z jego pomocą. Kilka razy wstawiała i podchodziła pod drzwi pokoju, w którym spał. A spał jak zabity. Oddychał spokojnie, jak ktoś, kto nie ma w życiu powodu do obaw. Od ośmiu lat tęskniła za tym, żeby znów mieć syna w domu. Nigdy się nie spodziewała, że w jej sercu będzie buzować ta dziwna mieszanka strachu, czułości, miłości i nienawiści. Nie wie, jak sobie z tym radzić, jak zdefiniować to, co czuje. A może nie ma odwagi przyznać, że z miłości pozostały już jedynie szczątki.

Wcześniej rano, tak jak prosiła, przyjeżdża Zárate.

– Co się dzieje? Musisz mi wyjaśnić tę wczorajszą akcję w mieszkaniu w Lavapiés.

– Jak się czuje ten chłopak, którego stamtąd zgarnęliście?

– Jest bardzo wystraszony.

– To chłopiec, który walczył w hacjendzie z moim synem, ten, który ledwo uszedł z życiem.

– To tylko dziecko, dzikie, ale dziecko.

Zárate już go zidentyfikował. Nazywa się Jonay Santos, ma szesnaście lat i pochodzi z Santa Cruz de Tenerife, uciekł z domu sześć miesięcy temu.

– Patologiczna rodzina?

– Nie, całkiem normalna. Jego ojciec jest mechanikiem, a matka kucharką w domu spokojnej starości. Ma dziewiętnastoletnią siostrę, która studiuje na uniwersytecie. Rodzina jak wiele innych. Już ich zawiadomiliśmy.

– Rozmawiałeś z chłopakiem?

– Niewiele mówi: że uciekł z domu, by zobaczyć trochę świata, ale trafił do hacjendy. Walka, którą widziałeś, była jego trzecią.

– To znaczy, że zabił dwóch innych chłopców takich jak on. Boże jedyny, aż się boję, co jeszcze odkryjemy. Nie mogę pojąć, że nie ma setek zgłoszeń o zaginięciu wszystkich tych chłopców.

– Niewielu z nich było Hiszpanami. Przeważali Marokańczycy, Subsaharyjczycy, z tych, którzy przyплыли na pontonach. Poza tym garstka pochodziła z Europy Wschodniej, paru z Ameryki Łacińskiej...

– Jak trafił do hacjendy?

– Dimas zaproponował mu pieniądze. Niewiele więcej dodał. Nie poznał Ojca i mówi, że nie wie, dlaczego przywieźli go z Lucasem do Madrytu. Elena, nie powiedziałaś mi jeszcze, po co mnie tu wezwałaś ani skąd wiedziałaś, że Jonay jest w tamtym mieszkaniu.

Elena zwleka z odpowiedzią.

– Sprawdzają je?

– Tak, Chesca i Orduño są na miejscu co najmniej od godziny. Zadzwoń, jeśli znajdą coś istotnego.

– Chodź ze mną.

Elena prowadzi Záratego do pokoju, w którym jest Lucas. Uchyła drzwi. Nadal tam śpi obojętny na wszystko, snem głębokim i rozkosznym, snem człowieka, który ma spokojne sumienie.

– To mój syn.

Wracają do kuchni. Zárate parzy kawę dla nich obojga, a Elena opowiada mu w tym czasie całą historię.

– Zjawił się wczoraj w nocy, stanął na środku placu i pomachał mi stamtąd. Zbiegłam na dół. To straszne, nigdy nie widziałam tak pustego spojrzenia, kogoś tak wypranego z uczuć.

– Nie powinno cię to dziwić, jego życie na pewno nie było łatwe. Wiedziałaś, w jakim będzie stanie, jeśli go znajdziesz.

– Powiedział, że zapomniał o ojcu. Możesz w to uwierzyć?

– Musisz się nastawić na wiele złych wiadomości od niego.

Elena kiwa głową. Dostaje złe wiadomości, od kiedy przytuliła go na środku placu.

– To on mi powiedział, że Jonay został sam w mieszkaniu, i zaprowadził mnie na ulicę De la Fe.

– Co zrobisz?

– Nie mam pojęcia, dlatego do ciebie zadzwoniłam. Powinnam go umieścić w ośrodku dla nieletnich.

– Tak by było najrozsądniej.

– Ale jestem jego matką, odzyskałam go po prawie dziewięciu latach. Już wystarczająco długo siedział w zamknięciu.

– Nie oszukuj się, Elena. Nie odzyskałaś swojego syna, odzyskałaś kogoś, kto nazywa się tak jak on i jest do niego podobny. Nic ponadto. Upłynie jeszcze dużo czasu, a on będzie musiał przejść przez gabinety wielu psychologów, zakładając, że dopisze mu szczęście i to się uda, zanim znów stanie się synem, którego utraciłaś. A jeśli zostawisz go tutaj i pójdziesz do pracy, możliwe, że już nigdy więcej go nie zobaczysz.

– Myślałam, żeby nie iść dziś do pracy.

– I siedzieć tu z nim zamknięta? Pozwolisz, żeby ten człowiek, Ojciec, znów to wszystko zorganizował i żebyśmy za kilka lat odkryli kolejną taką hacjendę, w której inni chłopcy będą przeżywać to samo, przez co przeszedł Lucas?

– Masz rację, ale nie wiem, co powinnam zrobić.

– Jeżeli nie chcesz zostawić go tutaj skutego, to nie wiem.

– To by było jeszcze gorsze niż umieszczenie go w ośrodku.

Nie zauważyli, że Lucas wstał i przysłuchuje się rozmowie, stojąc w drzwiach kuchni.

– Możesz mnie skuć, nieraz tak zostawałem. Czasami całymi tygodniami.

Lucas siada obok matki. Nie mówiąc nic więcej, bierze rękami pół pizzy, która została z kolacji, i zaczyna jeść.

– To będą tylko dwie lub trzy godziny – zapewnia Elena.

– Przed telewizorem, żebym mógł sobie oglądać kreskówki.

Zárate przykuwa Lucasa do ramy łóżka. Zostawiają mu pod ręką wszystko, czego może potrzebować, chociaż jemu zależy tylko na dostępie do pilota. Przed wyjściem Elena znajduje mu kanał, który lubił w dzieciństwie – Disney Channel.

Potem jadą do biura brygady ładą inspektor.

– Popełniasz błąd, on potrzebuje pomocy.

– Wiem. I będzie ją miał. Chcę tylko spędzić z nim jeden dzień, najwyżej dwa... Chcę spróbować, odnaleźć mojego syna, dojrzeć

w jego oczach chłopca, którym był kiedyś.

Docierają do biura. Chesca i Orduño jeszcze nie wrócili z mieszkania przy ulicy De la Fe, ale Mariajo ma dla nich nowiny.

– Odkryłam prawdziwe nazwisko Dimasa. Nazywa się Antonio Castro Cervantes i urodził się, cóż za niespodzianka, w Coto Serrano, gdzie jest hacjenda.

Rozdział 72

Orduño i Chesca nie mają wielkich nadziei, że odkryją coś istotnego w tym, co znaleźli w mieszkaniu w Lavapiés.

– Jedynie odciski palców. Było ich dużo, różnych osób. Buendía się tym zajął, może coś z tego wyciągniemy.

– Nie sędzę, żeby szef Sieci, jeżeli rzeczywiście jest tak potężny, często wpadał do tego mieszkania – powątpiewa Chesca. – To był chlew.

Przerywają rozmowę, bo do pokoju wchodzi w pośpiechu Mariajo z miną, jakby przynosiła ważnego newsa.

– Właśnie odkryłam coś, czego się nie spodziewałam. Antonio Castro Cervantes, czyli Dimas, pracował w Ośrodku dla Nieletnich w San Lorenzo de El Escorial.

– Tym samym, gdzie były Aisha i Aurora?

– Dokładnie tak, był tam strażnikiem. Ale zanim one tam trafiły. Nie przebywali tam jednocześnie, nie mógł ich poznać.

– Przypadek? – zastanawia się Orduño.

– Nie sędzę...

– Przypomnijcie sobie Ignacia Villacampę – podsuwa Elena. – Przez chwilę go podejrzewaliśmy. Może się znali.

– Tak, ale oni krótko byli tam razem. Dimas opuścił ośrodek, kiedy Villacampa był tam dyrektorem zaledwie od dwóch miesięcy – potwierdza Mariajo po sprawdzeniu dat.

– Wobec tego Ignacio Villacampa mógłby być Ojcem. To człowiek wpływowy i ma związki zarówno z Dimasem, jak i z dwiema spośród ofiar. – Zárate ryzykuje hipotezę.

Elena zastanawia się nad tym przez chwilę, ale od razu uświadamia sobie, że coś tu się nie zgadza.

– Aurora widziała twarz Ojca. Gdyby to był Villacampa, powiedziałałaby nam o tym, ona go zna.

– Albo i nie – uściśla Buendía. – Czasem ofiary boją się tak bardzo, że nie mają odwagi wskazać swojego oprawcy.

Elena się zamyśla.

– Nic nie tracimy na rozmowie z nim – sugeruje Orduño.

– To nie będzie takie łatwe – mówi Buendía.

– Dlaczego? Nie ma czasu do stracenia.

– Od razu widać, że nie oglądacie wiadomości. Dzisiaj ogłoszono wyrok w sprawie Ignacia Villacampy o korupcję. Przed jego domem z pewnością kłębi się tłum dziennikarzy i operatorów.

Buendía miał rację. Elena i Zárate muszą się przebić przez liczną grupę dziennikarzy czekających, aż polityk wyjdzie z domu po ogłoszeniu wyroku sądu, który oczyścił go ze wszystkich zarzutów. Mieszka w centrum dzielnicy Chamberí, przy ulicy Zurbano, w jednym z typowych dla tej okolicy okazałych budynków. Elena zna doskonale ten rejon – w dzieciństwie mieszkała ledwie dwie bramy dalej, w życiu, którego już niemal nie pamięta. Kiedy wreszcie udaje im się dostać do mieszkania Villacampy, zastają go przy toaście z rodziną i współpracownikami.

– Inspektor Blanco! Co za niespodzianka.

– Gratuluję pomyślnego wyroku.

– Jestem niewinny, sąd musiał oczyścić mnie z zarzutów. Można wiedzieć, co panią do mnie sprowadza?

– Wolałabym przejść do gabinetu.

Gdy już tam są, inspektor pokazuje mu zdjęcie Dimasa.

– Zna pan go?

Villacampa uważnie przygląda się fotografii przez kilka sekund.

– Mam wrażenie, że gdzieś już widziałem tę twarz, ale nie jestem pewien. Tak, powiedziałbym, że gdzieś go widziałem, ale nie potrafię sprecyzować gdzie.

– To Antonio Castro Cervantes, choć wiele osób mówiło na niego Dimas. Był strażnikiem w Ośrodku dla Nieletnich w San Lorenzo.

Villacampa znów przygląda się fotografii.

– Możliwe, ale jak mówiłem, nie jestem pewien. Może to był jeden z tych, którzy odeszli wkrótce po objęciu przeze mnie stanowiska?

– Tak, dwa miesiące później.

– W takim razie rzeczywiście, poznałem go, ale nie pamiętam. Dlaczego o niego pytacie?

– To on zabił Aishę Bassir.

Villacampa przyjmuje wiadomość ze zdumieniem.

– Jeśli odszedł wkrótce po moim przybyciu, nie poznał Aishy w ośrodku. W międzyczasie minęło przynajmniej pięć lub sześć lat. Może to zwykły przypadek.

– Właśnie o to chcieliśmy pana zapytać.

Villacampa zwraca zdjęcie z obojętnym wyrazem twarzy.

– Nie jestem w stanie pani pomóc. Nie mam najmniejszego pojęcia, jaki związek może zachodzić między strażnikiem a śmiercią dziewczyny, która przebywała w tym samym ośrodku, ale jedenaście lat później, więc nie mógł tam jej poznać.

– Co pan robił w ostatni piątek?

Elena pyta o dzień walki. Wie, że tamtego wieczora Ojciec był w hacjendzie. Trudno przeoczyć zaskoczenie, które maluje się na twarzy Villacampy.

– Czy to znaczy, że jestem o coś podejrzany, pani inspektor?

– To znaczy, że chcę się dowiedzieć, co robił pan w zeszły piątek.

– Ktoś tu najwyraźniej chce się wpędzić w kłopoty – ironizuje.

Cały czas z uśmiechem na twarzy Villacampa bierze z biurka terminarz. Otwiera go, przerzuca kilka kartek.

– Rano miałem spotkanie z moimi adwokatami, żeby omówić wyrok, który dziś ogłoszono. O drugiej zjadłem obiad w restauracji Muñagorri przy ulicy Padilla z Franciskiem Salasem, deputowanym z mojej grupy parlamentarnej, możecie zadzwonić do jego sekretarki, na pewno to potwierdzi. O czwartej po południu było zebranie kierownictwa partii. Myślałem, że potrwa do szóstej, ale akurat tamtego dnia pojawiło się oskarżenie, że podczas przetargu Ministerstwo Robót Publicznych potraktowało preferencyjnie firmę budowlaną powiązaną z ministrem, więc przeciągnęło się do wpół do dziesiątej. Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję, był pan bardzo uprzejmy.

– Proszę więc poprzestać na tym wrażeniu. Jeśli dalej będzie mnie pani nachodzić, nie będę już taki uprzejmy – ostrzega Villacampa.

Przed wyjściem z budynku, jeszcze w windzie, Elena dzwoni do Cheski i dyktuje jej, co robił w piątek polityk.

– Chcę, żebyś potwierdziła każdy punkt.

Rozdział 73

Zanim wrócą na plaza Mayor, do mieszkania inspektor, Zárate z Eleną zachodzą do baru przy ulicy Postas, nie tyle po to, żeby się czegoś napić, raczej dlatego, żeby zdecydować, jakie powinny być ich kolejne posunięcia.

– Co zrobisz z Lucasem? Nie możesz go ciągle trzymać przykutego do łóżka.

– Sądzisz, że nie myślę o nim przez cały czas? Jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy, to zawieźć go do jego ojca, do Urueni, ale nawet nie wiem, co powie Abel, kiedy się dowie, że go znalazłam. Poza tym jest tam już Aurora.

– Ona też nie może tam zostać na zawsze.

Zárate wie, że Elena woli nie ruszać stamtąd dziewczyny, dopóki nie schwytają Ojca. Nie byłoby to bezpieczne, więc nie chce zmuszać jej do zmiany decyzji. Widać wyraźnie, że jest ciągle zbyt wiele delikatnych punktów, a rozwiązania nie pojawią się same.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach z turnieju Kortabarrii. – Zárate zmienia temat.

– Mariajo mówiła mi, że przelali nam z powrotem sto pięćdziesiąt tysięcy euro na konto, które stworzyliśmy w tym celu. Odzyskałeś nawet prowizję.

– Właściwie zostało mi jeszcze dziesięć tysięcy w gotówce i mam je w domu. To znaczy prawie, brakuje sześciu tysięcy, które musiałem wydać.

– Na co? – dziwi się Elena.

– Na Orduña.

Zárate opowiada jej, co się wydarzyło tamtego ranka, kiedy ona pojechała do Cañada Real, a potem wywieźli ją do Coto Serrano: telefon z żądaniem pieniędzy, stan, w jakim znalazł Orduña.

– On nie wie, że to twoje pieniądze, sądzi, że ma dług u mnie i wiele razy mi przysięgał, że to zwróci.

– Nie mów mu, że to moja kasa. Wolę, żeby myślał, że należała do ciebie. Kiedy to się skończy, uporządkujemy tę sprawę. I powiedz mu, żeby nie szalał, nie ma pośpiechu z oddawaniem.

Telefon przerywa ich rozmowę: to Chesca dzwoni, aby powiedzieć, że sprawdziła alibi Villacampy.

– Do czwartej po południu wszystko się zgadza, ale począwszy od tego momentu, skłamał. Nie było go na zebraniu zarządu partii.

– Jesteś pewna?

– Potwierdziła to pracownica partii. Villacampa nie cieszy się sympatią pośród sekretarek, chyba ma niespokojne ręce, lubi je obłapiać.

– Dzięki, Chesca, dobra robota.

Elena kończy rozmowę i od razu wie, co powinna zrobić.

– Zárate, Villacampa nas okłamał. Miał czas po obiedzie, mógł pojechać do Coto Serrano. Chcę cię prosić, żebyś został z moim synem. Ja porozmawiam z Renterem. Poproszę go, żeby załatwił nam zgodę na rewizję u Villacampy.

– Co spodziewasz się tam znaleźć?

– Cokolwiek, począwszy od poszlak, kim jest Ojciec, aż po purpurowy pierścień.

– Uważaj, Elena, lepiej nie zadzierać z możnymi tego świata, jeżeli nie masz pewności, że wygrasz. Jeśli się pomylisz, możemy stracić wszystko, co osiągnęliśmy.

– Wiem, co robię.

Wybuchy śmiechu Lucasa oglądającego kreskówki w telewizji słyhać już od drzwi wejściowych. Zárate i Elena kupili w supermarkecie coś do jedzenia, żeby niczego mu nie brakowało, a także trochę ubrań, by mógł się przebrać.

– Nudziłeś się?

– Nie. Nie oglądałem telewizji, od kiedy opuściłem ten dom. Jest super.

– Zostaniesz na chwilę sam z Záratem.

– Jesteś moją opiekunką? – pyta Lucas.

– Zostanę tylko pod warunkiem, że weźmiesz prysznic i się przebierzesz. Wali od ciebie na maksa – próbuje zażartować

policjant, żeby zjednać sobie chłopaka.

W czasie, gdy Lucas się kąpie, Elena żegna się z Záratem i dziękuje mu za pomoc.

– Uważaj z nim, nie ufaj mu. Widziałam, jak zabijał innego chłopaka własnymi rękami.

– Będę uważał, nie martw się.

– Postaram się załatwić to jak najszybciej.

Elena wchodzi do gabinetu Rentera – komisarz już na nią czeka.

– Oszalałaś? Poszłaś do domu Villacampy? Co ci o nim mówiłem? Że to najlepszy człowiek, jakiego w życiu poznałaś.

– Rentero, wiem, co robię.

– Nie, nie masz bladego pojęcia, pogubiłaś się w tym dochodzeniu. Będę musiał dać sprawę komu innemu.

– Chcę prosić o nakaz rewizji w domu Ignacia Villacampy.

– Elena, potrzebujesz urlopu. Zrób sobie wycieczkę na Karaiby. Albo do Włoch, tam opijesz się grappy do przesytu, aż mózg ci się rozpuści, ale przestań robić kretynstwa.

– Rentero, sądzę, że Villacampa należy do Purpurowej Sieci.

Komisarz łapie się rękoma za głowę i myśli, że już dawno temu należało wymienić inspektor Blanco na kogoś innego. Nigdy nie powinien był pozwolić, żeby wróciła do BAC po porwaniu jej syna.

– Dlaczego tak myślisz? – przyjmuje tę strategię, licząc na to, że Elena sama się zorientuje, że jej pomysł to absurd.

– Dimas, człowiek, który zginął we wczorajszej operacji, pracował w Ośrodku dla Nieletnich w San Lorenzo. – Elena próbuje uporządkować informacje. – To on zabił tę Marokankę Aiszę Bassir.

– I? Przecież to jeszcze nic nie znaczy.

– Jest tego więcej. Przede wszystkim podał nam fałszywe alibi na piątek. Powiedział, że był na zebraniu zarządu partii, a to nieprawda.

– A gdzie był twoim zdaniem?

– W hacjendzie La Travesera, w Coto Serrano, żeby obejrzeć walkę na śmierć i życie pomiędzy chłopcami.

– Jezus Maria, Elena, chyba zwariowałaś!

– Jestem coraz bliżej wyjaśnienia tej sprawy. Zaufaj mi.

– Nie, nie zaufam ci. Zapomnij o Ignaciu Villacampie. Nie będę ci tego więcej powtarzał.

Elena wychodzi z jego gabinetu, sapiąc ze złości. Żałuje teraz, gdy już jest za późno, że była tak naiwna, by myśleć, że Rentero stanie po jej stronie. Nie wydał mu się wystarczający ogromny zbieg okoliczności, że Dimas pracował w ośrodku dla młodzieży, którym kierował Villacampa. Ale nie odpuści. Przedstawi komisarzowi więcej dowodów. Na srebrnej tacy, jeśli to konieczne.

Rozdział 74

Zárate przygląda się Lucasowi, gdy ten się zastanawia nad kolejnym ruchem na szachownicy. Jego matka ma rację, gdy mówi, że jego spojrzenie jest puste, przypomina oczy rekinów z filmów przyrodniczych, nie ma w nim duszy. Ku jego zaskoczeniu chłopak dobrze gra w szachy, agresywnie, gdy trzeba, a w obronie jest wyważony i ostrożny.

– Kto cię nauczył grać?

– Kobieta, która mnie pilnowała, gdy przyjechałem do hacjendy, Marina.

– Dobrze cię traktowała?

– Tak. Jest aresztowana? Zabiliście ją?

– Aresztowana. Interesuje cię, co się z nią dzieje?

– Niezbyt. Bardzo mało z nią grałem. Potem zabrali mi szachownicę i figury, od lat już nie grałem.

– Radzisz sobie doskonale.

– Rozgrywam partie w głowie. Czasem czarnymi, a czasem białymi.

Grają dalej, niemal bez słowa. Wreszcie Zárate zbija Lucasowi gońca, czego chłopak się nie spodziewał – chwila nieuwagi. Widać, że go to rozzłościło, chociaż próbuje to ukryć i gra dalej.

– Kręcisz z moją matką?

Zárate jest zaskoczony, nie tylko pytaniem, także intencją, która mu przyświeca. Chodziło o to, żeby go wyprowadzić z równowagi. Lucas traktuje partię szachów tak samo jak walkę w ośmiokątnej klatce w La Travesera. Trzeba wygrać, w przeciwnym razie zostaniesz wyeliminowany.

– Nie kręcę z twoją matką, ale tak czy inaczej, to nie twoja sprawa.

– A może właśnie tak, to moja matka.

Grają dalej i Zárate specjalnie popełnia błąd. Poświęca gońca, znów mają równe szanse. Gdy powraca równowaga, Lucas się

rozluźnia i skupia na grze.

Elena żałuje, że nie słuchała Mar wystarczająco uważnie. Ta kobieta wiedziała od samego początku, że Ignacio Villacampa ma coś na sumieniu i że to przez niego zniknęła jej córka. Ale jak wziąć na poważnie bełkot narkomanki, której wszystko się miesza i tylko czasem ma krótkie przebłyski przytomności? Powinna lepiej sprawdzić jej zeznania. Inspektor wie z doświadczenia, że przy odrobinie cierpliwości od szaleńców i dzieci można zdobyć wiele informacji. Gdyby poświęciła jej jedno popołudnie, wzięła ją na spacer, gdyby poszły na lody lub obejrzeć zachód słońca, wspomnienia sączyłyby się niczym krople przez mały otworek, a ona miałaby teraz więcej amunicji przeciwko politykowi. Zadzwoiła do szpitala, żeby zapytać, jak czuje się chora. Nadal jest zaintubowana, nie obudziła się, nie wiedzą, czy kiedykolwiek to nastąpi. Jest już za późno, żeby spędzić z nią kilka godzin, możliwe, że przedawkowanie zatarło jej wspomnienia. Może tak byłoby dla niej najlepiej, myśli Elena.

Przychodzi jej do głowy inny sposób na dotarcie do wersji Mar. Kiedy rzuciła jajkiem w twarz Villacampy, została zatrzymana i spędziła noc w areszcie, na komisariacie w Carabanchel. Powinni tam przechowywać kopię oświadczenia, które wówczas złożyła. W tamtym nerwowym momencie, w chwili ekscytacji tym, co zrobiła, Mar bredziła więcej niż zwykle. Ale jej umysł był otwarty na oścież, a słowa wypływały wartką strugą. Elena z pewnością zdoła oddzielić ziarna od plew, bełkot od uzasadnionych oskarżeń czy podejrzeń, i znaleźć w tych zeznaniach wiodący trop.

Wchodzi szybko, rutynowym ruchem pokazuje odznakę i kieruje się wprost do funkcjonariusza przy wejściu. Prosi o zapis przesłuchania Mar Sepúlvedy. Wyrzuca z siebie inne dane, datę zatrzymania, pomoc prawną, jaką otrzymała aresztowana, dzień, w którym ją wypuszczono... Ale policjant nie potrzebuje tych informacji.

- Te dokumenty są zastrzeżone, pani inspektor - mówi.
- Co to znaczy?
- Że nie można ich udostępniać.

- Dlaczego?
- Tego nie wiem, ale dostaliśmy pismo w tej sprawie.
- Kiedy je dostaliście?
- Godzinę temu.

Elena nie może uwierzyć, jak daleko sięga gorliwość Rentera.

Wychodzi rozsierdzona do granic. W drzwiach natyka się na Costę, dawnego kolegę Záratego z komisariatu.

- Pan Costa, prawda? Pamięta mnie pan?
- Pewnie, inspektor Blanco. Jest pani słynna.
- Odmawiają mi dostępu do zeznań, które przyjęto tu od pewnej zatrzymanej.
- A to czemu? Od kiedy to nie pomagamy sobie wzajemnie? Proszę ze mną.

Costa prowadzi ją do swojego malutkiego gabinetu, mikroskopijnej kłitki ze starym komputerem, który potrzebuje na rozruch ponad pięciu minut. Jego bojowy nastrój gaśnie, w miarę jak czyta pismo, które nadeszło godzinę wcześniej, pełno w nim ostrzeżeń drukowanymi literami.

- Nic nie mogę zrobić, pani inspektor. Rozkaz przyszedł z samej góry, z Komendy Głównej.
- Wiem, skąd przyszedł ten rozkaz – mruczy pod nosem, myśląc o Renterze. – Chcę tylko wiedzieć, co tamtego dnia powiedziała Mar Sepúlveda.

- Niestety nie mogę pani pomóc. Przykro mi.
- Naprawdę dobrzy z was tutaj koledzy, Costa. Jestem wzruszona.
- Jest pewien sposób, żeby się dowiedzieć, co powiedziała Mar...

Elena odkłada na bok zły humor i sarkazm. Spogląda na Costę z zainteresowaniem. Cieszy się, że się do niej nie uprzedził pomimo jej agresywnych manier.

- Z tego, co wiem, aresztowanej towarzyszył adwokat.

Elenie wzrok się rozjaśnia.

- Adwokaci przechowują kopię zeznań w siedzibie policji.
- Dziękuję panu, Costa – mówi Elena, wychodząc z komisariatu. Zanim dotrze na ulicę, już trzyma w ręku telefon.

– Szach-mat.

Lucas gra dobrze prawie przez cały czas, ale niekiedy wydaje się, że w jego obwodach nerwowych dochodzi do zwarcia, które uniemożliwia mu chłodną analizę sytuacji na szachownicy. Zárate zauważył, że każdemu złemu ruchowi chłopaka podczas tych zakłóceń towarzyszy osobisty atak. Teraz czeka na konsekwencje wygranej partii. Wie, że nie powinien był tego robić, może w ten sposób chciał mu pokazać, że Elena nie jest sama, że nie wszyscy otworzą przed nim drzwi na oścież.

– Chcę rewanż – mówi Lucas, nie okazując gniewu, który zapewne spala go od środka.

– Gram czarnymi – zgadza się Zárate.

Rozstawiają figury. Odzywa się telefon Záratego. To Elena.

– Jak wam idzie?

– Dobrze, twój syn bardzo lubi szachy, właśnie gramy. Chyba nie lubi przegrywać, nóż otwierał mu się w kieszeni, gdy prosił mnie o rewanż.

– Mam nadzieję, że to tylko metafora. Ja mam kłopoty z Renterem. Zebrało mu się na chronienie Villacampy. Ale nie powstrzyma mnie, właśnie jadę do Torrelodones, do domu Manuela Romera, adwokata Mar.

– Do domu?

– Dzwoniłam do jego kancelarii, ale dziś pracuje z domu. Ma kopię zeznań Mar.

– Doskonale. Nie martw się o Lucasa, u nas wszystko w porządku.

Zárate odkłada telefon. Lucas wpatruje się w szachownicę z już rozstawionymi figurami. Zaczyna pionkiem hetmańskim.

– Twoja mama będzie trochę później.

– Słyszałem, jedzie do adwokata. To w mojej sprawie?

– Nie, to w związku ze śledztwem, które prowadzimy.

– Twój ruch.

Zárate również zaczyna pionkiem hetmańskim. Lucas wyprowadza skoczka. Nie podnosi wzroku, kiedy mówi:

– Nie potrzebuję noża w kieszeni. Mogę cię zagryźć.

Zárate spogląda na niego z niepokojem. Lucas skupiony na grze zastanawia się nad kolejnym ruchem.

– Jeszcze jedna taka uwaga, a przykuję cię do łóżka – ostrzega Zárate. – Rozumiesz?

Lucas podrywa się gwałtownie i krzesło upada na podłogę. Zárate patrzy na niego zaalarmowany.

– Spokojnie – mówi chłopak. – Idę się wysikać. Mogę iść sam, czy chcesz pójść ze mną, żeby potrzymać mi siurka?

Torrelodones znajduje się jakieś trzydzieści kilometrów od Madrytu w kierunku gór, choć nie można powiedzieć, żeby leżało w górach. To jedno z miejsc, gdzie dobrze sytuowani madrytczyki kupują sobie drugi dom na lato. W młodości Elena często jeździła na imprezy do przyjaciółek w tym miasteczku. Sprawdziła w telefonie – żeby się dostać do Manuela Romera, musi skrócić z szosy do La Coruñi na dwudziestym dziewiątym kilometrze, na tym samym zjeździe, który powinna wybrać, zdążając do Palacio del Canto del Pico, zdumiewającej neogotyckiej posiadłości, w której umarł prezydent Antonio Maura. Podczas wojny domowej pałac służył za kwaterę główną generałowi Indalencioowi Prietowi, a generał Miaja używał go podczas obrony Madrytu. Później należał do rodziny dyktatora Francisca Franco. Zanim się do niego dotrze, trzeba skrócić w wąską drogę – niemal ścieżkę – która prowadzi do innej, bez wątpienia dyskretniej usytuowanej willi. Z drogi nie można zobaczyć budynku, który się kryje za wysokim ogrodzeniem. Elena musi się zatrzymać przy budce dozorczy, gdzie jakiś człowiek notuje numer rejestracyjny jej auta i odblokowuje przejazd. Zwraca uwagę na mnogość zabezpieczeń, nie sądziła, że adwokaci muszą być aż tak ostrożni. Zanim wysiądzie z auta, odbiera telefon od komisarza Rentera. Jego powitanie bardziej przypomina reprimendę.

– Zwariowałaś? Dzwonili do mnie z komisariatu w Carabanchel. Czy nie powiedziałem ci, że masz zapomnieć o Ignaciu Villacampie?

– Po prostu prowadzę śledztwo, nie wściekaj się tak.

– Nie traktuj mnie jak idioty, za dobrze się znamy. Szukasz kopii zeznań Mar Sepúlvedy.

– To coś złego?

– Jesteś w błędzie. Ignacio Villacampa ma alibi na piątkowy wieczór. Inna sprawa, że nie może go ujawnić.

– Dopóki nie ujawni, będę go sprawdzać. To mój obowiązek, Rentero. Nie wierzę, że muszę ci to tłumaczyć.

– Grał w golfa w Club de Campo – wypala Rentero niecierpliwie, jak gdyby nie miał wyboru i musiał wyciągać na wierzch wstydlive sekrety.

– To dlaczego tego nie powiedział?

– Bo grał z sędzią, który prowadzi jego sprawę. Z tym samym, który dziś go uniewinnił. Trochę źle by to wyglądało, nie sądzisz?

– Trochę źle – mruczy Elena z odrazą. – A ty skąd wiesz, że nie kłamie?

– Bo ja również z nimi grałem, do cholery. Wszystko musisz wiedzieć.

– W porządku. Dziękuję za informację.

– Gdzie jesteś?

– Dojeżdżam do domu. Nie martw się o mnie. Potem pogadamy.

Elena kończy rozmowę. W takich chwilach nienawidzi świata, nienawidzi Rentera, nienawidzi kołesiostwa polityków i sędziów. Tych przyjaźni opartych na korzyściach, na zawodowych ambicjach. Rentero jest jej szefem, lubi ją i przyjaźni się z jej matką. Ale jednak należy do tej klasy idiotów, którzy uzależniają swoje szczęście od awansu. Elena z łatwością może sobie wyobrazić te gorączkowe telefony po jej wyjściu z jego gabinetu. Rentero dzwoni do Villacampy, Villacampa do sędziego, sędzia do Rentera i do sekretarki w Club de Campo, by starannie rozciągnąć nad sprawą zasłonę, która wszystko przykryje. Jasne, byli tam we trójkę, spędzili cały piątkowy wieczór, sędzia wyszedł wkurzony, bo zepsuł bardzo proste uderzenie...

Elena szybkim krokiem idzie żwirową drogą do imponującego domu adwokata. Jest gotowa zdobyć kopię zeznań Mar Sepúlvedy.

Rozdział 75

Elenę przyjmuje służąca, która prowadzi ją do gabinetu Manuela Romera. To pomieszczenie imponujących rozmiarów. Klasyczne meble, na regałach stoi pełno oprawnych w skórę tomów, jest też wyglądający na zabytkowy wielki globus obok biurka z rzeźbionego drewna, na którym spoczywa podkładka ze złocnymi wykończeniami oraz zestaw złożony z lupy, bibularza i noża do papieru. Obok dostrzega pióro Montblanc i trzy identyczne ułożone idealnie równo telefony komórkowe.

Właściciel domu, ubrany w garnitur i krawat, choć jest przecież u siebie, wita ją wylewnie.

– Witam serdecznie, inspektor Blanco. Mieliśmy okazję poznać się na komisariacie w Carabanchel, ale niestety było to jedynie przelotne spotkanie.

– Właśnie w tej sprawie przyjechałam. Mar Sepúlveda, osoba, której pan bronił, wielokrotnie oskarżała Ignacia Villacampę, zanim zaatakowała go tamtego dnia.

– Wielka szkoda, że narkotyki zmałyły umysł tej biedaczki.

– Nie mogłam zapoznać się z jej zeznaniem, które złożyła na komisariacie, i pomyślałam, że może pan dysponuje jego kopią, jak już wspomniałam przez telefon.

– Mam ją, oczywiście. Nie rozumiem jednak, dlaczego interesuje się pani tą nieszczęsną kobietą. Z tego, co wiem, jest w szpitalu z powodu przedawkowania.

– Coś mi się tu nie zgadza – mówi otwarcie Elena. – Kilka dni wcześniej rozmawiałam z Mar i wydawało się, że jest zdecydowana definitywnie rzucić narkotyki.

– Wiele osób robi takie postanowienia, a potem nie umie w nich wytrwać. Bardzo często z powodu jakiegoś drobiazgu, jakiejś uroczystości. Udało mi się doprowadzić do jej zwolnienia, może więc uznała, że raz się żyje i trzeba zaszaleć. Czasem czuję się wręcz

winny, że dostarczam im powodu do radości. Ale proszę powiedzieć, po co jest pani potrzebne to zeznanie.

– Rutynowe czynności policyjne.

W tym momencie dzwoni jeden z trzech telefonów, które leżą na stole.

– Proszę wybaczyć. To telefon do ważnych spraw, ten, który muszę odbierać natychmiast.

– Oczywiście, don Manuel. Chce pan, żebym wyszła?

– Nie ma potrzeby.

Podczas rozmowy telefonicznej prawnik wypowiada zaledwie kilka monosylab. Elena nie wie, z kim rozmawia. Inspektor błądzi spojrzeniem po gabinecie. Wtedy to dostrzega: na jednym z regałów stoi kilka zdjęć adwokata z królem, z premierami i prezydentami, nawet jedno z Obamą... Ale nie te najbardziej przykuwają jej uwagę: w małej srebrnej ramce umieszczono portret, który Elena już zna. Widziała to zdjęcie w książce o walkach w Coto Serrano, przedstawia starego Matíasa z jego nastoletnim synem. Elena przygląda się rysom chłopca, jego orlemu nosowi... Nie musi się obracać, by wiedzieć, że Manuel Romero podczas rozmowy telefonicznej bacznie ją obserwuje.

Zárate czuje się niezręcznie w towarzystwie Lucasa i współczuje inspektor. Choćby bardzo tego pragnęła, nie będzie mogła zostawić go na wolności: jest nie tylko ofiarą. Podczas tych walk, nawet jeżeli pod przymusem i na cudzą odpowiedzialność, zabijał innych sobie podobnych. Nie da się mieszkać z chłopakiem, który – jak sam przyznał – jest w stanie kogoś zagryźć, nie można go posłać do szkoły z rana i czekać na niego w sobotę wieczorem, kiedy pójdzie się napić ze znajomymi. Nie. Lucas jest naznaczony i Elena nie zdoła tego zmienić. Musi ją przekonać, żeby nie porywała się na niemożliwe. Nie może się doczekać jej powrotu, obecność Lucasa sprawia, że w mieszkaniu panuje chora, toksyczna, duszna atmosfera... Nagle zauważa, że telefon bezprzewodowy nie leży na swojej podstawce. Jest pewien, że przed chwilą tam był. Nie wie, jak mu się to udało, ale Lucas zabrał aparat do łazienki.

– Daj mi telefon – żąda, kiedy chłopak wraca do salonu.

Lucas podaje mu go bez dyskusji.

- Do kogo dzwoniłeś?
- Do przyjaciela, który był w niebezpieczeństwie.
- Zobaczmy, kto to taki.

Zárate spuszcza go z oka tylko na chwilę, szukając przycisku powtórnego wybrania tego samego numeru, ale Lucas jest bardzo szybki i uderza go brutalnie. Kiedy policjant już upadł, wymierza mu jeszcze jeden cios w głowę wielką kamienną popielnicą. Zárate leży nieprzytomny na podłodze, na dywanie rośnie krwawa plama.

– Czy to pan jest dzieckiem z fotografii? – pyta Elena, kiedy Manuel Romero odkłada komórkę na stół.

Stara się, by zabrzmiało to naturalnie, i przez chwilę sądzi, że jej się udało. Ale odpowiedź adwokata sprowadza ją na ziemię.

– Czemu zadaje pani pytania, na które zna pani odpowiedź?

– Wydało mi się, że to może być pan, ze względu na nos, wyraz twarzy. Gdzie zostało zrobione to zdjęcie?

Manuel się uśmiecha i wzdycha, jakby niezręczność inspektor była dla niego obraźliwa.

– Coś pani pokażę. Na pewno się pani spodoba.

Z szuflady wyjmuje purpurowy pierścień.

– Czy tego właśnie pani szuka?

Znów odzywa się telefon. Adwokat odbiera i wydaje tylko jedno polecenie.

– Tak.

Potem znów skupia się na Elenie.

– Ukradłem ojcu. On go nie cenił, a ja tak. Nie tyle ze względu na jego wartość, co na znaczenie symboliczne.

Elena kiwa głową i zastanawia się, jak zyskać trochę czasu. Instynkt podpowiada jej, że powinna stąd wyjść, uciec lub wzywać pomocy, w żadnym razie nie zostawać sam na sam z tym człowiekiem, który stopniowo porzuca dobre maniere i przestaje zachowywać pozory, jak gdyby zdierał maskę. Chętnie sięgnęłaby do torebki. Ale torebka, z pistoletem w środku, została w ładzie zaparkowanej przed bramą domu.

– To pan jest Ojcem?

- Kolejne retoryczne pytanie.
- Wy, adwokaci, cały czas je zadajecie. Pytania, które zawierają w sobie odpowiedź.
- Zadajemy je, żeby odpowiednio naświetlić sprawę przed sądem albo ławą przysięgłych. Ale jest pewna mała różnica: my dwoje jesteśmy tu sami.

Manuel uśmiecha się nikczemnie i Elena widzi w tym uśmiechu groźbę.

– Nasza samotność nie potrwa długo. Moi koledzy wiedzą, że tu jestem. – Elena próbuje się bronić.

– Jeśli przyjadą, powiemy im, że była tu pani, zabrała dokumenty i pojechała. Pomyślą więc, że zniknęła pani potem, w drodze powrotnej. Damy im nawet nagrania z kamery monitoringu, na których widać panią, a raczej kobietę ubraną jak pani i do pani podobną, która wsiada do tego charakterystycznego auta. Zostawi je w Cañada Real, miejscu, do którego ostatnio miała pani słabość. Tam nie ma monitoringu. Pani samochód długo tam nie postoi, zostanie rozmontowany na części. O ile ktoś zechce części z tego rupiecia. My teraz pojedziemy gdzie indziej, na pewno się to pani spodoba, przypuszczam, że od dawna tego szukaliście.

Do pokoju wchodzi mężczyzna z dwoma dobermanami na identycznych smyczach, które mocno trzyma. Manuel Romero uśmiecha się uprzejmie.

– To Buda i Pest, mówi pani to coś? Pewnie już pani o nich słyszała. Opowiem pani coś, co mnie bardzo śmieszy. Lucas nie nazywa ich Buda i Pest tylko Pest i Buda. Oryginalnie, prawda? Spuść je!

Psy podchodzą do Eleny, wachają ją i warczą, ale potem siadają obok swojego właściciela.

– Są bardzo dobrze ułożone, zachowują się jak dżentelmeni, kiedy trzeba, i jak dzikusy, kiedy nadejdzie pora. Wie pani, kto taki był? Mój przyjaciel Antonio. Pani zna go jako Dimasa. Antonio to mój najlepszy przyjaciel od dzieciństwa, jesteśmy z tej samej wsi, z Coto Serrano, i wspólnie to wszystko stworzyliśmy. Nigdy pani nie wybaczę, że go zabiliście.

Mężczyzna, który przyprowadził psy, podchodzi do Eleny z kajdankami.

– Lepiej, żeby nie stawiała pani oporu, tak czy inaczej panią zabierzemy, a niepotrzebnie straci pani siły, które potem mogą się przydać. Proszę nie zapominać, że ja zawsze daję szansę. Pojedziemy moim autem, dzięki temu będziemy mogli pogawędzić po drodze.

Rozdział 76

Mieszkanie przy ulicy De la Fe to własność tej samej firmy co hacjenda La Travesera. Firmy z siedzibą w Panamie należącej z kolei do innej na Kajmanach, która kontrolowana jest przez jeszcze inną na Malcie...

– Jak zwykle – podsumowuje Mariajo. – Stracimy trop w jakimś kraju Trzeciego Świata, chociaż rzeczywisty właściciel zapewne mieszka tutaj, dwie ulice dalej.

– Nie dziwi was, że oba domy należą do tej samej firmy? Pewnie nie uda nam się zidentyfikować właściciela, ale możemy ustalić, jakie jeszcze nieruchomości posiada, a możemy się domyślać, że nie używają ich do niczego dobrego – sugeruje Orduño.

– To jakiś pomysł, sprawdźmy – zgadza się Mariajo.

Buendía nadal zajmuje się badaniem śladów, które znaleźli w mieszkaniu w Lavapiés. Mariajo sprawdza wątek nieruchomości. Elena i Zárate nie pojawili się w biurach BAC przez całe przedpołudnie, nie powiedzieli, dokąd idą, i nie odbierają telefonów... Chesca i Orduño piją kawę, żeby uciszyć niepokój. Oboje mają wrażenie, że coś się szykuje, mogą to wyczuć niczym metaliczny zapach przed burzą.

– Wiesz, co z Mariną?

– Z raną nie najgorzej. Pocisk nie wyrządził zbyt wielkich szkód. Pewnie dziś przewiozą ją do ambulatorium w więzieniu w Alcalá.

– Byłeś u niej?

– Całą noc spędziłem w szpitalu.

Chesca nie rozumie Orduña. Wiadomo, zakochał się w Marinie, przed tym nikt nie ucieknie, ona sama jest najlepszym przykładem: miała już wielu beznadziejnych facetów, a teraz dla odmiany nie potrafi zapomnieć o Záratem, choć uważa go za głupka. Nie rozumie

jednak, że Orduño wciąż myśli o tej kobiecie, która go zdradziła, która go oszukała, która okazała się kanalią i morderczynią.

– Pójdiesz jeszcze do niej?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak ułożę sobie życie.

Do kuchni wbiega Buendía.

– Właśnie dostałem tę wiadomość i nie wiem, co o tym myśleć.

Muszę porozmawiać z inspektorem. Złapaliście ją już?

– Nie. Co się stało?

– Pamiętacie koszulę szefa Purpurowej Sieci?

– Pewnie.

– Asystent zaniósł ją do wszystkich zakładów krawieckich w Madrycie. Wszędzie mówiono nam, że zarówno tkanina, jak rozmiary są bardzo typowe, ale dziś zadzwonili do nas z jednego: koszula wygląda dokładnie tak jak ta, którą uszyli półtora miesiąca temu dla swojego klienta, Manuela Romera.

– Tego adwokata?

– To nie wszystko. Manuel Romero pochodzi z Coto Serrano. Staruszek, który opowiedział nam o walkach, nazywa się Matías Expósito, ale jest jego ojcem. Adwokat widocznie zmienił nazwisko.

– Cholera, wszystko wskazuje na niego.

– Powinniśmy go zaraz zatrzymać, ale obawiam się wydać taki rozkaz bez wiedzy inspektora.

– Pojadę do Eleny do domu – postanawia Chesca. – Może tam jest.

W garażu Manuela Romera jest wszystko – wozy sportowe, terenówki, luksusowe sedany, jakaś furgonetka... Uwagę Eleny przyciąga żółty kabriolet, auto opisane przez Aurorę.

– Przypuszczam, że wolałaby pani pojechać terenówką. Zawsze podobała mi się pani słabość do tych aut – śmieje się adwokat. – Tak, wiemy o tym. Raz nawet zabrała pani do garażu pod swoim domem mężczyznę, którego pani podsunęliśmy, bardzo przystojnego Brazylijczyka z białym audi Q7. Pamięta pani? Proszę spojrzeć, tu stoi.

Rzeczywiście, auto jest tutaj. Elena przypuszcza, że jej nie okłamuje, że właśnie do tego auta wsiadła tamtej nocy. Była w garażu Didiego z wieloma mężczyznami, ale doskonale pamięta

tamtego Brazylijczyka. To było wtedy, gdy się dowiedziała, że Abel, jej były mąż, związał się z Gabriellą. Wydało jej się to symboliczną zemstą, bo uwiodła mężczyznę tej samej narodowości.

Znają jej życie niemal tak dobrze, jak ona sama: jej noce w Cher's z piosenkami Miny, jej upodobanie do grappy, spróbowali nawet tostów z pastą pomidorową, które co rano podaje jej na śniadanie Juanito.

– Skoro mieliście mnie pod taką kontrolą, czemu nie kazaliście mnie zabić?

– A kto powiedział, że pragnęliśmy pani śmierci? Zabijać można ludzi bezwartościowych, wartościowym zadaje się ból. Z wielką przyjemnością przetrzymywaliśmy Lucasa. Co pani o nim sądzi? Już nie jest tym chłopcem, którego pani pamiętała, prawda?

Wsiadają z tyłu do bmw serii 7, auta bardzo luksusowego, ale stosunkowo dyskretnego. Szofer już siedzi za kierownicą. Manuel Romero wciska guzik, w wyniku czego wysuwa się przesłona oddzielająca ich od niego. Szyby ciemnieją na tyle, że Elena nie jest w stanie rozpoznać, któredy jadą. Samochód rusza.

– Podróż nie potrwa długo – informuje adwokat. – Za piętnaście, dwadzieścia minut będziemy na miejscu. Jeśli chce mnie pani o coś zapytać, jestem do dyspozycji.

Chesca musiała pokazać odznakę i niemal zagrozić dozorczy w budynku przy plaza Mayor, w którym mieszka Elena Blanco, żeby otworzył jej drzwi. Wchodzi do salonu, gdzie na podłodze znajduje wciąż nieprzytomnego Záratego. Dywan – chyba perski – pobrudzony jest krwią, która wypływa z brzydkiej rany na jego głowie. Na szczęście chyba nie stracił zbyt dużo krwi. Jeszcze oddycha.

– Niech pan dzwoni po pogotowie – pogania dozorcę. Ale zaraz zmienia zdanie. – Nie, lepiej ja to zrobię.

Chesca dzwoni do BAC, żeby natychmiast przysłali karetkę do domu inspektor. Jest pewna, że przyjedzie szybciej, jeśli dostaną zgłoszenie od policji.

– Na drugim piętrze mieszka lekarz – mówi przerażony portier. – Dziesięć minut temu widziałem, jak wchodził do domu.

– Niech pan po niego biegnie.

Zanim przyjdzie lekarz i nadjedzie karetka, Chesca rozgląda się po pokoju, szukając czegoś, co wyjaśni jej, co tu się stało. Na ziemi obok ciała leży popielnica, którą uderzono Záratego. To nieoszlifowany kamień, nie sądzi, żeby z czegoś takiego dało się zebrać odciski, ale ją zabiera. Czy to inspektor go zaatakowała? Nie, to niemożliwe. Elena nie daje znaku życia. Ktoś zaatakował Záratego, a ją porwał.

Elena jest pewna, że nie będzie miała okazji nikomu tego opowiedzieć, ale pyta adwokata o Purpurową Sieć, jak działają zakłady, kiedy to się zaczęło, skąd biorą chłopców. Zauważa, że jej ciekawość sprawia przyjemność Romerowi, choć na niektóre pytania odpowiada wymijająco.

– Proszę pamiętać, że ja nie zajmuję się wszystkimi szczegółami. Wiele spraw było na głowie Dimasa.

– Czy Ignacio Villacampa ma coś wspólnego z Purpurową Siecią?

– Zupełnie nic. Wiem, że pracował z Dimasem w Ośrodku dla Nieletnich w San Lorenzo, ale to był zwykły przypadek, choćby pani mi nie wierzyła.

Samochód niemal się zatrzymuje. Elena domyśla się, że przechodzi jakąś kontrolę, może w budce strażniczej takiej samej jak ta, która stoi obok willi adwokata. Wkrótce się przekona.

– Już dojeżdżamy, droga pani.

– Proszę mi odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie. Czy to pan poprosił mojego syna, żeby wrócił do mnie do domu?

– Przykro mi to mówić, ale tak, tak właśnie było. On zupełnie nie miał ochoty na spotkanie z panią.

Rozdział 77

Lekarz z sąsiedztwa niewiele mógł zrobić dla Záratego, muszą go zawieźć do szpitala, ale zanim sanitariusze zabiorą go na noszach, odzyskuje przytomność na kilka sekund. Tyle wystarczy Chesce.

– Gdzie jest Elena? – pyta. – Nic o niej nie wiemy.

– Pojechała do adwokata Mar, do Manuela Romera. Do jego domu w Torrelodones.

Sanitariusze zabierają Ángela, a Chesca natychmiast dzwoni do BAC.

– Inspektor pojechała do Manuela Romera, do Torrelodones.

– Wobec tego nie mamy już wątpliwości. Musimy zawiadomić Rentera. Jedziemy tam.

Elena wysiada z bmw na środku pola, obok starego baraku z cegły.

– Tutaj zaczęła się Purpurowa Sieć – wyjaśnia Romero. – Zanim przenieśliśmy się do hacjendy La Travesera, robiliśmy eventy w tej właśnie hali. Od dawna stoi nieużywana, ale ja lubię mieć wszystko w dobrym stanie.

– Co pan ze mną zrobi?

– Wkrótce sama się pani przekona. Najpierw chcę pani coś pokazać.

Kiedy szofer otwiera wrota hali, światło, które wpada do środka, ukazuje zarysy sprzętów. Elena nie potrafi jednak niczego rozpoznać, wszystko jest rozmyte.

– Chwileczkę.

Romero wciska przełącznik i zapala lampy. W środku jest tylko ośmiokątna klatka, taka sama jak ta, którą widziała w Coto Serrano.

– Swoją pierwszą walkę Lucas stoczył w tej klatce. Wszyscy sądziliśmy, że przeciwnik go pokona, ale pani syn urodził się do tego, to gladiator. Gdyby pani wiedziała, ile niespodzianek nam sprawił... Dzięki niemu wygraliśmy też dużo pieniędzy.

Aresztowaliście Pavła, chłopaka z metalowymi palcami. Ich walka przyniosła dużo większe zyski, niż ktokolwiek się spodziewał. To była walka między mistrzem uzbeckim i hiszpańskim, zakłady robiono nawet w Las Vegas. Wie pani, że Lucas wygrał, lecz mało brakowało, a by zginął? Gdyby nie Marina, umarłby i nawet nie wiedzielibyśmy czemu. Och, Marina... To była słabość Dimasa, powinien był już dawno się jej pozbyć. Jak się miewa?

– O ile wiem, dobrze. Jest ranna, ale to nic takiego.

– Wkrótce poczuje się gorzej, już poprosiłem, żeby się nią zajęli. Zapewne nie od razu będą mogli wypełnić moje rozkazy, ale wkrótce to zrobią. Dni tej kobiety są policzone. Ale nie skończyłem jeszcze historii Pavła i Lucasa. Czy wie pani, że po odgryzieniu mu palców Lucas usiłował je połknąć? Nie mógł oddychać, oczywiście. Umarłby, gdyby Marina nie wyciągnęła mu ich z gardła. To byłaby wielka strata.

Adwokat otwiera klatkę i oboje wchodzą do środka.

– Kiedy organizowaliśmy tu walki, ludzie, którzy przychodzili robić zakłady, stali wokół i krzyczeli... Niemal mogli dotknąć zawodników, choć zalecaliśmy im, by tego nie robili. Nieraz zdarzyło się, że któryś z zapaśników złamał palec widzowi. Ja wolałem to w takiej postaci, ale w La Travesera łatwiej zapewnić dyskrecję. Tutaj widzowie wzajemnie się widzieli, a to było niewłaściwe. Poza tym w La Travesera mieliśmy już odpowiednią infrastrukturę. Wie pani, że po wojnie urządzano tam walki?

– Tak, rozmawialiśmy z pańskim ojcem.

– Rozmawialiście z nim pewnie więcej niż ja przez ostatnie dziesięć lat. Chociaż co miesiąc wysyłam mu pieniądze, obawiam się, że nasz kontakt do tego się ogranicza. Opowiedział wam, że jest synem markiza, który organizował walki? Nie sądzę, biedak zawsze wstydził się swojego pochodzenia. Nawet nie chciał zmienić nazwiska. Expósito... Jak gdyby był znajdą, a przecież po śmierci markiza miał okazję.

– Pan zapewne by tak zrobił.

– Nie jestem mitomanem, pani inspektor. – Adwokat uśmiecha się do niej. – Romero to nazwisko po matce. Ale byłbym dumny, gdybym walczył jak mój ojciec, jak jego bracia... bo nawet przegrana jest

zaszczytem. A mój ojciec w dodatku wygrał. Udało mu się przeżyć. Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu się tego wypierał. Przypuszczam, że ja bardziej wdałem się w dziadka, nie oszukujmy się. Ale proszę powiedzieć, jak też czuje się pani w klatce? Lucas uwielbia tu przebywać.

– Dlaczego opowiada mi pan to wszystko? Dlaczego od razu mnie pan nie zabije?

– To by było prymitywne i nie w moim stylu. Dostanie pani taką samą szansę na uratowanie życia jak każdy. Trochę cierpliwości, za kilka minut wszystko będzie gotowe.

Interwencja Rentera ułatwiła błyskawiczną akcję. Zanim upłynęło dwadzieścia minut, członkowie BAC w towarzystwie dwóch radiowozów są już pod domem adwokata.

– Patrz na nazwę willi – pokazuje Orduño.

Na murowanej kolumnie przy wejściu na teren posiadłości umieszczono nazwę z kutyh liter: Coto Serrano. Inspektor Blanco, wchodząc, przeoczyła ten detal.

Pokonują strażnicę bez najmniejszego oporu ze strony dozorca siedzącego w środku. Na spotkanie wychodzi im służąca.

– Don Manuela nie ma w domu. Ta kobieta, o którą pytacie, była tutaj, porozmawiała z nim i pojechała. Nie spędziła tu nawet pięciu minut, chyba przyjechała po jakieś dokumenty.

– Macie monitoring. Chcę zobaczyć nagrania – żąda Orduño.

Nikt się nie sprzeciwia. Policjanci mogą zobaczyć, jak przyjeżdża auto inspektor, a ona wysiada, ma na sobie czerwoną kurtkę. Sześć minut i piętnaście sekund później wychodzi z domu w tej samej czerwonej kurtce, z teczką w ręku, wsiada do samochodu i odjeżdża.

Chesca i Orduño spoglądają po sobie, nie wiedzą, co robić. Nie spodziewali się tego. Myśleli, że od razu znajdą ślady przemocy, a nie spokojny zakątek i nagrania rozwiewające wszelkie podejrzenia.

Dopiero telefon od Mariajo kładzie kres ich rozterce.

– Hacjenda La Herradura, w Moralzarzal. Natychmiast tam jedźcie. Potem wam wyjaśnię.

Nie pytają, po prostu robią, co im powiedziała, pewni, że tak trzeba.

Elena jest zamknięta, sama w ośmiokątnej klatce. Przeczuwa, że szansa na uratowanie życia, o której wspomniał Romero, będzie polegała na walce. Wkrótce przekonuje się, że trafnie odgadła, ale nawet w najgorszych koszmarach nie mogłaby sobie wyobrazić, kto będzie jej przeciwnikiem. Drzwi klatki się otwierają i wchodzi Lucas.

– Cześć, mamó.

Rozdział 78

Lucas tańczy wokół matki, jak gdyby był bokserem kiwającym się z przeciwnikiem. Zbliża się, oddala, wyprowadza cios od góry lewą ręką, następny w wątrobę prawą. Nie uderza jednak naprawdę. Elena stara się nie ruszać.

– Nie będę z tobą walczyć. Jestem twoją matką.

Lucas nie przerywa, doskakuje do niej. Elena sądzi, że znów zamarkuje cios, nie dotykając jej, jednak teraz Lucas udaje, że zamierza uderzyć pięścią, by potem wymierzyć jej kopnięcie w biodro – tym razem prawdziwe – które powala ją na ziemię. Odskakuje. Elena czuje ból, podnosi się z trudem, ale znów staje naprzeciw niego.

– Zabij mnie, jeśli chcesz. Nie będę się bronić. Nigdy nie podniosę na ciebie ręki.

Jej syn znów podbiega i kopie jeszcze raz. Teraz w klatkę piersiową. Ona znów upada, a kiedy wstaje, widzi, że są kamery, które to wszystko filmują. Zastanawia się, czy ich walka trafi do komputerów jakichś chorych ludzi rozsianych po całym świecie. Syn, który zabija własną matkę gołymi rękami, może wzbudzić duże zainteresowanie.

– Broń się! – krzyczy Lucas.

– Nie, zabij mnie wreszcie.

Buendía i Mariajo mogą tylko czekać. Nawet nie wiedzą, czy informacja, którą przekazali kolegom, okaże się przydatna. Mrugające światełko na mapie, które widzą na komputerze, nic nie może im powiedzieć. Nawet tego, czy Elena żyje, czy to rzeczywiście ona. Na sygnał trafili zupełnie przypadkiem, ale Mariajo natychmiast domyśliła się, o co chodzi.

– To może być Elena.

To lokalizacja nadajnika, który zainstalowali w bransoletce Eleny w dniu, kiedy pożyczyła ją Marinie na spotkanie z Dimasem. Potem musieli zawieźć ranną do szpitala i nikt nie pamiętał o bransoletce ani o nadajniku.

– Elena powiedziała, że lubi tę bransoletkę, może ją wzięła, zanim zabrali Marinę – mówi Buendía.

– Nie wiem, w tym całym zamieszaniu bransoletka była ostatnim, o czym myślałam.

– A jak mogłaby zawędrować ze szpitala do Moralzarzal? Marina na pewno jej tam nie zawiozła.

– Może ktoś ją tam zabrał... Może Chesca z Orduñem podarowali ją dziewczynie jakiegoś strażnika...

Żaden z ataków Lucasa nie spowodował u niej nieznośnego bólu, tylko kopnięcie w biodro trochę jej doskwiera. Jednak każdy cios stanowi dla niej rozdzierające upokorzenie, przynosi poczucie klęski i rozpaczy przekraczającej ludzkie pojęcie. Lucas wciąż tańczy wokół niej z uśmiechem, który w innych okolicznościach mógłby się wydać wesoły. Albo nie chce zrobić krzywdy matce, albo jego wypaczony umysł opracował sadystyczny, okrutny plan, który obejmuje wstępną fazę rozpoznawczą, żeby miała czas się zorientować, co właściwie dzieje się w klatce. Plan, który ma na celu delektowanie się po kolei każdą kroplą jej cierpienia.

– Co z tobą, Caín?! – wyje Romero. – Nudzę się.

Jak gdyby wymówienie jego bojowego pseudonimu równało się wbiciu ostrogi, Lucas znów zbliża się do matki i wymierza jej brutalny cios w twarz. Elena upada na ziemię przekonana, że złamał jej jakąś kość. Potem chłopak podchodzi i kopie ją w brzuch. Elena zwija się z bólu. Rozumie go: dla jej syna nie ma nic gorszego, niż rozczarować Ojca.

Lucas śmieje się z jej cierpienia.

– Naprawdę nie będziesz się bronić?

Znów podchodzi, gotów wymierzyć jej kolejne kopnięcie. Nie spodziewa się, że ona zrobi coś więcej poza biernym przyjęciem ciosu, więc kiedy jego matka, właściwie wbrew własnej woli, odsuwa

się i kopie go mocno w piszczel, upada na ziemię. Obraca się szybko, by ją schwycić, ale ona już wstała.

– Wreszcie zaczyna się zabawa – entuzjazmuje się Romero.

Odgłos syren posuwa się szosą łączącą Collado Villalba z Moralzarzal. Hacjenda La Herradura, którą wskazała im Mariajo, znajduje się za wsią, w kierunku Cercedy. Nie jest to duży teren, stoi tam dom i jakiś drugi budynek. Na zdjęciach z satelity w Google nie potrafią określić, co to takiego.

– Co tam znajdziemy?

– Cholera wie.

– I co zrobimy?

– Będziemy strzelać w razie potrzeby. – Orduño nie ma wątpliwości. – Bez wahania i bez litości.

Elena była pewna, że pozwoli, żeby syn ją zabił, nie stawiając najmniejszego oporu, ale coś ją przed tym powstrzymuje. Teraz się broni, próbuje unikać jego ataków, choć sama nie uderza. Nie dlatego, że nie chce, po prostu Lucas bije się bardzo dobrze. Nie daje jej żadnej sposobności. Poza tym cios pięścią w twarz uszkodził jej – może złamał – nos, więc oddycha z trudem. Czuje, że krew kapie jej na brodę.

Rozlega się szczekanie psów. Domyśla się, że to dobermany Romera. Lucas rozwiewa jej wątpliwości.

– To Pest i Buda, znasz je? Często się z nimi bawiłem.

Chce, żeby wiedziała – jeśli wpuszczą je do klatki, zajmą się wyłącznie nią.

Teraz już nie tylko Lucas zbliża się i oddala, Elena też się porusza, zrzuciła buty. Oboje się obracają, mierzą wzrokiem... Lucas rzuca się na nią, próbuje jej podciąć nogi kopnięciem, ale Elenie udaje się podskoczyć. Upada na nogę swojego syna. Lucas wydaje okrzyk bólu. Uśmiecha się.

– Zrobiłaś mi krzywdę, zrobiłaś krzywdę swojemu biednemu synkowi! – krzyczy i robi śmieszoną minę, jak gdyby miał się rozpłakać.

Wszyscy rozglądają się wokół. Słyszą syreny.

– Lucas, kończ już! – krzyczy Romero i rzuca mu pod nogi nóż.

Elena biegnie, by go podnieść, ale jej syn jest szybszy i chwytą nóż w dłoń. Nie używa go, wkłada za pasek. Patrzy na nią uważnie, żarty się skończyły. Rzuca się na nią, uderza ją pięścią w brzuch. Elena zgina się wpół, ale gdy Lucas chce ją dobić, dobywa ostatnich sił i wymierza mu policzek, a potem uderza głową w nos. Chłopak krwawi, teraz naprawdę jest zły. Walka robi się brutalna, syreny zbliżają się z każdą sekundą. Elena znów upada na ziemię. Lucas rzuca się na nią, siada na niej okrakiem. Kobieta przestaje stawiać opór, poddaje się. Lucas wyjmuje nóż zza paska i Elena widzi, jak świetlne refleksy tańczą na jego ostrzu. Krew bryzga jej na twarz i śmieszy ją, że może być tego świadoma, mimo rozplatanego gardła. Mija kilka sekund, nim pojmuje, że to kark jej syna nie jest już w stanie utrzymać jego głowy. W ostatniej chwili Lucas skierował ostrze ku własnej szyi i poderżnął sobie gardło z równie pustym jak zawsze spojrzeniem, bez cienia emocji.

Romero również nie od razu pojmuje, jak zakończyła się walka. Siedzi bez ruchu przez kilka sekund, osłupiały.

Już nie słyhać syren, teraz rozlegają się strzały. Ludzie Purpurowej Sieci walczą na zewnątrz z policjantami z brygady.

Elena nie ma czasu opłakiwać syna. Martwe ciało Lucasa osuwa się na nią i może jedynie je przytulić. Drzwi klatki otwierają się, do środka wpadają Buda i Pest. Nie ma sił, jest pusta, nie rozumie, jakim cudem chwytą nóż, by bronić się przed bestiami. Dwa strzały rozlegają się niemal jednocześnie, jeden pochodzi z broni Orduña, a drugi Cheski. Oba psy padają na ziemię, zanim zdążą jej dopaść.

Elena klęka obok Lucasa. Jej syn zabił się, by ją uratować, a to znaczy, że w jego duszy pozostała jeszcze odrobina współczucia, że była ryna na sercu potwora i przez tę szczelinę mogłaby się wcisnąć, by go uratować. Nie dostała tej szansy. Ale spróbowała wszystkiego. Z ciałem pełnym ran i siniaków, zapewne z jakąś kością nie na swoim miejscu, pośród bezbrzeżnego bólu po stracie syna, Elena czuje, że jej życie po raz pierwszy od dawna płynie.

Rozdział 79

Codziennie rano przed wyjściem z domu Aurora obiecuje sobie, że będzie dobra, że nie będzie pakowała się w problemy ani kłótnie, choćby musiała przełknąć jakieś upokorzenie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby zachować pracę. Dostała posadę przy wykładaniu towaru w supermarkecie w Carabanchel i powinna składać za to dzięki niebiosom. Nie ma wykształcenia ani doświadczenia, spędziła pół życia w poprawczaku, a ostatnie dwa lata w piekle. Miała bardzo skromne, by nie powiedzieć żadne szanse wejścia na rynek pracy. Wie, że bardziej niż niebiosom podziękowania należą się inspektor Blanco. To ona załatwiła jej pierwszą pracę, w charakterze kelnerki w barze, w którym codziennie rano je śniadanie, w zastępstwie Juanita, rumuńskiego kelnera, który przejął lokal w Pueblo Nuevo, żeby rozkręcić własny bar. Trwało to, dopóki Juan, szef, nie powiedział Elenie, że bardzo mu przykro, ale nie może dłużej zatrudniać tej dziewczyny. Mógł jej wybaczyć lenistwo, niezdarność i brak gorliwości, ale nie to, że wyklóca się z klientami. Mało nie pobiła się z Marują, kobietą, która od lat przychodzi o szóstej po południu na swoją kawę z croissantem. A wszystko z powodu zbyt zimnego *cortado*²⁰, jakie jej podała.

Drugą pracę pomógł jej zdobyć Zárate, który zna kierownika sklepu w swojej dzielnicy. Aurora nie znosi nowego szefa, codziennie musi się powstrzymywać, żeby mu nie przywalić, ale wie, że powinna się nauczyć cierpliwości. Sprawuje się dobrze, jej jedyne przewinienie to kradzież pudełka czekoladek, które chciała zawieźć do Urueni w prezencie dla Gabrielli. Ona je uwielbia. W ten sposób pragnie okazać wdzięczność za wszystko, co dla niej zrobili. Gdyby jej matka nie żyła, bez wahania zamieszkałaby w Urueni z Ablem i Gabriellą. Wstyd jej o tym myśleć – a tym bardziej mówić – ale czasem sądzi, że jej życie potoczyłoby się dużo lepiej, gdyby matka nigdy nie wyzdrowiała.

Elenie też coś by posłała – na przykład butelkę grappy – ale inspektor poprosiła, żeby zerwały kontakt. Nie chce jej widywać, bo stanowi dla niej część przeszłości, o której musi zapomnieć.

Zarabia mało, wystarcza jej na wynajęcie pokoju i nic więcej, ale Elena dała jej w prezencie pożegnalnym komórkę, więc zabawia się wieczorami, grając w kulki.

Codziennie chodzi do szpitala odwiedzić matkę. Leży na intensywnej terapii, zaintubowana. Lekarze stracili nadzieję, że się obudzi, ale Aurora lubi siadać obok niej, gładzić ją po włosach i opowiadać, jak upłynął dzień. O kłótniach z szefem, problemach jej koleżanki z pracy Rebeki z chłopakiem i tak dalej. Rebeca też pracuje w magazynie i powoli się zaprzyjaźniają. Kiedy kończą jej się historie do opowiadania, siedzi jeszcze trochę, grając w kulki, dopóki pielęgniarka nie powie jej, że czas wizyty dobiega końca.

Raz lub dwa w miesiącu, gdy ma wolne, przyjeżdża po nią do Madrytu Abel i razem jadą do Urueñi. Spędza z nimi dzień, opowiada Gabrielli o wszystkim, co tylko wpadnie jej do głowy, wspólnie gotują... Gabriella uczy ją przyrządzać swoje ojczyście dania: niektóre jej smakują, inne nie. Obiecali Aurorze, że zabiorą ją ze sobą na wakacje do Brazylii. Gabriella pochodzi z Salvador de Bahía i podarowała jej tasiemkę z napisem Nossa Senhora de Bonfim de Bahía, to tamtejszy zwyczaj. Aurora musiała pomyśleć życzenie, gdy Gabriella wiązała jej wstążkę na nadgarstku. Podobno, kiedy się zerwie, życzenie się spełni, ale nie można nic robić, tasiemka musi się zerwać sama.

Ten dzień zaczyna się jakoś inaczej. Aurora zauważyła to zaraz po obudzeniu. W domu panuje dziwna cisza. Mieszkają tam Rumuni, którzy zwykle robią dużo hałasu, w innym pokoju jest trzech Kolumbijczyków, którzy śpiewają z rana, wybierając się do pracy. Cisza o poranku jest pierwszym znakiem.

W autobusie spogląda na swój nadgarstek: nie zauważyła kiedy, ale tasiemka zniknęła. Może stało się to w nocy i znajdzie ją na łóżku, które pościeliła w biegu. Gabriella mocno wierzy w moc opaski, ale Aurora na nic nie liczy. Nauczyła się już, że lepiej nie robić sobie nadziei.

W supermarkecie spotyka się z Rebeką, swoją koleżanką, która płacze, bo chłopak ją zostawił. Pociesza ją i po raz pierwszy czuje ciepłą falę przyjaźni, którą nie darzyła nikogo od czasu śmierci Aishy. Szef traktuje ją miło, sama nie wie czemu. Niebo lśni jakimś dziwnym blaskiem, jakby zanosilo się na burzę, która jednak nie nadchodzi. Powietrze pachnie deszczem.

W szpitalu policzki jej matki mają dziwny kolor, jak gdyby pielęgniarki zrobiły jej makijaż. Aurora opowiada jej o swoim dniu, który upłynął tak miło, i dostrzega drgnienie powiek chorej. Instynktownie chwyta ją za dłoń i wyczuwa poruszenie palca. Spogląda na korytarz, szukając pomocy, niemal przestraszona, ale natychmiast pojmuję, że nie potrzebuje, żeby ktoś przychodził. Jej matka otwiera oczy. Nie może mówić, bo w gardle ma rurkę, ale może się uśmiechnąć, szczęśliwa, że widzi swoją córkę. Fala szczęścia napływa natychmiast, bez żadnych wstępów, na sam jej widok, jakby od miesięcy śniła o tej chwili i była na nią dobrze przygotowana. Aurora zaczyna całować dłonie matki i zwilża je łzami, gładzi ją po włosach, twarzy, ramionach, może nawet zadaje jej trochę bólu. Ale Mar się uśmiecha i po jej policzku również spływa łza. Zanim Aurora zawoła pielęgniarki, całuje matczyną twarz, na której wykwitł rumieniec.

Rozdział 80

Na plaza Mayor rozstawiono już kiermasz bożonarodzeniowy. Jak co roku od rana do nocy niestrudzenie rozbrzmiewają kolędy, a zwykli użytkownicy placu zniknęli, żeby ustąpić miejsca sprzedawcom choinek, mchu i figurek do szopki, bombek, łańcuchów i śmiesznych gadżetów. Codziennie, ale szczególnie w weekendy, przed jej bramą przechodzą setki rodzin, grupy przyjaciół, zakochane pary. Wielu z nich nosi śmieszne peruki, które zrobiły się modne w ostatnich latach, czapki świętego Mikołaja lub z rogami łośia. Elena nie wie dlaczego, ale w tym roku tradycyjny czerwony kolor ustąpił pola zieleni.

Czasem siada na balkonie, gdzie tak długo stał aparat fotograficzny, i przygląda się ludziom na placu. Nie czuje już tego bólu co wcześniej. Teraz wie, że Lucas wreszcie odpoczywa, w końcu zaznał spokoju. Że mężczyzna z twarzą naznaczoną dziobami po ospie nie żyje, a Manuel Romero, adwokat, który tym wszystkim kręcił, spędzi wiele lat w więzieniu. Podobnie jak Yarum, jak Marina.

Jednak za to już nie ona odpowiada. Pomimo próśb Rentera i swojego zespołu opuściła szeregi policji. Odeszła nieco ponad dwa miesiące temu, zaraz po wyjściu ze szpitala, gdzie leczyła rany i złamania, jakie zostały jej po walce z synem. Jeszcze nie ułożyła sobie życia na nowo, ale wie, że jej się to uda. Już nie pije grappy, nie wyszła więcej na scenę w Cher's i ani razu nie trafiła na parking Didiego z żadnym mężczyzną z terenówki. Nie je też swojego porannego tosta z pastą pomidorową u Juanita. Nie poszła się z nim zobaczyć, ale wkrótce to zrobi, na początku roku zamierza spełnić swoją obietnicę – odwiedzi go w jego własnym barze w Puerto Nuevo. Nie pojechała też ani razu do Urueni, od kiedy powiedziała Ablowi, że Lucas umarł, tym razem naprawdę. Łamie jej serce myśl o bólu, który mu zadała, wyjawiając prawdę. Jest wdzięczna jemu i Gabrielli za wszystko, co robią dla Aurory, ona nie byłaby w stanie.

Dziś powinna zrobić coś, czego unikała, od kiedy rzuciła pracę w policji. Po wielu nieudanych próbach Zárate wreszcie zdołał nakłonić ją do spotkania. Nie chce opuszczać placu, więc tam pospacerują, bo chce domknąć cykl. Tam porwano jej syna i ten spacer jest czymś więcej niż sentymentalnym pożegnaniem. Jest aktem odwagi.

Zárate serdecznie wita Elenę, nie widział jej od kilku miesięcy. Opowiada jej, że policja odnalazła dzieci z Portugalii, ostatnich porwanych przez Purpurową Sieć. Tym samym uznają organizację za całkowicie rozmontowaną. Elena prosiła go wprawdzie, żeby nie rozmawiał z nią o pracy, ale sądzi, że w tym wypadku warto zrobić wyjątek.

– Ángel, wiesz przecież, że nie chcę nic wiedzieć o Purpurowej Sieci.

– Już dobrze, porozmawiamy tylko o uczuciach. Tęsknimy za tobą, Elena.

– Przyzwyczaicie się.

– A ja szczególnie.

Elena nie odpowiada, zatrzymuje się dokładnie w tym samym miejscu, w którym straciła Lucasa z oczu i z którego zachowała jego ostatnie wspomnienie. Wyznaje, że udało jej się wyrwać z siebie wszystkie złe obrazy, wyizolować w pamięci jedynie tego chłopca, którego znała, niemowlaka, który miał kolki, dwulatka, który chodził niezdarnie i czterolatka, który zadawał niewiarygodne pytania z typową dla dzieci ciekawością. Tego chłopca odzyskała i jest jej lżej, od kiedy ma go przy sobie. Nic nie może jej go zabrać. Zárate proponuje gorącą czekoladę, o tej porze na ulicy jest zimno. Kiedy idą do San Ginés, Elena mówi, że ma rację – są uczucia, które pozostają w człowieku, choć bardzo chciałby się ich pozbyć. Zárate uśmiecha się i powstrzymuje odruch, by przygarnąć ją do siebie ramieniem i iść dalej razem z nią.

Od tłumaczki

Z całego serca dziękuję moim nieocenionym zamorskim przyjaciółom i konsultantom – Doris Téllez León i Jaimemu Fernandowi Vargasowi Ruízowi, którzy z poświęceniem i dociekliwością, odkładając na bok właściwą sobie łagodność i delikatność, pomogli mi jak najlepiej przełożyć tę mroczną historię dla osób o mocnych nerwach. Na ich wsparcie mogłam liczyć zarówno przy *Cygańskiej narzeczonej*, jak i *Purpurowej Sieci*, co czyni ich cichymi promotorami hiszpańskiej powieści kryminalnej w Polsce.

Magdalena Olejnik

-
- ¹ Vaciamadrid – nazwę można przetłumaczyć jako „po drodze do Madrytu” (*va hacia Madrid*), początkowo miejscowość była bowiem miejscem postoju podróżnych zdążających do stolicy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- ² Paco Martínez Soria (1902–1982) – hiszpański aktor komediowy, który zaczął karierę w latach trzydziestych.
- ³ *Papas arrugás* – ziemniaki gotowane w bardzo słonej wodzie (1,5 kg soli na 1 kg ziemniaków), danie typowe dla kuchni kanaryjskiej.
- ⁴ *Mojo* – sos na bazie papryki serwowany z *papas arrugás* w łagodniejszym wariacie zielonym (*verde*) lub pikantniejszym czerwonym (*rojo*).
- ⁵ Królowa Nocy.
- ⁶ AVE (Alta Velocidad Española) – hiszpańska kolej dużych prędkości.
- ⁷ Górskie Chałupy.
- ⁸ Królewski Łęg.
- ⁹ Topolina Górska.
- ¹⁰ Serrano, Ortega y Gasset – ulice w Madrycie znane z luksusowych sklepów.
- ¹¹ *Cunda* – auto odpłatnie przewożące narkomanów do miejsc, w których można nielegalnie kupić narkotyki.
- ¹² Camilo Sesto – hiszpański piosenkarz wykonujący głównie ballady romantyczne, debiutował w latach 70.
- ¹³ *Un, dos, tres* – program rozrywkowy telewizji hiszpańskiej emitowany od 1972 roku, którego głównym tematem jest konkurs z nagrodami.
- ¹⁴ Dickens – znany drink-bar w San Sebastián (Donostia).
- ¹⁵ Bohaterowie używają hiszpańskiej talii, w której oprócz kart numerycznych (od 1 do 9) występują jedynie trzy figury: *sota* (odpowiednik waleta), król (*rey*) i jeździec (*caballero*), potocznie zwany konikiem (*caballo*).
- ¹⁶ Manuela Carmena Castrillo – prawniczka i polityk, sędzia, w latach 2015–2019 alkad Madrytu.
- ¹⁷ *Cocido* (hiszp.) – pożywne danie jednogarnkowe z cieciorką, mięsem, warzywami; z garnka nakłada się kolejno płyn (zupę), warzywa i mięso, dzięki czemu za jednym zamachem są do dyspozycji trzy części składowe obiadu.
- ¹⁸ *Burladero* (hiszp.) – element areny w postaci drewnianej osłony, za którą może schować się toreador przed atakującym bykiem.
- ¹⁹ *Expósito* (hiszp.) – znajda.
- ²⁰ *Cortado* (hiszp.) – espresso z dodatkiem ciepłego mleka w zbliżonych proporcjach.